

# Krawędź żelaza t.2

Miroslav Zamboch

Książka II z Koniasz



calibre 0.9.27

MIROSLAV ŽAMBOCH

KRAWĘDŹ ŻELAZA

**TOM II**

PRZEŁOŻYŁA

# ANNA JAKUBOWSKA

## Pustynny Skorpion

Wjechałem do płytkiego kanionu - gorące powietrze sprawiło, że nie mogłem oddychać.

Jakbym wdychał rozpuszczony ołów. Rozpalona ziemia, czerwonawa od dużej ilości utlenionego żelaza, wznagała żar słońca i rozgrzewała warstwę powietrza tuż przy gruncie tak mocno, że znacznie przekraczało to granice wytrzymałości. Miejscowa roślinność, doskonale przystosowana do zabójczego klimatu, desperacko pięła się w górę, skórzaste liście starały się dosięgnąć jak najwyżej, w miejsca, gdzie było odrobinę chłodniej i gdzie powiewający od czasu do czasu wiatr pomagał pozbyć się przynajmniej części nadmiernego ciepła. Każdy kanion, dolina lub większa rozpadlina od wczesnego poranka do późnego popołudnia przemieniały się w śmiertelnie niebezpieczne pułapki. Rozpalone skały, z dużą zawartością czarnego hematytu, działały jak żelazne płyty i zwiększały temperaturę tak bardzo, że drewno zaczynało się palić. Jechałem od jednego szczytu pagórka do drugiego, bez powodu nie zjeżdżałem w dół i unikałem wszystkich miejsc, gdzie nie było żadnej roślinności. Ten region był piekłem na ziemi. Porozrywana ziemia przez lata burz piaskowych zmieniła się w labirynt przesmyków, skał, dolin i kotlin. Według starych kronik nie padało tutaj od stu pięćdziesięciu lat, ale od czasu do czasu napotykałem wyschnięte koryto, którym kiedyś płynęła duża rzeka. Objechałem wysoką czarną skałę wielkim łukiem, choć i tak czułem, że zwiększa temperaturę w całej okolicy. Najbliższy kaktus rósł w znacznym odaleniu. Mógłbym się założyć, że gdyby u podnóża skały postawić garnek z wodą, kawa ugotowałyby się raz-dwa. Na szczycie długiego wybrzuszenia terenu zatrzymałem się i zwilżyłem koniowi nozdrza. Została mi ostatnia manierka z wodą. Miałem na-

dzieję, że Żelazna Dolina jak najszybciej znajdzie się za mną, a w Cunnin uzupełnię zapasy. Znalazłem się dalej niż zazwyczaj na pustkowiu, ponieważ nie chciałem natknąć się na żołnierzy.

Cesarz crambijski i hrabia z Duamu walczyli ze sobą o kontrolę nad tym rozżarzonym piekłem. Nie chodziło o to, że zależało im na biednych farmach i kopalniach żelaza, ale kto sprawuje władzę z jednej strony nad Cunnin, a z drugiej nad breżskim pasem obsianym lnem, ma kontrolę nad jedyną drogą przez Pustynię Gutawską. Pustynia Gutawska wyglądała na mapie jak bardzo pękata klepsydra. W najwęższym miejscu przecina ją właśnie Żelazna Dolina. Ma ponad trzydzieści pięć mil szerokości, prawie dwieście mil długości, a jej dno znajduje się znacznie poniżej poziomu morza. Może właśnie dlatego panują tutaj takie upały. Z drugiej strony znajduje się w niej dużo mniejszych i większych oaz, które umożliwiają karawanom kupieckim przedostanie się bez większych problemów z jednej strony pustyni na drugą. Na korzyść cesarza przemawiała olbrzymia przewaga materialna, jednak Duamczycy doskonale znali teren i mogli w razie potrzeby wycofać się na drugą stronę pustyni. Dwukrotnie minąłem dolinkę, gdzie leżało mnóstwo zmumifikowanych ciał w uniformach crambijskich żołnierzy. Zabił ich upał. Słyszałem o duamskim kapitanie, który sam z garstką ludzi pokonał sto razy większą armię crambijską. W nocy posypali żołnierzy cesarza czarnymi sadzami zmieszanyymi z popiołem lotnym. Kurz przyłgnął do ekwipunku, sierści zwierząt, a najlepiej do skóry, do której, po zmieszaniu z potem, doskonale się przylepił. Bez dużej ilości wody nie można było się go pozbyć. Crambiczycy dosłownie ugotowali się na słońcu we własnym sosie. Sądziłem, że była to długa i krwawa wojna partyzancka, jaka w żadnym przypadku nie przyniesie nic dobrego miejscowym próbującym utrzymać się z wyschniętej ziemi i kopalni żelaza. A ponieważ starałem się

uniknąć takich rozrywek, przejeżdżałem przez dolinę głęboko na pustyni. W końcu ujrzałem w drżącym powietrzu na horyzoncie zieloną plamę. Byłem naprawdę zadowolony. Niezłomna i doskonale przystosowana do niegościnnego środowiska roślinność była fascynująca i wspaniała, ale ja miałem już język na brodzie i oddałbym wszystkie skarby świata za kilka łyków dobrego wina. Właściwie wystarczyłaby nawet woda.

Farma, na którą natrafiłem, okazała się w rzeczywistości małą oazą z jeziorkiem i wydajną studnią artezyjską pośrodku. Gospodarz dobrze znał się na swojej pracy, urodzajną glebę wykorzystał do najmniejszej odrobiny, poletka porozdzielał kanałami nawadniającymi, teraz suchymi. Prawdopodobnie podlewał tylko rano i wieczorem. Przejechałem po wąskiej drodze i zatrzymałem się przed domami otoczonymi kamiennym murem o wysokości siedmiu stóp. Brania była otwarta. Wjechałem do środka. Z budynku zbudowanego z białych kamiennych bloków wyszła kobieta i stanęła w cieniu daszku nad drzwiami. Miała długie, jasne włosy i piękną figurę.

- Dzień dobry - przywitałem się.

- Czegokolwiek pan chce, nie dostanie pan tego. Niech pan znikaj.

W siodle wyglądał wprawdzie jak Kościej Nieśmiertelny, wysoki na sześć i pół stopy wychudzony facet, kości i ścięgna, obciążnięte skórą, ale na pustyni nie odmawia się gościny, jeśli nie ma ku temu naprawdę ważnych powodów.

- Potrzebuję tylko wody, proszę pani. Natychmiast odjadę.

Kiwnęła na kogoś skrytego za rogiem stodoły, a ręką machnęła na człowieczka, obserwującego mnie ze stajni.

- Niech pan idzie do diabła! Nie chcę pana tutaj!

- Potrzebuję wody.

Z domu, który służył jednocześnie jako warsztat i pomieszczenie dla służby,

wyszedł mężczyzna, za obrozę trzymał dwa wyrosnięte wilczury. Każdy ważył co najmniej sto dwadzieścia funtów i ślinił się z chęci rzucenia na mnie. Piękne zwierzęta, szkoda by było je zabijać.

- Niech pan spada albo poszczuję pana psami! - kontynuowała tym samym tonem.

Głos miała młody, ale mówiła wściekle jak stuletnia czarownica. Może miała właśnie swoje dni? Poklepałem konia, po karku i lekko szarpnąłem uzdę. Wałach parsknął i zaczął powoli się wycofywać. Za ten numer dopłaciłem handlarzowi dwadzieścia złotych, a teraz się okazało, że była to dobrze zainwestowana dwudziestka. Wolałbym zabić gospodynię i jej ludzi niż odwrócić się do nich plecami. Obserwowali mnie aż do granic oazy. Dojechałem do linii horyzontu i wróciłem szerokim łukiem, do odległego o ponad trzysta stóp pagórka, gdzie usiadłem pod półuschniętą sosną. Czekałem na noc, żeby zbliżyć się do jeziora i uzupełnić zapasy. Byłem na pustyni nie po raz pierwszy, lecz tutejszy klimat był ostrzejszy niż mogłem sobie wyobrazić. Sądziłem, że będzie bezpieczniej zaryzykować nocne spotkanie z psami niż podróżować z jedną manierką wody. Z płaszcza i dwóch gałęzi zrobiłem daszek, schowałem się w jego cieniu i czekałem. Sprawdziłem ekwipunek, zaszyłem dziury, zacisnąłem rzemień, poprawiłem sprzączki. Później ponownie naostrzyłem noże do rzucania. Pewien zręczny kowal wykonał je dokładnie według mego życzenia. Każdy wykuł z jednego kawałka stali, rękojeść to tylko mocno owinięty sznur z łyka. Grot i jedna trzecia ostrza są zahartowane aż do granic możliwości i przy dobrym rzucie nóż przejdzie nawet przez podwójną zbroję kółkową. Mimo tej prostoty, człowiek zdołał tchnąć w broń swoje piękno. Był kowalem i artystą zarazem. Skończyłem z nożami i z worka wypchanego słomą wyciągnąłem kuszę oraz dwa mosiężne zasobniki z bełtami. Sta-

rannie usunąłem drobny kurz, który przeniknął do środka nawet przez podwójną taśmę, którą był obwiązany worek, i przyjrzałem się, czy broń nie ucierpiała podczas drogi. Ta zabawka nie należała do mnie i właściwie była główną przyczyną, dla której włóczyłem się po pustyni. Znany havenski łącznik zaproponował mi sześćset złotych, jeśli nieuszkodzoną kuszę doniosę do Creoty, gdzie jego przedstawiciel miał ją sprzedać bardzo bogatemu crambijskiemu szlachcicowi. Nie zdradził mi, ile naprawdę jest warta, lecz sądziłem, że każdy arystokrata bez mrugnięcia okiem zapłaci co najmniej dziesięć tysięcy. Na cenę nie miały wpływu zdobienia i drogocenny materiał, ale funkcja. Cała ta rzecz wyglądała na pierwszy rzut oka jak masywna kolba ciężkiej wojskowej kuszy bez łączyska. Nie mogłem się oprzeć i znów wypróbowałem broń w nadziei, że dowiem się, jak właściwie działa. Mosiężny zasobnik z bełtami nasunąłem na rękojeść wyrzeźbioną w przedniej części kuszy, następnie pociągnąłem za wykonaną z brązu dźwignię wystającą z wyłobienia po prawej strony kolby. Coś w środku się naciągnęło i rozległo się metaliczne brzęknięcie. Zgadłem, że właśnie założyłem bełt i przygotowałem kuszę do strzału. Wycelowałem w rachityczne, uschnięte drzewo oddalone mniej więcej o trzydzieści stóp, nacisnąłem spust. Bełt z brzękiem trafił w pień. Wystrzeliłem po raz drugi, później jeszcze raz i jeszcze, aż opróżniłem cały zasobnik. Na siedem prób chybiłem, dwukrotnie. Bełty były krótkie, bez skrzydełek stabilizujących, dlatego można było nimi celnie strzelać tylko z niewielkiej odległości. Zdołały jednak przebić deskę sosnową grubą na dwa palce. Pozbierałem bełty i włożyłem z powrotem do kasety. Tak jak wcześniej, nie odkryłem nic nowego. Owszem, potrafiłem sobie wyobrazić mechanizm, który wyciąga bełt z zasobnika i umieszcza go w przegródce ukrytej w korpusie broni. Ale nie zdołałem wymyślić niczego, co mogłoby zastąpić łączysko i nie wymagało porządnego naciągnięcia. Może czar, choć nie wierzyłem, że



znajdzie się samobójca, który dobrowolnie używałby ulepszonej magią broni. Takich szaleńców zgodnie ścigali wszyscy czarownicy, bez względu na ich pochodzenie oraz przekonania polityczne i bez ceregieli zabijali. Zazwyczaj w niezwykle wyrafinowany sposób. A jeśli ktoś używał magii na dużą skalę, był oskarżany przed Wielkim Konwentem. Kara była jedna - stracenie winnego, całej jego rodziny i wszystkich krewnych do trzeciego pokolenia. Nie mówiąc, oczywiście, o pozbawieniu całego majątku. W encyklopedii Aary'ego czytałem o drzewach rosnących w dżunglach na południowej granicy cesarstwa crambijskiego, które podobno korzeniami powietrznymi łapią zwierzęta, od zwinnego koliberka po ogromną anakondę. Przyszły mi do głowy także olbrzymie zawilce błyskawicznie zabijające swoimi wielometrowymi łodygami wielkie ryby. Może w kuszy było wbudowane coś podobnego, co miało w sobie wielką ilość elastycznej energii, ale za bardzo w to nie wierzyłem, stawiałem raczej na zwyczajny czar. Jedno wszakże wiedziałem na pewno: mechanizm kuszy był bardzo skomplikowany i czuły, i nie bałem się, że w przyszłości zbyt często będę się z nią spotykał. Na jej kupno mógłby sobie pozwolić właściwie tylko arystokrata, który będzie miał człowieka, żeby dbał o jego zabawkę i pilnował, aby działała jak należy. Moim zadaniem było dostarczenie jej w dobrym stanie do Creoty i zainkasowanie pozostałych, pięciuset złotych. Przysięgłem sobie, że już kuszy nie wyciągnę i zajmę się tylko bardziej praktycznymi rzeczami.

Po zachodzie słońca byłem wyschnięty na wiór i wydawało mi się, że zamiast powietrza wdycham przesuszony kwarcowy pył. Z koniem działało się niewiele lepiej, chociaż wspaniałomyślnie oddałem mu swój przydział wody. Nie mogłem się już doczekać, aż się porządnie napiję i ulżę popękany od upału wargom. Chwilę po zmroku ujrzałem grupę jeźdźców. Było ich około tuzina, zmierzali w stronę farmy i gdy tyl-

ko dotarli bliżej, popędzili konie do cwału. Nie jechali w formacji jak żołnierze, przypominali raczej bandę opryszków, lecz, co dziwne, nie hałasowali i nie wrzeszczeli. Z pewnością doświadczenie ich nauczyło, że zaskoczenie i otwarta brania mogą zaoszczędzić wiele pracy. Nawet czas na atak wybrali idealnie, ponieważ chwilę później ludzie szykowałiby się do snu i byłiby ukryci za kamienną ścianą. Wnioskując z dźwięków, walka trwała, krótko i po chwili przez starannie uprawiane polećka przeleciała, fala ognia, zostawiając za sobą tylko dyni i popiół. Trochę dłużej zajęło im podpalenie budynku. Wsiadłem na konia i ostrożnie ruszyłem. Zwyczajni rabusie nie niszczyliby farmy, raczej spróbowaliby zrobić z niej swoją kryjówkę albo przynajmniej źródło prowiantu. Zgadywałem, że to najemni żołdacy wynajęci przez cesarza albo przez hrabiego. Któryś z graczy z pewnością wybrał taktykę spalonej ziemi. Wody potrzebowałem jednak za wszelką cenę. Swoją własną kuszę położyłem na kolanach i z jedną ręką na kolbie po raz drugi przejechałem przez bramę.

Spichlerze i stodoła płonęły, tuż przy bramie leżały ciała obu wilczurów. Każdy miał w mordzie jedną strzałę. Nie musiałem schodzić z konia, żeby rozpoznać wyrób crambijskich mistrzów. Za stajnią ktoś krzyczał z bólu, ktoś inny głośno i wulgarnie przeklinał. Usłyszałem entuzjastyczne wrzaski o piwnicy pełnej migdałowego wina. Wyglądało to na długą i krwawą imprezę. Przejechałem przez chlew, pod belką bramy musiałem się mocno pochylić. Chlew był pusty, tylko w pełnym korycie leżał człowiek z rozciętym brzuchem. Rozpoznałem w nim psiarza, którego widziałem po południu. Wyjechałem na zewnątrz i zatrzymałem się przy ścianie. Rozejrzałem się za łuczni-kiem. Trafić podczas cwału dwa psy to niełatwa sztuczka. Wołałem, żeby nie ćwiczył sobie oka również na mnie. Stałem niedaleko płonącego spichlerza, koń niespokojnie przestępował z nogi na nogę, czułem, jak od żaru ściąga mi się skóra na twarzy. Szum

płomieni rozmywał dźwięki, budynki rzucały w ogniu ostre cienie. Z domu dobiegł przeraźliwy kobiecy jęk. Jeszcze raz rozejrzałem się i dopiero teraz zauważyłem, że przy studni stoi mężczyzna. Obok niego leżał na ziemi długi łuk. Wałach chwiał się cały spięty, nawet mnie z gorąca robiło się ciemno przed oczami. Przejechałem przy ścianie aż do końca chlewa. Łucznik nie był sam. Rytmicznie poruszał biodrami, przed sobą trzymał kobietę przechyloną przez cembrowinę studni. Rozdarta spódnica wisiała na rączce kołowrotu, łucznik jedną ręką trzymał kobietę za włosy, drugą obejmował ją w pasie. Łydki miała poranione jego ostrogami. Podeszwą jeździeckiego buta stał jej na palcach u nogi. Powoli się do niego zbliżyłem, jednocześnie obserwując ukradkiem okolicę. Reszta pewnie rozrywała się w domu. Mężczyzna oddychał coraz głośniejsze i coraz gwałtowniej, widziałem już jego twarz. Miał zamknięte oczy i w grymasie szczyrzył zęby.

- Ach - zacharczał, zamarł ogarnięty spazmem orgazmu, otworzył oczy i w tym momencie mnie zobaczył.

Widziałem, jak stara się nad sobą zapanować, ale to było silniejsze niż on. Zeskoczyłem z konia z kuszą w ręce. W końcu doszedł do siebie i odsunął się o krok. Kobieta bezwładnie osunęła się na ziemię.

- Czego tutaj, do diabła, chcesz? - wrzasnął ze zdziwieniem, lecz bez śladu strachu.

Jedną ręką macał w poszukiwaniu noża. Jego penis błyszczał w świetle pożaru i sterczał przed nim jak kopia.

- Z tej odległości przestrzelę cię na wylot - powiedziałem.

Miałem wielką kuszę z krótkim łączyskiem z bawolego rogu. Obrzucił ją krótkim spojrzeniem i skinął głową.

- Wiem.

- Nabierzesz mi wody, a ja odjadę. Szybko nabierzesz mi wody, ponieważ...

Rzuciłem mu wszystkie bukłaki.

- ...jeśli tylko ktoś mnie zobaczy, umrzesz.

Pracował szybko i wydajnie, nie widziałem w nim żadnej nerwowości. Dobrzy łucznicy w większości nie bywają nerwowi. Przymocowałem manierki i bukłaki do siodła i wskoczyłem na konia. Jego erekcja tymczasem osłabła, kobieta pod jego nogami jęknęła i przewróciła się na bok. Jeszcze była przytomna. Przyglądała mi się, wystraszonym spojrzeniem błagając o pomoc. W południe była piękna. Wycofałem się aż do bramy, a później wyruszyłem tak szybko, jak tylko odważyłem się jechać po ciemku. Gdybym wiedział, że w ciemności spalonych pól nikt na mnie nie czeka, zastrzeliłbym go.

Niebo było czyste i podróżowałem aż do świtu. Rano ujrzałem trzy słupy czarnego dymu. Nadłożyłem trochę drogi i przyjrzałem się jednemu z nich. Spalona farma. Na brzegu małego stawiku, zasilanego przez podziemne źródło, przewalało się zdechłe bydło. Zabili ludzi, spalili domy oraz uprawy i z pewnością zatruli wodę. Bez wody region zmieni się w śmiertelną pułapkę dla wszystkich. Przy studni znalazłem szklaną karafkę ze szlifowaną zatyczką i zabezpieczającą klamerką. Takich rzeczy używają czarownicy albo truciciele do przechowywania najniebezpieczniejszych materiałów. Ponieważ całe to spustoszenie rozgrywało się pod batutą cesarza, zakładałem, że karafka nie znalazła się tutaj przypadkiem. Mimo że dokładnie obejrzałem zgliszczą domu i całą okolicę, nie znalazłem nic, co odpowiedziałoby mi więcej. Karafkę zamknąłem i schowałem.

Południowy żar przeczekałem w cieniu, później kontynuowałem podróż. Co ja-

kiś czas widziałem kolejne słupy dymu, ale nikogo nie spotkałem. Zwracałem uwagę na otoczenie i rozmyślałem. Cesarz z pewnością wiedział, że regularna armia nie zdziała za wiele w partyzanckiej walce na pustyni, na której Duamczycy dobrze się znali i dlatego zdecydował się zmienić te tereny w absolutne pustkowienie, gdzie wszyscy będą mieć takie same szanse przetrwania. Do brudnej roboty wynajął bandy siepaczy, wyposażył ich w broń, zapasy. To wszystko było jasne. Ale dlaczego zatruli również wodę? Musiało to kosztować cesarza krocie, a ponadto miało sens tylko na krótką metę. Trucizny organiczne rozłożą się po kilku dniach czy tygodniach, a nieorganiczne jak arsen czy jemu podobne... W większości źle się rozpuszczają i szybko opadają na dno. Gdyby zainfekował wodę cholera lub zaraza morową, to co innego. Ale wypuszczenie z butelki takiego dzina wymaga naprawdę dużego ryzyka. Wojna trwała już od dwóch miesięcy i nie mógł liczyć na to, że podobne działania w jakiś znaczny sposób mu pomogą. Duamczykom wystarczy, jeśli poczekają dwa, trzy dni i będą mogli wykorzystywać oazy jako bazę. Ponadto zyskają fantastyczne wsparcie starych mieszkańców. Oczywiście, jeśli jacyś przeżyją krwawe pogromy. Rozwazałem całą sytuację z każdej możliwej strony, lecz wciąż mi się to nie podobało. Cesarz musiał skrywać w rękawie atut, o którym nie miałem pojęcia.

Wiedziałem, że podróżowanie w dzień z gorącym słońcem nad głową i rozpaloną ziemią pod nogami jest samobójstwem, ale chciałem za wszelką cenę oddalić się od łucznika i jego ludzi. Nie wyglądał na człowieka, który łatwo odpuści żarciki na własny temat. Wieczorem większości mojej wody znów nie było, koń ledwo powłóczył nogami. Zdecydowałem się odpoczywać do północy, a resztę drogi pokonać jak najszybciej. Jeszcze przez zachodem słońca ponownie ujrzałem słup dymu. Następna wypalona farma-oaza. Miałem nadzieję, że nawet, jeśli woda w studniach i stawie będzie zatruli-

ta, znajdując jakieś resztki w wiadrach czy w piwnicy domu. Dym zaprowadził mnie do ukrytej, stopniowo rozszerzającej się doliny. Najpierw przejechałem przez szeroki pas opuncji, później kaktusy znikły i pojawiła się zielona trawa. Musiało tu być naprawdę dużo wody podziemnej, ponieważ mijałem pola obsiane niskim, wytrzymałym żytem, a nawet ujrzałem sad owocowy z małymi karłowatymi jabłoniąmi i figami. Posiadłość skrywała się w sosnowym lasku. Dwa budynki spalono, ale pozostałe wydawały się w porządku. Jednak tuż przed drewnianym ogrodzeniem z pali leżały dwa ciała. Kanie, żywiące się padliną, niechętnie odleciały, obsiadając pobliską sosnę. Przejechałem przez bramę. Przy studni w wielkiej drewnianej balii kąpała się kobieta. Kąpała to złe słowo, dosłownie wściekle szorowała się szczotką. Kiedy mnie ujrzała, przerwała, ale nie starała się ukrywać swojej nagości. Była potężna i koścista, ciężkie życie zabrało jej większość kobiecych krągłości, zostały tylko duże, ciężkie piersi. Piersi kobiety, która wykarmiła kilkoro dzieci. Była opalona, a gdy stała nieruchomo w balii, na owłosionym łonie połyskiwały krople wody. Miała niebieskie przenikliwe oczy i przyglądała mi się pogardliwym spojrzeniem bez śladu strachu.

- Gdzie są pozostali? Jak widzę, będę się musiała umyć jeszcze raz! - warknęła.

- Dzień dobry pani - przywitałem się. - Czy mogę u pani uzupełnić zapasy wody? I gdyby to pani nie przeszkadzało, przespałbym się w stodole. Odjadę rano.

To ją zaskoczyło, przez chwilę wyglądała na zmieszaną, lecz później w jej spojrzeniu znów pojawiła się przenikliwość.

- Jeśli chce się pan dobrze najeść, niech pan poczeka albo idzie tam, do domu.

Ja się najpierw muszę porządnie umyć.

Bezlitośnie tarła się dalej szczotką, aż na jej skórze pojawiły się duże czerwone plamy.

- Woda w studni jest w porządku?

- Tak, już napiłam bydło.

Nie wstydziła się, lecz ja tak. Odwróciłem się do niej bokiem, żeby nie patrzeć na kobietę wprost, ale widzieć każdy podejrzaną ruch.

- Co się tutaj stało?

- A co się miało stać? Na pewno sam się pan domyśla. Przyjechała banda wsza-  
rzy, zabiła mi męża i parobka. Myślałam, że to będzie też i mój koniec, i kiedy było już  
ze mną źle, przyjechał jakiś człowiek i krzyknął, że tutaj wszystko musi zostać w po-  
rządku. Jeden z nich uderzył mnie mieczem, ale cios spadł na daszek werandy i prze-  
żyłam. Potem się wynieśli.

Wreszcie ugasiłem największe pragnienie.

- Może powinna pani dodać do kąpeli kroplę nadmanganianu, szałwię i parę  
listków bielunia - rzuciłem.

- Dlaczego, młodzieńcze?

Młodzieńcze? Skrzywiłem się w duchu. Od co najmniej piętnastu lat nikt mnie  
tak nie nazywał.

- Ci chłopcy, którzy tutaj byli, pochodzą przeważnie ze wschodu cesarstwa  
crambijskiego. Najczęstszą chorobą w tamtejszych domach publicznych jest safaruj-  
ska rzeżączka. Taka kąpiel jest raczej niezawodna i jeśli nie minęło zbyt wiele czasu,  
nie musi się pani niczego obawiać.

- Trochę się pan na tym zna, młodzieńcze. Jest pan doktorem czy właścicielem  
domu publicznego?

- Ani jedno, ani drugie - odparłem i poszedłem do domu.

W kuchni, w misie przykrytej płócienną ściereczką, znalazłem mięso przygoto-

wane na pieczeń. Prawdopodobnie przygotowała je już rano, ale jakoś w ciągu dnia nie zdołała upiec. Rozpaliłem w piecu, na wielką żeliwną patelnię nalałem szczodłą porcję wieprzowego sadła i zacząłem smażyć mięso w taki sposób jak zazwyczaj. To znaczy raczej szybciej, żeby wewnątrz zostało trochę krwi, a na zewnątrz dużo przypraw i soli. Im ostrzejsze jedzenie człowiek robi, tym gorsze rzeczy jest w stanie zjeść.

Jeśli dacie mi dość pieprzu i paprykę catayńską, mogę zjeść nawet pieczoną szmatę.

Oczywiście mięso przypaliłem, ponieważ piec grzał mocniej niż ogień w ognisku, ale nie skarżyłem się. Przyszła, kiedy kończyłem jeść swoją połowę. Usiadła za stołem, głodnym spojrzeniem obrzuciła pieczeń i przyjrzała mi się uważnie.

- Pan należy do tych mniej utalentowanych, prawda? - powiedziała, pokazując jedzenie przed sobą.

- Tak - przyświadczyłem. - Ale zjem, co ugotuję.

- To więcej, niż może o sobie powiedzieć większość ludzi.

Zapiła przypalony kęs łykiem wody i ukroiła następny kawałek, tym razem o

wiele mniejszy. Spalili jej farmę, zabili męża, zgwałcili ją, a ona jadła niedobłą kolację i wyglądała, jakby nic niezwykłego się nie stało. Była tak samo twarda jak pustynia wokół. Może nawet jeszcze twardsza. Zjadła wszystko z wyjątkiem paru kawałków, które bardziej niż mięso przypominały węgiel drzewny.

- Jak się pani nazywa? - spytałem.

- Gein, całe imię to Geneunere, ale przyzwyczaiałam się do Gein. A pan?

- Koniasz.

- To chyba nie jest pana prawdziwe imię, - Ironicznie podniosła brwi.

- Nie, ale dobrze brzmi.

Swojego własnego imienia nie używałem od prawie dwudziestu lat. Uciekłem



wtedy z domu i kosztowało mnie wiele zachodu, zanim się ukryłem przed swoim wpływowym ojcem. Od tego czasu wielokrotnie zmieniałem imiona, a Koniasz nie było tym najgorszym.

- Widziałem tylko dwóch martwych. Mieszkało was tutaj tak mało? - zmieniłem temat rozmowy.

- Nie. Trzy dni temu wysłaliśmy stąd dzieci i parobków, zostałam tylko ja, mój mąż i stary Grat.

- Dlaczego?

W zamyśleniu rozejrzała się po kuchni. Było to duże pomieszczenie, przeznaczone do gotowania, i żeby mógł w niej jeść tuzin ludzi naraz. Teraz było nas tylko dwoje i wydawała się zbyt rozległa i opuszczona. Jak zapomniana świątynia.

- Miałam przeczucie, sen na jawie. Wierzę w takie sny.

Popatrzyła z ukosa, jakby podejrzewała mnie o niedowierzanie i drwinę, ale później kontynuowała.

- Już jako mała dziewczynka je miałam i wszystkie się spełniły. Prędzej czy później. Śniło mi się, że przyjadą ludzie na koniach i będą chcieli nas zabić.

- A dlaczego nie wyjechaliście wszyscy?

- Mój mąż nie chciał się stąd ruszyć. Kiedy przyjechaliśmy tu dwadzieścia pięć lat temu, było to pustkowie z w połowie zasypianymi źródłami wody. Nie wierzyłam, że coś tu wyrośnie, ale mąż dokładnie obejrzał dolinę i zdecydował się zostać. Wszystko, co pan tutaj widzi, dosłownie wydobyliśmy z tej wyschniętej po stokroć ziemi. I jemu byłoby ciężko odejść. A kiedy trzy tygodnie temu pojawił się ten duamski oficer, stało się dla mnie jasne, że zostaniemy tutaj obydwój. Może umrzemy, ale zostaniemy.

Oficer twierdził, że zaczęła się wojna i że hrabia chętnie wykorzystałby farmę i oazę

jako bazę dla swoich oddziałów. Potrzebował jednak, żeby ktoś się farmą zajmował.

Wystarczy tydzień bez pielęgnacji źródeł, a piasek je zasypie, trzeba regularnie nawadniać pola, inaczej z plonów zostanie jedynie wiór. Gdyby mówił tylko o pieniądzach, nie byłoby o czym rozmawiać, ale on zaproponował ziemię. Zaoferował prawo dziedziczenia naszej doliny i duży kawał pustyni wokół. Stary nie mógł się temu oprzeć. Mówił, że pod powierzchnią jest mnóstwo wody i miał nadzieję, że jemu albo naszym dzieciom uda się zmienić to miejsce w kwitnący ogród. Zostałam z nim.

Hrabia musiał ciągnąć resztkami sił, ponieważ w hrabstwie duamskim właścicielami ziemi byli tylko szlachetnie urodzeni, a prości ludzie ją od nich dzierżawili.

Może liczył na to, że wielu starych mieszkańców nie przeżyje i prawdopodobnie miał rację.

- Miała pani szczęście. Widziałem, jak splądrowali oazę około trzydziestu mil stąd na zachód. Mieszkańców zabili, a domy spalili.

- Na zachód stąd jest więcej posiadłości. Jak wyglądała? - spytała.

- Domy były otoczone wysokim kamiennym murem, a bramy pilnowały dwa psy.

- To Robentopowie. Nie próbował pan im pomóc?

Pokręciłem głową.

- To nie moja walka. Poza tym intruzów było dwunastu. Wnioskując po dymie, jaki widziałem, w innych miejscach wyglądało podobnie.

Nie powiedziała nic. Przypomniałem sobie ciała, które leżały na zewnątrz.

- Pogrzebię ich - powiedziałem i podniosłem się od stołu. - Rano już by cuchnęli.

- Chce pan pomocy?

- Wolę, żeby ugotowała pani jeszcze jedną kolację. W ciągu ostatniego tygodnia

musiałem bardzo zaciągać pasa.

Skinęła głową.

- Narzędzia są w szopie za domem.

Początkowo chciałem obu pogrzebać w jednym dole, ale później wykopałem

grób dla każdego oddzielnie. Nie z pietyzmu, ponieważ praca z łopatą i kilofem w

czterdziestostopniowym upale bardzo szybko pozbawia człowieka sentymentu i sza-

cunku do zmarłych, ale ponieważ ziemia była tutaj naprawdę nędzna. Pogrzebałem

ich pod jabłonią, każdego pod jednym drzewem. Gdy wróciłem do domu, byłem wy-

schnięty na wiór, z gorąca kręciło mi się w głowie. Gein bez pytania podała dzban pe-

łen chłodnej, mocnej herbaty.

- Niech pan nie zapomni porządnie się umyć. Nie lubię, jak ktoś siada do stołu

brudny.

Bez słowa usłuchałem i usiadłem. Zjadłem za trzech, później jeszcze oblizałem

palce. Chciałem przenocować na zewnątrz, ale kiedy pokazała mi duże posłane łóżko

w pokoju gościnnym, nie zdołałem się oprzeć. Już zbyt długo spałem na gołej ziemi

pod cienkim kocem. Usnąłem natychmiast. Koło północy obudziło mnie ciche skrzy-

pienie. Ktoś ostrożnie skradał się po korytarzu. Mój miecz leżał wzdłuż łóżka, pod po-

duszką miałem ukryty nóż. Zawiasy zaskrzypiały, ktoś stanął w drzwiach. Zostawiłem

na noc otwarte okno i księżyc oświetlał teraz pokój zimnym srebrnym światłem. Wy-

szła z cienia drzwi. Była naga i nie miała nic w rękach. Szybko przeszła przez pokój,

usiadła na brzegu łóżka, strzepnęła pierzynę i położyła się obok mnie. Nie ruszałem

się. Złapała mnie za rękę. Początkowo trzymała się kurczowo jak wystraszone dziecko,

później uścisk słabł, aż wreszcie usnęła z ręką w mojej dłoni. Długo nie mogłem usnąć.

Wysłuchiwałem się w dźwięki opuszczonego domu i cichy szum liści na zewnątrz.

Rano obudziłem się sam. Nagi wyszedłem na zewnątrz i porządnie się opłukałem przy studni. To była rozkosz, po tak długim czasie nie musieć oszczędzać wody. Czekala na mnie ze śniadaniem i wyglądała na tak samo twardą jak wczoraj wieczorem. Nocna słabość poszła w zapomnienie.

- Mówił pan, że dziś rano ma zamiar odjechać.

Miałem usta pełne chleba posmarowanego grubą warstwą masła, dlatego tylko mruknąłem na potwierdzenie.

- Mam dla pana propozycję. Niech mi pan pomoże tu trochę uporządkować, zamknąć źródła, zakryć studnię, przebudować stawidła kanałów nawadniających.

Później odprowadziłby mnie pan do Hamtu. Dałabym panu za to ubranie, jedzenie i - na chwilę zamilkła - dwadzieścia złotych.

Wszystko, o czym mówiła, a nawet jeszcze więcej, mogłem wziąć sam. Za paskiem miałem schowaną stówę w dziesiątkach, a w Creocie czekało na mnie następnych pięćset. Dwadzieścia, złotych wiele dla mnie nie znaczyło. Z drugiej strony, sądziłem, że właśnie w Hamcie duamski hrabia rozbił swój główny namiot i zostawała jeszcze zagadka z karafką. Podróżowanie przez pustynię nie było łatwe nawet w czasie pokoju, teraz trwała wojna i wszędzie wokół włóczyli się żołnierze i bandy siepaczy. Wiele oaz i źródeł prawdopodobnie zniknęło i będzie problem z wodą. Nawet gdyby Gein była tak wytrzymała, na jaką wygląda, spowalniałaby podróż. Obserwowała mnie, na jej twarzy nie drgnął ani jeden mięsień. Było jasne, że jakkolwiek zdecyduję, nie będzie mnie przekonywać, nie będzie lamentować i spróbuje sobie sama poradzić. Przypomniałem sobie jej kurczowy uścisk.

- Zgoda.

Cały dzień biegałem po polach. Zobaczyłem, że niektóre kanały nawadniające prowadzone są pod ziemią w perforowanych rurkach, a cały system jest zaprojektowany tak, żeby nawet podczas nieobecności ludzi poletka i zagony mogły wytrzymać bez większej szkody parę tygodni. Plony na bardziej oddalonych polach nawadnianych kanałami powierzchniowymi słońce z pewnością zniszczy, ponieważ nie będzie nikogo, kto rano i wieczorem otwierałby i zamykał stawidła. Ciągłe nawadnianie w ciągu dnia za bardzo wyczerpałoby źródła wody na farmie. Podczas pracy wielokrotnie czułem podziw dla mężczyzny, który to wszystko wymyślił i zrealizował. Wieczorem byłem tak zmęczony, że nawet nie czułem głodu. Oczywiście tylko do chwili, kiedy usiadłem przy stole, ponieważ jedzenie pachniało wspaniale i jeszcze lepiej smakowało.

- Ile ma pani dzieci? - spytałem, żeby przerwać uciążliwą ciszę wielkiego, opuszczonego domu.

- Trzy córki i jednego syna. Bliźniaczki mają trzynaście lat, najstarsza piętnaście, a Erik dziesięć.

Kiedy mówiła o dzieciach, jej twarda skorupka jakby się rozpuszczała. Wyglądała zbyt staro na takie małe dzieci, lecz nic nie powiedziałem.

- Życie jest twarde. Pierwsza czwórka dzieci umarła - kontynuowała rozmowę. - Straciłam już nadzieję, że będę jeszcze jakieś miała, ale gdy już zaczęło nam się powodzić, powodziło się we wszystkim. - Na twarzy kobiety pojawił się dziewczęcy uśmiech.

Ukroiłem kolejny kawałek pieczonego patisona i uświadomiłem sobie, że słyszę skrzypienie piasku pod końskimi kopytami. Goście.

- Niech się pani schowa za drzwiami.

Złapała nóż obiadowy i posłuchała bez pytania. Zdmuchnąłem świeczki na stole, wstałem, prawą ręką złapałem miecz, a w lewej, zwisającej luźno wzdłuż ciała, trzymałem nóż do rzucania. Kusza, pozostałe noże i reszta wyposażenia zostały w pokoju na górze. Słyszałem kroki wokół domu i cicho wydawane rozkazy. Nie wyglądało to na wynajętych zabijaków, lecz na regularną armię. Cesarz z pewnością pospiesznie starał się zabezpieczyć zajęte tereny. Cofnąłem się o krok, żeby ewentualny łucznik na zewnątrz miał przy strzelaniu mniejszy kąt.

W oknie pojawił się mężczyzna. W ręce trzymał asymetryczny łuk jeździecki z założoną strzałą i celował we mnie. Przyglądał mi się nieobecny spojrzeniem kogoś, kto z podobną sytuacją spotkał się tyle razy, że nic już go nie może zdziwić. Miał tłustą cerę pokrytą wrzodami i duże krzywe zęby poczerńiałe od przeżuwanego tytoniu.

Usłyszałem kroki w przedsionku, kuchenne drzwi się otworzyły, do pomieszczenia wszedł niski, krępy człowieczek z kuszą. Krótkim spojrzeniem obrzucił pomieszczenie i stanął w lewym rogu. Gein na szczęście była ukryta za drzwiami. Za chwilę stanął w nich szczupły mężczyzna w szarym płaszczu jeździeckim. W pochwie u boku nosił delikatnie zakrzywiony, zaostrzony z jednej strony miecz, na rękach skórzane rękawice.

Już na pierwszy rzut oka było widać, że jelenia skóra jest świetnie wyprawiona, ozdobił ją tylko skomplikowany haft srebrną nicią. Chociaż nigdzie nie znalazłem znaku rodowego, nie musiał się przedstawiać, żebym rozpoznał w nim wysoko urodzonego crambijskiego szlachcica. Przesunął się w bok, żeby nie blokować wejścia.

- Czego pan tutaj szuka?

Głos intruza brzmiał powściągliwie, jakby zamawiał napój u lokaja na balu.

Wiedział, co robi, a jego ludzie byli sprawni i zgrani. Słyszałem, jak biegają na zewnątrz i przeszukują poszczególne budynki. W pierwszej chwili miałem nadzieję, że

zdołam dojść z nim do porozumienia, ale oczy miał zimne i patrzył na mnie niczym na swoją ofiarę. Byłem dla niego tylko śmieciem, który stanowił przeszkodę na drodze, a on oczywiście wiedział, jak najprościej sobie z tym poradzić.

- A czego pan tutaj szuka? - przypomniałem sobie swoją arystokratyczną przeszłość i odpląciłem mu takim samym suchym tonem. Powiedziałbym nawet, że byłem trochę lepszy.

Zacisnął wargi, aż zmieniły się w dwie blade kreski.

- Za chwilę przejdzie panu ta zuchwałość.

Chciałem, żeby był wściekły i zbytnio się nie rozglądał. Stół był zastawiony dla dwóch osób. Patrzyłem mu prosto w oczy, starałem się, żeby moje spojrzenie nie ześliznęło się na Gein, która stała za nim w połowie ukryta za drzwiami. Obserwowała mnie i czekała na to, czego będę od niej chciał.

- Nazywam się Hartet i takich ordynarnych rabusiów jak wy już dawno nie spotkałem. Zapewniam was, że porządnie przetrzepałem im skórę i wam też dam podobną lekcję. Sądzę, że jej potrzebujecie - oznajmiłem pyszałkowato.

Byłem z siebie dumny. Brzmiało to dokładnie jak fragment z „Wielkiej księgi dworskiej etykiety”. Śmiertelnie go uraziłem, a jednocześnie przekonałem, że zasługuję na coś bardziej wyjątkowego niż prosta śmierć z rąk któregoś z jego żołnierzy. Hartetowie to zubożały ród crambijskiej szlachty, który jednak oficjalne drzewo genealogiczne ma dłuższe niż sam cesarz i wprost fanatycznie kultywuje rycerskie tradycje. Wielkie rody lubią ich jak pieprz w tyłku i najróżniejszymi intrygami starają się pozbyć.

Jego oddech zabrzmiał jak rżenie konia.

- Nie jestem żadnym ordynarnym rabusiem - oznajmił stanowczo.

Na chwilę się zawahał.

- Myślę, panie, że mogę zdradzić, z kim ma pan przyjemność. Eddon, syn hrabiego Gletov, w służbie Jego Wysokości.

Szlachcice w większości są dumni ze swoich herbów, często prawie fanatycznie są nimi opętani. On jednak zadał sobie ten trud i pozbył się wszystkiego, co mogło zdradzić jego pochodzenie. To samo dotyczyło również dwóch mężczyzn, których widziałem. Żadnych wojskowych insygniów czy znaków przynależności. Ukrywanie się z pewnością z jakiegoś powodu było ważne, co oznaczało, że zdradzenie swojego imienia było skazaniem mnie na śmierć. Gein oczywiście również. Myśli w mojej głowie szybko się tasowały. Musiałem rozdać kolejną partię, ponieważ te karty nie dawały mi zbyt dużej szansy. Obaj strzelcy byli doświadczeni i nie wątpiłem, że przy pierwszym ruchu bez wahania przyszpilią mnie do ściany za mną. Moim jedynym atutem była Gein. Gdyby zabiła Eddona, zyskałbym trochę czasu. Na jej miejscu bym sobie poradził, ale ona nie była zabijaką. Nasze spojrzenia na chwilę się spotkały. Czekwała skoncentrowana i przygotowana. Najpewniejsze jest dźgnięcie w nerki, lecz Eddon z pewnością nie oszczędzał na zbroi i prawdopodobnie miał pod płaszczem kolczugę czy coś innego. Wątpiłem, że Gein zdoła ją przebić. Podcięcie gardła jest trudniejsze, wolniejsze i wymaga większej koordynacji. Jeśli był tak szybki, na jakiego wyglądał, postawiłbym na kobietę maksymalnie srebrniaka. Bez jej pomocy jednak żadne z nas nie miało szans.

- Może jest pan szlachcicem, lecz zasługuje pan na zarżnięcie jak jagnię. I to najlepiej natychmiast.

Popatrzył na mnie, nic nie rozumiejąc. Gein powoli do niego podeszła, prawą rękę z nożem podniosła do piersi, jej rzęsy trzepotały ze strachu. Na chwilę się zawa-



hała i to był błąd. Może poczuł ciepło ciała lub powiew powietrza albo naprawdę miał szósty zmysł doświadczonych wojowników. Odwrócił się na pięcie, w ręce trzymał sztylet. Gein lewą ręką chwyciła go za twarz i uderzyła nożem w gardło. Zobaczyłem jeszcze, jak zadrżała, kiedy dźgnął ją w tułów. Mężczyzna z kuszą na chwilę odwrócił wzrok, skoczyłem w przód, jednocześnie rzucając nóż. Łucznik na zewnątrz wystrzelił o ułamek sekundy za późno - nie trafił mnie. Upadając, czubkiem stopy zahaczyłem o krzesło i rzuciłem nim w okno. Druga strzała skończyła w oparciu. Wyszorowana do białości podłoga z desek szerniała od krwi. Hrabia z łucznikiem byli martwi, Gein prawie też. W boku miała brzydką ranę, ale mimo to próbowała wstać.

- Musimy iść na górę, tutaj mają do nas dostęp ze wszystkich stron!

Pchałem kobietę przez przedsionek ku schodom, moje ubranie natychmiast nasiąknęło jej krwią. W prawej ręce trzymałem miecz, ale w wąskich pomieszczeniach w domu jego długie ostrze nie na wiele się zdało. W drzwiach wejściowych ujrzałem sylwetkę.

- Prędko! - szepnąłem.

Po schodach prawie ją niosłem. Na zewnątrz ktoś krzyknął, schody zadudniły szybkim staccato. Do pokoju dla gości prowadził wąski, długi na siedem stóp korytarz. Ramieniem otworzyłem drzwi i wepchnąłem Gein do środka. Upadła, ale nie zajmowałem się nią, czułem czyjś oddech na plecach. Skoczyłem w stronę stołu, przeturlałem się po nim, w ruchu podnosząc wielką kuszę. W chwili kiedy po drugiej stronie dotknąłem nogami ziemi, wystrzeliłem z biodra. Dwóch wpychało się do środka. Z tak małej odległości bełt przeleciał przez pierwszego na wylot, trafiając przy okazji drugiego w brzuch. Gein, leżała we krwi i cicho jęczała. Musiałem się wydostać, zanim nas tutaj zamkną i spalą jak tchórze. Potrzebowałem przestrzeni do manewrowania.

Prześcieradło z łóżka rozerwałem na dwie części. Jedną zgmiotłem, robiąc ścisłą, kulę, z drugiej zrobiłem prowizoryczny opatrunek. Brutalnie wepchnąłem kulę Gein w ranę, a dłoń kobiety zamknąłem na reszcie prześcieradła. Zacisnęła wargi z bólu.

- Proszę ucisnąć jak najmocniej. Zostawię panią, ale później wrócę.

Nie wierzyłem, że jeszcze ujrzę ją żywą, lecz nie miałem więcej czasu. Na schodach usłyszałem następnych ludzi, otaczali dom na zewnątrz. Z mieczem w jednej ręce i workiem z kuszą powtarzalną w drugiej, wyskoczyłem przez okno. W głębokim przyśiadzie wylądowałem przed dwoma mężczyznami. Bez wahania zaatakowałem bliższego, robiąc niski wypad. Bezbłędnie krył się krótką tercją i spróbował odskoczyć. Ostrza naszych mieczy szybko kilkakrotnie się starły, brzęknęła stal. Poruszał się pewnie i w sposób przemyślany. Był dobry. Drugi mężczyzna starał się znaleźć za moimi plecami. Zostało mi mało czasu. Zaryzykowałem atak i zmusiłem przeciwnika, żeby się wycofał. Po zbyt szybkiej zmianie pozycji źle stąpnął, na chwilę niezgrabnie nadstawił mi się lewym bokiem. Zrobiłem długi wypad, ale w ostatniej chwili instynktownie się wycofałem. Sztylet ukryty za przedramieniem jedynie zadrasnął mnie w nadgarstek. Nie był niezgrabny, dobrze udawał. Teraz fechtowaliśmy z wyciągniętymi rękami, nasze miecze dotykały się tylko przewężeniem ostrzy. Poruszaliśmy się wokół siebie po łuku, starałem się często zmieniać linię walki, ale z tyłu coraz bardziej napierał na mnie jego partner. Kurz wzbity wysoko w powietrze naszymi nogami smakował gorzko i przylepiał się do mokrej od potu twarzy. Desperacko na niego nacierałem, ale nie dawał mi zbyt dużo miejsca. Za każdym razem wystarczyło, że choć trochę mnie przytrzymał, a już musiałem uciekać przed jego towarzyszem. Za domem ktoś wrzeszczał, rzucając serię ostrych rozkazów, z oddali dobiegał tupot ciężkich butów. Robiłem, co mogłem, lecz byli zgrani i w końcu znalazłem się między nimi. Kiedy zmienia-

łem sposób obrony, byłem ciut szybszy niż się spodziewali i udało mi się zadrasnąć jednego w wewnętrzną stronę ramienia. Zaryzykowałem szybki obrót i w ostatniej chwili odbiłem ostrze drugiego mężczyzny. Wydostałem się z ich kleszczy i natychmiast znów zaatakowałem pierwszego. Właśnie przekładał miecz w lewą rękę, nawet w półmroku zauważyłem, że rękaw ma nasiąknięty krwią. Miałem szczęście, trafiłem go w tętnicę. Krzyknął do kogoś, wycofał się i przekazał mnie partnerowi. Drugi mężczyzna też był niezwykle dobry, ale miał pewne słabe strony. Atakował w sposób zbyt ozdobny i nie zostawało mu czasu na porządne krycie. Dźgnąłem go w pierś między najwyższe wolne żebra. Rozejrzałem się. Nasza walka nie została niezauważona, zza domu wybiegło trzech mężczyzn, dwóch z nich trzymało w rękach łuki. Wytrząsałem z worka kuszę i od razu założyłem zasobnik. Właścicielowi nie podobałoby się takie traktowanie. Pierwszego trafiłem w twarz, drugiego w pierś, ale bełt się odbił. Ten gnojek miał pod tuniką kirys! Rzucił się na mnie z mieczem i dopiero trzeci bełt z niewielkiej odległości przeszedł przez pancerz. Umierał z niedowierzaniem na twarzy. Kolejny łucznik trafił mnie ponad łokciem w rękę, w której trzymałem kuszę. Dlatego chybiłem. Znów wystrzeliłem, ale zranione ramię mnie nie słuchało i trafiłem go tylko w udo. On odplacił mi tym samym. Zacząłem biec w stronę stodoły, skręciłem między zabudowania gospodarskie. Zewsząd dochodził mnie krzyk i odgłos kroków. Z pewnością już sobie zdali sprawę, że jestem sam. Szybko skręciłem za róg spichlerza i wpa-  
dłem na kogoś. Już prawie upadałem, ale jeszcze zrobiłem piruet i machnąłem mie-  
czem. Zatrzymałem się ślizgiem na brzuchu, mężczyzna za mną leżał martwy z prze-  
ciętym kręgosłupem. Z cienia wynurzył się jeszcze ktoś. Potężny człowiek z toporem. Był zbyt blisko, żebym zdążył się podnieść. Pierwszy bełt odbił się od stalowego pan-  
cerza ukrytego pod ubraniem, drugi go spowolnił, a trzeci w końcu powalił na ziemię.

Odrzuciłem pusty zasobnik i nasadziłem nowy. Wydawało mi się, że nikt mnie nie widzi, więc schowałem się w cieniu stodoły. Zanim zdążyłem do siebie, zza rogu wynurzyło się następnych trzech mężczyzn. Wyglądali tak samo, niezbyt wysocy, ale barczyści, z mieczami w ręce. Upuściłem kuszę w piasek, złapałem miecz dwiema rękami i ruszyłem im naprzeciw. Nastawiłem się na mężczyznę najbliżej ściany. Nie było czasu na finezje techniczne. Brutalnym cięciem rozbiłem jego krycie i uderzeniem głowicą rękojeści powaliłem na ziemię. Dwóch pozostałych rzuciło się na mnie jednocześnie. Czas przestał płynąć, był tylko jeden szaleńczy atak. Stałem, lewe ucho wisiało mi na skrawku skóry, krew spływała do oczu i oślepiała, ciemność zrózowiała, a przedmioty nabrały tęczy konturów. Przez płaski teren przed domem biegło w moją stronę pięciu ludzi. Dokuśtykałem do kuszy i z klęczek, podpierając się łokciem, strzeliłem. Zanim się zbliżyli, zdołałem wystrzelić sześć razy i dwóch napastników zabić. Ostatni bełt się zaciął.

Otoczyli mnie z trzech stron. Nie miałem szans, byli tak samo wyszkoleni jak pierwszy szermierz. Jednego udało mi się brzydko sieknąć w kolano, ale nagle sam miałem głęboką ranę w udzie. Dwóch zaatakowało równocześnie i tylko szczęście pomogło mi się obronić. Przemknęło mi przez głowę, że straciłem za wiele czasu i zapomniałem o trzecim. Obejrzałem się. Rękę miał wyciągniętą w górę, przed moją twarzą znalazło się ostrze rozmazane przez ruch. Koniec. W powietrzu mignął cień i mężczyzna upadł ze strzałą w gardle. Kątem oka ujrzałem w oknie ciemną sylwetkę przepasaną białą szarfą. Nie myśląc, robiąc samobójczo długi wypad, zaatakowałem mężczyznę z lewej i przebiłem go na wylot. Nie dałem jednak rady wyciągnąć miecza i przed atakiem ostatniego przeciwnika, uciekłem, przewracając się na plecy. Przeturlałem się i przez przypadek wymacałem kolbę kuszy. Podniosłem ją i, robiąc kolejny przewrót,

wstałem. Szermierz ciężko oddychał, czekał i zbierał siły. W świetle gwiazd widziałem jego oczy. Były spokojne i rozważne. Kilkakrotnie naciskałem spust w nadziei, że mechanizm się odblokuje, ale tak się nie stało. Nie miałem miecza, noża, niczego. Obaj wiedzieliśmy, jak ta gra się skończy, ale nie zamierzałem ani trochę mu tego ułatwić. Chwyciłem kuszę jak kij. Pierwszy atak odparłem, drugi tylko częściowo, ostrze miecza trafiło mnie w ramię i dotarło do kości. Wstrząs sprawił, że pociemniało mi w oczach, ostatkiem sił cisnąłem w niego kuszą. Później umarłem.

Myślałem tak do momentu, kiedy się obudziłem. Mogło być koło północy, właśnie podnosił się nocny wiatr.

Trząsałem się z zimna, kręciło mi się w głowie i wydawało mi się, że mam połamane wszystkie kości. Piasek oblepił ranę na udzie i ramieniu, dlatego się nie wykrawiłem. Rozejrzałem się i zrozumiałem, dlaczego ostatni człowiek mnie nie dobił. Leżał kawałek dalej. Coś urwało mu połowę czaszki, mózg razem z twarzą zmienił się w jedną krwawą miazgę. Kuszę znalazłem tuż obok niego. Brakowało przedniej części ciała i jak macki małego kalmara wystawało z niego siedem poprzecznie prążkowanych pędów o długości stopy. Na niektórych pozostały jeszcze resztki tkanki mózgowej i kawałki kości. Rozróżniałem nawet kilka igieł, które były wbite w sznury. Pewnie trafiłem mężczyznę kuszą, a kiedy nią dostał, popsuł się mechanizm wystrzeliwujący bełty i to go zabiło.

- Więc to były tylko korzenie - powiedziałem głośno i narzuciłem na kuszę trochę piasku. Niechcący nacisnąłem przy tym na którąś z igieł, ponieważ cały pęk zmienił się nagle w dziko migający kłębek. Kiedy przestał się poruszać, z broni zostały jedynie drobne drzazgi.

Ponieważ nikt mnie nie dobił, kiedy byłem nieprzytomny, sądziłem, że nie ma

już żadnych żywych żołnierzy w dolinie. Mimo to jednak chciałem się przekonać. Ktoś mógł się ocknąć tak samo jak ja. Przy stodole spotkałem Gein. Opierała się na lasce i ciężko kuśtykała od jednego trupa do drugiego. W lewej ręce trzymała świeczkę i przyglądała się twarzom żołnierzy. Szukała mnie. Biały opatrunek już dawno przestał być biały, pełen plam zaschniętej krwi. Płomień świeczki migotał poruszany delikatnym wiatrem, w drgającym świetle wyglądała na starszą niż w rzeczywistości.

- Przeżył pan - powiedziała.

Było to proste stwierdzenie faktu bez odrobiny radości czy ulgi. Nie odpowiedziałem, czułem się zbyt zmęczony i obity. Wspólnie skończyliśmy sprawdzać ciała. Musiałem dobić trzech mężczyzn. Byli ciężko ranni i ani jeden z nich się nie bronił. Otworzyłem im tętnice szyjne i pozwoliłem się wykrwawić.

Wróciliśmy do domu, gdzie z ulgą rozparłem się na drewnianej ławce. Na górze w łóżku byłoby mi lepiej, ale wiedziałem, że nie zdołam wejść po schodach na piętro. Jeszcze oczyściłem sobie ranę na ramieniu i udzie, a później usnąłem, albo straciłem przytomność, zależy jak na to patrzeć.

Obudziło mnie gorąco, bzyczenie much i ból. Gein siedziała obok mnie, opierała się o moje ramię i regularnie oddychała. Mądra kobieta - opierała się o zdrowe ramię. Podniosłem się, ostrożnie ją ułożyłem i przykryłem obrusem. Potrzebowała zmiany opatrunku, ale w tej chwili sen był dla niej ważniejszy. Byłem cały zeszywniały, lewą ręką prawie nie mogłem ruszać, mocno kulałem, lecz rany nie ciągnęły ani nawet nie drętwiały. Nie jestem ładny, ściśle mówiąc, jestem brzydki, wręcz ohydny, potężny szkielet obciążony ścięgnami i cienką skórą, ale w jednym na swoim ciele mogę polegać. Wytrzymam więcej niż koń, a rany goją mi się trzy razy szybciej niż innym. I jak zawsze po takim zamieszaniu odczuwałem prawie zwierzęcy głód. Nie

trwało długo, gdy na piecu smażyły się jajka z boczkiem dla mnie i gotował rosół wołowy dla Gein. Rosół dla rannych jest najlepszy. Zawiera wszystko, czego człowiek potrzebuje, jest łatwy do strawienia i dodaje więcej sił niż normalna pieczeń. W chwili, kiedy wykańczałem drugi tuzin jajek i dojadłem boczek, Gein otworzyła oczy. Wyglądała na delikatną i podatną na zranienia, jakby w każdej chwili mogła się rozpaść. Rozejrzała się i im bardziej zdawała sobie sprawę z tego, co się dzieje, tym bardziej tężała jej twarz, aż w końcu zmieniła się w normalną pomarszczoną maskę z twardym przenikliwym spojrzeniem.

- Najpierw niech się pani naje, a później panią opatrzę - powiedziałem, stawiając przed nią garnek.

- Dzięki.

Jadła powoli, ale bez przerwy. Zdawała sobie sprawę, że będzie potrzebować wszystkich sił, żeby dojść do zdrowia. Po posiłku zabrałem się za opatrywanie ran. Ze swoimi wiele nie zrobiłem, tylko na ramieniu, gdzie uderzenie dosięgło kości, starannie zszyłem skórę. Na udzie zerwałem tylko gruby strup i przewiązałem sobie nogę grubym opatrunkiem. Z Gein było gorzej. Zranienie było głębokie i naruszyło większość skośnych mięśni brzusznych z jednej strony, niewiele brakowało, a miałyby porozrywane również jelita. Właściwie powinna leżeć w gorączce i zwijać się z bólu, ale nie wydała z siebie nawet jęku. Kiedy skończyłem czyszczenie i przemywanie, była jedynie trochę bledsza.

- Dwóch żywych jest w piwnicy. Zamknęłam ich tam jeszcze w nocy. Dowódca i jeszcze jeden chłopak - powiedziała cicho.

- Ma pani na myśli Eddona?

- Tak.

- Jestem zdziwiony, że przeżył.

- Ja też.

- Mogą się jakoś wydostać na zewnątrz?

- Tylko jeśli zdołają przeryć się przez skałę.

- Do wieczora wytrzymają.

Zamilkłem na chwilę i oparłem się o futrynę drzwi, żeby opanować nagły zawrót głowy. Jednak straciłem sporo krwi.

- Rozejrzę się po ich bagażu, na pewno coś ze sobą przywieźli. Może znajdę parę rzeczy, które się przydadzą. Pani niech tymczasem odpocznie.

Nie sprzeciwiała się. Żadne z nas nie miało humoru i dość sił na długie rozpa-  
miętywanie.

Zbliżało się południe, słońce nad głową grzało jak piekielne ognisko, a z ze-  
wnątrz dolatywał słodkawy zapach gnijącego mięsa. Poza doliną ciała by się wysuszy-  
ły, lecz tutaj było znacznie więcej wilgoci i cienia. Obejrzałem martwych. Było ich  
piętnastu, w sumie więc napadło na nas siedemnastu ludzi. Bez kuszy nie miałbym  
szans, a i tak miałem wielkie szczęście. Żaden z żołnierzy nie miał przy sobie wiele  
pieniędzy, zazwyczaj jeden czy dwa złote i to w dodatku w srebrze. Za to ich ekwipu-  
nek, broń, noże, ubrania, wyposażenie obozowe miały wielką wartość i w mieście da-  
łoby się je dobrze sprzedać. Teraz jednak nie zdało nam się to na nic. Przy jeziorku  
znalazłem konie. Wszystkich dwadzieścia pięć, z czego siedem pociągowych. Były to  
wspaniałe zwierzęta z dobrych hodowli. Przy dużym wałachu w specjalnie przygoto-  
wanych torbach jeździeckich z bawolej skóry, wzmocnionych szkieletem z witek, zna-  
lałem cały zestaw karafek ze szlifowanymi zatyczkami z zabezpieczeniem. Tym razem  
pełnych. Ciecz przypominała wodę, lecz kiedy się nią wstrząsnęło, wydawało się, że



jest lepka. Ponieważ ktoś zadał sobie trud, żeby dokładnie zamknąć karafki, nie odważyłem się sprawdzać, co było w środku. Zainteresował mnie pakunek złożony z pustych worków przewiązanych szpagatem. Miały wyraźny aromat, ale gdy wszystkie przejrzałem, znalazłem tylko mały, w połowie uschnięty kaktus. Nie przyszło mi do głowy nic, co oddział wojska mógłby wozić w wielkich workach i zrezygnowałem. Do dwukółki zaprząłem dwie krowy, ułożyłem zwłoki na wóz. Dojechałem do północnego końca doliny, złożyłem ciała w jednym ze znajdujących się na uboczu parowów, obrzuciłem je kamieniami i zasypałem piaskiem. Wszystko to zajęło mi prawie pół dnia i kiedy wracałem do domu, czułem się tak samo marnie jak rano. Niektórzy twierdzą, że zabijanie to ciężka praca. Możliwe, ale grzebanie martwych jest jeszcze gorsze.

Gein już nie spała - odpoczywała. Na stole leżał tobołek z wyposażeniem na drogę. Musiała mieć coś z mojej natury. Położyłem przed nią znalezione pieniądze i podzieliłem na dwie części.

- Dwadzieścia jeden złotych dla każdego.

- Nie chcę ich - powiedziała gwałtownie.

- Dlaczego?

- Nie chcę pieniędzy po zmarłych.

- Spustoszyli pani farmę, zabili męża, a pani nie chce wziąć małego odszkodowania?

- To nie byli ci.

Nie namawiałem jej.

- Zanim pojedziemy, musimy przesłuchać tych dwóch.

Skinęła głową.

- Zdaje sobie pani sprawę, co z nimi później zrobimy?

- Puścimy ich?

W chwili, kiedy zadawała pytanie, zrozumiała, że tak nie można.

- Zabijemy - powiedziałem spokojnie.

Zacisnęła szczęki w sprzeciwie.

- Na to nie pozwolę.

- Pójdą naszym śladem. Jest ich dwóch. Albo poczekają tutaj i każdemu so-  
jusznikowi cesarza dadzą nasz opis, powiedzą mu, kim jesteśmy i dokąd zmierzamy.

Muszą umrzeć.

Przyglądała mi się w milczeniu. Była mądra i wiedziała, że nie ma innego roz-  
wiązania. Widziałem, jak ściera się w niej kobieca natura z rzeczywistością. Trwało to  
długo. Nie pospieszałem jej, chciałem, żeby sama dokładnie zdała sobie sprawę z na-  
szej sytuacji i naszej szansy. Skinęła głową.

- Wojna jest straszna. Pan nie ma z tym żadnych problemów, prawda?

Wzruszyłem ramionami.

- Nie. Ale to nie ja napadłem na pani farmę. Przyjechałem sam i grzecznie po-  
prosiłem o wodę.

- I dlatego mi pan pomógł? Ponieważ spełniłam pana prośbę?

- Byłem gościem, poza tym nie miałem innej możliwości. Ale powiedziałbym,  
że nie od tego to zależy. Ważne jest to, co się stało.

Nasza rozmowa utknęła w martwym punkcie. Otworzyłem kłapę, która stano-  
wiła drzwiczki do piwnicy, spuściłem w dół drabinę i pozwoliłem jeńcom wyjść na ze-  
wnątrz. Uważałem, żeby mnie nie zaskoczyli, lecz obaj byli ranni i spędzili w piwnicy  
prawie cały dzień bez wody, co nie dodało im sił. Pierwszy wydostał się Eddon. Zanim

zdążył się rozejrzeć, związałem mu ręce za plecami i przy pomocy liny przerzuconej przez belkę stropową podciągnąłem w górę tak, żeby dotykał ziemi tylko czubkami palców. Własny ciężar wyginał mu stawy pod nienaturalnym kątem i musiał się opierać, żeby nie jęczeć z bólu. To samo zrobiłem z jego towarzyszem. Był to młody chłopak, siedemnaście, osiemnaście lat i wyglądał, jakby w każdej chwili miał się rozpaść. Eddon miał na szyi ciężką ranę, która dosięgła także układu oddechowego, ale tętnicy szyjnej nie uszkodziła. Gein prawie wydłubała mu z oczodołu lewe oko. Białko było bardziej czerwone niż białe, prawdopodobnie na nie oślepl.

- Pić, pić - prosił chłopak.

Nabrałem z wiadra wody i trochę mu dałem. Gein najwyraźniej było ich szkoda. Zdałem sobie sprawę, że zauważył to także Eddon.

- Sytuacja poniekąd uległa zmianie, proszę pana - powiedziałem.

Wściekle na mnie spojrzał, lecz nie odpowiedział.

- Pana ludzie są martwi, a pan jest moim jeńcem - kontynuowałem.

- Niech pan sobie gada, dużo czasu panu nie zostało! - warknął.

Każde słowo musiało sprawiać mu ból, zdrowe oko błyszczało z gorączki i pragnienia. Może było to tylko głupie gadanie, a może rzeczywiście miał się tutaj spotkać z kolejnym oddziałem?

- Czego tutaj szukaliście?

- Rozmawiam tylko z równymi sobie.

Uderzyłem go grzbietem dłoni w usta. Takie poniżenie było dla niego nowym doświadczeniem, lecz nie przejmowałem się tym.

- Nie jest pan na swoim zamku. Albo będzie pan odpowiadał na moje pytania po dobroci, albo pana zmuszę!

Gein wciąż opatrywała chłopaka i teraz popatrzyła na mnie z dezaprobatą.

Przesunąłem się w stronę jej podopiecznego.

- Jesteś żaloszny. Stawiasz się rannym i związonym! - zadeklamował z pogardą

Eddon, jakby mówił na procesie w sądzie. Lecz Gein nie była taka naiwna.

- Tak, ma pan rację. Jestem draniem i za swoje czyny odpowiadam sam przed sobą. Nie muszę dotrzymywać kodeksu rycerskiego, jak powinien to robić pan.

Zaakcentowałem mocno słowo „powinien”.

- Jeśli usmażę was na małym ogniu, będzie to moja prywatna sprawa.

Eddon badawczo mi się przyglądał, nie wiedział, co ma o mnie myśleć. - A co ty mi powiesz? - zwróciłem się do chłopaka.

Na pierwszy rzut oka on był słabszy z nich dwóch.

- Nic, panie, ja nic nie wiem!

- Niech pan go zostawi - szepnęła Gein. - To jeszcze dziecko.

- Wojna to straszna rzecz. Na farmie, którą widziałem, nie oszczędzili nikogo, a on mógł być wśród najeźdźców.

- Mimo to niech go pan zostawi w spokoju - obstawała przy swoim.

Wzruszyłem ramionami i usiadłem. Najgorzej, kiedy dwoje ludzi, którzy powinni stać po jednej stronie, się kłóci. A znów aż tak bardzo nie byłem ciekaw ich tajemnicy. Spokojnie zamknąlbym ich z powrotem w piwnicy, zabrał sześć koni, załadował je zapasami wody i pojechał do Creoty.

- Jak się nazywasz? - spytała go Gein.

To głupie spoufalać się z kimś, kogo ma się za chwilę zabić.

- Mates.

- Miałam syna, który nazywał się tak samo.

Opatrywała mu rany. W ogóle nie pamiętałem, gdzie doszło do naszego starcia.

Był pocięty na piersi i twarzy, to, że przeżył, zawdzięczał tylko florańskiej kurtce wykonanej z bawolej skóry przetykanej stalowymi drucikami. Sprawiała, że cięcie nie dotarło w głąb i uratowała mu żebra. Interesowało mnie, komu ją ukradł, ponieważ takie kurtki są bardzo cennym towarem.

- Nie! - Gein krzyknęła nagle i chwiejnie zrobiła dwa kroki w tył. Wyskoczyłem z nożem w ręce, ale ani jeden z jeńców niczego nie próbował. Gein była blada jak śmierć i z niedowierzaniem pokazywała, chustkę, która wystawała Matesowi z kieszeni.

- To należy, należało do Eliszki, mojej córki! Skąd to masz? Skąd?

Doskoczyła do Matesa i zaczęła wściekle nim szarpać. Chłopak zacharczał z bólu, przez chwilę całym ciężarem wisiał na swoich prawie wywichniętych ramionach. Gein aż do tej pory panowała nad sobą, lecz teraz wyglądała jak osaczona puma broniąca swoich małych. Siłą posadziłem ją na ławce.

- Może to podobna chustka? - spytałem.

Rozwinęła ją i pokręciła głową.

- Nie. Dostała na urodziny od ojca. Przywiózł chustkę z ostatniej wyprawy na targ. Kosztowała mnóstwo pieniędzy.

Miała rację.

Materiał był delikatny, prawie prześwitujący, ale kiedy się nim poruszało, poszczególne kolory i wzory na chwilę stawały się wyraźne i dokładne, jakby był to gęsty dywan, a nie lekka szmatka. Wątpiłem, czy w okolicy jest jeszcze jedna podobna sztuka.

- Skąd ją masz? - spytałem Matesa.

Trwało chwilę, zanim zdecydował się, co mi odpowie.

- Wygrałem w karty od jednego faceta.

Dokładnie takiej odpowiedzi się spodziewałem.

- A pan nam nic o tym nie powie? - zwróciłem się do Eddona.

- Nie.

W nowej sytuacji widziałem swoją szansę i chciałem zyskać jak najwięcej. Myślał, że weźmiemy go ze sobą, żeby pomógł nam znaleźć dziewczynę. Mylił się, ponieważ to nie była moja sprawa. Gein siedziała na ławce i wpatrywała się pustkę. Jakby w jednej chwili uleciała z niej cała energia.

- Idę przygotować konie. W ciągu godziny wyruszymy - powiedziałem głośno i wyszedłem.

Przyszła do mnie, kiedy napełniałem wodą ostatnią manierkę.

- Niech mi pan pomoże ich znaleźć.

- Na pustyni? Tylko my dwoje? Na terenie obsadzonym przez crambijskie oddziały? - Pokręciłem głową. - Nie jestem szaleńcem. Ta wojna będzie bardziej okrutna i surowa niż ktokolwiek może sobie wyobrazić. Chcę stąd zniknąć jak najszybciej.

Obiecałem, że zaprowadzę panią do Hamtu i tego dotrzymam. Nic więcej.

- Ocaliłam panu życie.

Położyłem manierkę z wodą na ziemi i odwróciłem się do niej przodem. Miała rację. Z drugiej strony również ja ocaliłem jej życie, ale kiedy nad wszystkim się zastanowiłem, trochę byłem jej dłużny. Ale nie aż tyle.

- Ocaliłam panu życie. Niech pan mi pomoże ocalić moje dzieci.

Nigdy nie byłem nikomu nic dłużny, zarówno jeśli chodziło o dobre rzeczy, jak i o złe. Może grała na oślepie, może mnie rozszyfrowała, ale jakby nie było, grała twardo.

- Nie ma pani szans. Crambiczycy albo Duamczycy wezmą panią jak w kleszcze i nic pani nie pomoże. I nikt nie będzie miał skrupułów, żeby panią zabić. A jeśli jakimś cudem uda się pani ich nie spotkać, pochłonie panią pustynia. Oazy są splądrowane, woda zatruta, za chwilę zostaną tutaj tylko kamienie, piasek i ludzie, którzy będą się nawzajem, zabijając. Większą nadzieję może pani mieć, pozostając w dolinie i czekając na to, co się wydarzy.

Starałem się nakreślić realną sytuację i przekonać Gein, ale wiedziałem, że to bezcelowe. Była uparta jak długorogie górskie owce.

- Niech mi pan pomoże.

Gdyby nie zastrzeliła tego szermierza i zabiliby mnie, wyszłoby na to samo.

- Będziemy zabijać, zrobimy rzeczy, które się pani nie spodobają. Złe, przerażające, straszne rzeczy. Będzie pani niedobrze na myśl o sobie samej, ubrudzi sobie pani ręce, zmieni to panią i nigdy pani o tym nie zapomni. A nadzieja na powodzenie jest niewielka, prawie żadna.

- Niech mi pan pomoże.

Stała przede mną kobieta twarda jak skała, nieustępliwa, przywykła do ciężkiego życia i wysuszonej pustyni. Było mi jej żal, ponieważ nie miała pojęcia, na co się porywa, ale również ją podziwiałem. Wiedziałem, że robię błąd, może największy w życiu, lecz nie mogłem inaczej. Długi trzeba spłacać. Jak to łyk wody czasem może zwiększyć swoją cenę...

- Wygrała pani, pomogę. Zaniosę manierki do środka w cień, żebyśmy byli przygotowani, gdybyśmy musieli szybko wyruszyć. Niech pani roznieci ogień w kuchni, zagotuje wodę i przygotuje parę gałganów na opatrunki. Potrzebujemy informacji, a ponieważ dobrowolnie nic nie zdradzą, będziemy nieprzyjemni.

Nie wycofała się nawet teraz.

Powoli, żeby zaczął się porządnie bać, strugałem cienkie drewniane kolce, tłumacząc jednocześnie Matesowi, do czego ich potrzebuję.

- Wbiję ci je pod paznokcie aż do żywego mięsa. Wygląda to prosto, ale naprawdę bardzo boli. Jeśli sobie nie przypomnisz, podpalę je i obsmażę ci palce. A jeszcze wcześniej wywichnę ci wszystkie stawy. Może nie wygląda to tak strasznie, ale miną miesiące, zanim dojdiesz do siebie. O ile przeżyjesz. Niektórzy ludzie umierają z bólu.

W kuchni panowała uciążliwa cisza, ogień w piecu trząskał, drżało gorące powietrze. Pociłem się i co chwila musiałem ocierać czoło, żeby pot nie spływał mi do oczu. Eddon wyglądał tak, jakby moje gadanie go nie interesowało. Mates zzieleniał i zbladł, ale najgorzej było z Gein. Siedziała na ławce, wbijała wzrok w ziemię, dłonie zaciskała w pięści. Oddychała chrapliwie, cała się trzęsła. W takich sytuacjach najgorsza jest wyobraźnia. Jeśli tylko człowiek wczuje się w sytuację torturowanego, cierpi tak samo jak on. W niektórych przypadkach nawet bardziej. Ja nie musiałem niczego sobie wyobrażać, już raz to przeżyłem.

- Naprawdę się nie zdecydujesz? - spytałem i bardzo chciałem, żeby powiedział „tak”.

Przyglądał mi się oczami wielkimi ze strachu.

- Ja nic nie wiem! Tę chustkę znalazłem na ziemi, niech mi pan wierzy! Ja nic nie wiem!

- Jakiś czas temu mówiłeś, że wygrałeś ją w karty.

- Tak, tak, właściwie to wygrałem ją w karty!

Nie rozumiałem, dlaczego kłamie. Mógł sobie oszczędzić wiele cierpień. Spoj-



rzałem pytająco na Gein. Jeszcze mogliśmy się wycofać, wystarczyło, żeby pokręciła głową. Potem nie będzie już odwrotu. Nie powiedziała nic. Położyłem kolce, wstałem i złapałem Matesa za rękę. Jak na mężczyznę miał małą dłoń. - Ja nic nie wiem!

Zacząłem od małego palca.

\* \* \*

Spętany Mates leżał bezwładnie, stawy miał spuchnięte, paznokcie sine i przypalone. Nie mógł już nawet krzyżeć. Z koniuszków palców kapała mu krew i brudziła podłogę z desek. Ostatnimi czasy lało się trochę za dużo krwi jak na jedną zwyczajną kuchnię. Było mi zimno, w żołądku czułem kawał lodu. I gdzieś w środku dygotałem, ale nikt tego nie widział. Poczekalem, aż woda w misce zacznie bulgotać i dorzuciłem szczyptę posiekanych suszonych ziół.

- Na co to? - szepnęła Gein.

Siedziała w samym rogu, zwinięta w kłębek, rękami obejmowała kolana. Oczy miała pełne łez, lecz nie zdawała sobie z tego sprawy.

- Coraz częściej mdleje. Tacy ludzie podczas przesłuchań to twardy orzech do zgryzienia. Trochę naparstnicy i dziewanny powinno mu podnieść ciśnienie i poprawić obieg krwi.

- Zna się pan na ziołach?

- Na niektórych. Tej kombinacji używa się jako afrodyzjaku. Ale jest zbyt niebezpieczna. Po przedawkowaniu człowiek umiera.

Mates znów się poruszył i jęknął. Wystarczyła godzina, żeby pozbawić człowieka jego godności, woli i zmienić w drżący kłębek nerwów. Czekałem, aż woda ostygnie. Eddon przyglądał mi się uważnie i już nie wyglądał na takiego spokojnego. Na wojnach umierają również szlachcice, ale nigdy podczas tortur.

- Wypij to - przykazałem! Matesowi.

Bez oporu posłuchał. Na razie przedstawił w sumie cztery wersje historii o chustce. Albo ją znalazł, albo kupił, albo dostał, albo ukradł. Nie rozumiałem, dlaczego wciąż się zapiera. Po chwili jego twarz nabrała trochę koloru.

- Skąd masz tę chustkę? - spytałem go po raz sześćdziesiąty drugi.

Liczyłem pytania i za każdym razem miałem nadzieję, że pytam po raz ostatni.

Wpatrywał się w moje oczy i szukał w nich odpowiedzi, która najbardziej mnie zadowoli. Według czarnych ksiąg uczących sztuki przesłuchiwania, stałem się dla niego matką, ojcem, bogiem i kochanką w jednym. Kochał mnie i nienawidził jednocześnie.

- Zabrałem go jakiejś dziewczynie? - szepnął z nadzieją.

Odwróciłem się, żeby nie widział mojej twarzy. Ten chłopak naprawdę nic nie wiedział.

- Gein, niech pani przyniesie duże wiadro.

Wstając, musiała oprzeć się o stół, ale mimo to było godne podziwu, jak nad sobą panuje. Rozwiązałem Matesa i ostrożnie położyłem go na blacie. Nie był w stanie utrzymać się na nogach.

- Już ci nic nie zrobię, powiedz mi, jak naprawdę było.

Przez chwilę wyglądał na zakłopotanego.

- Ukradłem ją jednemu oficerowi. - Nagle kąciki ust mu zadrżały, spazmatycznie chwycił powietrze i umarł.

- Tutaj jest to wiadro.

Odwróciłem się do Gein.

- Nie żyje. Miał słabe serce, naparstnica go zabiła.

Brzmiało to lepiej niż gdybym powiedział, że ja go zabiłem.

- Ale mamy jeszcze Eddona, on wytrzyma więcej. - W głosie miałem odrobinę nienaturalnego zadowolenia.

Eddon zbladł, Gein się zawahała.

- Ja... już tego nie chcę, nie dam rady.

Pokręciłem głową.

- Nie ma pani wyboru. Właśnie z powodu pani dzieci zamęczyłem człowieka i zrobię wszystko, żeby ta śmierć nie poszła na marne.

- T...tak. Ma pan rację.

- Na Eddona kolce nie zadziałają. Może mi pani załatwić parę żywych myszy?

- Myszy?

- Jeśli wytrzyma łamanie stawów, wyrywanie paznokci i zdzieranie skóry, wrzucimy myszy do garnka i położymy go do góry dnem na cieple. A na garnku rozpalimy ogień. Myszy będą chciały uciec przed żarem i przegryzą się przez ciało. Zazwyczaj używa się szczurów, ale myszy są mniejsze, a jak go trochę oszczędzę, wytrzyma to nawet dwa razy.

- Nie potrzebuje pan myszy, powiem wszystko - odezwał się Eddon bez pytania.

- Naprawdę? Gein, niech pani spróbuje złapać parę myszy dla pewności. A tymczasem sobie z nim niezobowiązująco porozmawiam.

Nie chciałem, żeby dowiedziała się od Eddona, że Mates rzeczywiście nie miał o niczym pojęcia. Jak na nią i tak już było tego za wiele.

- Ten chłopak nic nie wiedział.

Mówił chrapliwie, jakby wyszło mu w ustach.

- Nic nie wiedział, a pan pozwolił mi go zabić? Żołnierza z pana jednostki?

- Nie należał do nas. Przyjechał jako kurier, a tę chustkę ukradł memu oficerowi. Dlatego na początku kłamał...

- Co się stało z tymi dziećmi?

Eddon oblizał spierzchnięte wargi, oczy mu błyszczały.

- Niech mi pan da trochę wody.

- Nie. Później.

Wyglądało na to, że rozumiał.

- Pierwotny plan był taki, żeby zrobić z Żelaznej Doliny spaloną krainę. Gazy zrównać z ziemią, zakazić źródła wody. Duamczycy bez pomocy tutejszych mieszkańców nie byłiby w stanie zbyt długo stawiać oporu. My zapasy wody i prowiantu przywieźlibyśmy ze sobą.

- Chcieliście zniszczyć wszystkie oazy?

Zawahał się.

Wstałem i złapałem go za lewą rękę. Pocił się i trząśł.

- Jeśli będę miał najmniejsze wątpliwości, że nie mówi pan prawdy, połamię panu wszystkie palce jednej ręki i to dwa razy. Później spytam raz jeszcze i jeśli znów nie będę zadowolony, powtórzę zabieg z drugą ręką.

- Niech pan poczeka, do licha! Jego głos przeszedł w falset.

- Wszystkich oaz nie. Kilka miało być zachowanych jako bazy. Te największe, najlepiej położone i jednocześnie umożliwiające łatwą obronę.

- Powiedział pan, że tak brzmiał pierwotny plan. A ten nowy?

- Mój ojciec zawarł z cesarzem porozumienie, że on sam pokryje część kosztów, a później dostanie zdobyte ziemie jako lenno. Tylko że koszty były zbyt wysokie. Pustynia pożera nam ludzi i wyposażenie, potrzeba na to sporych sum, a to wyczerpuje

zarówno skarbiec ojca, jak i cesarza. Ojciec zdecydował skończyć z wyniszczaniem oaz i zgromadzić jak najwięcej pieniędzy. Głównie sprzedając niewolników cesarstwu.

- W centralnej części imperium niewolnictwo jest zakazane.

- Cesarz zrobił wyjątek. Każdy niewolnik dostanie specjalny glejt z pieczęcią władcy.

Usiadłem naprzeciw niego. Te dranie zdołały się wzbogacić również na wojnie.

- Na takich niewolników jest z pewnością duże zapotrzebowanie. Ile się płaci?

- Od setki wzwyż.

Cicho gwizdnąłem. Dziesięć razy więcej niż kosztował zdrowy mężczyzna w sąsiednich krajach. Handel z pewnością kwitł.

- A te dzieci?

- Złapałem je cztery dni temu, a ponieważ miałem już więcej jeńców, posłałem wszystkich z kilkoma żołnierzami do Oazy Gadriżskiej. Jeśli jednak chce je pan znaleźć w dobrym stanie, powinien się pan pośpieszyć.

Wyglądał na spokojnego i nieobecnego, jakby grał w pokera, A grał o wysoką stawkę - o własne życie. Nie podobał mi się. Ja sam nie jestem zbyt dobrym człowiekiem, zrobiłem w życiu wiele łajdactw i zasługuję na gnicie w piekle, ale dla tego drania nawet piekło było za dobre.

- Dlaczego?

- Początkowo wynająłem do brudnej roboty kilkuset siepaczy. Chcieliśmy oszczędzić własnych ludzi i przynajmniej na początku uniknąć partyzanckiej wojny skierowanej przeciwko nam. Niestety, trochę wymknęło się to spod kontroli. Te gnojki nie wykonują naszych rozkazów, nie można na nich polegać, jest z nimi więcej problemów niż pożytku. W Oazie Gadriżskiej, zgodnie z umową, mamy im wypłacić resztę

pieniędzy, ale zamiast tego poczekaemy, aż wszyscy się tam zbiorą i pozbędziemy się ich. Wasze dzieci mogłyby przy tym ucierpieć.

- No. Pozbycie się ich jest chyba tańsze - powiedziałem.

- Mniej więcej.

- Jak im płacicie?

- Od głowy.

- Wtedy ciężko oszukiwać.

- Tak. Jeśli obieca mi pan, że mnie puści, pomogę ocalić te dzieci.

Do kuchni weszła Gein. Niosła kamienny dzban, w którym coś chrobotало. -

Złapały się w pułapkę na kuny.

- Może nie będziemy ich potrzebować. Niech pani go popilnuje. Zaraz wracam.

Poszedłem do stajni, gdzie mieliśmy przygotowane rzeczy do odjazdu i przyniosłem jedną pełną karafkę.

- Po co to macie? - spytałem Eddona.

- Trucizna, wrzucaliśmy ją do wody w oazach.

- Takich karafek używa się do najniebezpieczniejszych substancji.

Już kiedyś podobną rzecz u kogoś widziałem, ale nie mogłem sobie przypomnieć w jakich okolicznościach. Udawałem, że chcę otworzyć karafkę.

- Niech pan tego nie robi! Zabije nas wszystkich!

- Co to jest i jak działa?

Otworzył usta, żeby odpowiedzieć, ale nagle rysy mu zmiękły, wyglądało, jakby na chwilę stracił przytomność. Zaraz doszedł do siebie i najwyraźniej nie pamiętał mego pytania.

- Co to za trucizna?

- Nie wiem.

Tym razem zdecydował się nie przyznawać. Wyciągnąłem z szafy miedziany kociołek i wytrząsałem do środka dwie myszy.

- Gein, będę potrzebował pomocy. Przywiążemy go do stołu, żeby nie mógł się poruszyć.

- Poczekajcie - powiedział z rezygnacją.

I wszystko się powtórzyło. Znow próbował coś powiedzieć i znow na chwilę zemdlał. I ponownie nic nie pamiętał. Spytałem go jeszcze raz i stwierdziłem, że to nie omdlenia, ale jakiś trans. Ktoś go zahipnotyzował, żeby nie mógł zdradzić, co wie o truciznie i jej wykorzystaniu. Na to nie miałem rady. Opowiedziałem Gein, czego się dowiedziałem o dzieciach i zaproponowałem, że pojedziemy dopiero rano. Musiała być u kresu sił, ponieważ nie protestowała. Tym razem nie zamknąłem Eddona w piwnicy, ale w pokoju dla gości. Nie dlatego, że było mi go szkoda, ale ponieważ chciałem przeszukać piwnicę. Dobrze pamiętałem jego pierwszą wściekłą uwagę o tym, że nie mamy zbyt wiele czasu. Poza tym chciałem się przekonać, czy niczego tam nie schował. Tacy systematyczni ludzie jak on często prowadzą zapiski.

Piwnica była duża, sucha i głęboka. Na belkach kołysały się wędzone i suszone kawałki mięsa, zupełnie z tyłu znalazłem wyłożoną słomą jamę na lód. Lodu w niej oczywiście nie było, wątpiłem, czy po zimie wytrzyma tu dłużej niż kilka tygodni. O jedną ścianę oparte były dwa duże worki. Jeden z nich otworzyłem. Znalazłem w nim zboże do obsiania pól i zapasy na wypadek nieprzewidzianych trudności. Gein i jej mąż naprawdę nie pozostawiali nic przypadkowi. Pośrodku pomieszczenia, na solidnym stojaku, stała stulitrowa beczka z kranikiem, a obok niej trzy proste stołki. Odkręciłem kurek. W beczce było czerwone wino. Mocne, aromatyczne i dobre. Myliłem

się, kiedy myślałem, że nasi jeńcy byli spragnieni. Rozejrzałem się. Gdzie ukryłbym, notatnik? Pochodnia dymiła, jej dym zostawiał na suficie czarne plamy. Worki? Obejrzałem sznurki. Wszystkie były zawiązane w taki sam praktyczny sposób. Zostawiłem je na później i zacząłem oglądać belki podtrzymujące podłogę domu. Znalazłem mnóstwo szczelin i miejsc, gdzie łatwo można schować nawet dużą książkę, ale notatnika nigdzie nie było. Przerzuciłem słomę w chłodni, zajrzałem pod beczkę wina, również niepotrzebnie. To wszystko zajęło mi prawie trzy godziny. Byłem zmęczony i zaczynałem wierzyć, że żaden notes nie istnieje. Wejście do piwnicy pociemniało, Gein ostrożnie weszła do środka, w ręce niosła płócienny worek. Wyciągnęła z niego kawałek białego płótna, przykryła nim jeden stołek, a później postawiła na nim dwa mosiężne kielichy.

- Niech pan wybierze jakieś mięso, przyniosę jeszcze chleb.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, jak bardzo jestem głodny. Zanim podzieliłem na porcje wielki kawał miękkiej szynki, Gein była z powrotem. Jedliśmy kolację w milczeniu i rozkoszowaliśmy się smakiem dobrego wina, mięsa i stosunkowo dużym chłodem panującym w piwnicy. Gein dokończyła szynkę, dołała sobie do kieliszka i wypła, duszkiem.

- Ostatnimi czasy zaczęliśmy żyć całkiem dobrze. Ziemia rodziła, zwierzęta dobrze się chowały. Nawet sprzedawaliśmy mięso okolicznym gospodarstwom. Tutaj spędzaliśmy z mężem wieczory. Jeśli był czas. Będzie mi tego brakować.

Znów dopła, ale tym razem ja jej dołałem. Wino nie jest wprawdzie dobrym towarzyszem smutku, ale to prywatna sprawa każdego człowieka.

- Boję się. Strasznie się boję, że już nigdy nie zobaczę swoich dzieci.

Mówiła do siebie, całkiem, o mnie zapomniała. Na twarzy kobiety malowały się



cierpienie i ból, jakiego nigdy jeszcze u niej nie widziałem.

- Zrobię wszystko, żeby je uratować. Żeby mieć je z powrotem.

Kręciła głową nad sobą, po policzkach ciekły jej łzy. Jeden filozof napisał, że miłość to wielkie brzemię. Związuje, ogranicza, pęta i sprawia, że łatwo człowieka zranić. Chyba nie ucieszyłoby jej, gdybym to powiedział, wolałem więc milczeć.

Zostałem z nią w piwnicy aż do nocy. Nie mówiła, siedziała, obserwowała płomień świeczki i piła. Kiedy wstała, żeby iść na górę, zatoczywszy się, zrzuciła beczkę ze stojaka. Pomogłem jej wejść po drabinie, położyłem do łóżka i wróciłem do piwnicy. Beczka leżała na ziemi, do jej dna przyczepiony był mały notatnik w oprawie z niebieskiej skóry zdobionej złotym ornamentem. Kiedy zaglądałem pod beczkę, nie widziałem go. Nalałem sobie do szklaneczki i zabrałem się za lekturę. Eddon był naprawdę systematyczny. Notatnik miał formę dziennika wojenno-politycznego. W poszczególnych zapiskach analizował i krytykował decyzje cesarza i swego ojca oraz proponował lepsze rozwiązania. Od początku nie zgadzał się z wynajęciem niezorganizowanych siepaczy, obawiając się, że nie będą wypełniać taktycznych poleceń. Najbardziej zainteresowały mnie uwagi dotyczące jakichś roślin. Bandyci mieli je sadzić we wszystkich spalonych oazach, lecz oczywiście mieli to gdzieś. W najlepszym przypadku po prostu wyrzucali sadzonki na piasek. Każda taka sytuacja niesamowicie drażniła Eddona, ale o co naprawdę chodziło, nie wspomniał nawet słówkiem. Domyślałem się tylko, że ma to coś wspólnego z blokadą hipnotyczną, jaką ktoś założył na jego pamięć. Wart złota był dla nas spis oaz i posiadłości, które musiały być zniszczone.

Obudziłem się wcześnie, ale w kuchni pachniało już kawą i pieczonymi placzkami zbożowymi. Pozwoliłem sobie na luksus i ogoliłem się przy studni. Przypuszczałem, że długo nie będę miał już takiej okazji. Spłukiwałem właśnie mydliny, kiedy ze

stajni wyszła Gein. Była ubrana w luźną bluzkę z delikatnego płótna ściągniętą wokół talii mocnym paskiem. Pod materiałem połyskiwał metal kolczugi, widocznie zabrała ją któremuś z martwych. Nic nie wskazywało na to, że dwa dni wcześniej została ciężko ranna. Uzbroidła się w dwa noże i potężny tasak. Na ramieniu miała asymetryczny łuk jeździecki, przy pasie kołczan ze strzałami. Przy siodle konia, którego prowadziła ze sobą, z obu stron przypięła zdobyczne kusze. Była to droga, stalowa broń, w którą cesarz wyposażał elitarne oddziały szturmowe. Niezbyt dokładna, ale wystarczająco mocna, żeby z odległości dwudziestu pięciu jardów przebić większość lekkich zbroi.

- Jeśli przykryje je pani kawałkiem płótna, nie będą tak połyskiwać i może uda się pani kogoś nimi zaskoczyć - powiedziałem, wskazując kusze.

Skinąwszy głową, zastosowała się do mojej rady.

- Jadła już pani śniadanie?

- Nie, czekałam na pana. Kiedy wyruszamy?

Fascynowała mnie. Cały jej strach i niepewność zniknęły, jakby odpłynęły wraz z nocą i winem.

- Jak najszybciej.

Zjedliśmy szybko. Mimo że właściwie nie było to potrzebne, przykryła resztę placków ścierką i strzepała okruchy z obrusa.

- Co zrobimy z nim? - Machnęła w górę, w kierunku piętra, gdzie leżał związany Eddon.

- W nocy o tym myślałem. Może nie będzie się to pani podobać, ale pani dzieci wcale nie muszą być w Oazie Gadriżskiej.

Chciała coś powiedzieć, zatrzymałem ją gestem.

- Wiem, że to powiedział, ale wszystko może się stać. Każde z nas weźmie jesz-

cze dwa konie z wodą i jedzeniem, i pojedziemy jak najszybciej. Jeśli tam będą, mamy szczęście. Jeśli je uwolnimy, zdecydujemy na miejscu, co dalej. Jeśli ich tam nie będzie, wrócimy tutaj i wypytamy go trochę dokładniej. Zgadza się pani?

Skinęła głową.

- Gdzie go zamkniemy?

- W piwnicy.

- Nie ucieknie?

- Postaram się o to.

Zajął nam to około dwóch godzin. Wykorzystałem łańcuchy do uwiązywania młodych byczków, najwięcej czasu trwało przecięcie i ponowne połączenie ogniów, którymi obwiązałem jego kostki u nóg niczym prowizorycznymi kajdanami. Zostawiłem go w piwnicy, nagiego, przywiązanego dwoma łańcuchami do słupa nośnego. Na podłodze, tak żeby mógł dosięgnąć, postawiłem dwa wiadra z wodą, bochenek czerstwego chleba i kawałek wędzonego mięsa.

- Nie możecie tego zrobić! - krzyczał za mną, bezsilnie szarpiąc kajdany.

- Jeśli nie rozleje pan tej wody, to, odrobinę oszczędzając, wytrzyma pan przy najmniej tydzień. A bez jedzenia obejdzie się pan prawie miesiąc. Prędszej czy później po pana wrócimy.

- Ktoś was zabije, a ja tutaj zdechnę! Ty łajdaku, słyszysz!

- Może będzie lepiej, jeśli będzie się pan za nas modlił - powiedziałem mu na pożegnanie i zamknąłem klapę.

Wskoczyłem na siodło. Gein badawczo mł się przyglądała.

- Coś się stało? - spytałem.

- Nie. Panu nie przeszkadza, że może tam umrzeć? Z domu dobiegły do nas

stłumione wściekle krzyki.

Wzruszyłem ramionami.

- Przeszkadza, ale wojna to trudna rzecz. Takie rozwiązanie jest dla nas najlepsze.

W zamyśleniu skinęła głową, a zmarszczki wokół ust zmieniły się jej w głębokie bruzdy. Jednak w żaden sposób nie skomentowała mojej uwagi. Była to smutna prawda. Podczas wojny, zwłaszcza takiej, jaka szalała tutaj, za współczucie dla innych zazwyczaj płaci się własnym życiem.

- A pani to przeszkadza? - zadałem jej to samo pytanie.

- Chcę z powrotem swoje dzieci. Ja tego mordowania nie zaczęłam.

Popędziła konia, lina przeciągnięta przez łęk siodła napięła się i chwilę później ruszyły za nią również zwierzęta z zapasami.

Wyjechaliśmy z doliny. Jeśli wcześniej skarżyłem się na upał, nie miałem pojęcia, o czym mówię. Kopyta naszych koni podnosiły tumany leciutkiego kurzu, hematytowa czerń wielkich skał była przetkana licznymi żyłami kwarcu, odbijającymi promienie słońca. Szybko zaczęły mnie piec oczy, jakbym cierpiał na ślepotę śnieżną. Było szaleństwem jechać w dzień, ale ponieważ się spieszyliśmy i staraliśmy się unikać wydeptanych ścieżek, nic innego nam nie pozostawało. Pot parował tak szybko, że nawet nie nadążał nawilżać skóry. Po pierwszej godzinie jazdy wyschło mi w gardle, bicie własnego serca słyszałem niczym bicie dzwonu i prawie czułem, jak moja gęsta krew niechętnie krąży w żyłach i tętnicach.

- Myślałem, że im dalej na północ, tym lepsza będzie pogoda - wycharczałem po pierwszych dwudziestu kilometrach. Gein zamiast odpowiedzi pokręciła głową i odezwała się dopiero w momencie, kiedy wjechaliśmy w cień wysokiego nawisu skal-

nego.

- Tutaj upały są największe, ale z drugiej strony... na każdym kroku można się natknąć na oazę. Woda podziemna w dolinach utrzymuje się wysoko.

Tego dnia minęliśmy tylko jedną oazę. Spaloną. Po zachodzie słońca rozbiliśmy obóz w dolince między dwoma pagórkami, gdzie nie groziło nam, że ktoś przez przypadek na nas trafi. Nie rozpalaliśmy ognia, żeby niepotrzebnie nie zwracać na siebie uwagi. Po zmroku wdrapałem się na szczyt wyższego wzniesienia i długo obserwowałem pograżoną w ciemności okolice. Wydawało mi się, że na południowym wschodzie widzę światło, ale było zbyt daleko. Wyruszyliśmy o świcie i jechaliśmy aż do południa. Pozwoliliśmy sobie na długą sjęstę, a później jechaliśmy dalej aż do zmroku.

Według wojskowej mapy Eddona powinniśmy być już u celu, lecz ten teren był tak rozpaczliwie jednakowy, skały, wąwozy, kamienie i piach, że nie zdziwiłbym się, gdybyśmy podróżowali jeszcze cały tydzień. W nocy obudziły mnie nagłe porywy wiatru. Przyniosły ze sobą swąd spalenizny. Wiedziałem, co to znaczy, ale milczałem. Rano szybko spakowaliśmy koce, zjedliśmy po kilka kęsów i usiedliśmy w siodłach. Trwało chwilę, zanim znaleźliśmy przesmyk, który prowadził przez labirynt piaskowcowych skał i wąwozów, lecz po godzinie wyczerpującej jazdy rozpostarł się przed nami widok na rozległą dolinę. Była czarna i szara, komuś zależało, żeby z sosnowych lasów i powierzchni porośniętych zielonymi opuncjami nie zostało zupełnie nic. Powierzchnia jeziora w centrum Oazy Gadriżskiej była mętna. Gein się nie opanowała i pogoniła konia do kłusu.

Dałem jej spokój. Zsiadłem z konia i szukałem śladów. Znalazłem dwie złamane strzały, hełm, w pogorzeliisku po lasku znalazłem kilku martwych żołnierzy. Wnioskując z ran, umarli wcześniej niż oaza zmieniła się w popiół. Dogoniłem Gein pod

drugim pagórkiem. Siedziała w siodle nieruchomo jak posąg i uważnie wpatrywała się w wielki stos trupów. Mogło być ich sto, może więcej. Kości szerniały od sadzy, skóra znikła, zostały tylko resztki zwęglonego mięsa.

- Spalili ich żywcem. - powiedziałem.

- Kiedy to było?

- Przed czterema, pięcioma dniami.

Zerwał się wiatr, delikatny popiół z posmakiem, spalenizny przenikał aż do płuc i dusił.

- Muszę się upewnić - szepnęła.

- To nie będzie przyjemna praca.

Nic nie powiedziała. Zeskoczyła z konia i zabrała się za przepatrywanie trupów.

Nie pomagałem jej. Powoli objeżdżałem jezioro, szukając innych śladów. Na drugą stronę ogień nie dotarł, ale mimo to roślinność blisko wody była czarna, jakby coś ją spaliło. Tylko na łagodnym brzegu zieleń się pole młodych kaktusów. W dolinie czułem się nieswojo i dopiero po jakimś czasie zdałem sobie sprawę, dlaczego. Nie słyszałem i nie widziałem żadnej żywej istoty. Żadnych owadów, drobnych gryzoni czy ptaków. Miejsce było zupełnie martwe. Jakby przekonując mnie, że jestem w błędzie, z wysokiej skały wzbiła się kania. W martwej ciszy łopot jej skrzydeł brzmiał prawie nieprzyzwoicie. Przysiadła na brzegu i podejrzliwie się rozejrzała. Była tak samo zmęczona i brzydka jak wyblakłe niebo. Nawet ptaszysku niełatwo tutaj przeżyć. Gein zostawiła konia przy pogorzeli i przysłała do mnie.

- Nie było ich tam - powiedziała.

Jeśli czuła jakąś ulgę, w jej głosie tego nie usłyszałem.

- Co się tutaj działo? - spytała.

Długie czarne włosy jak zawsze miała związane w prosty kucyk, ale teraz zobaczyłem, że czerń przetkana jest mnóstwem srebrnych nitok.

- Myślę, że pobili się między sobą. Cesarscy żołnierze z bandytami. Prawdopodobnie było to tylko krótkie starcie i jedni albo drudzy szybko ustąpili pola. Stawiałbym na żołnierzy. Było ich zbyt mało, więc woleli się wycofać.

Badawczo rozejrzała się po okolicy.

- Co z tego wynika dla nas?

- Nic. Ci martwi w większości byli starymi ludźmi, prawda? - ostrożnie zadałem pytanie.

Oczywistość, z jaką radziła sobie ze straszliwą atmosferą śmierci i zagłady, otaczającą całą dolinę, niepokoiła mnie. Nie chciałem, żeby nagle się załamała.

- Nie ma na nich za dużo do rozpoznawania. Dlaczego tak pan myśli? - powiedziała gorzko, ale spokojnie.

Dostosowałem się do jej rzeczowego tonu i podałem mapę.

- Starzy ludzie nie mają wartości. Nikt ich nie kupi. A gdyby nawet, ciężko byłoby ich stąd zabrać. Gdzie by się pani wycofała, gdyby miała ze sobą kilkudziesięciu czy może kilkuset niewolników do sprzedania? Potrzebna pani woda i musi się pani dostać na szlak dla karawan. Do tego jeszcze ma pani mało czasu i nie chce zbyt długo się włóczyć.

Przez chwilę w milczeniu studiowała mapę.

- Karakoom. Prowizoryczne miejsce przeladunków w opuszczonym kamieniołomie. Jest tam woda, chociaż brakuje ziemi, którą można uprawiać. Jeśli mają niewolników, zmierzają do Karakoom..

Coś cicho plusnęło, na szarej, spokojnej jak lustro tafli wody pojawiły się pasy

małych fal. W jeziorze leżała martwa kania. Popatrzyłem na nią i na szerniałe pnie wierzb. Zatrucie tak dużego zbiornika wody musiało kosztować niesamowitą ilość pieniędzy.

- Nie napoiła pani koni wodą z jeziora?

- Nie.

- Więc niech pani tego nawet nie próbuje.

Przez chwilę przyglądała mi się, nic nie rozumiejąc, ale później do niej dotarło.

- Idę je mocniej przywiązać.

Wziąłem uschniętą gałąź i zmąciłem powierzchnię wody pokrytą warstewką lekkiego popiołu. Ujrzałem błyszczące brzuchy tysięcy srebrzystych ryb. Obszedłem jezioro wokół jeszcze dwa razy i szczegółowo przeszukałem najbliższą okolicę. W kilku dobrze osłoniętych miejscach ognia uniknęły karłowate sosny i małe kawałki pustynnych traw, ale nawet one teraz usychały. Jedyne, co w dolinie było soczyście zielone, to małe, pałeczkowate głowy kaktusów. Kiedy rozciąłem jedną z nich i roztarłem między palcami, zapach mięszu przypomniiał mi aromat worków, które znalazłem wśród wyposażenia Eddona.

Wróciłem do Gein.

- Rozbijemy na noc obóz kawałek dalej. Mam jakieś złe przeczucia, jeśli chodzi o to miejsce - powiedziałem.

- Zużyliśmy prawie dwie trzecie zapasów wody, a tutaj nie możemy ich uzupełnić. - Kiwnęła głową w kierunku jeziora

- Według mapy na zachód od nas jest źródło. Tam moglibyśmy nabrać wody - zaproponowałem.

Pokręciła głową.



- Jest zbyt słone. Konie dostałyby kolki.

W nocy obudziło mnie łkanie. Gein płakała przez sen. Znow przeżywała tortury Matesa. Nie mogłem jej pomóc, trzymałem tylko za rękę i czekałem, aż nocny koszmar się skończy. Powtórzyło się to jeszcze dwa razy. Aż do świtu rozmyślałem o martwej dolinie, kaktusach i karafkach z trucizną. Rano wyruszyliśmy w drogę, gdy tylko się rozwidniło. Spieszyliśmy się, ale musieliśmy mieć wzgląd na wyczerpane zwierzęta. Już trzy dni porządnie się nie napasły, owsa dostawały tylko tyle, żeby nie zdechły. Trzy razy skróciliśmy sobie drogę, przechodząc przez niewysoki grzebień skalny, lecz za ostatnim razem nam się to nie opłaciło. Druga strona stoku była bardziej stroma niż myślałem, ponadto tworzyło ją rumowisko skalne. Z trudem udało mi się bez wypadku zejść na sam dół, ale i ja, i koń, mieliśmy już wszystkiego powyżej uszu. Odsunąłem się na bok, żeby nie blokować Gein najłatwiejszej drogi w dół i po szybkim zejściu sprawdzałem koniom popręgi. Byłem wyczerpany, odwodniony, a osuwający się zwir głośno skrzypiał. Dlatego ich nie zauważyłem. To, że mamy gości, uświadomiłem sobie, kiedy usłyszałem orzeknięcie podkutego kopyta o kamień. Nie rozglądając się, sięgnąłem po miecz w pochwie przy siodle.

- Nie tak ostro, jeśli nie chcesz dostać strzały w brzuch.

Znałem ten głos. Zostawiłem miecz i odwróciłem się. Było ich sześciu, stali rzędem, dwóch stojących z boku miało łuki wycelowane we mnie. Groty strzał połyskiwały miedzią. Nawet jeśli się przeżyje trafienie taką strzałą, kawałek metalu z reguły zostaje w ranie, a trująca miedź prędzej czy później powoduje śmierć. Pewnie nie przypuszczali, że oprócz nich ktoś jeszcze wędruje prawie nieprzejezdnymi wąwozami, ale mieli szczęście. A my pecha. Zobaczyli mnie wcześniej niż ja ich i przyłapali nieprzygotowanego. Między nimi, pośrodku, siedział na koniu mój stary znajomy łucznik,

któremu tak nieuprzejmie przeszkodziłem w cielesnych igraszkach. Spojrzałem w górę na Gein. Nie widziała ich, ponieważ siedziała, odwrócona w drugą stronę, poza tym znajdowała się w miejscu, w którym musiała wykorzystać wszystkie umiejętności jeździeckie, żeby utrzymać się w siodle.

- Nawet nie wiesz, jak się cieszę, że cię widzę - odezwał się łucznik ochryple jak ktoś, kto umiera z pragnienia. - I widzę, że masz ze sobą wodę. To bardzo miło z twojej strony.

- Będzie lepiej, jak się odwrócicie i odjedziecie - zaproponowałem otwarcie.

Pod kurtką miałem bandolet z nożami do rzucania, rękojeść miecza czekała zaledwie parę cali od mojej dłoni. Mimo to byłem w beznadziejnej sytuacji. W jednej sekundzie zrobiliby mi dziurę w brzuchu albo nawet dwie. Kamienie za mną zgrzytęły, poczułem powiew mocnego końskiego zapachu. Gein dała radę.

- Załatwiłeś sobie nawet towarzyszkę. Podczas naszego wcześniejszego spotkania myślałem, że jesteś uprzedzony do kobiet. A teraz taka zmiana! Chociaż, szczerze mówiąc, ta twoja piękność nie jest zbyt wiele warta.

Sytuacja mu się podobała. Mówił chłodno i wyniośle, uśmiechając się, przypominał jadowitego pomarańczowego ślimaka. Takim jak on największą radość sprawia cierpienie innych.

- Panowie - odezwałem się najłżejszym i najbardziej pogodnym głosem, na jaki było mnie stać. - Powtórzę jeszcze raz. Odwróćcie się i znikajcie. W innym przypadku ucierpicie.

Przez chwilę przyglądali mi się zdumieni, a później zaczęli się śmiać. Ci dwaj, którzy we mnie celowali, uśmiechali się tylko zdawkowo, groty ich strzał nawet nie drgnęły. Kątem oka ujrzałem, że Gein pozornie niedbałym ruchem odrzuca z toreb

przy siodle cienki koc.

- Mówię poważnie. Co prawda jest was sześcioro, ale to nic nie znaczy.

Gdyby starała się wystrzelić jak najszybciej, zauważyliby. Lecz ona zachowywała się z tą pozornie leniwą, ale stanowczą elegancją doświadczonej gospodyni. Tak samo bezbłędnie i prosto, jakby rozkładała obrus. Prawą ręką wystrzeliła bezpośrednio z boku, trafiając pierwszego łucznika w twarz, ścisnąłem rękojeść palcami i stal miecza otarła się o skórę pochwy. Drugiego trafiła w pierś.

Byłem już w połowie drogi do stojącego najbliżej mężczyzny. Wyciągnął szablę, ale zanim zdążył ją pochylić, sieknąłem go w bok pod ramieniem. Drugi mężczyzna w rzędzie wbił koniowi ostrogi w słabiznę i starał się mnie przejechać. Uskoczyłem i zamiast w jeźdźca pionowym cięciem zaatakowałem zwierzę. Koń zamarł w pół kroku, odrąbana głowa potoczyła się, lejąc krew, nagle upadł, przygniatając sobą również jeźdźca. Mój znajomy machnięciem miecza trzasnął w zad konia swego ostatniego towarzysza, a sam odwrócił się do ucieczki. Spłoszony wałach uskoczył i piersią powalił mnie na ziemię, Odturlałem się w bok, mężczyzna popędził konia i ruszył w kierunku Gein. W rzut włożyłem całą siłę, na jaką mogłem sobie pozwolić leżąc i trafiłem go nożem dokładnie między łopatki. Nawet kolczuga mu nie pomogła. Łucznik oddalił się już o dobrych dziewięćdziesiąt jardów. Gein właśnie napinała łuk. Jej koń prychnął, odczekała chwilę, widziałem, jak wstrzymuje oddech. Zwierzę się uspokoiło, cięciwa brzęknęła. Strzała zrobiła ładny łuk i trafiła uciekiniera w plecy. Przez kilka chwil utrzymywał się jeszcze na koniu i dopiero później spadł. Wskoczyłem na siodło i wyruszyłem za nim. Kiedy do niego dotarłem, był już martwy, a w jego oczach odbijało się blade niebo.

Obóz rozbiliśmy kawałek dalej, żeby nie odciągać nigdzie trupów. Bandyci mie-

li półtorej manierki wody, która się nam przydała. Również ich konie były w lepszym stanie niż nasze, a do tego mieli ze sobą mały zapas drewna. Przewidujący chłopcy. Po raz pierwszy od pięciu dni rozpaliliśmy ogień.

- Gdzie się pani nauczyła tak dobrze strzelać? - spytałem Gein, podając jej placzek oraz kawałek opieczzonego mięsa.

- Dopiero teraz pan zauważył?

- Nie, ale nie było wcześniej okazji, żeby zapytać.

Spojrzała na mnie z ukosa.

- Początkowo żyliśmy bardzo biednie i o mięsie mogliśmy tylko pomarzyć. Dolinę zamieszkiwało wiele ptaków i pustynnych gryzoni. Kiedy chciałam kawałek mięsa na obiad, musiałam coś ustrzelić.

- Czym innym jest jednak strzelanie do zwierzęcia, czym innym do człowieka - rzuciłem. Udawałem, że patrzę w ogień, lecz obserwowałem ją spod oka. Chwilę się zastanawiała.

- Nie. Jak się ma właściwy powód, to jest tak samo.

Poszliśmy spać trochę później niż zwykle. W nocy zrobiło się zimno, może nawet był mróz. Przytulaliśmy się do siebie, starając się ogrzać własnym ciepłem. W zasadzie śpię jak zabity, ale tym razem miałem sny. We wszystkich umierałem tej nocy, kiedy ludzie Eddona napadli na oazę, a teraz byłem na świecie tylko po to, żeby odkupić wszystkie złe uczynki, jakie w życiu popełniłem. Nie sądzę, żeby moje uczynki były aż tak złe, ale we śnie tak właśnie czułem. Rano przywitałem tę piekielną rozżarzoną kulę, która wytoczyła się na niebo, prawie z wdzięcznością.

Na farmę Gein dotarliśmy sześć dni po odjeździe. Słońce zdążyło spalić nienawadniane pola, bydło zgromadziło się wokół jeziora i powoli przyzwyczajało się do

coraz gorszego wypasu. Otworzyłem klapę do piwnicy, z dołu buchnął słodkawy odór gnijącego mięsa. Eddon leżał na kamiennej podłodze, ramiona i kostki u nóg miał wywichnięte, starał się oswobodzić z więzów. Paznokciami wyrył w podłodze szerokie rysy. Kiedy przewróciłem go na plecy, znalazłem pod nim robaki. Najpewniej nie żył od co najmniej dwóch dni. Wyniosłem go na zewnątrz, położyłem na taczkę i zostawiłem niedaleko jego żołnierzy. Dolina powoli, ale skutecznie zamieniała się w cmentarz. Z drugiej strony po jakimś czasie ziemia tutaj stanie się bardziej urodzajna.

Umyłem się porządnie w jeziorku. Uświadomiłem sobie, że ciągle boli mnie dłoń i palce lewej ręki. Była to dziwna rana, jakby coś wypaliło mi skórę. Nie wiedziałem, co z tym zrobić, włożyłem więc skórzaną rękawicę i zostawiłem tak, jak jest.

- Co się stało? - spytała Gein, kiedy wróciła ze stajni, gdzie oporządzała konie.

- Już nam nic nie powie. Nie żyje.

Trochę nią to wstrząsnęło.

- Jak?

- Myślę, że z wściekłości rozlał zapas wody, a później umarł z pragnienia.

- Naprawdę tego nie chciałam - szepnęła.

- Sam jest sobie winien, a pani tej wojny nie zaczynała - przypomniałem Gein jej własne słowa.

Popatrzyła na mnie, po pełnej trosk twarzy przemknął uśmiech. Pierwszy, jaki widziałem.

- Jest pan piekielnie twardym facetem, prawda?

- Nic innego mi nie pozostaje.

- Kiedy wyruszamy?

Teraz ja się uśmiechnąłem.

- Jak najszybciej.

Wzięliśmy świeże konie, uzupełniliśmy zapasy jedzenia, owsa i wyruszyliśmy.

Ta oaza miała ogromną wartość. Dolina była duża i przy odrobinie włożonej pracy zdołałaby zapewnić zapasy dla małej armii.

Gein dobrze знаła tereny na południowy wschód od swego domu i dzięki temu posuwaliśmy się bardzo szybko. Kilkakrotnie trafiliśmy na ślady większych oddziałów, ale za każdym razem udawało się nam je ominąć, Gein miała chęć przyłączyć się do Duamczyków, lecz przekonałem ją, że zabiliby nas tak samo szybko, jak żołnierze cesarza. Naszą jedyną szansą było unikanie problemów i zachowywanie się niczym małe szare myszki. Wszystkie oazy, jakie mijaliśmy, były spalone i zatrute. Sądziłem, że po kilku tygodniach na pogorzeliśka przynajmniej częściowo wróci życie - ptaki, drobne owady oraz że na ziemi użyźnionej popiołem zaczną bujnie rosnąć nowa roślinność, jednak oazy wciąż były opuszczone i puste. Jedynymi roślinami, które w okolicy zatrutych źródeł wody dobrze rosły, były małe zielone kaktusy. Niekiedy przy brzegu jeziorzek znajdowaliśmy trupy desperatów, którym nie pozostawało nic innego, niż przekonać się na własnej skórze, czy woda w oazach jest już znowu czysta. Jak na razie nie była. Teren stopniowo zmieniał się w niebezpieczną pułapkę, w której mógł przeżyć tylko ten, kto wiedział o kilku niezanieczyszczonych źródłach wody, albo ten, kto znał jakieś inne. Nie przestawałem myśleć o tym, jak pokonać kilkudziesięciu, a może nawet kilkuset żołnierzy i siepaczy, zabrać im trójkę dzieci i odjechać z nimi, wychodząc z tego cało. W nieskończoność kazałem Gein opisywać, jak wygląda Karakoom i chciałem, żeby przypomniała sobie najdrobniejsze szczegóły. Zrobiłem sobie mokasyny. Doświadczony człowiek potrafi poruszać się w nich niczym duch. Pod stopami czuje najdrobniejsze kamyczki i gałązki, i potrafi rozpoznać, na co może stanąć.

Na pustyni wszystkie kamienie mają potwornie ostre krawędzie, dlatego buty wykonałem z podwójnej warstwy skóry. Czwartego dnia, niezauważeni, staliśmy się świadkami gwałtownej potyczki dwóch oddziałów wojsk. Schowaliśmy się za stosem odłamków skalnych przecinającym wąwóz, przez który przejeżdżaliśmy, i obserwowaliśmy walkę. Siły były wyrównane, dwunastu na jedenastu, zacięta bitwa na miecze najpierw w siodle, później na stojąco. Dopiero kiedy pozostała ostatnia czwórka z jednego oddziału, uświadomiłem sobie, że jedni i drudzy byli Crambijczykami. Walczyli o wodę.

Zostawiliśmy zwycięzców z ich wodnym skarbem i pojechaliśmy dalej. Piątego dnia przed południem dotarliśmy do Karakoom.

Stację handlową Karakoom, jak stało na mapie, tworzył olbrzymi budynek z nieobrobionych drewnianych kłód, zbudowany u podnóża stromego, miejscami nawet pionowego zbocza. Ponieważ z góry często spadały kamienie, właściciel zabezpieczył skałę i zbocze kilkoma drewnianymi ścianami, które zatrzymywały tony kruszywa i kamieni. Musiało go to kosztować mnóstwo pieniędzy, gdyż bezpośrednio w okolicy nie rosły żadne drzewa. Z drugiej strony jednak, budynek przez większość dnia znajdował się w cieniu, co wychodziło na dobre mieszkańcom i przechowywanym towarom. Pod jedną ścianą stały stulitrowe beczki, pod drugą leżało drewno na opał. Kawłek dalej połyskiwała tafla małego jeziora. Z pewnością zasilało je podziemne źródło, ponieważ nie widziałem żadnego dopływu. Przy jeziorze było ogrodzenie, za którym tłoczyło się teraz kilkaset sztuk bydła. Prawdopodobnie zdobycz wojenna. Ci, którzy zagnali tam bydło, nie mieli pojęcia o rolnictwie, ponieważ zostawili razem stare byki, byczki, młode cielęta i krowy. Zwierzęta były jednak w tak nędznym stanie, że im to nie przeszkadzało. Pośrodku równiny stała duża stodoła, która służyła jako maga-

zyn dla mniej wymagających towarów. Droga dla karawan prowadziła mniej więcej przez środek - dwie głębokie koleiny wyryte przez koła ciężkich wozów z towarami. Wyglądało to, jakby ciągnęła się prosta droga z południowego wschodu na północny zachód, ale kilka kilometrów dalej, w labiryncie wąwozów, jarów, stromych dolin i rozczłonkowanych grani wiła się niczym pełna meandrów rzeka. W okolicy na kamiennej ziemi nie rosły nawet najbardziej wytrzymałe ciernie.

Obszedłem stację wokół w bezpiecznej odległości i odkryłem dwa stanowiska strażnicze. Jedno blisko budynku, drugie na samym końcu równiny. Mimo że drugie stanowisko strażnika było w rzeczywistości małą naturalną fortecą, która mogła przez chwilę stawiać opór nawet znacznej liczbie przeciwników, wały i mury doskonale wtapiały się w zróżnicowany teren. Zauważyłem je tylko dlatego, że strażnicy rozmawiali zbyt głośno. Nie miałem ze sobą pięćdziesięciu ludzi, z którymi mógłbym zaatakować, dlatego czekałem. Oprócz strażników nikogo innego nie widziałem, ale sądziłem, że wszyscy chowają się wewnątrz przed południowym upałem. Leżałem wśród głazów i cierpliwie obserwowałem stację. Słońce rozpaliło metalowe części wyposażenia, aż wyskakiwały mi pęcherze. Zostało nam parę ostatnich litrów wody, dlatego zułem tylko wołową wyprawioną skórę. Wszędzie, na wargach, twarzy, grzbietach dłoni - czułem sól. Jednak już się nie pociłem. Nie było czym. Początkowo rozmyślałem, ale później moje myśli się zatrzymały, czułem tylko zmęczone bicie serca pompującego gęstą krew. Zlałem się z pustynią i zmieniłem w głaz bez życia. A jednocześnie czekałem. Dopiero pod wieczór z domu wyszło szesnastu mężczyzn. Połowa zmieniła strażników, połowa zaczęła przygotowywać wielkie ognisko. Otworzyli jedną beczkę i napełnili dzbany. Te dranie miały setki galonów wina! Mnie wystarczyłaby nawet woda. W tym momencie nienawidziłem ich tylko dlatego, że mieli co pić. Przypomniałem sobie



Gein. Ukrywała się w cieniu, ale nie robiło to znów aż takiej różnicy. Trochę później z domu wyszli kolejni mężczyźni, przygnali z zagrody trzy sztuki bydła i na miejscu je zabili. Chyba mieliśmy szczęście, żołnierze przygotowywali uroczystość. Chwilę po zachodzie słońca kulejący człowiek zaniósł do stodoły manierkę z wodą i coś do jedzenia. Pewnie tam trzymali jeńców. Naliczyłem na zewnątrz dwadzieścia pięć osób, ale pozostałych dwadzieścia pięć mogło spokojnie ukrywać się w środku. Obserwowałem to, co się działo na równinie aż do późnej nocy, lecz moje nadzieje były przedwcześnie, ponieważ przygotowania się przeciągały i w końcu zrozumiałem, że hulanka odbędzie dopiero jutro. Pito sporo, ale dowódcy trzymali swoich ludzi w cuglach. Przez cały czas na równinie panował wielki ruch, nie odważyłem się na wyprawę do stodoły. Po północy wróciłem do Gein. Czekająca na mnie w zagłębieniu na wąskiej grani oddzielającej od siebie dwa kręte wąwozy, gdzie rozbiliśmy obóz. Wygodę poświęciliśmy dla zasady „widzieć i nie być widzianym”. Noc była tak samo zimna, jak dzień gorący. Wiał lodowaty wiatr i podnosił ziarenka piasku, które mocno uderzały we wszystkie nieosłonięte części ciała. Rozpalania ognia oczywiście nie ryzykowaliśmy. Rana na lewej ręce wciąż się nie goiła, ale jeśli człowiek przymknął oko na ból, nie przeszkadzała w żadnej czynności. Znów długo nie mogłem usnąć. Rozmyślałem nad tym, jak się jutro rozprawię z pięćdziesiątką uzbrojonych siepaczy. Na żaden świetny pomysł nie wpadłem, miałem nadzieję, że to się jeszcze zmieni. Nowy dzień przynosi nowe rozwiązania. Gein regularnie oddychała, przytulała się do mnie, srebrne nitki w jej włosach połyskiwały w zimnym blasku gwiazd. Znów miała koszmary z powodu chłopaka, którego zamoczyłem. Zasłużył na to, był mordercą, pustoszył posiadłości ziemskie, ale mógł umrzeć lżejszą śmiercią, a jego katem nie musiałem być akurat ja. Wiedziałem, że zrobię wszystko, żeby ocalić te dzieciaki.

Rano wybrałem inne miejsce do obserwacji, lecz kamienie nie wydawały się ani trochę wygodniejsze, a ziemia równiejsza. Dzień był jeszcze dłuższy i jeszcze gorętszy niż poprzedni. Poprosiłem Gem, żeby czuwała ze mną, ponieważ bałem się, że mogę zemdleć z gorąca.

Przed południem dwóch mężczyzn zaniósł do drewnianej budy ceber wody i trochę jedzenia. To był dobry znak. Nie zabili jeńców w nocy. Po południu z północnego zachodu przyjechało czterech mężczyzn na koniach. Wyglądali tak, jakby mieli za sobą długą i szybką podróż. Pozostali przywitali ich entuzjastycznie, a kiedy przybysze pokazali ciężkie worki, radosny krzyk nie miał granic.

- Co to znaczy? - spytała Gein. Nie chciałem jej okłamywać.

- Prawdopodobnie przywieźli pieniądze. Pieniądze za sprzedanych niewolników.

Odwrociłem się do niej. Twarz miała spaloną słońcem, w załamaniach zmarszczek schodziła jej skóra. Do rzęs przylepiło się kilka ziarenek piasku.

Zacisnęła wargi, na chwilę zamknęła oczy, głęboko odetchnęła.

- Ale w stodole jeszcze ktoś jest.

Tak.

Może jej dzieci przywieźli zbyt późno i nie zdążyli ich sprzedać? Albo je zostawili, ponieważ nie dostali za nie dobrej ceny, albo je zostawili, ponieważ dwoje z nich to dziewczynki? Albo był tam ktoś zupełnie inny? Żadnej z tych myśli jednak nie powiedziałem na głos.

Mięso zostało podpieczone już zeszłej nocy i w chwili, kiedy upał się zmniejszył, zaczęło się świętowanie. Całe towarzystwo składało się z trzech niezależnych grup, które się połączyły i porozumiały w sprawie dzielenia zysków. Co dziwne, panowała

tam nawet pewna dyscyplina. Po zachodzie słońca się ochłodziło i większość ludzi przeniosła się do domu. Na równinie hałasowało jeszcze tylko kilku najbardziej wytrwałych, którzy zajmowali się pieczeniem mięsa. Życzyłem im dobrej zabawy w nadziei, że wszyscy spiją się do nieprzytomności. Przed północą, oprócz straży, na zewnątrz nie został nikt. Z domu dochodziły hałas i wrzaski, nie musiałem się bać, że zdradzi mnie nieostrożny dźwięk. Buty jeździeckie zamieniłem na mokasyny, policzki i ręce poczeruiłem sobie popiołem zmieszonym z tłuszczem i ostatnią resztką wody, którą schowałem właśnie w tym celu. Kuszę i miecz zostawiłem na miejscu, polegałem tylko na nożach i na tym, że nie zostanę zauważony. Gein mnie obserwowała z pustymi manierkami na wodę w rękach. Bez wody nie mieliśmy szansy uciec. Musiała zaryzykować wyprawę do jeziora. Nie sądziłem, żeby dziś kogoś tam spotkała.

- Spotkamy się przy koniach. Bądź gotowa.

Skinęła głową i zniknęła w ciemności. Wcześniej niż ja, żebym później nie musiał na nią czekać. Przy odrobinie szczęścia o ucieczce więźniów dowiedzą się dopiero w południe, a wtedy już dawno będziemy za górami. Nadłożyłem trochę drogi, żeby stodoła znalazła się między mną a budynkiem, i gdy tylko wyszedłem zza skał, położyłem się i ostrożnie czołgałem. Uważałem na każdy ruch, hałas dobiegający z domu przestał mi się nagle wydawać taki głośny. Przy najmniejszym ruchu strażnika przytulałem się do ziemi i czekałem, aż facetowi przejdzie chęć pilnowania. Jednocześnie ciągle przeklinałem pogodę. Niebo było jasne, księżycowi do pełni brakowało trzech dni. Dla człowieka, który czołga się przez obóz nieprzyjaciół, światła aż za dużo. Z otartym brzuchem i poranionymi do krwi rękami dotarłem aż do tylnej ściany stodoły. Była zrobiona z desek przybitych do szkieletu nośnego z pni. Nawet nie próbowałem wyłamywać całej deski naraz. Wyschnięte drewno by trzasnęło i dźwięk mógłby mnie

zdradzić. Wzrokiem i dotykiem wybrałem najcieńszą deskę i zacząłem ją ociosywać nożem drzazga po drzazdze. Z następnymi deskami poszło łatwo. Odkładałem je na bok, żeby nie przeszkadzały mi podczas drogi powrotnej. Skrzypnęły drzwi i wrzawę ze środka było nagle słychać głośniejsze. Piach i kamienie skrzypiały pod podszwami. Przerwałem pracę, skuliłem się przy ścianie i wyciągnąłem z futerału nóż do rzucania. Mężczyźni na szczęście zrobili tylko kilka kroków, usłyszałem strumień moczu lejącego się na kamienie. Też bym chciał tak łatwo się wysiusiać, bez pieczenia i bólu spowodowanego kryształkami kwasu w przewodzie moczowym.

- Myślisz, że Lafson będzie miał gotowe kurczaki? Ta cielęcina pomału zaczyna wychodzić mi bokiem - odezwał się ktoś.

- Będzie ciężko. Przed chwilą mu je tam zaniósłem.

- No tak.

Mężczyźni wrócili do domu, a ja do pracy. Niedługo potem znalazłem się w środku. Było tutaj znacznie ciemniej i chwilę trwało, zanim przyzwyczaiał mi się wzrok. Stodoła wyglądała na pustą, tylko z jednej strony zauważyłem dużą kupę zwiniętych lin. Prawdopodobnie ostatnia przesyłka kupiecka przed wojną. W rogu po mojej prawej stronie spało kilka osób. Ostrożnie się do nich doczołgałem. Nie byłoby nic bardziej głupiego niż zdradzić swoją obecność z powodu przeraźliwego krzyku uwalnianych jeńców. Znalazłem koc, macałem go, dopóki nie dotknąłem twarzy. Oczekałem chwilę, później szybko zakryłem śpiącemu usta, jednocześnie mocno go trzymając. Przebudził się, przerażony starał mi się wyrwać, ale nie dał rady. Zorientowałem się, że to dziecko.

- Przyszedłem, ci pomóc, rozumiesz? - szeptałem, starając się, żeby mój głos

przynajmniej przez chwilę brzmiał przyjemnie. - Nie wolno ci krzyczeć, słyszysz? Jeśli

rozumiesz, kiwnij głową.

Jego głowa się poruszyła.

- Świetnie - powiedziałem i puściłem dzieciaka.

W ciemnościach ledwie dostrzegałem jego rozmazaną sylwetkę.

- Ostrożnie ich obudź i powiedz, że uciekacie. Pospiesz się.

Wydawało mi się, że lepiej zdać się na niego niż ryzykować kolejną szarpaninę.

Musiał nimi długo potrząsać, a później również trochę trwać, zanim zaczęli kojarzyć.

Prawdopodobnie nie byli w najlepszej kondycji. Podobnie jak ja.

- Słuchajcie - odezwałem się w ciemnościach - w tylnej ścianie jest dziura, przejdę pierwszy i poczekam na was na zewnątrz. Nawet najmniejszy dźwięk może nas zdradzić. Uważajcie i niepotrzebnie się nie spieszcie. Na zewnątrz nie będziemy się odzywać. Trzymajcie się tuż za mną i wstawajcie tylko wtedy, kiedy wam pozwolę.

Nikt mi nie odpowiedział. Miałem nadzieję, że rozumieją. Teraz nastąpiła bardziej ryzykowna część gry. Wydostać się na zewnątrz z trójką dzieci. Ze stodołą poszło łatwo, ale droga przez równinę okazała się piekłem. Staraly się, ale mimo to były głośniejsze niż para parzących się lisów. Przy każdym szmerze włosy stawały mi dęba.

Kiedy dotarliśmy do cienia rzucanego przez skały, z napięcia byłem spocony jak mysz.

Wstałem.

- Dalej pójdziemy. Nie odzywajcie się i patrzcie pod nogi. Droga jest zła.

W cieniu skał i tak nie było nic widać, ale lepsza taka rada niż żadna. Bez problemu dotarliśmy aż do koni. Gein już czekała. Trzymała w ręce kuszę i celowała w naszym kierunku.

- To ja, Koniasz - powiedziałem.

- Znalazłeś je?

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, przerwał mi jeden na pół zduszony krzyk.

- Mamo!

Najmniejszy z uciekinierów przepchnął się obok mnie i rzucił Gein w ramiona.

- Eriku, dzieci moje, znalazłam was. - Głos jej drżał z radości.

Też się cieszyłem, może nawet byłem szczęśliwy. Podniosłem z ziemi manierkę z wodą, którą przyniosła Gein i piłem. Kiedy ugasilem największe pragnienie, zauważyłem, że pozostała dwójka niepewnie przestępuje z nogi na nogę. Wydało mi się to dziwne. Porządnie się im przyjrzałem i stwierdziłem, że to dwóch chłopców w wieku dziesięciu, jedenastu lat.

- Gein, pani córek tutaj nie ma - powiedziałem cicho.

Woda przestała mi nagle smakować.

- Wczoraj zaprowadzili je do domu - wytłumaczył cicho Erik.

Przyglądałem się Gein. Jej oczy w świetle księżyca błyszczały. Milczała.

- Jeśli teraz uciekniemy, mamy dużą szansę, że się uratujemy. Wszyscy. Jeśli spróbujemy je wydostać, umrzemy. Tysiąc do jednego. Nie wyobrażam sobie, jak mogłoby się udać. A jutro będą już martwe.

Może są martwe już teraz? Jeśli miały szczęście... Gein popatrzyła na swojego syna, a później na tych dwóch chłopców.

- Pojedziemy - powiedziała ciężko.

Sprawdziłem, czy wszystkie manierki z wodą są zabezpieczone i złapałem konia za uzdę.

- Najpierw pójdziemy pieszo. Wsiądziemy, jak teren będzie łatwiejszy do przejścia - rozkazałem.

Zrobiliśmy pierwszy krok, a przez głowę przeleciał mi obraz lin, drewnianych

dźwigarów podpierających kamienną lawinę i stada bydła tłoczącego się w zagrodzie przy jeziorze.

- Gein?

Coś w moim głosie ją zdziwiło. Odwróciła się na pięcie.

- Chłopcy, umiecie sobie radzić z bykami?

\* \* \*

Teraz, kiedy czołgałem się do pierwszego stanowiska strażników, mój pomysł wydawał mi się marny, głupi i samobójczy. Samobójczy był naprawdę, ale już nawet nie o to chodziło. Wsparłem się na łokciach i uniosłem parę centymetrów, żeby zajrzeć za murek usypany z dużych kamieni. Prawie zakląłem. Strażnicy spali, na ziemi walało się kilka cynowych dzbanków, ogień prawie dogasał. Sto jardów czołgania, od którego straciłem resztki zdrowej skóry na udach, rękach i brzuchu, było niepotrzebne.

Nie wrywałem strażników ze snu i z objęć Morfeusza, przekazałem ich od razu jednookiemu przewoźnikowi. Na ramiona zarzuciłem sobie płaszcz najwyższego z nich i zgarbiony, chwiejnie kroczyłem w kierunku drugiej warty. Obnażony miecz trzymałem ostrzem w górę przy prawym boku, w lewą rękę wziąłem pusty dzban. Ich ogień był większy, już z daleka widziałem ruch. Ci niestety nie spali, ale miałem nadzieję, że będą przynajmniej oślepieni blaskiem płomieni. Było ich trzech, siedzieli na kamieniach, grali w kości, na dwóch dużych roznach piekły się kurczaki.

- Znów skończyło się wam wino, Hetodzie? - rzucił do mnie jeden z nich.

Drugi podejrzliwie mi się przyglądał, a trzeci zajmował się kośćmi. Starał się niezauważalnie przekręcić trójkę na piątkę. Rzuciłem drugiemu dzbanek. Instynktownie go złapał. Kopnięciem w pierś wepchnąłem gracza w ogień i z obrotu oburącz poziomo sieknąłem pierwszego. Ostrze gładko odcięło głowę, następnego trafiło w

ramię i ugrzęzło w klatce piersiowej. Puściłem miecz. Gracz podnosił się właśnie z płomieni, palił się i otwierał usta do krzyku. Uderzeniem pięści w szyję rozerwałem mu tchawicę. Umarł cicho. Drugi mężczyzna wciąż siedział. Musiałem zaprzeć się nogą, żeby wyciągnąć miecz z klatki piersiowej. Ustawiłem martwych tak, żeby przynajmniej z daleka wyglądało, jakby spokojnie grali w kości, poprawiłem zrzucone z różna kurczaki i schowałem się w cieniu murku. Udałem pohukiwanie puchacza.

Przez równinę przebiegł cień. Mały Erik biegł do stodoły po liny. Pozostała dwójka już oglądała stado, Gein wybierała, które dźwigary spróbuje podbić. Leżałem i czekałem na kolejne pohukiwanie - znak, że są gotowi. Zastanawiałem się, czy uda mi się przynajmniej kogoś uratować. Nie chciałem umierać tak zupełnie bez powodu. Później szukałem momentu, w którym wszystko obróciło się w niewłaściwym kierunku, ale nie znalazłem żadnego kluczowego wydarzenia. Było to po prostu wiele drobnych problematycznych sytuacji, które doprowadziły mnie aż tutaj, przed budynek, gdzie czekało na mnie kilkudziesięciu zabijaków. Może rzeczywiście umarłem tej nocy kiedy soldateska Eddona napadła na fermę? I nagle, kiedy moje myśli swobodnie sobie krążyły, kawałki układanki znalazły się na właściwych miejscach i zrozumiałem, o co chodziło z zatrutymi oazami. Kluczem były kaktusy. Taką samą kryształową karafkę widziałem kiedyś u jednego juańskiego czarownika-ogrodnika. Przechowywał w niej substancje mutagenne, których używał do pielęgnowania roślin. Jeśli ktoś mógł sobie na to pozwolić był w stanie wyhodować na życzenie rosiczkę, która na obiad zjadała całego psa, albo wspaniały kwiat pachnący niczym misa popsutych jaj. Dla każdego coś dobrego. Cesarz albo hrabia Gletov zapłacili jakiemuś zręcznemu czarownikowi, żeby stworzył dla nich doskonałą broń biologiczną. Kaktusy nie tylko są odporne na użytą truciznę, ale trucizna jednocześnie jest produktem ich metabolizmu. Raz zatra-



ta oaza, to na zawsze zatruta oaza. Jeśli oczywiście człowiek nie ma przygotowanego narzędzia, które zniszczy całkowicie kaktusy i zneutralizuje truciznę. Za tę informację duamski hrabia obsypałby mnie złotem, ponieważ mógłby postawić cesarza przed Wielkim Konwentem za wykorzystywanie magii do celów wojskowych. A nawet największy z władców nie może pozwolić sobie na to, żeby przeciwstawili się mu dosłownie wszyscy. Szkoda, że wpadłem na to tak późno, mogłem być bogaty. Zahukał pułchacz. Te ptaki nie żyją na pustyni, ale nie udało się nam dojść do zgody w kwestii innego znaku. Wstałem, miecz wsunąłem do pochwy, a zamiast niego złapałem dwa długie rożny z kurczakami. Dwa kurczaki zrzuciłem na ziemię, żeby obnażyć groty. Głowę miałem lekką i jasną. Powietrze mroziło, gwiazdy pięknie błyszczały, niebo wyglądało jak aksamitny pas oproszony drobnymi brylantami. Para oddechu zastygała tuż przy ustach. Nie patrzyłem pod nogi, ale w mokasynach poruszałem się cicho i pewnie. W chwili, kiedy wejdę do budynku, będę miał trzydzieści sekund na to, żeby wydostać na zewnątrz dziewczynki i samego siebie. Tak to wytłumaczyłem Gein. Nie chciałbym się jednak zakładać.

Z pełnymi rękami udało mi się otworzyć drzwi dopiero za drugim razem. Powietrze wewnątrz było zatechłe, przesiąknięte oparami wina i piwa, odorem niemytych ciał i zapachem pieczonego mięsa. Pośrodku w otwartym palenisku huczał wielki ogień, na dębowych ławkach, które był jedynym wyposażeniem, stały duże lampy olejowe. Cynowe dzbanki stukały, mężczyźni przekrzykiwali się jeden przez drugiego, kilku ludzi o coś się kłóciło. Wielki chłop z rudymi węsami, zachęcany przez wszystkich, trzymał nad głową stulitrową beczkę i wprost z kurka dopijał to, co jeszcze w niej zostało. Domyślałem się, że zostało tam jeszcze ładnych parę litrów. Inny facet z polamaną i źle zrosniętą szczęką obmacywał pod spódnicą niską dziewczynę, która po-

dawała mu mięso na wielkiej tacy. Zabawa osiągała punkt kulminacyjny, za chwilę nastąpi orgia albo przemoc. Obstawiałem to drugie. Obok mnie stało dziewczę z bladą twarzą i wielkim krwakiem na policzku. Przyglądało mi się ze strachem. Wyglądałem na pewno dwa razy straszniej niż najohydniejszy z pozostałych. Nieco dalej stały inne dwie kobiety.

- Wyjź. Uciekaj - powiedziałem do niej.

Nie rozumiała, co się dzieje, ale posłuchała. Przynajmniej raz odniosłem pożytek z mojej brzydoty. Kilka twarzy odwróciło się w moim kierunku. Podniosłem długi rożen ukośnie w górę jak sztandar i zawołałem:

- Już są, już je niosę!

Gorący tłuszcz kapał na podłogę i syczał. Skierowałem się w stronę paleniska do miejsc dla wybranych i najważniejszych. Każdy krok był jak łopata piachu rzucona na mój grób. Zatrzymałem się przed trójką mężczyzn leżących na poduszkach.

- Dziewczęta, spadajcie stąd teraz na chwilę - warknąłem na ich towarzyski.

Poczekalem, aż wstaną, i delikatnie nachyliłem rożny.

- Lafson wam życzy smacznego, panowie - powiedziawszy to, wbiłem dwóm siedzącym po bokach mężczyznom żelazne, jeszcze żarzące się groty w pierś. Na chwilę zapadła cisza.

- Damy, opuście, proszę, to pomieszczenie! - zdążyłem jeszcze powiedzieć, jednocześnie od strony drzwi dobiegł spokojny głos Gein.

- Mariko, Hedviko, uciekajcie.

Jak na komendę wybuchło zamieszanie. Mój miecz zalsnił w świetle płomieni.

Dziewczyna z mojej prawej strony zaczęła biec, ktoś instynktownie próbował ją złapać. Zły instynkt, uciąłem mu rękę w łokciu. Uświadomiłem sobie, że się uśmiecham,

że się głośno śmieję. Karty zostały już rozdane, a mnie nie pozostawało nic innego niż z niską parą, jaką wyciągnął dla mnie los, rozegrać jak najlepszą partię. Trzech mężczyzn z lewej jednocześnie podniosło się z ławki. Ostrze błysnęło, robiąc długi łuk, usadziłem ich z powrotem śmiertelną raną w piersi. Z drugiej strony nacierał na mnie grubiański rudzielec. Cały czas kryjąc tyły, uderzyłem go głowicą rękojeści w skroń. Ze stołu skoczył na mnie facet z twarzą łasiczki i sztyletem w ręce. W locie trafiłem go stopą dokładnie pod mostek. Kopiąc, straciłem równowagę, ale ktoś mnie złapał w pasie i tym samym uchronił przed natychmiastowym upadkiem. Zdołałem jeszcze dźgnąć mężczyznę przed sobą, ale zabrakło mi czasu, żeby wyciągnąć miecz z ciała, zamiast tego machnąłem tylko nożem za siebie. Trafiłem, ale cios w głowę powalił mnie na ziemię. Natychmiast spadła na mnie cała masa ciał. Udało mi się odsunąć głowę, ostrze trafiło tylko w ramię, komuś rozciąłem brzuch, ale później straciłem również nóż. Jęknąłem, kiedy ostrze przejechało po moim udzie i trafiło na kość. Zrobiłem kolejny cios w głowę, na krótko straciłem świadomość. Wrzawę zagłuszył nagle hałas walącej się skały, ziemia się zatrzęsała. Przestali mnie przyduszać, zobaczyłem mężczyzn tłoczących się przy oknach. - Nie! - krzyknął ktoś.

Zostawili mnie na ziemi i uciekali. Wdrapywali się jeden na drugiego, wrzeszczeli, przeklinali i wszyscy naraz starali się uciec. Drzwi i okna zablokowała zapora ludzkich ciał, zgrzyt osuwających się skał zagłuszał wszystko inne. Małe okienko, otwór wentylacyjny o wielkości czterech dłoni na cztery na wysokości sześciu stóp, zostało wolne. Zbyt wysokie i zbyt małe, żeby ktoś przeszedł. Ale może udałoby się przeskoczyć. Wstałem chwiejnie, zrobiłem trzy długie kroki, odbiłem się. Wyciągnąłem ramiona przed sobą, w locie wypchnąłem na zewnątrz ramę okienną. Widziałem kamienie, głązy i żwir. Zacząłem biec. Z nieba spadł kawałek skały i zgniółł mężczyznę

ucieającego obok mnie. Dostałem w plecy i straciłem równowagę, zdołałem jeszcze zrobić trzy skoki, a później znów upadłem. Ponownie ruszyłem w przód niczym atleta na stadionie. Uderzenie w potylicę nie było mocniejsze niż szturchnięcie, ale definitywnie powaliło mnie na ziemię.

Wszystko mnie bolało, skądś dochodziły odgłosy walki. Na oślepie machnąłem wokół siebie rękami i ból stał się jeszcze większy. Podciągnąłem pod siebie nogi i spróbowałem wstać. Jakoś szło. Czulem, jak osypuje się ze mnie piach i małe kamienie. Dopiero teraz uświadomiłem sobie, że nic nie widzę. Otworzyłem oczy. Klęczałem w połowie zagrzebany w piasku, nieco przede mną stała grupka ludzi. Nie widziałem ich wyraźnie, to ostatnie uderzenie w głowę dało mi niezłe w kość.

- No, gnojki, kto pierwszy?

Poznałem głos Gein. Wstałem, piasek opadał z mego ubrania z cichym chrzęstem. Niebo było czarne, gwiazdy piękne. Ktoś zawył z bólu. Spróbowałem zrobić krok. Udało się. Gein stała tyłem przy jedynej ścianie stodoły, która pozostała, w ręce trzymała naciągniętą kuszę, drugą, z której właśnie wystrzeliła, odrzuciła na bok. Na ziemi zwijał się mężczyzna z bełtem w brzuchu.

- Za to będziesz bardzo cierpieć, kobieto - powiedział mężczyzna z garbem i nienaturalnie długimi rękoma.

- Kto chce być drugi?

Mężczyźni się zawahali. Było ich sześciu, ale pytanie Gein nie zachęcało do pośpiechu.

- Najlepiej dla was będzie, panowie, jak się odwrócicie i zaczniecie zwiewać, aż się za wami zakurzy - wysepleniłem.

Odwrócili się w moją stronę. Krzywiłem się z bólu i nie byłem w stanie porząd-

nie się wysłowić, ponieważ spadający kamień rozerwał mi twarz. Młody, barczysty chłopak spojrzał na mnie, jakbym był szaleńcem.

- Gadasz brednie, jesteś sam i nie masz żadnej broni - powiedział.

Nie miał mlecza, tylko nóż. Teraz przełożył go tak, żeby ostrze było skierowane w górę.

- To prawda. Ale było was siedemdziesięciu, teraz zostało już tylko sześciu. Złatwiłem nawet oddział hrabiego Gletoya. Nie wiem, dlaczego nie miałbym sobie dać rady z wami.

Młodzieniec rzucił się na mnie z nożem, który trzymał przed sobą w prawej ręce. Odskokczyłem w lewo, jego uzbrojoną rękę ścisnąłem w nadgarstku, zmieniłem kierunek ataku bardziej w prawo i w górę. Nagle pociągnąłem gwałtownie jego rękę w dół. Zrobił salto i upadł na plecy. Upuszczony nóż brzęknął o kamienie gdzieś za mną. Oparłem jego rękę łokciem o udo i złamałem. Leżał i jęczał.

- Wszystkim i tak nie dasz rady - powiedział garbaty, wpatrując się we mnie.

- Może i nie - zgodziłem się. - Ale będę się starał.

Spojrzał na mnie, później na Gein z kuszą i przez chwilę się zastanawiał.

- Zbieram się. To są szaleńcy - powiedział, cofając się o dwa kroki, odwrócił się zaraz i pędem ruszył do zagrody, w której zamknięto konie. Pozostali chwilę później poszli za jego przykładem. Ugięły się pode mną kolana i upadłem na ziemię. Z cienia wynurzyli się znajomi chłopcy, dwie dziewczynki i jedna młoda kobieta.

Obudziłem się dopiero rano. Gein już w nocy opatrzyła mi rany, więc czułem się znacznie lepiej. Moje ciało znów nie zawiodło. Jadłem gorącą zupę i przyglądałem się mojej towarzyszce wraz z jej nowymi podopiecznymi. Starali się z odłamków skał wygrzebać jak najwięcej rzeczy które mogły się przydać. Gein zauważyła, że wstałem i

usiadła obok mnie.

- Ma pani swoje dzieci? - spytałem.

- Troje z czwórki. Marika została tam. - Pokazała na stertę kamieni.

- Wciąż pani chce, żebym pani towarzyszył do Hamtu?

- Nie. Wrócę na naszą farmę. Z nimi doprowadzę ją do porządku.

Popatrzyła na dzieci i na jej twarzy pojawił się uśmiech.

- To niebezpieczne - wymamrotałem z pełnymi ustami.

- Poproszę duamskiego hrabiego o ochronę. Będę prowadzić bazę dla jego żołnierzy. A co pan ma w planach?

- Również spotkanie z hrabią. Mam nadzieję, że drogo mu sprzedam pewną informację.

- Jaką?

- Chodzi o te kaktusy.

Powtórzyłem z grubsza, na co wpadłem. Wiedziałem, że będę mówić z hrabią wcześniej niż ona i nie obawiałem się, że mogłaby próbować mnie okantować.

- Jeśli znajdzie gdzieś pani podobne, ale niezmienione genetycznie kaktusy i posadzi je przed wejściem do doliny, będzie pani miała w przyszłości względny spokój.

Skinęła głową w zamyśleniu.

- A co później, kiedy dostanie pan swoje pieniądze? - spytała.

- Pojadę odpocząć gdzieś w bardziej cywilizowane miejsce, do dużego miasta.

Gdzieś, gdzie nie pali się posiadłości i nie wyniszcza całych osad, gdzie co najwyżej w ciemnej uliczce można zostać dźgniętym przez wynajętego mordercę albo uduszonym specjalną linką zarzuconą na szyję. Gdzie po prostu można żyć mniej więcej w spokoju.

ju.

Pokręciła głową.

- Nigdy o panu nie zapomnę - obiecała.

Ubranie miała we krwi swojej i innych, oczy twarde jak agaty z domieszką smutku ciemnych rubinów. Wierzyłem w jej obietnicę.

# KIEPSKA INWESTYCJA

Zapasy i wyposażenie już kupiłem, teraz poszukiwałem koni. Za dwa dobre wierzchowce chętnie oddałbym wszystkie pieniądze, jakie mi jeszcze zostały. Mój stary jabłkowity po galopie z Ambrii był zupełnie wycieńczony, więc musiałem go sprzedać. Nawet długie targowanie nie pomogło w zarobieniu więcej niż pięciu złotych, ale koń był w tak złym stanie, że uważałem tę cenę za sukces. Rzeźnik prawdopodobnie zaproponowałby mi więcej, lecz nie chciałem odwdzięczać się zwierzęciu za jego szybkość i wytrzymałość w tak podły sposób. Przeszedłszy przez środek targowiska, skierowałem się w stronę kolejnej zagrody z końmi. Jednak i tutaj tłoczyły się zwierzęta przyzwyczajone do pługów i chomąt.

Na targu rozłożyło towar zaledwie dwudziestu sprzedawców, a ich oferta na pierwszy rzut oka nie wyglądała najlepiej. Bauryto było prowincjonalnym miasteczkiem na skraju Puszczy Gutawskiej leżącej na granicy Cesarstwa Crambijańskiego i Ligi Niezależnych Miast. Trzysta lat temu prowadził tędy ważny szlak handlowy, ale to były dawne czasy.

W Cesarstwie Crambijańskim spędziłem ponad rok. Przyciągały mnie tamtejsze uniwersytety. Były cztery i do każdego należała biblioteka publiczna, do której mieli dostęp wszyscy bez względu na pochodzenie - wystarczyło wnieść małą opłatę. Z drugiej strony irytowała mnie pedanteria cesarza w kwestii przestrzegania nawet tych najgłębszych praw. Kiedy pewnego poranka na plakacie z wizerunkami poszukiwanych kryminalistów ujrzałem własną twarz, moje negatywne uczucia do cesarza zwyciężyły i wzięłem nogi za pas. Nie zwróciłem nawet pożyczonej książki - „Historii upadku Królestwa Geotkiego” autorstwa Meeta - i pozwoliłem, żeby przepadło pięćdziesiąt złotych kaucji. Teraz przyjechałem tutaj i wierzyłem, że żołnierze, którzy od



sześciuset kilometrów szli po moich śladach, już dawno wrócili do swoich przytulnych koszar urządzonych z pieniędzy wyciągniętych z kieszeni podatników. Nęciła mnie Zatoka Urmska z szybko rosnącymi miastami i dużym ruchem. Już zbyt długo odpoczywałem i studiowałem, a ilość gotówki poważnie mi się zmniejszyła.

W następnej zagrodzie stało siedem koni. Z wyjątkiem jednego starszego wałacha były to smukłe ogiery uszlachetnione przez pustynnych, nomadów. Piękne, okazałe i szybkie jak wiatr. Ja jednak potrzebowałem zwierząt może ciut wolniejszych, ale za to silnych i wytrzymałych, Z przyzwyczajenia przyglądałem się ludziom wokół. Moją uwagę zwróciła młoda dziewczyna. Dziewczyna?

Raczej dziecko. Mogła mieć czternaście lub piętnaście lat. Długie, rudawe włosy ściągnęła spinką z matowego srebra; z pewnością nie nawykła do tutejszego ostrego słońca, ponieważ na jej bladej twarzy pojawiły się ciemne piegi. Drobną, prawie kruszą, wydawało się, że na piersi będzie musiała jeszcze jakiś czas poczekać, jeśli w ogóle będzie je kiedykolwiek mieć. W pasie i w biodrach niczym nie różniła się od szczupłego chłopca. Była ubrana w strzęp materiału nieokreślonego koloru, który nie zasługiwał nawet na nazwanie go sukienką. Właściwie nie wiedziałem, co mnie w dziewczynie zainteresowało. Odwróciłem się z powrotem w stronę koni.

Zauważyłem, że poza zagrodą stoi jeszcze jedno zwierzę - klacz z potężną pierśią i mocnymi nogami. Grzywę miała zaplecioną w góralskim stylu i nawet podkowy nie wyglądały na robotę miejscowych kowali.

Może to z powodu tego pysznego noska i zuchwałego wyrazu twarzy? Dziewczyna dreptała po małym dywaniku, za nią na ziemi siedziało dwóch mężczyzn w kaftanach, w turbanach na głowach. Obaj byli uzbrojeni w krzywe koczownicze jatagany. Dopiero teraz zrozumiałem, że pannica jest wystawiona na sprzedaż. Podeszedł do nich

niski mężczyzna o twarzy szczurka, zadał jakieś pytanie i zaczął oglądać dziewczynę. Uważał jednak, żeby nie stąpnąć na dywanik i zbytnio się do niej nie zbliżyć. Nagle wyszczerzyła do mężczyzny zęby i pochyliła się, jakby chciała go ugryźć. Odskoczył ze strachem i szybko odszedł, właściwie uciekł. Siedzący zaczęli ją besztać, ale najwyraźniej bez skutku, ponieważ tylko pogardliwie na nich spoglądała. Za taką dziewczkę nie zapłaciłbym nawet ceny dzbana piwa i wątpię, czy ktoś dałby więcej. Cała sprawa zaczęła mnie jednak interesować. Zostawiłem konie i poszedłem przypatrzeć się z bliska.

- Ile? - zapytałem.

Człowiek z lewej, który w futerał na cholewie miał wsunięty sztylet, porządnie mi się przyjrzał, ale najwyraźniej wynik oględzin go nie zadowolił, gdyż nic nie odpowiedział. Zamiast niego odezwał się drugi:

- Sto dwadzieścia.

Musiałem go źle zrozumieć, ponieważ niewolnicę o idealnych wymiarach i o cerze gładkiej jak porcelana można kupić za trzydzieści złotych i nie trzeba się targować.

Widział moją niedowierzającą minę, więc dodał:

- Jest dziewicą.

- Nic innego już jej nie pozostaje - odpowiedziałem mu.

- Za to cię kiedyś rzucę dzikim świniom - zasyczała dziewczyna niczym rozdrażniona żmija.

Zacząłem rozumieć poprzedniego zainteresowanego.

- Ależ ma temperament! - powiedziałem i wytrzeszczyłem na nich gały.

Z bliska wyglądała na jeszcze młodszą i sięgała mi tylko niewiele powyżej pasa.

Mam prawie dwa metry wzrostu, ale przecież była zbyt mała, żeby zainteresował się nią normalny zdrowy mężczyzna. Zdecydowałem, że wrócę do koni. W chwili kiedy się

odwróciłem, odezwał się mężczyzna ze sztyłem.

- Jest córką wielkiego naczelnika, dlatego taka droga. Kupisz i możesz pocze-  
kać, aż wypięknieje, potem sprzedasz ją za lepsze pieniądze.

Zbyt gardłowo, wręcz niewyraźnie, wymawiał wiele spółgłosek, prawie nie  
można było go zrozumieć, lecz to, co mówił, miało ręce i nogi. Młoda niewolnica z do-  
stojnego rodu jest cennym towarem, a naczelnicy półdzikich plemion często je kupują  
dla siebie albo dla swoich synów. A z im lepszego rodu, tym więcej się płaci. Jest to  
jakiś rodzaj snobizmu, którego nie rozumiem, ale widziałem człowieka, który zapłacił  
pięćset złotych za żonę jednego barona. Znałem go, mam na myśli barona, z widzenia  
i wydaje mi się, że dama była zadowolona z wymiany.

- Kto to jest?

Mężczyźni popatrzyli po sobie.

- Nigdy nie kupuję kota w worku. Z wyglądu nie jest nic warta, więc jeśli chce-  
cie ją sprzedać, musicie mi powiedzieć, kim jest.

Popatrzyła na mnie tak, że gdyby spojrzenie mogło zabijać, leżałbym na ziemi  
martwy a targowisko byłoby ozdobione moimi wnętrznościami.

- Jestem Annemari Dask, córka hrabiego Daska. Jedyna córka.

Mężczyźni poruszyli się niespokojnie, a ja gwizdnąłem w duchu. Jeśli dziew-  
czyna powiedziała prawdę, żądali podejrzenie mało. Dask nie był poddanym żadnemu  
władcy, jego hrabstwo było większe od niejednego królestwa. Gdyby kazał się tytuło-  
wać „Wasza Ekscelencjo”, nikt z jego sąsiadów by nie protestował.

- Możecie to udowodnić?

- Jeśli nie jest pan tak głupi, na jakiego wygląda, niech się pan sam przekona -  
powiedziała dziewczyna pogardliwie, wyjęła z włosów spinkę i podała.

W matowym, wykonanym filigranem srebrze widniał znak rodu Dasków.

- Mogłaś ją komuś ukraść.

Mało brakowało, a dostałbym w twarz. Była diabelnie szybka, jej rękę chwyciłem w ostatniej chwili.

Uśmiechnąłem się do niej, wciąż trzymając jej dłoń w swojej.

Jestem chudym i niezgrabnym mężczyzną. Dwie trzecie mojej wagi stanowią kości, a dziewczynom, które uśmiechają się do człowieka za pieniądze, płacę potrójną stawkę, żeby w ogóle mnie zauważyły. Do tego wszystkiego mam haczykowaty, dwukrotnie złamany nos i kilka źle zrosniętych blizn na twarzy. Nawet nieczuli ludzie się denerwują, kiedy się do nich uśmiecham i dla tej małej hrabianki musiałem stanowić obrzydliwy widok. Mimo to wytrzymała. Puściłem ją, usiadłem przed mężczyznami i zaczęliśmy negocjować.

Wydawało mi się, że w rzeczywistości było im wszystko jedno, za ile sprzedadzą Annemari, byleby tylko się jej pozbyć. W końcu zbiłem cenę do trzydziestu pięciu złotych i wyłożyłem gotówkę. W kieszeni zostało mi pięć srebrnych na opłacenie noclegu w oberży, gdzie już od pięciu dni mieszkałem.

- A teraz mi zdradźcie, gdzie jest haczyk. Pieniądze macie, więc mówcie - powiedziałem.

Nic mi nie zdradzili, podnieśli się i tchórzliwie uciekli. Zostałem na targowisku z pustą kieszenią i małą dziewczynką, która była całkiem do niczego. Nawet gdybym ją wynajmował siedem dni w tygodniu, do sądnego dnia nie udałoby się jej zarobić tyle pieniędzy ile dałem.

Patrzyłem na nią, ona na mnie i nagle nie wiedziałem, dlaczego właściwie to zrobiłem.

- Do licha, miałem kupić konia! - zakląłem na głos.

Przez chwilę przyglądała mi się przerażonym wzrokiem, później rozplakała, ciągle drepcząc po tym głupim dywanie. Staralem się ją uspokoić, lecz w ogóle mnie nie zauważała. W końcu wziąłem ją na ręce i zniosłem, do gospody gdzie mieszkałem. Przez całą drogę powtarzałem sobie w duchu, że naprawdę powinienem kupić konia.

Położyłem ją na łóżku i przykryłem kocem, żeby miała gdzie się wyplakać. Zanim usnęła, długo łkała. Z gospody przyniosłem dzban piwa, usiadłem przy oknie i patrzyłem w dół na ulicę. Słońce zachodziło, cienie się wydłużały a platanina uliczek i zakątków powoli ginęła w mroku. Dom miał grube ściany z niepalonej gliny i nawet teraz, pod koniec dnia, w pokoju czułem przyjemny chłód. Gwar z oberży na drugim piętrze powoli cichł. Po upalnym dniu wszyscy byli zmęczeni, miną jeszcze co najmniej dwie godziny zanim ludzie zaczną prowadzić nocne życie. W Baurycie wstawano przed świtem, do dziesiątej wykonywano jak najwięcej pracy, a od dziesiątej panowała sześciogodzinna sjesta, ponieważ w morderczym upale człowiek był co najwyżej w stanie pić chłodną herbatę, lecz nawet to bardzo wyczerpywało. Do ósmej wieczorem znowu się pracowało i po krótkiej przerwie na odpoczynek ludzie zaczęli się bawić. Życie płynęło tu bardziej powoli i leniwie, wydawało się, że nic nie jest tak ważne, jak to w pierwszej chwili wygląda. Pomimo miłego wieczora, miałem silne poczucie, że w najbliższej przyszłości nie zaznam za dużo spokoju. Wyciągnąłem z pochwy miecz i sprawdziłem klingę. Była smukła i cienka niczym kartka papieru, ostrze barwy stali, w świetle zachodzącego słońca stawało się coraz bardziej niebieskie, prawie fioletowe. Mistrzowska sztuka z pracowni mistrza, dla wysokiego człowieka z długimi rękoma idealna broń. Przez chwilę zastanawiałem się, do ilu ludzi należała i ilu

ludzi nią zabito. Nie dodało mi to otuchy, wolałem dopić piwo, położyć się na podłodze i przykryć płaszczem. Podłogę na szczęście zrobiono z miękkiego, lipowego drewna. W ciągu nocy odcisną się na niej moje ciężkie kości i rano będzie mi się leżało o wiele wygodniej. Na dębowych deskach byłoby gorzej. Przed świtem obudził mnie szelest. Annemari wstawała właśnie ostrożnie z łóżka. Poczekała, aż przyzwyczai się do półmroku, ostrożnie przestąpiła przeze mnie, otworzyła drzwi i wyszła na korytarz. Stałem przy oknie. Jeśli złapię się za parapet, będę miał do ziemi o dwa metry bliżej i zdołam skoczyć tak, żeby nikt mnie nie słyszał. Wyszła na ulicę. Niebo jaśniało, w świetle gwiazd widziałem, jak dziewczyna się kilkakrotnie rozejrzała. Kucnęła przy kanale ściekowym i wysiusiała się. Ostrożnie, żeby nie dostrzegła ruchu, odstaپیłem od okna i kiedy wróciła, leżałem na swoim miejscu. Stała nade mną i długo mi się przyglądała. Jej oczy w ciemności błyszczały zielenią, obserwowałem ją spod przy-mrużonych powiek, żeby się nie zdradzić, że nie śpię. Potrząsnęła głową, jakby w czymś się upewniła, później ponownie położyła się do łóżka i, wnoskując po oddechu, usnęła.

O świtaniu wstałem i przyniosłem z gospody dwie porcje śniadania. Zwykle placki kukurydziane z miodem i mocną gorzką herbatę, ponieważ na nic lepszego nie miałem pieniędzy. Zapach obudził ją natychmiast. Twarz sobie odgniotła od twardego materaca, rudawe włosy sterczały na wszystkie strony. Podsunałem jej talerz i nie musiałem nawet zachęcać do jedzenia - jadła prawie tak szybko jak ja.

- Potrzebuję twojej broszki - powiedziałem.

Na twarzy Annemari na chwilę pojawił się strach, który szybko zastąpiła pogarda.

- To zwyczajne srebro, nie dostaniesz za nią wiele. Wartość ma tylko dla mnie i

mojego ojca.

Wzruszyłem ramionami.

- Nie mam już żadnych pieniędzy. Muszę kupić wyposażenie również dla ciebie.

Chyba że chcesz jechać w tej szmatce. Nie będzie ci za ciepło. - Pokazałem brodą na jej ubogie odzienie.

W porannym chłódzie miała gęsią skórkę i, jedząc, instynktownie się kuliła. Teraz prawie zwinęła się w kłębek.

- Co chcesz ze mną zrobić?

- Odwiozę cię do domu.

- Co? - Popatrzyła na mnie ze zdumieniem. Nie wierzyła w ani jedno moje słowo.

- Odwiozę cię do domu i założę się, że twój ojciec wypłaci mi godziwą nagrodę.

- Albo zamknie w więzieniu i każe ściąć. Mój ojciec nie prowadzi interesów ze złodziejami i mordercami.

W pierwszej chwili chciałem zaprotestować, że nie jestem złodziejem ani mordercą, ale później sobie uświadomiłem, że sprawa może być dyskusyjna.

- Dzięki za ostrzeżenie. Postaram się nie być zależnym od jego dobrej woli i będę pertraktować przy pomocy pośrednika. Kto inny da mi za ciebie więcej niż on?

Triumfalnie się uśmiechnęła.

- Więc nie nagrodę, ale wykupne.

- Wszystko jedno jak to nazwiesz. Daj mi tę broszkę.

Zdjęła ozdobę niechętnie i, mimo że niezłe się trzymała, zbierało jej się na płacz. Nie chciałem ryzykować kolejnej łzawej sceny, dlatego wołałem nic nie mówić.

Zauważyłem, że pod zniszczoną sukienką ma srebrny wisiołek w podobnym stylu.

Miałem nadzieję, że za klejnot dostanę wystarczająco dużo i nie będę musiał dziewczynki pozbawiać również tego.

Wróciłem dopiero za dwie godziny i w życiu nie targowałem się ostrzej. Rzuciłem na łóżko Annemari spodnie z antylopiej skóry, kurtkę i koszulę z najtańszego surowego płótna, do tego najlepsze buty, jakie znalazłem w małym rozmiarze. A na deser dodałem kłębek nici i igłę.

- Popraw sobie ubranie, żebyś czuła się w nim jak najlepiej. Czeka nas długa droga.

Z powątpiewaniem obrzuciła spojrzeniem kupkę ubrań i wzięła igłę do ręki. W tym momencie wiedziałem, że ukręciłem na siebie bat.

- Ja... ja nie umiem szyć - powiedziała.

- Każda mała dziewczynka to potrafi – warknąłem.

- Po pierwsze, nie jestem małą dziewczynką, po drugie, jestem córką hrabiego i nigdy nie będę tego potrzebować!

Jeśli przed chwilą w jej głosie był przynajmniej cień poczucia winy, teraz zniknął i mówiła jak królowa z kohortą oddanych żołnierzy przy tronie. Odłożyłem miecz, usiadłem na jedynym krześle i zacząłem szyć.

- Może nie jesteś małą dziewczynką, może jesteś córka hrabiego, ale jesteś również moim majątkiem. Kupiłem cię i należysz do mnie ze wszystkim, co masz.

Gdybym nie chciał za ciebie dostać godziwej ceny, gnałbym cię przez puszcę naga.

Szybko byś zrozumiała, że nie ma pracy poniżej godności człowieka. Wszystko może ci się kiedyś przydać.

Syknęła tylko pogardliwie.

- I tak nie wierzę, że mnie zaprowadzisz aż do ojca. To ponad osiemset kilome-



trów.

Skinąłem głową.

- Osiemset kilometrów w linii prostej, ale nas czeka co najmniej dwa razy tyle.

Nie możemy ruszyć przez sawannę, ponieważ koczownicy złapaliby nas, zanim byśmy się obejrżeli. Nie możemy też zagłębić się za bardzo w las. Pójdziemy wzdłuż granicy między stepem a lasem, gdzie będziemy mogli się dobrze ukryć, a jednocześnie szybko posuwać w przód.

Wyobraziłem sobie w duchu mapę i zrozumiałem, że to naprawdę długa droga.

- Jak właściwie znalazłaś się aż tutaj?

- Ojciec chciał, żebym na własne oczy poznała duże miasta cesarstwa i posłał mnie z całym orszakiem z wizytą do krewnych. Miałam mieć własny dom, służących, własnych żołnierzy. Ale podczas podróży napadli nas i wzięli mnie do niewoli.

- Ci dwaj, których spotkałem?

- Nie, zupełnie inni ludzie. Zaatakowali nas w wąwozie między dwoma wzgórzami. Było ich mniej niż moich żołnierzy, ale i tak zwyciężyli. Przez jakiś czas byłam z nimi, a w końcu ukradli mnie ci dwaj.

Dalej nie wypytywałem, ponieważ na samo wspomnienie Annemari zbladła i zacisnęła wargi. Podróż z handlarzami niewolników nie była chyba przyjemnym przeżyciem. Szyłem i starałem przypomnieć sobie mapę terenów, przez które mieliśmy podróżować. Kilkaset lat temu, zanim dzicy ludzie z puszczy zburzyli Cernut, był to środek cywilizowanego świata. Od tego czasu zmienił się klimat, puszcza przesunęła się na południe i pochłonęła trzy największe miasta. Dwa wielkie królestwa rozpadły się na odizolowane niewielkie posiadłości ziemskie, które stopniowo poddawały się w starciach z nomadami i dzikimi mieszkańcami lasów. Cały teren był zbyt niegościnnie

żeby interesował się nim cesarz crambijski. Ponadto tym samym podburzyłyby przeciwko sobie Ligę Niezależnych Miast, która w obszarze, gdzie nie było żadnego władcy, leżącym za jej północną granicą, widziała gwarancję własnego bezpieczeństwa.

Praca paliła mi się w rękach, przed południem dałem jej spodnie i koszulę do przymierzenia.

- Przed tobą?

- Co przede mną? - nie rozumiałem.

- Mam się przebierać przed tobą?

Przełknąłem uwagę o tym, że w jej przypadku wstyd jest zbyt wielki, wziąłem broń i zszedłem na dół po coś na obiad. Ponieważ była sjesta, w sali nikogo nie było i obsłużyłem się sam. W Baurycie w południe nie pracowali nawet złodzieje.

Przerobione ubranie całkiem dobrze na niej leżało, a kiedy wypchała czubki butów szmatami, mogła w nich stosunkowo wygodnie chodzić. Gdyby nie długie, kręcone włosy, wyglądałaby teraz jak chłopak. Już rano kupiłem jej prostą drewnianą spinkę, ale zostawiłem ją w kieszeni, ponieważ z rozpuszczonymi włosami Annemari podobano mi się o wiele bardziej. Zdecydowałem, że jeszcze chwilę poczekam. Na świecie jest mało pięknych rzeczy, a człowiek powinien rozwijać swój zmysł estetyki.

- Cieszę się, że dobrze leży. Znam się tylko na męskich miarach i obawiałem się, że może nie będzie na ciebie pasować.

Popatrzyła na mnie jak na kolec, na którym właśnie usiadła, lecz nic nie powiedziała. Nie miałem pojęcia, dlaczego znów miała muchy w nosie. Jeśli podczas drogi nie będzie współpracować, wszystko okaże się o wiele trudniejsze. Zaczynałem przeczuwać, że to będą strasznie ciężko zarobione pieniądze. Stałem przy oknie. Ulice ziały pustką, rozpoczęła się druga połowa południowej sjesty.

- Wyjedziemy w nocy. Zanim się rozwidni, znikniemy wszystkim z pola widzenia - powiedziałem głośno.

W kurzu na ziemi, przy kupce śmieci, coś błyszczało.

- Załatwię konie.

- Mówiłeś, że nie masz żadnych pieniędzy

- Nie mam. Nie powiedziałem, że kupię.

- Jesteś prostackim złodziejem.

Określenie „prostacki” nie spodobało mi się. Mój ojciec był szlachcicem, bardzo potężnym szlachcicem. A także, oczywiście, złodziejem.

- Wiesz, że tutaj za kradzież koni się wieszka? - zauważyła złośliwie.

- Wszędzie się wieszka za kradzież koni.

To, co błyszczało na ziemi, uderzająco przypominało ostrze długiego noża.

- Za chwilę wracam - powiedziałem i wyszedłem z pokoju.

Na zewnątrz panował piekielny upał. Natychmiast się spociłem, w ostrym świetle mrużyłem oczy, aż bolały mnie od tego mięśnie twarzy. Rozejrzałem się i ostrożnie zbliżyłem do sterty śmieci. Kawałki starych warzyw, zgniłe banany, resztki po gotowaniu. Cuchnęło to jak... jak sterta gnijących resztek w ostrym słońcu. Jednak w fetorze rozpoznawałem jeszcze jeden, dobrze znany składnik. Z błyszczącego przedmiotu zgarnąłem kurz i skórkę od banana. To był scimitar. Końcem stopy rozgrzebałem stertę, a kiedy czarna chmura much się rozproszyła, ujrzałem ludzkie ciało, albo raczej to, co z niego jeszcze zostało. W tym klimacie rozkład następuje bardzo szybko i niektóre robaki miały już trzy centymetry długości. Pobiegłem z powrotem, przeskakując po trzy stopnie. W lewej ręce trzymałem nóż.

Annemari spojrzała na mnie ze zdziwieniem, gdy mało nie wyrwałem drzwi z

zawiasów.

- Jak wyglądali ci pierwsi handlarze niewolnikami?

- Niewiele wyżsi ode mnie, Murzyni z mnóstwem blizn na twarzy.

Czułem, jak serce szybko mi bije, a każdym porem skóry wydostaje się pot. Byliśmy w niezłych tarapatach.

- Rozbierz się.

- Nie! Już nigdy przed nikim się nie rozbiore!

Wątpiłem, czy mówi prawdę, lecz nie było czasu na kłótnie.

- Rozbierz się, albo ja cię rozbiore. Ale ubranie będziesz musiała sobie potem naprawiać sama.

Myślałem, że będzie płakać, lecz popatrzyła na mnie, jakbym był ostatnim trędowatym, zdjęła kamizelkę, rozpięła koszulę, rozwiązała sznurek, który przytrzymał jej spodnie i stała przede mną, jak ją Pan Bóg stworzył.

- Masz gdzieś tatuaż?

Pokręciła głową, znieruchomiała z osłupienia.

- Odwróć się.

Posłuchała mnie.

Miała tatuaż. Nawet dwa - dwa wytatuowane motyle, jeden żółty drugi niebieski. Na pośladku i pod lewą łopatką. Dziełka artystyczne wykonane w najdrobniejszych szczegółach. Z materiału wklutego pod skórę powoli uwalniają się motyle feromony. Varirowie oznaczają w ten sposób drogocennych niewolników, żeby później za pomocą specjalnie uszlachetnionych samców motyli mogli ich wszędzie wytropić, A Annemari musieli naprawdę cenić, ponieważ oznaczyli ją dwoma tatuażami naraz, ponadto oba były doskonale wykonane i w żadnym przypadku nie powinny przeszkadzać.

dzać przyszedłemu panu.

W nozdrza nagle polechtał mnie ostry zapach potu. Nie był to mój pot, pot An-nemari, czy w ogóle białego człowieka. Odwróciłem się na pięcie, lewą ręką instynktownie kryłem przestrzeń przed sobą. Stał w otwartych drzwiach, mężczyzna metr pięćdziesiąt, skóra, kości i mięśnie, szybki jak błyskawica i niebezpieczny jak skorpion. Jego hebanowa skóra w półmroku pokoju połyskiwała niebiesko. Skrzywił się, na lewym policzku miał siedem równoległych rytualnych blizn. Varirowie używają blizn jako oznaczeń rangi. Siedem dużych blizn oznacza pana wojowników. Najwidoczniej go zaskoczyło, że odwróciłem się w odpowiednim momencie. Gdybym się nie spodziewał kogoś z jego plemienia, a moje zmysły nie byłyby wyostrzone do granic możliwości, zastałby mnie nieprzygotowanego. W obu rękach trzymał noże. Wiedziałem, że jeden z nich ma zatrute ostrze. Nie odważyłem się na nie spojrzeć, żeby nie zdradzić, że wiem. Zrobiłem wypad prawą nogą na długość stopy - był leworęczny, zatem zatruty nóż powinien mieć w lewej ręce. O ile nie blefował. Zbyt wiele niepewności. Nie wierzyłem, że zdołam się obronić bez zadrapania, już kilka razy widziałem, jak walczyli ludzie z jego plemienia. Przerzuciłem nóż do drugiej ręki. Delikatnie się skuliłem, kątem oka zobaczyłem, jak palcami prawej stopy zaparł się o podłogę. Wykonałem ruch, jakbym chciał zaatakować od dołu jego prawą rękę, w ostatniej chwili, odwracając się, zrobił unik i wśliznął mi się między ręce. Wiedziałem, że jest szybki, ale i tak mnie zaskoczył. Jednak przez cały czas byłem skoncentrowany na jego lewym nadgarstku i ścisnąłem go, zanim zdążył mnie zadrasnąć. W ostatniej chwili odwróciłem częściowo atak długim nożem, ostrze zraniło mnie w przedramię. Odchyliłem jego lewą rękę jak najdalej w bok i w górę. Murzyn był lekki, stracił równowagę, do kolejnego ciosu nadstawiłem ramię, a sam dźgnąłem go w podbrzusze głęboko aż po

trzonek i pociągnąłem po skosie w górę. Osłabł, w ranie pojawiły się wnętrzości.

Swój nóż schowałem do futerału, jego zatruty ostrożnie chwyciłem i dopiero później puściłem jego rękę. To znaczy, miałem nadzieję, że to ten zatruty. Odwróciłem się do Annemari, przyglądała mi się z przestachem. Drugi Varir wchodził właśnie przez okno. Bez zastanowienia rzuciłem w niego nóż. To był dobry rzut, bezpośrednio w tułów, ale mimo to zdołał odepchnąć dłonią lecące ostrze. Zrobił grymas, zachwiał się, odwrócił w tył i z głuchym łoskotem upadł na ziemię. Varirowie twierdzą, że tak jak węże, są odporni na własne trucizny. Kłamią.

- Natychmiast odjeżdżamy! - wrzasnąłem. - Przygotuj się, przyprowadzę konie.

I popatrz, czy tych dwóch nie ma przy sobie jakichś pieniędzy.

Kwadrans później opuszczaliśmy miasto. Jechałem na klaczy, która tak mi się spodobała, a Annemari wybrałem zwinnie wyglądającego wałacha. Bauryto wciągnąłem na listę miast, w których w ciągu dziesięciu lat nie będę mógł się pokazać. Ręka piekielnie mnie bolała, starałem się opanować nerwy i nie popędzać koni bardziej, niż to było potrzebne. Annemari nie mówiła nic i przyglądała mi się spod oka, pełna obaw.

Pierwszej nocy prawie nie spałem. Częściowo z powodu ręki, po części z powodu Varirów. Dopiero trzeciego dnia uwierzyłem, że uzyskaliśmy przewagę i nie grozi nam bezpośrednie niebezpieczeństwo. Przy pierwszej okazji pokryłem tatuaże Annemari gliną, pokapałem kleistym sokiem z kaktusów i przykryłem młodymi listkami.

Za dużo sobie po tym nie obiecywałem, ale lepsze to niż nic. Uprzedziłem ją, że te dwa motyle będą zdobić ją aż do końca życia. Dziwnie wyprowadziło ją to z równowagi i nie uspokoiła jej nawet moja uwaga, że z pewnością nikt nie będzie się skarżył.

Opuściliśmy pas półpustyni i rozbiliśmy obóz w lasku między dwoma wzgó-

rzami. Odnaleźć mógł nas tylko ten, kto zjechałby ze starego szlaku. Nazbierałem kupkę chrustu i na kamieniach nad małym ogniem smażyłem placki kukurydziane. Po raz pierwszy po trzech dniach trochę odpocząłem.

- Ty ich znasz? - zapytała Annemari.

Przez całą drogę odzywała się tylko, jeśli było to konieczne, a na moje pytania odpowiadała monosylabami.

- Kogo?

- Tych dwóch ludzi, których zabiłeś?

- To Varirowie. Bardzo niebezpieczni ludzie. Ich przodkowie żyli w puszczach, ale stopniowo zaznajomili się z cywilizacją i stwierdzili, że parę rzeczy się im w niej podoba. Mimo to nie zrezygnowali z dzikiego stylu życia. Wciąż żyją w obozach koczowniczych, lecz używają broni ze stali, nauczyli się strzelać z łuku, jeździć konno i czasem oddają się rytuałowi kanibalizmu. I są bogaci.

- Jak to?

- Stali się profesjonalnymi handlarzami niewolników.

- Łapią białych ludzi?

- Nie, nie są rasistami. W murzyńskich królestwach na zachodnim wybrzeżu sprzedają białych i czarnych.

Właściwie nie robią tego tylko Varirowie, ale kilkadziesiąt mniejszych plemion.

Varirowie specjalizują się w handlu luksusowym. W córkach szlachciców, takich jak ty.

- Skąd tyle wiesz o Varirach? Nigdy wcześniej o nich nie słyszałam.

- Dużo czytam.

Spojrzała się na mnie z powątpiewaniem.

- Czytasz? Myślałam, że tacy ludzie jak ty nie potrafiać czytać. Powiedziałabym raczej, że jakiś czas z nimi pracowałeś.

- Studiowałem na uniwersytecie i prawie go skończyłem.

- A dlaczego zrezygnowałeś?

Może pytała tak po prostu, być może wypytywała. Z małymi szlachciankami nigdy nic nie wiadomo, ich myślenie często kroczy różnymi drogami. W żadnym przypadku nie zamierzałem naprowadzić kogoś na ślad mojej rodziny

- Zaczął mi się palić grunt pod nogami.

- Naprawdę zaprowadzisz mnie do domu?

Jej myśli przelatywały jak motyle z kwiatka, na kwiatek. Nie spuszczała ze mnie oczu i mimo że była tylko małą dziewczynką, wierzę, że rozpoznałaby gdybym kłamał.

- Traktuj to tak, że z powrotem sprzedam cię twemu ojcu.

Skinęła głową i zręcznie oderwała z kamienia pierwszy gotowy placek. Moja odpowiedź ją uspokoiła.

- To mi odpowiada.

Miała tylko czternaście lat, ale pogardę potrafiła wyrażać głosem doskonale.

W ciągu pierwszego tygodnia zorientowałem się, jakie tempo na dłuższą metę mogą wytrzymać nasze konie i tym się kierowałem. Moja klacz była bardziej wytrzymała, ale wałach Annemari miał o wiele mniejsze obciążenie. Gdybym ukradł jeszcze jednego konia na bagaże, moglibyśmy posuwać się jeszcze szybciej. Teren delikatnie zaczął falować i przybyło drzew, ale wciąż nie musieliśmy zsiadać z koni. Na każdym pagórku oglądałem się, czy nie ujrzę jakichś oznak pościgu. Dwa razy daleko za nami w niebo wzbiło się stado ptaków. Może spłoszył je polujący drapieżnik, może coś innego. Varirowie są pragmatykami i ścigają niewolników tylko wtedy, jeśli im się opła-



ca. Z drugiej strony zabiłem ich dwóch wojowników, a oni należą do plemienia, które wprost fanatycznie przestrzega prawa zemsty krwi. Jednego wieczora wykonałem klonowy łuk i regularnie starałem się upolować coś do zjedzenia, żeby oszczędzać nasze zapasy. Jednak za bardzo mi się nie udawało - polowanie wymaga czasu, a my się spieszyliśmy. Podświadomie wciąż myślałem o czarnych wojownikach z rytualnymi bliznami na twarzy. Annemari odzywała się coraz rzadziej, w końcu mówiliśmy sobie tylko „dzień dobry” i „dobranoc”. Jestem przyzwyczajony do podróżowania samotnie, lecz w towarzystwie chętnie rozmawiam. Najbardziej mi przeszkadzało, że przestała rozczesywać włosy. Wiezorami tylko jadła i natychmiast szła spać. Czwartego dnia trzeciego tygodnia podróży długo nie mogłem znaleźć właściwego miejsca na nocleg. Jechaliśmy aż się ściemniło i w końcu rozbiliśmy obóz przy kilku wierzbach niedaleko potoku. Oboje byliśmy zmęczeni, zamiast ciepłej kolacji przeżuliśmy po pasku suszonego mięsa i poszliśmy spać.

Obudziłem się o świcie. Lubię świt. Dzień jest jeszcze dziewiczo czysty, niesplamiony niczym, co się wydarzy. Upiekłem placki i ugotowałem zupę zagęszczoną mąką, zostawiłem wszystko na płaskim kamieniu i wszedłem na najbliższy pagórek, O ile dobrze pamiętałem mapę, około czterdziestu kilometrów na północ znajdowała się mała osada. Kiedyś było to duże miasto, którego bogactwo pochodziło z kopalni złota. Złóża się wyczerpały już dawno, ale wciąż istnieli głupcy, którzy mieli nadzieję, że w podziemnych sztolniach znajdą szczęście. Dziś powinniśmy przeciąć stary szlak, kiedyś prawdziwą drogę łączącą północ z południem. Widok doliny w dole mnie zdziwił. Lasostep się skończył, przed nami rozciągała się nieprzebyta linia drzew. Albo się pomyliłem, albo od tego czasu po prostu wyrosła tu puszcza. Obie rzeczy wydawały się tak samo nieprawdopodobne. Wróciłem do obozu. Annemari wciąż spała. Zjadłem

swoją część śniadania i obudziłem ją.

- Musisz się porządnie najieść, dalej pójdziemy na piechotę.

Przyglądała mi się wciąż zawinięta w koce. Nigdy wcześniej nie uświadomiłem sobie, jak piękne ma oczy. Duże i czarne, z odcieniem zieleni.

- Ja już nie mogę.

W pierwszej chwili nie zrozumiałem i dopiero po chwili do mnie dotarło. Potrafię zmęczyć konia, a kiedy jestem w drodze, większość ludzi za mną nie nadąża.

Teraz już prawie trzy tygodnie dotrzymywała mi tempa czternastoletnia dziewczynka.

- Naprawdę.

Pokręciła głową i zamknęła oczy. Położyłem jej rękę na czole - było gorące i suche. W duchu wyzywałem się od idiotów i głupków, ale głośno nie mówiłem nic. Była zupełnie u kresu sił. Miała gorączkę z wyczerpania i kiedy jej dotknąłem, cała drżała.

Przez własny błąd wpakowałem się w niezłe kłopoty - po piętach depcze nam banda czarnych diabłów, a na głowie mam małego łazarza.

Ugotowałem herbatę z malin i zmusiłem ją do wypicia trzech kubków oraz do zjedzenia przynajmniej odrobiny zupy. Natychmiast usnęła, na zmianę albo dygotała z zimna, albo na jej twarzy perlił się pot. Nie było to tylko wyczerpanie - prawdopodobnie zaraziła się malarią lub czymś podobnym. Bez lekarstw dni Annemari były policzone. Rośliny, których mogłem użyć zamiast nich, rosły dalej na północy, tutaj nie było jeszcze wystarczająco gorąco i sucho.

Do wieczora naznosiłem duży zapas drewna i zrobiłem z niego wokół obozu niskie ogrodzenie. Udało mi się nawet upolować jelenia. W nocy mięso uwędziłem i upiekłem, nagotowałem zupy na zapas. Wystarczył dzień i jej choroba bardzo się nasiliła, dziewczynka zniknęła jak sen o świtaniu. Starłem się o niej myśleć jako o inwesty-

cji trzydziestu pięciu złotych, choć za bardzo mi się nie udawało. Nie budziłem jej.

Napisałem wiadomość na kawałku pergaminu, przymocowałem go do kijka i o wschodzie słońca wyruszyłem w drogę. Klacz odpoczęła i nie musiałem jej nawet za bardzo popędzać. Wałacha prowadziłem za sobą. Po raz pierwszy wymieniłem konie po godzinie, później po półgodzinie, a w końcu wtedy, kiedy było to potrzebne. Goniłem je do utraty sił. Bezsilny człowiek w dziczy staje się łatwym łupem drapieżników, a tutaj żyła niezliczona ilość pum, niedźwiedzi i wilków. Po południu dotarłem do osady.

Gruzy dawnego miasta znajdowały się jeszcze kilka kilometrów dalej, ale dziś ludzie osiedlili się bezpośrednio w kopalniach między szybami wyciągowymi i stosami wydobytych skał. Ulic nie widziałem, jedynie wydeptane dróżki między drewnianymi chatami, które często okazywały się tylko przykryciem dziury w ziemi. Wszędzie wokół poniewierały się nieprzyjemne wspomnienia niegdysiejszej wielkiej gorączki złota: kruszarki rudy, koryta wmywające, kanały do topienia. Gdzieś rozlegał się smutny zgrzyt kołowrotów, ale poza tym osada była cicha. Albo wszyscy pracowali pod ziemią, albo byli martwi. Pośrodku drogi natknąłem się na siedzącego mężczyznę. Mógł mieć lat osiemdziesiąt lub czterdzieści - pijaństwo szybko niszczy człowieka. Między kolanami trzymał butelkę z szynką zalaną woskiem a z drugiej, otwartej, sobie pociągał.

- Szukam doktora, felczera, kogoś, kto zna się na chorobach albo ma przynajmniej trochę leków.

Napił się, beknął, podniósł głowę w górę i spojrzał na mnie.

- A może znalazłoby się coś do picia?

Mówił tak samo jak wyglądał, usta miał pełne popsutych zębów, z których odór doleciał aż do mnie.

- Jeśli szybko mi nie odpowiesz, na głowie zatańczą ci podkute kopyta, a wtedy stracisz i te flaszkę.

Na chwilę naprawdę się przestraszył.

- Tamten dom, mieszka w nim Dubbony. Był doktorem, kiedyś.

Machnął ręką w stronę najlepszego domu w okolicy i diabli wiedzą, dlaczego zrobił przy tym rozbawioną minę.

- Kiedyś - powtórzył.

Później łyknął sobie na uspokojenie i był tak samo zadowolony jak wcześniej.

Dom wyglądał na zaniedbany i opuszczony, ale siedział przed nim facet z jedynym okiem zakrytym opaską i wielką kuszą ze spustem na trzy bełty zawieszoną przy pasie na ramieniu.

- Szukam Dubbony'ego, podobno jest lekarzem - zwróciłem się do niego.

Podrapał się po głowie, obrzucił spojrzeniem moje konie i wyposażenie, na chwilę zatrzymał wzrok na rękojeści miecza.

- No, panie, znam go. Wynajął mnie, żebym mu pilnował chałupy, kiedy jest pod ziemią.

- Lekarz? Pod ziemią?

- Dubbony już długo nie leczy. Tutaj każdy, kto może, wydobywa. Każdy chce wyjść na swoje.

Osada nie wyglądała mi na miejsce, gdzie można wyjść na swoje, ale co kto chce...

- Pokaże mi pan, gdzie wydobywa?

- Pewnie, panie. Tylko muszę załatwić sobie zastępstwo.

Głośno zagwizdał krótką melodię i wkrótce z pobliskiego domu wypełznął kale-

ka. Brakowało mu nóg, do tułowia miał przywiązaną skórę i tylko na rękach włókł się po ulicy. Może też chciał tutaj wyjść na swoje? Mój nowy znajomy przekazał mu broń.

- Umowa taka sama jak zawsze?

- No - odpowiedział mu kaleka i więcej się nim nie przejmował. Na mnie nawet nie spojrzał.

Trzymałem się o krok z tyłu za swoim przewodnikiem. Wydawało mi się, że miasto nie jest już takie wyludnione jak przed chwilą. Co rusz migał jakiś cień, kilka razy za hałdami płonnej skały widziałem zarośniętą twarz.

Doszliśmy do olbrzymiej dziury w ziemi. Kiedyś ustawiona, była tutaj drewniana konstrukcja trzymająca drabiny i platformy wyciągowe, ale zostały po niej tylko spróchniałe resztki.

- To jest kopalnia Dubbony'ego.

- Kiedy skończy?

- Dubbony to największy wariat, jakiego widziałem. Czasami zostaje pod ziemią cały tydzień.

Zsunąłem się z siodła.

- Popilnuje mi pan koni?

- Jasne, panie.

- Jak go mogę znaleźć?

- Proszę obserwować wodę, panie. Myślę, że doprowadził ją do miejsca, gdzie teraz wydobywa.

Rzeczywiście, po przeciwnej stronie szybu płynął w dół potok.

W przedsionku wziąłem dwie pochodnie, jedną zapaliłem, drugą wetknąłem za pasek i zacząłem schodzić. W moim przewodniku irytowało mnie, że był taki uczynny

i nic nie chciał w zamian. Nie miałem czasu zbyttno się nad tym zastanawiać, Anne-mari mogła już być w sypialni. Albo wilki ją rozdarły na strzępy godzinę po moim odjeździe. Odpędziłem nieprzyjemne myśli i skoncentrowałem się na drodze.

Kopalnia była olbrzymia. Zszedłem co najmniej sto pięćdziesiąt metrów pod ziemię, a stare drabiny wciąż sięgały dalej w ciemność. Na takiej głębokości na pewno nie oddziaływała pogoda, więc umocnienia oraz cała konstrukcja nośna centralnego szybu wyglądały na stosunkowo dobrze zachowane. Kiedyś inżynierowie i konstruktorzy umieli więcej niż my dziś. Strumień wody dzięki systemowi rynien doprowadzony był do sztolni, skąd dochodził stłumiony dźwięk. Pochodnia się dopaliła, musiałem zapalić drugą. Myśl o drodze powrotnej bez światła nie była zachęcająca, ale nie mogłem z tym nic zrobić. Ostrożnie skradałem się do przodu. Hałas się nasilił. Po stu metrach zmienił się w ogłuszający zgrzyt i łoskot, w oddali przed sobą ujrzałem światło. Zgasilem pochodnię. Wilgotne ściany sztolni połyskiwały, musiałem uważać, żeby ciągle nie potykać się o drewniane szyny dla kopalnianych wózków.

Dubbony wykopał na końcu sztolni olbrzymią, stopniowo się rozszerzającą komorę. Hałas powodował wielki żelazny ślimak obracający się w brązowych łożyskach, jego stalowa głowica wiercąca wgrzyzała się w ścianę i odłamywała kawałki krzemienia nasyconego złotymi ziarnami. Maszyna była napędzana zakłębieniem ukrytym w żelaznej skrzynce wbudowanej w jej tył. W zawiniętej jak ślimak rynnie płynęła woda z potoku, niosła ze sobą skałę i zrzucała ją do wielkich kruszarek, które z monotonnym trzaskiem rozbiły kawały na małe ziarenka. Dubbony stał tuż przy maszynie bijącej i obserwował ścianę.

- Hej, Dubbony, potrzebuję leków. Dobrze panu zapłacę - krzyknąłem, ale w ogłuszającym łoskocie mnie nie usłyszał.

Podszedłem do niego. Był to duży mężczyzna, prawie tak wysoki jak ja, lecz o dobrych dwadzieścia kilogramów cięższy ramiona miał kwadratowe jak szafa, a pod szarą od brudu skórą przeżyły się potężne mięśnie.

- Dubbony - powiedziałem i ostrożnie klepnąłem go w plecy.

Błyskawicznie się odwrócił i ciężkim lewym sierpowym w szczękę odrzucił mnie dobrych pięć metrów w tył. Siedziałem w spływającej wodzie wypełnionej złotym pyłem. Pojedynawczo podniosłem prawą rękę, kierując dłoń w jego stronę.

- Dubbony, przyszedłem kupić tylko jakieś leki.

Podniósł z ziemi kilof górniczy i podszedł. Oczy mu błyszczały w sztucznym świetle, miał spokojny wyraz twarzy jakby nic się nie działo. Wstałem, kamień, pokryty osadem pod wodą był śliski. Nie mogłem go zabić, potrzebowałem leku na malarię.

- Dubbony, przyszedłem kupić leki! Rozumie pan?

Nawet nie starał się słuchać. Nonszalancko machnął lewą ręką i o mało nie uderzył mnie kilofem w głowę. Cofałem się do momentu, aż stanął w wodzie. Zamachnął się w moim kierunku, uskoczyłem i zrobiłem gest świadczący o tym, że chcę zaatakować nożem. Spróbował zrobić krok w bok, ale pośliznął się i upadł. Rzuciłem się na niego. Był diabelnie silny i umiał się bić. Przetaczaliśmy się z jednej strony na drugą, swoim żelaznym uściskiem miażdżył mi klatkę piersiową, kilka razy o mało mnie nie unieruchomił chwytem zapaśniczym. W końcu udało mi się przełożyć przedramiona pod jego brodę i przy pomocy drugiej ręki przydusić. Nawet w ogłuszającym hałasie słyszałem, jak chrapliwie oddycha.

- Dubbony, chcę tylko leków!

Mimo że go dusiłem, wstał i włókł mnie w stronę ślimaka jakbym był szmacianą kukłą. Jednocześnie starał się rozluźnić chwyt wokół swego gardła. Zaparłem się

kolanem o jego pierś i trzymałem ze wszystkich sił. Było to jak próba powalenia byka gołymi rękami. Przycisnął mnie do krawędzi rynny i z niedźwiedzią siłą wciskał do środka. Udało mi się przesunąć rękę o kilka centymetrów i bokiem nadgarstka znalazłem jego tętnicę szyjną. Kiedy zmniejszył się dopływ krwi do mózgu, oczy mu się zamgliły i zmiękł. Odwróciłem go tyłem do rynny i zmusiłem, żeby się odchylił. Zębaty koniec spirali obracał się teraz parę centymetrów od jego skroni. Zwolniłem uścisk, żeby mógł mnie rozumieć.

- Dubbony, do licha, chcę leków! Jesteś przecież doktorem, nie?

Krzyczałem mu prosto do ucha. Teraz wreszcie mnie usłyszał.

- Już dawno nie jestem doktorem, wydobywam złoto! I nikt mi go nie odbierze!

Próbował się wyrwać, ale stał w zbyt niewygodnej pozycji. Jeszcze bardziej przycisnąłem go do rynny. Nie ustąpił i nachylił się, żeby mieć lepsze oparcie. W tej chwili ząb w żelaznej blasze zahaczył o skórę na jego ciemieniu. Zanim zdążyłem zareagować, głowa Dubbony ego zniknęła przemieleną, między ścianą rynny a żelaznym ślimakiem. Przed chwilą był tu zdrowy, może trochę szalony mężczyzna, teraz został z niego bezgłowy kadłub. Otarłem z oczu krew i położyłem bezwładne ciało na ziemi.

Nic się nie udawało, wszystko diabli wzięli. Zabiłem mężczyznę, który jako jedyny potrafił mi pomóc, i mogłem się założyć, że koni na górze już nie będzie. Przekopałem się przez złotonośną rudę. Złote odłamki były cieniutkie i w porównaniu ze skałą macierzystą lekkie. Osadzały się na powierzchni. Ten głupiec nie rozróżniał pirytu, fałszywego złota od złota prawdziwego. Wariat, wszyscy w osadzie byli wariatami.

Jak najszybciej wspiąłem się na górę. Zakład bym wygrał - mężczyzny z końmi nie było. Prawdopodobnie uważał, że Dubbony szybko ze mną skończy. Myślę, że nie byłem pierwszy. W obozie czekała na mnie Annemari, dlatego nie chciałem tracić cza-



su na szukanie wierzchowców. Później mogę wrócić i wyrównać rachunki. Ponieważ nie chciałem się bliżej poznać z kuszą z trzema bełtami, obszedłem osadę szerokim łukiem i dopiero potem ruszyłem z powrotem po własnych śladach. Poruszałem się stylem stepowych gońców - godzina truchtu, piętnaście minut szybkiego marszu - i wyciągałem nogi, ile się dało. Nie miałem wprawdzie nic, czym mógłbym pomóc An-nemari, ale nie chciałem zostawiać jej samej. Może była wystarczająco silna, żeby poradzić sobie z chorobą. Za bardzo w to nie wierzyłem, lecz było to lepsze niż wyobrażanie sobie, że jest już martwa.

Koło północy dotarłem wreszcie do obozu i gdyby z daleka nie ostrzegł mnie wyzywający kobiecy śmiech, wpadłbym między gości jak wygłodniały rosomak. Zatrzymałem się, zszedłem ze ścieżki i schowałem się w cieniu krzewu. Przez całą drogę koncentrowałem się tylko na tym, żeby dojść jak najszybciej i nie zwracałem uwagi na otoczenie, nie obserwowałem śladów. Dziecinny błąd - pozostało mi mieć nadzieję, że nauczy mnie czegoś na przyszłość. Skradałem się do obozu. Znow rozległ się głośny śmiech.

- Nie śmieję się tak, ty babo! Słysząc nas w całej okolicy. - Ktoś próbował uciszyć kobietę, choć jego wrzask rozległ się jeszcze donośniej.

- Jak okiem sięgnąć nikogo nie ma, Miku. Przyznaj się, że jesteś zazdrosny. Zazdrosny, że tej dziewczce podobam się o wiele bardziej niż ty - powiedział ktoś inny głębokim i zadowolonym tonem.

Jest ich co najmniej dwóch.

- Nie ma podoba, nie podoba. Wylosujemy jak należy.

Trzech.

Zbliżałem się powoli i ostrożnie, uważnie wymacując drogę przed sobą. W mo-

kasynach człowiek czuje pod stopą każdą gałązkę, ale w butach jeździeckich stąpa jak słoń. Wystarczy złamać suchy kijek i już wszystko się wydaje. Skuliłem się za resztką drewna z zapasów, które przygotowałem dla Annemari. Na szczęście zachowywali się głośno, a nadmiernie duży ogień trzaskał i huczał. Wyjrzałem spoza chrustu. Czterej mężczyźni i jedna kobieta. Gość, który tak ochoczo pozbawił mnie koni, stał naprzeciwko za ogniskiem i nerwowo chodził tam i z powrotem. Dwóch siedziało obok siebie i podawali sobie butelkę, trzeci ścisnął długowłosą dziewczynę, która robiła, co mogła, żeby mu to ułatwić. Szepnął jej coś do ucha, zamiast odpowiedzi uwodzicielsko się uśmiechnęła. Dopiero teraz zrozumiałem, że to Annemari. Z rozpuszczonymi włosami, kokieteryjnie wydętymi wargami i męską ręką wokół talii ledwie ją poznałem. Żaden gość mi się nie podobał, ale ten obok niej najmniej.

- Będziemy losować - burknął jeden z pijusów.

- Nie podoba mi się tutaj. Boję się, że wróci - prawie krzyknął mój znajomy z jednym okiem.

Towarzysz Annemari sięgnął po butelkę, wychylił i podał dalej.

- Nonsens. Dubbony to wariat i zabił wszystkich, których posłaliśmy do niego do kopalni. Niepotrzebnie straszysz.

- Nie. Ten facet wyglądał na kogoś, kto zdoła poradzić sobie nawet z Dubbonym.

Miał rację, ale szkoda, że nie uświadomił sobie tego wcześniej.

- Ty mi się tak podobasz. Mój poprzedni facet był takim sucharem. Moglibyśmy się spakować, pojechać do miasta i we dwoje zarobić jakąś forszę. Łatwo by poszło. Popatrz. - Annemari mruczała mężczyźnie do ucha tak, żeby słyszeli to wszyscy pozostali. Potem się do niego przytuliła i nawet na siedząco kręciła biodrami. Byłem ciekawy,

gdzie się nauczyła takich słów. I oczywiście, gdzie się nauczyła sztuczki z biodrami.

- Będziemy o nią ciągnąć losy - powtórzył monotonicznie jeden z pijaków. - Mnie nikt nie oszuka.

Drugi chwiejnie się podniósł.

- Idę się wysikać. Jak mi oddacie gorzałkę, możecie się podzielić we trzech.

Mnie baby nie obchodzą.

- A może stąd pójdziemy? - szepnęła głośno Annemari.

Powoli wyciągnąłem miecz z pochwy i trzymałem go w cieniu, żeby nie padł na niego żaden promień światła. Pijak zataczał się prosto w moją stronę i, idąc, rozpinął spodnie.

- Znikamy stąd - zdecydował nagle jednooki. - Jeśli wy dostał się z kopalni, z pewnością tutaj wróci. Zostawił przecież dziewczynę.

Poczekalem, aż pijak wyciągnie penisa ze spodni, ale nie pozwoliłem mu już załatwić potrzeby. Podniosłem się, sieknąłem mieczem od spodu i znów się skuliłem.

Myślę, że nawet mnie nie zauważył. Ucięta głowa, podrzucona w górę ostrzem, doleciała wysokim łukiem aż do ogniska i z głośnym plaśnięciem upadła na trawę między siedzącymi.

- Co to, do diaska! - ktoś wrzasnął.

Wykorzystałem ich oszołomienie, przeskoczyłem stos drewna, i niezgrabnie przewróciłem się na ziemię, ponieważ nadepnałem na pustą butelkę. W chwili, kiedy się podniosłem, drugi pijak zaatakował poziomym cięciem na tułów. Był szybki. Kryłem się, odskakując, i przylepiłem swoje ostrze do jego. Kilka chwil stał ślizgała się po stali. Był dobry, ale za dużo pił i to go spowolniło. Nie zdołał zareagować na moje odciążenie, jego broń odleciała na bok. Ciąłem go przez gardło, a on, nie wydając żadne-

go dźwięku, przewrócił się na plecy. Rozejrzałem się po pozostałych. Jednooki podnosił właśnie kuszę z trzema bełtami. Naciągniętą! Przewrotny gnojek. Stał jakieś dwa metry od ogniska. Było ponad ludzkie siły, żeby dotrzeć do niego na czas. Jestem wysoki, mam długie nogi i jeszcze dłuższe ręce. Robiąc krok w bok, zmieniłem pozycję i zrobiłem długi, niski wypad prosto przez ogień. Każdy nauczyciel szermierki uznałby taki atak za zły, za samobójczy. Dosięgnąłem go, ostrze wbiło mu się na trzy centymetry w pierś, Jeszcze mógł wystrzelić, ale zamiast tego spróbował złapać ostrze. Odbiłem się z tylnej nogi i dodałem brakujące centymetry. Stał, patrzył na mnie, powoli i z wahaniem robił krok w przód, kusza wysliznęła mu się z palców.

Chwyciłem ją lewą ręką i odwróciłem się do ostatniego mężczyzny. W ręce trzymał miecz, lecz właśnie odwracał się do ucieczki. Bez mierzenia strzeliłem z biodra. Niechcący nacisnąłem dwa spusty naraz. Jeden bełt trafił go w lewą połowę pleców, drugi złamał mu kręgosłup. Była to dobra broń. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że wciąż stoję w ognisku, a moje spodnie się palą. Dziesięć metrów do potoku przebyłem trzema susami. Siedziałem w wodzie całą godzinę i miałem nadzieję, że poparzenia w intymnych miejscach nie będą mieć trwałych skutków. Kiedy wróciłem do ogniska, Annemari siedziała na derce, rękoma obejmowała kolana, włosy miała zaplecione w warkocze. Wpatrywała się w ogień, na mnie nawet nie spojrzała.

- Dobrze sobie z nimi poradziłaś. Może byś nawet uciekła beze mnie.

Nie odpowiedziała. Odciągnąłem trupy daleko od obozowiska, żeby nie wabiły kojotów czy innych drapieżników. Idąc z powrotem, znalazłem cztery konie: dwa moje i dwa cudze. Były przywiązane w miejscu, gdzie mogły paść się jedynie krzewami dzikiej róży. Zaprowadziłem je kawałek dalej. Kiedy usiadłem na kocu, ledwo powłóczyłem nogami. Dopadło mnie zmęczenie całego dnia, nie miałem nawet ochoty na je-

dzenie. Ostrożnie, żeby nie urazić poparzonych miejsc, położyłem się i przykryłem.

Ogień przygasł do znośnej wielkości, rozżarzony popiół przyjemnie grzał. Zamknąłem oczy.

- Lubisz zabijać, prawda?

W pierwszej chwili nie rozumiałem.

- Słucham?

- Mówię, że lubisz zabijać. Kochasz zabijanie.

- Ja? Dlaczego tak myślisz?

- Tego ostatniego nie musiałeś zabijać... I to od tyłu. Już uciekał.

Nie zastanawiałem się nad tym. Było to dla mnie tak naturalne, jak dla gospodyni codzienne dojenie bydła.

- Gdybym pozwolił mu odejść, mógłby później wrócić i nas zabić. Musiałem to zrobić. Jestem zmęczony i nie dałbym rady trzymać warty. A nawet gdyby, możliwe, że jutro będę potrzebował wszystkich sił, żeby przeżyć. Jeśli bym się nie wyspał...

Pokręciła głową, w jej oczach odbijały się gasnące płomienie.

- Nie. On by nie wrócił.

Położyła się i wnioskując z oddechu, szybko usnęła. Za to ja stale przekręcałem się z boku na bok. Obserwowałem nocne niebo usiane gwiazdami. Były takie same jak zawsze, a jednocześnie zupełnie inne. Wraz ze zbliżającym się porankiem powietrze się ochłodziło i opadła rosa, oparzenia na wewnętrznej stronie ud trochę szczypały, lecz zimna woda bardzo pomogła. Zastanawiałem się, czy rzeczywiście lubię zabijać.

Spróbowałem przyjrzeć się samemu sobie bez ozdób i bez historyjek, jakie każdy o sobie tworzy. Bolące ciało było jak duży drewniany kłoc, który trzymał mnie przy ziemi i zwracał mi uwagę, gdy moje myśli się rozbiegały. Wiele razy zabijałem i wiele ra-

zy jeszcze to zrobię, lecz przypomniałem sobie również chwile, kiedy pozostawiałem przy życiu. Na przykład ojciec - został wystawiony na moją łaskę i niełaskę, a był to uczciwy pojedynek szermierczy. Mogłem go zabić. Zamiast tego uciekłem z domu, zadowolony się myślą, że go oszpecilem i udowodniłem, że nie jest we wszystkim najlepszy na świecie, jak uparcie myślał. Jednak to stało się bardzo dawno i wspomnienia już nie bolały. Nad ranem doszedłem do wniosku, że nie kocham zabijania. Tak, jestem do niego stworzony, to prawda. Brzydki, z oszpeconą twarzą i nieforemnym, nieestetycznym ciałem, które jednak jest doskonałym narzędziem do szermierki, walki i polowania. Nie jestem najsilniejszy ze wszystkich ludzi, jakich spotkałem, ani najszybszy, najwytrzymalszy czy najsprytniejszy, ale w zasadzie jestem idealnym zabijaką. Może właśnie dlatego tak kocham życie i zrobię wszystko, żeby przejść jak najwięcej dróg, poznać jak najwięcej dziwów i spotkać jak najwięcej ludzi.

Obudziłem się dopiero w południe. Annemari już dawno zrobiła śniadanie, a teraz przygotowywała obiad. W podróży jedliśmy tylko dwa razy dziennie, lecz po wczorajszym musiałem się jeszcze porządnie najeść. Dziewczyna miała, wciąż trochę zmęczoną twarz, ale przyszła do siebie zadziwiająco szybko. Nigdy nie słyszałem o kimś, kto zdołałaby pokonać atak malarii tak szybko. Milczała. Jadłem powoli i obserwowałem ją przy pracy. Utrzymywała ogień, cerowała sobie ubranie i suszyła, mięso na zapas. Uczyła się bardzo szybko. Wystarczyło jakąś czynność pokazać jej raz i już nie trzeba było nic więcej wyjaśniać. W zasadzie wykonywała później robotę jeszcze lepiej niż ja. Na przykład jej ścięgi - uszyłem w życiu wiele kurtek, koszul i spodni, lecz moje nigdy nie wyglądały tak ładnie jak jej.

- Znasz położenie waszego hrabstwa? - spytałem.

- Raz widziałam mapę. Dobrą mapę. Narysował ją Valer, jeden z najlepszych

ludzi ojca.

- Możesz spróbować ją naszkicować?

Odłożyła igłę i zaczęła nadpalonym kijkiem rysować na jeleniej skórze. Gdy skończyła, miałem, już dokładne wyobrażenie o wielkości hrabstwa, położeniu miast, o terenie, górach i ukształtowaniu wybrzeża. Tylko nieliczne mapy, które widziałem, były tak szczegółowe.

- Ci dwaj mężczyźni byli niebotycznymi głupcami.

- Którzy?

- Ci dwaj, od których cię kupiłem.

- Dlaczego?

Pokazałem mapę.

- Każda umiejętność, jaką niewolnik czy niewolnica posiada, zwiększa ich cenę.

Zaczynam myśleć, że zostałam porwana na bezpośrednie zlecenie. Ktoś zażyczył sobie właśnie ciebie i miał wobec ciebie konkretne zamiary.

- Jakie? - zapytała ciekawie.

- Skąd mam wiedzieć? Córka, żona, szefowa kartografów? Z pewnością coś innego niż egzotyczna konkubina w haremie.

- Co to oznacza dla nas?

Skrzywiłem się.

- Po pierwsze, mógłbym dostać za ciebie naprawdę dużo pieniędzy. Po drugie, Varirowie będą nas ścigać, dopóki nie dogonią, albo dopóki nie przekonają się, że jesteśmy martwi.

Albo dopóki oni nie będą martwi, pomyślałem. Ale tego nie powiedziałem już głośno.

- A możliwe, że będą nas ścigać również z powodu związania zemstą rodową.

Jeśli wśród nich byli krewni tych dwóch, których zabiłem. Nie wiem, co gorsze.

Ta myśl mnie zaniepokoiła i nagle nie mogłem usiedzieć w miejscu. Chciałem jak najszybciej odjechać.

- Obozujemy tutaj już za długo. Wyruszymy jeszcze dziś i pójdziemy tak prędko, jak będziemy w stanie.

- Pójdziemy?

- Tak. W lesie konie są niepotrzebne.

Po kilku tygodniach w siodle marsz był wielką zmianą i pierwszego dnia pokonaliśmy zaledwie dziesięć kilometrów, ponieważ oboje czuliśmy się zbyt zmęczeni. Następnego dnia było lepiej, a od trzeciego dnia posuwaliśmy się szybkim tempem. Annemari zamknęła się w sobie i odzywała tylko wtedy, kiedy o coś zapytałem. Czasami łapałem ją na tym, że przypatruje mi się zamyślonym wzrokiem. Mimo że dostosowałem tempo do jej stanu zdrowia, musieliśmy się spieszyć i droga ją wyczerpywała. Po tygodniu malaria wróciła po raz pierwszy. Był to tylko słaby atak, lecz wiedziałem, że nadejdą następne. Jeśli się dało, wykorzystywaliśmy koryta potoków, brzegi bagien, po prostu wszystkie miejsca, gdzie ludzkie ślady szybko giną. Podczas wędrówki po kamienistych terenach nadkładaliśmy całe kilometry drogi, żeby jak najbardziej zmylić i spowolnić prześladowców. Było jednak mało prawdopodobne, że zdołamy ich zgubić. Wytrwali myśliwi wrócą nawet dziesiątki kilometrów do ostatniego znalezionego śladu, a później przeczeszą okolicę koncentrycznymi kręgami, dopóki nie natrafią na następny. Nie byłem pewien, czy Varirowie naprawdę nas ścigają, jednak wciąż się odwracałem i sprawdzałem tyły.

Po czternastu dniach malaria wróciła z pełną siłą, Annemari była co prawda



bardziej wytrzymała niż większość mężczyzn i następnego dnia dała już radę wstać, lecz wiedziałem, że aż do domu nie wytrzyma. Schudła, wyglądała jeszcze bardziej dziecinnie niż wtedy, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy. Zmusiłem ją do całodziennego odpoczynku, a sam ruszyłem na zwiady.

Znalazłem gatunek drzewa, którego młode łyko z wierzchołka używane jest jako lek przeciw gorączce. Aż do wieczora wspinałem się na pnie i przygotowywałem wywar z łyka. Trzy razy o mało przy tym nie spadłem, raz spadłem naprawdę, na szczęście nic mi się nie stało.

Długo w nocy rozmyślałem nad mapą. Jeśli naprawdę byliśmy tam, gdzie myślałem, zdołałbym do granic hrabstwa Daska dotrzeć za czternaście dni szybkiego marszu. Ale Annemari by tego nie przeżyła. Jeśli odbilibyśmy prosto na północ, powinniśmy natrafić na Aguinę, niewielką rzeczkę opływającą wysoko położone lesiste tereny. Rzeka wracała następnie na teren hrabstwa od północnego zachodu. Tylko że w ten sposób przedłużylibyśmy drogę co najmniej o kolejnych osiemset kilometrów.

- Dlaczego to robisz? - wyrwała mnie z zamyślenia.

- Słucham?

Leżała zawinięta we wszystkie koce, które mieliśmy ze sobą, poza nie wystawiała tylko głowę. Dobrą połowę jej wychudłej twarzyczki zajmowały duże oczy.

- Dlaczego tak o mnie dbasz?

To było głupie pytanie i mnie zezłościło. Ciągłe rozmyślanie o varirskich wojownikach, którzy deptali nam po piętach, zrobiło ze mnie porywczego człowieka. Z drugiej strony po raz pierwszy od sześciu dni odezwała się sama z siebie. Poczekałem, aż się uspokoję i odpowiedziałem zgodnie z prawdą:

- Ponieważ cię kupiłem.

- Zapłaciłeś za mnie trzydzieści pięć złotych. Z powodu tak śmiesznej sumy

nadstawiasz głowę?

- Znałem wielu takich, którzy umarli z powodu paru srebrników. I nie zapominaj, że twój ojciec, o ile dotrzemy aż tam, zapłaci mi o wiele więcej niż trzydzieści pięć złotych.

- Często kupujesz kobiety? Mam na myśli: na targowisku.

Nie potrafiłem rozpoznać, czy stroi sobie ze mnie żarty, czyjej pytanie jest poważne. Oczy Annemari błyszczały od gorączki. Właściwie nie przeszkadza mi, kiedy ktoś sobie czasem ze mnie zadrwi, lecz ona trafiła dokładnie w dziesiątkę.

- Zależy, ile mam akurat pieniędzy. Ostatnio byłem w biedzie, ale jeśli przeżyjemy mogłoby to się zmienić.

Nie odpowiedziała, przyglądała mi się w milczeniu. Długą ciszę przerwał szelest wysokiej trawy.

Wyskoczyłem jak na sprężynie, w lewej ręce trzymałem kuszę, w prawej miecz.

Łania, która już chciała wejść na polanę, zatrzymała się. Nacisnąłem wszystkie trzy spusty równocześnie. Dwa bełty chybiły, ale jeden zranił łanię w głowę i zamrocył.

Zanim zwierzę zdążyło dojsć do siebie i uciec, rzuciłem się na nie z nożem i dobiłem.

Cieszyłem się. Już od dwóch dni nic nie upolowałem i nasze zapasy znacznie się skurczyły. Zdobycz prędko wypatroszyłem, sprawiłem, mięso pociąłem na kawałki

I zacząłem opiekać. Zauważyłem, że Annemari przygląda mi się ze wstrętem.

- Jest wiosna. Na pewno ma gdzieś młode - powiedziała, odwróciła się na drugi bok i udawała, że śpi.

Milczałem, ponieważ inaczej wytrząsnąłbym ją z koców i posłał do lasu, żeby

upolowała coś, co nie ma młodych. Może starego grizzly. Ta dziewczyna zbyt łatwo

zachodziła mi za skórę. Jej głupie uwagi dotykały mnie tak mocno, aż sam się dziwiłem.

Następnego dnia rano zwinęliśmy obóz i znów wyruszyliśmy. Szliśmy powoli, trzymaliśmy się szlaków zwierząt, których, w porównaniu z poprzednimi dniami, przybyło. Na tej podstawie wywnioskowałem, że zbliżamy się do rzeki. Krótco po południu natknęliśmy się na małą rzeczkę. Miała dziesięć metrów szerokości i bez szukania brodu przeszedłbym ją, nie mocząc broni. Wokół rosło wiele starych wierzb, a drzewa były tym, czego potrzebowałem.

- Dalej popłyniemy.

Annemari zatrzymała się i popatrzyła na mnie ze zdziwieniem.

- Dokąd? Na czym?

- Ta rzeczka wpływa do Aguiny. Zbuduję kanoe i popłyniemy. Może będzie to trwać dwa miesiące, może trzy, ale jest dopiero maj, do zimy dużo czasu. Uciekniemy Varirom, a ty będziesz mogła odpoczywać. Puszcza jest pełna zwierząt, głodni nie będziemy. Przy odrobinie szczęścia może nam się udać.

Odwróciła się, obrzuciła spojrzeniem puszcę wokół nas, rzeczkę i znów zwróciła się do mnie.

- Tak, może nam się udać.

Miałem nadzieję, że tym samym nasze stare spory zostały zażegnane. W dziczy da się przeżyć tylko wtedy, kiedy ludzie współpracują. Jeśli robię sobie na przekór, prędzej czy później przydarzy im się coś złego i to jest ich koniec. Brzmi jak absurd, ale to rzeczywistość. W wielu książkach podróżniczych czytałem o wyprawach, które z powodu wewnętrznych waśni się rozpadały, a wiele osób potwierdziło mi to osobiście. Natychmiast zabrałem się do pracy. Mówiłem o naszej podróży jakby chodziło

o wypad do miasta po arbuza, lecz w rzeczywistości nie byłem zbyt pewien. Na przykład nigdy nie budowałem kanoe z wierzbowej kory. Widziałem tylko, jak jeden starzec uczy tego dzieci z plemienia. Nie miałem również pojęcia, jak w rzeczywistości wygląda nurt Aguiny. Mogły nas czekać wysokie progi, niemożliwe do pokonania wodospady, nie wiedziałem nic o mieszkańcach puszczy. Może przed nami rozciągały się niezamieszkane tereny, może czekały nas terytorialne wojny plemion tubylców. Anemari prawdopodobnie zdawała sobie z tego sprawę, ale też o tym nie wspominała. Do wieczora udało się nam zwinąć z wikliny podstawę szkieletu nośnego łódki. Przed zachodem słońca znalazłem wzgórze i wspiałem się na najwyższe drzewo. Za drugim razem wybrałem to właściwe. Przede mną rozpościerało się nieskończone połowane morze. Czasami z zielonych fal wynurzał się ptak i znów ginął, wiatr szumiał w koronach, jeszcze bardziej wzmagając wrażenie prawdziwej tafli wody. Stopniowo nad drzewami pojawiała się coraz więcej czarnych kropek, poruszających się charakterystycznym kołyszącym lotem nietoperzy, skośne promienie zachodzącego słońca zabarwiały wysokie chmury na czerwono. Zostałem na górze, dopóki słońce nie zaszło, ale nie znalazłem najmniejszego śladu prześladowców. To jednak nie oznaczało, że nikogo tam nie ma.

Trzeciego dnia wieczorem spuściliśmy kanoe na wodę. Nabierało wody jak sito i gdyby drewno nie pływało, natychmiast poszłoby na dno. Byłem zmęczony i wściekły. Nic na to nie powiedziałem i poszedłem spać. Rano, gdy z nowym zapasem kory wróciłem nad rzeczkę, wyniosłem kanoe na brzeg i stwierdziłem, że drewno rozpułchnięło się od wilgoci, niweczając dziury, i łódź już prawie nie przecieka. Dokonaliśmy kilku ostatnich napraw i poprawek, zlikwidowaliśmy obóz i wyruszyliśmy.

Pierwszego dnia płynęliśmy rzeczką i dopiero o zmroku dotarliśmy do jej ujścia

do Aguiny. Rozbiliśmy obóz bez ogniska, na kolację przeżuliśmy tylko kilka kawałków wędzonego mięsa. Rano czekała, nas niemiła niespodzianka. Na pierwszy rzut oka Aguina wyglądała na szeroką rzekę, ale jej koryto było pełne głazów ozdobionych kołnierzami białej piany woda płynęła z szybkością rwącego potoku górskiego, a w głębszych miejscach kręciły się duże wiry. Napiłem się. Woda migotała błękitem, pachniała lodem i cierpły od niej zęby. Wspaniały obraz, tylko ciarki przechodziły mi po plecach, gdy sobie wyobraziłem, że pokonanie rzeki mam powierzyć naszej lichej łodzi. Annemari była wprost oczarowana, wydawało się, że nie może się doczekać, kiedy wyruszymy. Zazdrościłem jej tego zapachu.

\* \* \*

W ciągu trzech miesięcy pięć razy się przewróciliśmy, raz do utopienia brakowało nam przysłowiowego krocza. Z pierwotnego kanoe, które zrobiliśmy, nie został ani jeden kawałek i stopniowo zbudowaliśmy łódkę, na której można było polegać. Co trzeci dzień zatrzymywaliśmy się na kilka godzin, żeby odpocząć, uzupełnić zapasy i naprawić wyposażenie. Wierzyłem, że definitywnie uciekliśmy Varirom, ale mimo to przez cały czas wlokłem ze sobą kuszę i strzegłem jej jak oka w głowie. Była to niebezpieczna i wyczerpująca podróż, choć jednocześnie wspaniała. Czułem się jakbym żył w wierszu genialnego poety. Z mojej odzieży wiele nie zostało, Annemari też musiała pozszywać sobie ubranie ze skóry. Szybko przewyciężyła malarię i wykonywała swoją część prac. Lubiła polować z krótkim klonowym łukiem, który dla niej zrobiłem, i z reguły przynosiła więcej zdobyczy niż ja. Uważałem, żeby tego nie okazywać, ale codziennie cieszyłem się, że wieczorem będzie rozczesywać swoje długie włosy. Nauczyła się pracować igłą, nićmi i nożem tak dobrze, że odzież wspaniałe na niej leżała i wyglądała niczym leśna księżniczka. Ja zostałem wierny stylowi wiecznego obdartusa.

Wystarczało mi, że raz na trzy dni golilem się nożem.

Siedziałem przy ognisku niedaleko brzegu, żulem mięso z dziką cebulą, Annemari naszywała sobie na kołnierz koszuli muszle, które wyłowiła z wody. Rzeka straciła charakter górskiego potoku, jednak wciąż jeszcze nie była leniwa. Ukształtowanie terenu rozbijało nurt na wiele ślepych i bocznych odnóg i człowiek musiał uważać, żeby dobrze wybrać. Tego dnia już parę razy zawracaliśmy i teraz rozbiliśmy obóz przy korycie rzeki o szerokości zaledwie piętnastu metrów, z czego połowę zajmowały piaszczyste nanosy przy brzegach. Przez środek na szczęście płynęła znaczna ilość wody i dlatego miałem nadzieję, że jutro znów dotrzemy do głównego koryta.

- Jak doprowadzisz do skutku swoją transakcję? - spytała.

Długo trwało, zanim przyzwyczailem się, że zaczyna mówić bez wstępu od razu o tym, co jej przychodzi do głowy. Zabiłem komara, który starał się upić trochę mojej krwi. W ciągu ostatnich dwóch dni pojawiała się ich coraz więcej.

- Transakcję? - powtórzyłem, choć wiedziałem, co ma na myśli. Jej ojciec może był honorowym człowiekiem, przynajmniej tak o nim mówiła, ale nie sądziłem, że będzie miał ochotę negocjować z kimś, kto po pół roku przyprowadza mu z powrotem córkę i twierdzi, że ją uratował. Ponadto chce za to pieniędzy i to niemało. Na razie myślałem o kwocie dwóch tysięcy złotych. Dla niego drobiazg, dla mnie rok bardzo wygodnego życia. Za te pieniądze mógłbym sobie wynająć dom razem z młodą gospodynią. Wynająć? Może nawet i kupić. Jednak z doświadczenia wiedziałem, że po pewnym czasie chleb zacznie mnie kłuć w zęby i znajdę coś, co chętnie zobaczyłbym z bliska. A dom bez właściciela podupada. Z drugiej strony złościła mnie myśl, że będę musiał rozstać się z Annemari. Podobała mi się jej zuchwałość, bezceremonialność i logika, którą czasem zapędzała mnie w kozi róg. Przyzwyczailem się do jej towarzy-

stwa. Odwróciłem wzrok od rzeki i spojrzałem na dziewczynkę. Zorientowałem się, że mnie obserwuje. I znów miała te wielkie, poważne oczy, w które nigdy nie mogłem patrzeć zbyt długo. W duchu podniosłem cenę do trzech tysięcy. Jeśli coś ma przestać mnie złościć, niech coś innego mnie cieszy.

- Zamieszkamy w obozisku niedaleko stolicy, wynajmę posłańca, który zanieśie twemu ojcu wiadomość.

- Nie uwierzy ci.

- Jeśli sama ją napiszesz?

- Myślisz, że mnie zmusisz? - Patrzyła na mnie tym wzrokiem, który mówił:

„Rybo, złap się na haczyk, wyciągnę cię z wody i wrzucę na patelnię, zanim zdążysz się zorientować”. Już próbowałem i wiem, że nie potrafię jej zmusić do niczego.

- Może tego zażądam?

Kącik ust Annemari drgnął. Już się prawie złapałem i czekała mnie teraz ciężka i długa potyczka słowna.

- Albo poproszę?

W oczach błysnął jej śmiech. Przyszyła ostatnią muszelkę, odgryzła ścięgno, które służyło jej za nić.

- Dałoby się. I co dalej?

- Wyznaczę miejsce, gdzie doręczą pieniądze, a kiedy je dostanę, wypuszczę cię wolno.

- Będą na ciebie czatować.

- Z tym sobie poradzę.

- Tak nie zachowuje się wybawca. Przypomina mi to raczej porywacza - zauważyła niewinnie.

- Muszę dbać o swoją skórę. A jako pseudoporywacz - to „pseudo” podkreśliłem

- dostanę za ciebie więcej pieniędzy.

- A o ile poprosisz?

- Cztery tysiące. - Podwyższyłem cenę, choć nagle zdałem sobie sprawę, że będzie mi bardzo brakować przytyków Annemari i żadne pieniądze mi tego braku nie wynagrodzą. I tego rozczesywania włosów będzie mi brakować... W ogóle jej całej będzie mi brakować.

Uśmiechnęła się.

- Nieźle. Po raz pierwszy mi schlebiłeś.

W oczach tańczyły jej ogniki rozbawienia.

- Ojciec chętnie zapłaci. Myślę, że potrzebujesz tych pieniędzy.

- Na co?

W chwili, kiedy pytanie już padło, zdałem sobie sprawę, że się dałem złapać.

- Potrzebujesz domu i dobrej żony, która by o ciebie dbała. Nie jesteś już młodzieńcem, starzejesz się. Będą cię bolały kości, nie dasz rady żuć twardego mięsa, spanie na ziemi stanie się dla ciebie męką, odezwią się dawne rany... - Wzruszyła ramionami. - Przecież dobrze wiesz, o czym mówię.

Ty mała bestio, powiedziałem w duchu, a głośno kontynuowałem:

- Powinienem cię zostawić na tym targowisku.

Roześmiała się radośnie.

Nagle oboje zdaliśmy sobie sprawę, że nasza podróż pomału dobiega końca.

Dla uczczenia wieczoru urządziliśmy wystawną kolację składającą się z trzech dań: na przystawkę zjedliśmy pstrągi z rozna, które przygotowała Annemari, później były placki kukurydziane z borówkami i grzybami, a na koniec dopchaliśmy się dwoma



porządnymi kawałkami udźca z daniela. Przez cały czas żartowaliśmy i kpiliśmy z siebie nawzajem. Poczucie, że najtrudniejsze za nami, podziało na nas niczym kieliszek dobrego wina. Wiedziałem, że podobna noc już nigdy w życiu może nie nastąpić i rozkoszowałem się każdą chwilą. Do snu ułożyliśmy się trochę później niż zwykle, już bardzo dawno nie czułem się taki samotny. Leżałem na piaszczystej plaży z rękoma pod głową i obserwowałem gwiazdy. Nigdy nie przestanie mnie to bawić: wielobarwne zimne światła, na aksamitnym tle nocy. Czasem mi się wydaje, że opowiadają mi o rzeczach, których nie rozumiem, kiedy indziej założyłbym się o ostatniego złotego, że są to tylko małe latarenki zawieszane w czerni. Rzeka cicho szumiała, Annemari spała albo przynajmniej sprawiała takie wrażenie. Choćbym nie wiem jak bardzo się starał, moje myśli w końcu zeszły na nią. Im wcześniej dostanę pieniądze, tym lepiej, ponieważ ta mała czarownica, na poły jeszcze dziecko, oczarowała mnie, a dla takiego człowieka jak ja jest to najgorsza rzecz, jaka może się wydarzyć.

Rano obudziłem się późno. Bolały mnie plecy i znów przypomniała o sobie rana w boku. Jakiś czas temu dźgnął mnie jeden zbyt prędki mnich. Annemari złapała już w rzece śniadanie i teraz opiekowała ryby nad ogniem. Do rozruszania zdrętwiałego ciała najlepszy jest ruch, dlatego pokonałem lenistwo i zdecydowałem, że sobie popływam. Wszedłem do wody, kawałek dalej pod prąd wbiło się stado bocianów. Zasłoniłem oczy przed słońcem i obserwowałem ptaki. Ich młode już podrosły, niedługo wyruszą w podróż na południe. Odwróciłem się z powrotem w stronę rzeki, prąd przyniósł, falę mętnej wody, a wraz z delikatnym powiewem porannego wietrzyku dotarł do mnie ostry odór. Ostry odór potu varirskich wojowników.

- Annemari! Do kanoe. Natychmiast!

Od razu rozpoznała upór w moim głosie, nie dopytywała się, nie protestowała.

Zostawiła ogień, złapała łuk i pobiegła do łódki. Ja za nią, w jednej ręce trzymałem miecz, w drugiej kuszę.

- Usiądź. Popchnę cię i wskoczę.

Pobieżnie sprawdziłem okoliczne brzegi. Z lewej strony ujrzałem dwóch, z prawej - jednego. Mieli pokryte bliznami twarze, w rękach oszczepy. W wąskim korycie rzeki nie prześliznie się nawet kaczka.

- Zostań z tyłu i połóż się. Są po obu stronach. Rzuciłem do kanoe nóż i wepchnąłem łódkę w nurt, jak najszybciej potrafiłem. Kątem oka dostrzegłem pierwszych wojowników wchodzących na naszą plażę. Annemari rozejrzała się i szybko położyła na dnie.

- Dlaczego to robisz? - szepnęła.

Leżała na plecach, oczy miała duże i błyszczące.

- Każdy rozsądny człowiek ochrania swoje inwestycje.

Po raz ostatni popchnąłem kanoe i posłałem je w przód tuż przy mieliźnie na lewym, brzegu, jednocześnie jedną ręką podnosząc kuszę. Obok przeleciał oszczep, ale nie zwróciłem na niego uwagi. Bełt świsnął w powietrzu, wojownik upadł do wody.

Wziąłem na cel następnego. Również drugi oszczep mnie minął. Bali się, żeby Annemari im nie umknęła i zbytnio się spieszyli. Już nie chcieli złapać dziewczynki, chcieli ją zabić. Prawdopodobnie uważali ją za moją żonę i uznali za obiekt zemsty krwi.

Klęknąłem w wodzie, żeby być mniejszym celem, nad głową przeleciała mi strzała.

Varirowie znani są powszechnie jako źli łucznicy. Wciąż trzymałem kuszę jednorącz, ponieważ w drugiej ścisnąłem miecz. Varir na lewym brzegu zamierzył się do rzutu, widziałem, że w ostatniej chwili się zawahał i zdecydował poczekać, aż łódź podpłynie bliżej. W niski cel na wodzie trudno jest wycelować, a on chciał być pewien. W chwili,

kiedy napięły się mięśnie na jego ramionach, wbilem mu bełt w pierś. Jednocześnie oszczep rzucił człowiek na prawym brzegu, ale chybił. Skoczył do wody lecz nie puszczając, że tuż przy brzegu będzie głęboko i zanurzył się pod powierzchnię.

- Annemari, wiosłuj! - wrzasnąłem.

Nagle strzała trafiła mnie w udo. Upadłem na bok, ominął mnie następny oszczep. Na brzegu już było dziewięciu Varirów. Siedząc, wycelowałem w łucznika i wypuściłem ostatni bełt. Wystrzeliłem zbyt szybko, trafiłem go tylko w ramię, ale przy tym rozwaliłem mu łuk. Rozpierzchli się po brzegu i czekali. Nie spieszyli się. Pogodzili się z tym, że Annemari im uciekła i chcieli dostać przynajmniej mnie. Uderzeniem dłoni zламаłem grot strzały która przebiła mi mięsień na wylot i przeszkadzała się poruszać, złapałem miecz obiema rękami i wyszedłem Varirom naprzeciw. Chciałem dostać ich jak najwięcej i tym samym zwiększyć szanse Annemari. Coś uderzyło mnie w brzuch, ale wciąż biegłem. Później ujrzałem ruch ramienia z oszczepem i świat zniknął.

Obudziłem się na ziemi, w głowie mi łupało, upierzony koniec strzały sterczał mi z uda tuż nad kolanem, ręce i nogi miałem związane za plecami. Spętali mnie tak ściśle, że miałem poczucie, iż kręgosłup może mi w każdej chwili pęknąć. Musiałem być nieprzytomny cały dzień, ponieważ już się ściemniło. Varirowie siedzieli przy ognisku i z podnieceniem dyskutowali. Starłem się słuchać, ale mówili zbyt szybko, a mój zamroczony mózg na razie wzbraniał się przed wysiłkiem. Annemari nigdzie nie widziałem. Albo im uciekła, albo ją zabili - choć w to drugie nie wierzyłem. Prawdopodobnie by ją przyprowadzili ze sobą. Znów wsłuchałem się w ich rozmowę. Sprzeczekali się, czy mnie zabić, czy sprzedać jako gladiatora na arenę. Czterech sądziło, że jestem naprawdę dobry i że mogliby za mnie dostać sporo pieniędzy, pięciu chciało

mojej śmierci. Do tej piątki należał również wojownik, który mi wypowiedział zemstę krwi i moje niewolnictwo go nie zadowalało. Twierdził, że jestem zbyt niebezpieczny, żeby zdołali mnie utrzymać w niewoli. Zgodziłem się z nim. Nie chciałem umrzeć jako niewolnik i byłem zdecydowany uciec. Nie czułem do nich złości. Z pewnością byli silnymi, walecznymi, a według ich własnych zasad honorowymi ludźmi. Musieli być tacy, bo inaczej nie zdołaliby mnie śledzić przez ćwierć Kontynentu. Zwyczajni łajdacy rzadko kiedy są tak zawzięci. Ale mimo że tych małych czarnych zabijaków w pewien sposób podziwiałem za ich predyspozycje i umiejętności, dałbym wszystko za pocałunek natchnienia, który by mi podpowiedział, jak zabić Varirów albo przynajmniej im uciec. Do bólu, do którego już się przyzwyczailem, doszedł nowy. Coś mnie kłuło w plecy Najpierw pomyślałem, że to wielki chrząszcz wypróbowuje żuwaczki, lecz później zrozumiałem. Ktoś bardzo niezgrabnie starał się przeciąć więzy. Annemari. Przeklinałem ją w duchu na wszystkie sposoby jakie znałem. Jej głupia próba już z góry skazana była na niepowodzenie, a cały wysiłek zbyteczny Varirowie mają zmysły niczym dzikie zwierzęta. Może i można ich zaskoczyć gdzieś w mieście pełnym ludzi, dźwięków, zapachów i myśli, ale nigdy się ich nie przechytrzy w dziczy. Wiele razy opowiadałem Annemari o umiejętnościach [varirskich](#) wojowników, a mimo to wróciła! Nagle jeden z Varirów się podniósł i przyszedł mnie sprawdzić. Niewątpliwie coś wyczuł, może umiał nawet podświadomie czytać w myślach. Czekałem, aż się schyli i wyciągnie Annemari z cienia jak rybak rybę, ale tylko mnie okrążył, dwa razy wyraźnie powęszył i zadowolony wrócił do ogniska. Dopiero kiedy Annemari kilkakrotnie boleśnie dźgnęła mnie w plecy i w pośladek, zrozumiałem, że ukrywa się w niedalekiej gęstwinie, a poczerwiony nóż przymocowała do długiej gałęzi. W końcu zaniechała starań i zostawiła nóż leżący tuż za mną ostrzem w górę. Choć kosztowało mnie to pa-

rę głębokich ran na przedramionach i łydkach, udało mi się przeciąć pęta. Tymczasem spór między Varirami osiągnął szczyt, kłócili się tak głośno, że odważyłem się szepnąć:

- Co jeszcze tutaj robisz? Uciekaj!

Usłyszałem coś o inwestycji, a później się odczołgała. Przez chwilę poczułem rybi odór. Prawdopodobnie wytarzała się w bagnie, gdzie tarły się jazgarze, dlatego Varirowie jej nie wyczuli. Naprawdę mądra dziewczynka. Rozcierałem nadgarstki i kostki nóg, starając się wznowić obieg krwi. Chciałem uciec tuż nad ranem, gdy Varirowie będą spać, żeby dać Annemari jak najwięcej czasu i jednocześnie zyskać go trochę dla siebie. Niestety, doszli do porozumienia zbyt szybko. Upłynęło niecałe pół godziny i usłyszałem przy ognisku ostatnią decyzję: zabijemy go.

Podniósł się tylko jeden wojownik. W jednej ręce trzymał mój miecz, w drugiej rodowy nóż. Na tle ognia widziałem tylko sylwetkę człowieka. Leżałem, jakbym wciąż był mocno związany, lecz w rzeczywistości zmusiłem wszystkie bolące mięśnie do gotowości. Byłem napięty niczym stalowa sprężyna, ale wiedziałem, że jeśli zdecyduje się ze mną skończyć moim własnym mieczem, na nic mi się to nie zda. Nawet powierzchowne, niedbałe cięcie zraniłoby mnie, półnagięgo, na tyle, że nie miałbym szansy uciec. Zatrzymał się krok przede mną. Widziałem, jak się waha. Prawdopodobnie nigdy wcześniej nie trzymał podobnego oręża. Na próbę zważył go i pokręcił głową. Wydał mu się zbyt długi i niezgrabny. Na szczęście nie zdawał sobie sprawy, że ostrze jest jak brzytwa. W końcu przy mnie kucnął, miecz położył w trawie, a lewą dotknął mojej brody, żeby lepiej widzieć, gdzie mam gardło. Jego wzrok najwyraźniej nie zdążył przystosować się do ciemności. Czulem dotyk jego małej, twardej niczym kamień dłoni, ostry, korzenny odór potu, czarna skóra błyszczała w świetle ogniska.

Wymacał moją tętnicę szyjną, widocznie nie chciał mnie zbyt mocno męczyć. W chwili, kiedy podniósł nóż, lewą ręką błyskawicznie ścisnąłem dłoń Varira w nadgarstku, prawą ręką chwyciłem go za twarz i swoim długim kciukiem wcisnąłem mu oko aż do mózgu. Momentalnie zwiotczał niczym szmaciana lalka. Ostrożnie, żeby nie wydać żadnego dźwięku, położyłem go na trawie. W pozycji pólężącej było to trudne, ale udało mi się. Mimo to rozmowa przy ognisku nagle ucichła i wszyscy spojrzeli w moim kierunku. Wyczuwali śmierć tak samo jak dzikie zwierzęta. Pierwszy z nich wystartował, w obu rękach trzymając długi nóż. Sięgnąłem po miecz, podniosłem się i uderzyłem. Obronił się, upadając na plecy czubek miecza zadrapał go w klatkę piersiową. Natychmiast wyskoczył jak kot. Nie czekałem i rzuciłem się w gęstwinię. Po dziesięciu skokach dźgnął mnie mocno w brzuch koniec niewidocznej w ciemności gałęzi. Gdyby trafił w głowę, prawdopodobnie teraz leżałbym nieprzytomny na ziemi. Już nie biegłem, ale posuwałem się długimi krokami, przygotowany żeby w każdej chwili się zatrzymać lub zmienić kierunek. Słyszałem ich za sobą i wydawało mi się, że wciąż się zbliżają, choć może było to tylko złudzenie spowodowane nerwami. Za każdym razem, kiedy starałem się przyspieszyć, teren albo roślinność dobitnie dawały mi odczuć, że nie widzę z daleka tak dobrze jak nocne drapieżniki. Kilka razy słyszałem okrzyki bólu Varirów. Ucieszyło mnie to. W końcu stoczyłem się do wykrotu po wywróconym drzewie. Nic mi się nie stało, ale potraktowałem to jako ostatnie ostrzeżenie i leżałem tam z mieczem schowanym pod tułowiem, żeby nie odbił się od niego nawet najmniejszy promień księżyca. Otoczenie przed sobą obserwowałem spod w półprzy-  
mkniętych powiek. Chodzili dokoła, ale wystarczył powiew wiatru i szelest źdźbeł trawy zagłuszył wszystko inne. Stopniowo zasypywałem się gliną i butwiejącymi liśćmi, żeby zamaskować zapach własnego ciała i stać się jeszcze bardziej niewidocznym.

Zmuszałem się oddychać głęboko i regularnie w obawie, żeby nie zdradziło mnie bicie własnego serca. Raz wydawało mi się, że pojawiła się nade mną czarna sylwetka, ale nie byłem pewien.

Noc była nieskończenie długa, przesycona ciężkim zapachem próchnicy i wolnym ruchem podziemnych owadów. Niecierpliwie czekałem na chwilę, aż się rozwidni. Najpierw w ciemności pojawiła się mała jaśniejsza plama. Zrozumiałem, że to prześwit w koronach drzew, przez który widać było jaśniejsze niebo. Nie mogłem wyruszyć zbyt wcześnie, ponieważ w ciemności nie dałbym rady uciekać, ani zbyt późno, ponieważ mogliby mnie do tego czasu odnaleźć. Zacząłem ostrożnie rozciągać zastale i obolałe od porannego chłodu mięśnie. Rana na udzie pulsowała w rytm bicia serca.

Prawdopodobnie się zaogniła, ale o tym będę myślał później. Niedaleko trzasnęła gałąź. Początkowo chciałem powoli i ostrożnie wyleźć z wykrotu i niezauważalnie się odczołgać, ale nerwy mnie zawiodły, nie wytrzymałem dalszego czekania. Klęknąłem i zacząłem wdrapywać się na górę. W chwili, kiedy wystawiłem głowę, coś ruszyło się w krzakach w odległości zaledwie trzech kroków. Szurnałem nogami po sypkiej powierzchni i wyskoczyłem zza powalonego drzewa. Było ich słychać wszędzie wokół.

Zacząłem biec do przodu. Nagle pojawiła się przede mną skulona postać. Nie miałem czasu opędzić się mieczem, odepchnąłem go tylko z drogi i pędziłem dalej. Dopiero po kilku krokach sobie uświadomiłem, że zdążył nieprzyjemnie skaleczyć mnie w rękę.

Początkowo uciekałem cwałem, później przybrałem szybkie tempo jak w biegu na wytrzymałość. Każdy dobry biegacz zdoła długo biec w dwóch różnych tempach. Trzymali się za mną. Nie słyszałem ich z powodu hałasu, który sam powodowałem, ale wiedziałem, że tam są. Skoncentrowałem się na terenie przed sobą. Chwila nieuwagi mogła oznaczać zwichniętą kostkę, problemy z oddechem, wyklute oko. Czytałem z liści

leżących na ziemi, zgadywałem, gdzie skrywają się niebezpiecznie ułożone gałęzie, doły wymyte przez wodę, kamienie. Wierzyłem, że szybko ich zgubię. Mam długie nogi i mogę zamęczyć nawet człowieka na koniu. Raz nawet to zrobiłem. Po trzech godzinach zdałem sobie sprawę, że są bliżej, a kiedy zaryzykowałem szybkie spojrzenie w tył, ujrzałem czarne postaci migające między drzewami. Długie nogi nie zdały mi się na nic - na każdym wzniesieniu doganiali mnie o parę metrów. Zdołałem zyskać przewagę podczas zbiegania ze zboczy, ale musiałem przy tym bardzo ryzykować. Po południu przestałem, już mieć nadzieję, że ich zgubię. Szansa, była tylko jedna, ale tak mała i szalona, że nie miałem odwagi o niej myśleć. Od granic hrabstwa Daska dzieliło mnie dwieście, dwieście pięćdziesiąt kilometrów i, o ile dobrze pamiętałem, granicę na tym terenie tworzył dopływ Aguiny. Dwieście pięćdziesiąt kilometrów? To absurd, ale biegłem. Po południu zauważyłem, że brakuje mi sił. Mięśnie w udach zmieniły się w ognistą galaretę, w krzyżu mnie bolało, jak gdyby ktoś kopnął mnie podkutym butem, myślałem, że za chwilę wypluję płuca. Czasem widziałem lub słyszałem Varirów. Czarne sylwetki migające w lesie. Zacząłem zakładać się sam ze sobą, która część mojego ciała zawiedzie jako pierwsza. Typowałem przestrzeloną nogę. Pod wieczór przyspieszyli. Wyciskałem z siebie ostatnie resztki sił i również zwiększyłem prędkość. Starali się mnie dogonić, zanim zapadnie noc. Często zmieniali tempo, próbowali mnie wyprzedzić i zamknąć w dolinach, których mijaliśmy całe dziesiątki. Na szczęście trafiłem na wydeptany szlak i trzymałem się go, nawet wtedy, kiedy odchyłał się od wytyczonego kierunku. Słońce zachodziło, bieg zamieniał się w hazard. Kilka razy mało nie połamane nog w niewidocznych dołach i rozpadlinach, pokaleczone kostki protestowały, podczas zsuwania, się ze wzniesienia naciągnąłem sobie mięsień łydki, ale ciągle pędziłem dalej. Musiałem. Była już prawie noc, kiedy usłyszałem odgłos



upadku i krzyk bólu, później ktoś krzyknął jeszcze raz, choć słabiej. Zatrzymałem się i nasłuchiwałem. Cisza. Na ten dzień gonitwa była zakończona. Może. Zdałem, sobie sprawę, że leżę na ziemi. Chciałem się przykryć liśćmi i trawą, lecz zauważyłem jasny pas na wschodzie. Świtało. Noc minęła jak jedna chwila. Wstałem: Moje zeszywniałe stawy zaprotestowały, zacisnąłem zęby, żeby nie krzyczeć z bólu, ale poruszałem się. Szedłem. Usłyszałem hałas rozgarnianych liści. Też wstawali. Zmusiłem się do truchtu i zastanawiałem się, ile sił zdołam jeszcze wycisnąć z mojego zmordowanego i wychudłego ciała.

W południe złapałem drugi oddech. Nic mnie nie bolało, biegłem lekko i sprężyste, ledwo dotykałem ziemi. Wydawało mi się, że całe moje dotychczasowe życie było tylko przygotowaniem na ten dzień, na tę chwilę. Słońce świeciło na bezchmurnym niebie, las się przerzedził i czasem czułem delikatny powiew wiatru. Głowę miałem bystrą i lekką. Na horyzoncie pojawił się wał przedgórza. Góry nie były wysokie, ale czułem, że długa wspinaczka zadecyduje. Przebiegłem przez rozległą polanę, a kiedy się obejrzałem, zobaczyłem za sobą ośmiu mężczyzn. Truchtali jeden za drugim, mali, czarni i doskonali. Poruszali się oszczędzającym, sposobem drapieźników i w tej doskonałości było coś pięknego.

Teren stopniowo się podnosił, ubywało roślinności i drzew, przybywało kamieni. Nie oglądałem się, chociaż wiedziałem, że są coraz bliżej. Zużyłem całą swoją energię, siłę wewnętrzną, zostało ze mnie już tylko opakowanie, puste w środku. Przestałem zauważać ciało i walczyłem jedynie z porażającą słabością. Wiedziałem, że za górami płynie graniczna rzeka, lecz było mi wszystko jedno. Świat zmienił się w niedoskonałe kulisy teatralne, czułem się jak wymyślona figurka, o której losie decyduje ktoś inny. Wydawało mi się właściwe, że mnie dogonią i zabiją. Próbowałem przy-

najmniej znaleźć jakiś powód, dlaczego powinienem biec, dlaczego miałbym się martwić i walczyć o życie, ale żadnego nie znajdowałem. Zacząłem myśleć filozoficznie i starałem się stwierdzić, czy lepiej będzie żyć, czy umrzeć na miejscu. Odpowiedź brzmiała: umrzeć. Jeszcze chwilę walczyłem sam ze sobą, aż w końcu poddałem się i zatrzymałem. Czekałem na nich na szczycie długiego grzebienia, a pode mną rozpościerał się rozległy widok na lśniącą, niebieską wstążkę, wijącą się wzdłuż granicy lasu.

I nagle znowu biegłem. Coś w środku, aż w samej głębi zwierzęcej duszy, zdecydowało za mnie. Wykorzystywałem nachylenie stoku do jak najdłuższych skoków, w uszach mi szumiało od zmiany ciśnienia, kiedy szybko schodziłem w dolinki. Szli za mną. Małe czarne plamy na zboczu góry. Zacząłem mieć halucynacje. Wydawało mi się, że drzewa zamieniają się w zwierzęta, kamienie w ludzi i wszyscy mnie gonią. Starałem się im uciec, lecz na próżno. Nagle pod nogami zachlupotała mi woda. Zapadłem się w bagno aż po kolana. Moja przewaga szybko się zmniejszyła, znów czułem na plecach oddech Varirów. Wreszcie pokonałem płytki przybrzeżny pas i zanurzyłem się w wodzie. Nurt nie był szybki, ale i tak mnie spychał. Mgliście sobie uświadomiłem, że gdzieś blisko jest Aguina i jeśli prąd zniesie mnie aż tam, to będzie mój koniec. Skoncentrowałem się na przeciwległym brzegu, tam był mój ratunek, moje życie. W chwili, kiedy zacząłem połykać wodę, pod nogami poczułem ziemię. Brodziłem przez następny pas bagna i wysokiej trzciny. Tutaj wam nie wolno! Tutaj jest cywilizowany kraj, nie puszczaj, krzyczałem, ale z mojego gardła wydobywał się tylko zwierzęcy charkot. Dalej już nie mogłem. Całe swoje myśli skoncentrowałem na tym, żeby się dostać tutaj, a gdy nie zatrzymała ich nawet rzeka, definitywnie się poddałem. Wiedziałem, że kiedy przyjdą, bez oporu pozwolę się zabić. Złamali mnie swoją zaciętością

i wytrwałością. Nagle wyczułem obecność innych ludzi - z zarośli wynurzyli się mężczyźni w żołnierskich mundurach, za nimi pojawili się jeźdźcy na koniach. Przejechali koło mnie i zatrzymali się w szeregu przed Varirami. Ci w jednej chwili rozplynęli się w trawie. Podszedł do mnie mężczyzna z rangą oficerską na rękawie.

- Nazywam się Valer, jestem kapitanem hrabiego Daska - przedstawił się.

Był wysoki, potężny w ramionach i przystojny. Uniform leżał na nim doskonale.

Zamiast odpowiedzi zacharczałem.

- Mam rozkaz nie pozwolić tym ludziom - pokazał w kierunku, gdzie jeszcze przed chwilą stali Varirowie - wejść na nasze terytorium.

Całe życie przed nikim nie okazywałem swojej słabości. Teraz pomogło mi to wykrzesać z siebie ostatek sił.

- W momencie, kiedy odwróci się pan do odjazdu, będą wlec się za nami jak cień. Chcą mnie dorwać i nic ich do tego nie zniechęci. - Musiałem się skoncentrować, żebym w ogóle był w stanie mówić. Nie poznawałem własnego głosu, jakby odezwał się starzec na łożu śmierci.

- Zatem musimy ich zabić.

Skinął na swoich ludzi i jednostka ruszyła luźną tyralierą. W środku piechota, za nimi łucznicy, po bokach jeźdźcy.

- Straci pan wielu ludzi, proszę chwilę poczekać - powiedziałem.

Obrzucił mnie krótkim spojrzeniem.

- Co pan proponuje?

Zdawałem sobie sprawę, że tym razem uciekłbym Varirom, ale nie wierzyłem, żeby żołnierze zdołali zabić wszystkich. A gdyby uratował się choćby jeden, byłby

związany ze mną zemstą krwi za zmarłego kompana i śledził mnie aż do końca. A ja już nie miałem siły przeciwstawić się ich nieludzkiej mocy, zwierzęcej zawziętości.

Miałbym przeciwko sobie całe plemię, nie miałbym ani chwili spokoju i wcześniej czy później by mnie dopadli. Ponadto była tu jeszcze Annemari, którą w to wciągnąłem.

- Spróbuję negocjować.

Ciężkim krokiem przeszedłem przez linię żołnierzy i wyszedłem trzydzieści metrów przed nich. Varirowie mogli być wszędzie. Wysoka trawa była dla nich niczym morze.

- Hej! - krzyknąłem w języku varirskim. - Wyrównajmy rachunki! Każdego, komu jestem winien krew, wyzywam na pojedynek!

W pojedynku, który ma rozstrzygnąć zemstę krwi, według varirskich zwyczajów walczą tylko bezpośrednio zainteresowani. Nie znałem ich relacji pokrewieństwa i gdyby wszyscy podali się za braci zmarłego, nie mógłbym powiedzieć nawet słowa i musiałbym stawić czoła ośmiu. Mogli też powiedzieć, że nie jestem członkiem plemienia, więc nie dotyczą mnie ich prawa i nóż w plecy będzie dla mnie w sam raz. Annemari oczywiście zostawiliby w spokoju.

Trawa zafalowała, z zieleni wynurzyło się ośmiu mężczyzn. Jeden z nich, ze szramą na nagiej piersi, machnął ręką i zatrzymał pozostałych.

- Ja jestem bratem Vazga! Jesteś mi winien jego krew!

Jego towarzysze zrobili krok w przód, w rękach nagle trzymali noże.

- Ja jeden!

Na krótką chwilę na ich czarnych twarzach zauważył zaskoczenie.

- Ten pojedynek wyrówna nasz dług!

Przed chwilą nie byłem w stanie podnieść miecza, lecz teraz przybyło mi trochę

sił i byłem przygotowany. W pojedynku jeden na jednego, miecz przeciwko nożowi, nie miałem szans i musiał to bardzo dobrze wiedzieć. Variowie otoczyli nas półokręgiem. Valer zrozumiał, co się dzieje, kazał pozostać żołnierzom na swoich miejscach, a sam podszedł z trojgiem ludzi. Obserwowałem mojego przeciwnika, Był wyczerpany, może nie tak jak ja, ale dwudniowy wyścig też się na nim odbił. Widziałem to w jego twarzy, w oczach, w ruchach. Trzęsły mi się kolana i nie byłem pewien, czy w jakiejś chwili nogi mnie nie zawiodą. Człowiek z bliznami nie spuszczał ze mnie wzroku, z pewnością mnie oceniał. Był o pół metra niższy ode mnie i o dobrych czterdzieści kilo lżejszy, ale mimo to nie było w nim najmniejszego śladu strachu.

- Nigdy nie spotkałem białego człowieka takiego jak ty. Może nie jesteś człowiekiem, ale wilkiem. Może masz tylko niewłaściwy kolor skóry, chociaż na czarnego z dżungli jesteś znów za wysoki.

Milczałem. Nie miałem pojęcia, do czego zmierza. Podobał mi się. Był odważny i dumny, ale wiedziałem, że zrobię wszystko, żeby go zabić i samemu przeżyć. Jeśli to będzie konieczne, przegryzę mu gardło, wydrapię oczy, zmiążdżę jądra.

- Byłbym dumny gdybym miał takiego człowieka w rodzie - powiedział wyraźnie.

Zrozumiałem.

- I ja bym uważał za honor mieć takiego brata jak ty. Wytrwałego jak wilk, silnego jak puma, sprytniejszego niż lis.

Blizny na jego twarzy się poruszyły, zrozumiałem, że się śmieje. Zaciął się w przedramię i podał mi nóż. Zrobiłem to samo, nasza krew zmieszała się w starym rytuale. Staliśmy się braćmi krwi, a wśród krewnych vendetta nie obowiązuje.

- Zawsze cię rozpoznam - powiedział i nagle zdałem sobie sprawę, że ja jego

również.

Skinąłem głową. Bez dalszych słów odwrócili się i zniknęli w trzcinach, jakby nigdy ich tu nie było. A pode mną ugięły się kolana. Leżałem na ziemi i czułem, że nie mogę się powstrzymać, żeby nie usnąć.

\* \* \*

Stałem na tarasie, opierając się dłonią o kamienną poręcz. Polerowany granit chłodził. Było mniej więcej godzinę po północy w mieście paliło się kilka ostatnich świateł. Przede mną na podstawce do czytania leżała książka, na poręczy stał kielich wina. Było to wyśmienite wino, pachniało latem i orzeszkami. Gościem Daska byłem już od czterech tygodni, z czego trzy spędziłem w łóżku w towarzystwie lekarzy i felczerów. Wnioskując z tego, jak się mną opiekowali, byłem szanowanym gościem, można powiedzieć, że nawet przyjacielem rodziny. Stopniowo dowiadywałem się, jak to się stało, że na granicy czekali na mnie żołnierze. Annemari, po tym, jak mi przecięła pęta, wróciła nad rzekę i wiosłowała dzień i noc niczym na wyścigach. Na moje szczęście spotkała dywizjon żołnierzy, który kontrolował właśnie teren za granicami. Oficerowie ją rozpoznali, co dziwne, również posłuchali i obstawili granice dokładnie według jej instrukcji, czym uratowali mi życie. Naprawdę świetna dziewczyna. Wszedł służący i sprawdził, czy czegoś mi nie potrzeba. Wysłałem go spać. Wiedziałem, że na stole w saloniku zostawi pełną butelkę i coś dobrego do przegryzienia. Nie chciało mi się iść do łóżka, rozkoszowałem się chwilami spokoju i luksusu. Potrzebowałem tego. Annemari widziałem tylko raz, trzy dni wcześniej podczas oficjalnego przyjęcia. We wspaniałej sukni, obwieszona klejnotami, w niczym nie przypominała dziewczynki, którą znałem. Później uważałem, żeby jej nigdzie nie spotkać. Dziś dostałem od niej list, ale go nie otworzyłem. Wyczułem, że ktoś wchodzi na taras jeszcze zanim go zo-

baczyłem czy usłyszałem. Varirowie naznaczyli mnie na całe życie, sprawili, że spa-  
dłem aż na samo dno, tam, gdzie - jak myślałem - już nic nie ma. W półmroku rozpo-  
znałam Daska. Jak na hrabiego był zadziwiająco dobrym człowiekiem... Miał trochę  
ponad sześćdziesiąt lat, siwe włosy, twarz pomarszczoną tak, że można by było na niej  
ścierać jabłka, twardszą niż surowa skóra i był prosty jak miecz.

- Nie śpi pan?

- Nie, hrabio. Rozkoszuję się pańskim winem i widokami.

- Widokami? W nocy?

- Tak, hrabio. Widokami nocnego nieba i śpiącego miasta.

- Tak.

Nalałem do kieliszka, który służący postawił tutaj na wszelki wypadek i poda-  
łem Daskowi. Nie tłumaczyłem mu, że Annemari kupiłem na targu i chciałem ją od-  
sprzedać. Trzymałem się historii, że rozpoznałem w niej jego córkę i zdecydowałem  
się pomóc. O pieniądzach nie wspominałem. Po tym, jak Annemari dwa razy uratowa-  
ła mi życie, już żadnych nie chciałem.

- Annemari poprosiła mnie, żebym to panu przekazał.

Podał mi sztywny papier. Zwyczajnym piórem było na nim napisane:

Jutro obchodzę urodziny. Piętnaste urodziny. Napisałam to również w liście,  
ale dla pewności ci przypominam. Mam nadzieję, że przyjdziesz.

Miała zdecydowane i zamaszyste pismo, bez zbędnych zawijasów.

- Jest bardzo podobna do mojej żony - powiedział Dask bez związku. - Wyka-  
pana matka.

Napiłem się.

- Musiał pan więc bardzo tęsknić.

Milcząco skinął głową i kontynuował:

- Annemari mi ufa, nie ma przede mną żadnych tajemnic. Na razie.

Zaczynałem przeczuwać, do czego zmierza stary hrabia.

- Weźmie pan udział w uroczystości?

Dopiłem kielich i głęboko westchnąłem.

- Nie. Myślę, że najwyższy czas wyjechać. Chciałbym zajrzeć do Kanionu Dubiniońskiego. Słyszałem, że są tam ruiny starego miasta wyrzeźbionego w skałach. Nawet w pana bibliotece znalazłem o tym wzmiankę.

Hrabia przytaknął i dolał wina.

- Tak myślałem. Niech pan sobie wybierze w stajni tyle koni, ile potrzebuje.

Stajenny ma przygotowane dla pana wyposażenie. W dwóch torbach przy siodle są kamienie szlachetne za cztery tysiące złotych, do tego trochę pieniędzy na wydatki. W złocie ciężko by to było panu unieść.

- Jest pan praktycznym człowiekiem - powiedziałem.

- Muszę być.

- Żegnam, hrabio. - Kiwnąłem głową.

- Do widzenia.

\* \* \*

Wyjechałem o świcie. Wybrałem sobie trzy dobre konie, na jednego załadowałem jedzenie, na drugiego kamienie i wyposażenie. Zaplanowałem, że zatrzymam się po drodze w Riug, mieście-państwie, które sąsiadowało z hrabstwem Daska, i kupię tam niewielką farmę. Spróbuję znaleźć jakiegoś biednego, ale honorowego człowieka i wynajmę mu ją na pięć lat, proponując udział w zyskach. Konie powoli szły przez park, nawet ich za bardzo nie popędzałem. Słońce zabarwiało horyzont na różowo,



piasek skrzypiał pod kopytami, na liściach błyszczały krople rosy. Zamyślony siedziałem w siodle i nie zwracałem uwagi na okolicę. Trochę się wzdrygnąłem, kiedy usłyszałem z góry:

- Odjeżdżasz, wstręciuchu?

Siedziała na kładce nad drogą ubrana w myśliwskie spodnie i skórzaną kamizelkę, machała nogami jak mała dziewczynka. W świetle pierwszych promieni słońca jej włosy wydawały się całkiem rude, ale nie można było już o Annemari powiedzieć, że jest małą dziewczynką. Nawet jeśli wciąż była mała.

- Wstręciuch? To mam być ja?

- Od samego rana już jest gorąco. Tak, to ty. Nigdy nie zdradziłeś mi swojego imienia.

Koń sam się zatrzymał.

- Wstręciuch całkiem do mnie pasuje.

- Jak chcesz. Czytałeś mój list?

- Nie.

- Oddaj mi go.

- Nie.

- Jesteś draniem.

- Tak.

Zamilkła. Przez chwilę się jej przyglądałem, a później wolałem uciec wzrokiem.

- Wstręciuchu - obracała to słowo w ustach, jakby je smakowała. - Poczekam

trzy lata. Za trzy lata dokładnie tego dnia będę obchodzić osiemnaste urodziny i oficjalnie przy tej okazji się zaręczę.

- Bardzo wybiegasz w przyszłość.

- Nie ja. Ojciec. Mówi, że niedługo będzie stary i chce, żebym miała męża. Dał mi jeszcze trzy lata.

- Mądry człowiek. A jakie masz plany na najbliższy czas?

- Słyszałeś. Wyruszę do wielkiego świata poznać wielu młodych mężczyzn. Żebym miała z czego wybierać i nie zadowolili się pierwszym, którego spotkam.

- Myślę, że to najmądrzejsze, co może zrobić młoda dama.

Skinęła głową, ale miała minę, jakby było jej to nie w smak.

Patrzyłem na nią i boleśnie sobie uświadamiałem każdy swój krok. Byłem prawie trzy razy starszy. Koń prychnął i niecierpliwie się poruszył. Annemari skrzywiła się, jakby czytała w moich myślach.

- Gdzie będziesz dziś spał?

- W drodze.

- Starzejesz się, wstręciuchu. Chłód i wilgoć już ci nie służą, odezwią się dawne rany, nic nie będzie jak dawniej. Trzy tygodnie przeleżałeś w łóżku, zanim doszedłeś do siebie. Założę się, że dziesięć lat temu zajęłoby ci to tydzień, a dwadzieścia lat temu nie potrzebowałbyś nawet doktora.

Bestia w owczej skórze.

- Naprawdę powinienem cię zostawić na tym targowisku, czułbym się teraz o wiele lepiej.

- Może.

Popędziłem konia.

- Żegnaj, Annemari.

- Mój ojciec dał ci cztery tysiące w kamieniach. Wykradłam ci jeden mały szmaragd o wartości trzydziestu pięciu złotych. Pamiętaj, że mądrzy ludzie pilnują swoich

inwestycji.

\* \* \*

Tego dnia podróż nie sprawiała mi przyjemności. Wieczorem zawinąłem się w koce i obudziłem się z zimna jeszcze przed świtem. Liście sztywne od szronu chrzęściły przy każdym ruchu, szczękałem zębami. Babie lato skończyło się niespodziewanie nagle. Do tego wszystkiego nad ranem jeszcze się zachmurzyło i zaczął padać drobny deszcz. Kiedy wdrapywałem się na siodło, zakłuło mnie w udzie, jakby rana zagoiła się dopiero wczoraj.

# OSTRA GRA

Region chlubił się swoją surowością i niegościnnością, tak jak karczemy wykidajło starymi bliznami na twarzy. Kępy żółtej trawy na zmianę z wygładzonymi przez wiatr gładzami, tylko czasem monotonna szarość kurzu i żwiru zakłócały brudnozielone zarośla ciernistych krzewów i koliste zarośla wiecznie żywej *Larrei tridentaty*. Jeśli jednak człowiek przyglądał się uważniej, zauważał, że pustkowie nie jest martwe. Nawet z siodła widziałem ślady drobnych gryzoni, wysoko na niebie krążyły ptaki poszukujące łupu, słyszałem bzyczenie owadów. Na to niegościnnie pustkowie dotarło też życie: woda pojawiała się w miejscach, w których zupełnie nie można było się jej spodziewać, rozpoczynały się coraz to nowe rundy niekończącej się walki, w której mogą przeżyć tylko najsilniejsi. Zostawiłem konia, żeby szedł swoim tempem i podziwiałem nieustające starania przyrody, żeby zapełnić nawet te najbardziej nieprzyjazne zakątki świata.

Gdy wjechałem na piaszczystą wydnię, rozpostarł się przede mną widok na miasteczko. Nawet z daleka było widać, że domy są drewniane, a ulice między nimi tworzy jedynie ubita ziemia bez śladów bruku. Podupadłe miasto albo raczej większa osada hodowców bydła, gdzie diabeł mówi dobranoc. W swoim życiu odwiedziłem mnóstwo podobnych miejsc. Problem w tym, że według oficjalnej mapy - tylko na potrzeby armii, którą kupiłem na lewo od cesarskiego kartografa - żadnego miasta nie powinno tutaj być. Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie ominąć go szerokim łukiem. Po tym, jak sprzedałem duamskiemu hrabiemu informacje o nieuczciwych praktykach jego crambijskich przyjaciół, krwawych masakr i cywilizacji miałem powyżej uszu, a w kieszeniach wystarczającą ilość złota, żeby sobie kupić wszystko, czego będę potrzebował w ciągu najbliższych kilku miesięcy. Zmierzałem na wschód

wzdłuż południowego krańca Pustyni Gutawskiej w nadziei, że dotrę aż na wybrzeże oceanu. Zgodnie z planem miałem przejeżdżać przez opuszczony kamienisty region bez śladu jakiegokolwiek osiedlenia. A teraz było tutaj to miasteczko. W końcu, jak już wiele razy wcześniej, zwyciężyła moja ciekawość. I jak wiele razy wcześniej, miałem niejasne przeczucie, że będzie mnie to trochę kosztować.

Z bliska już na pierwszy rzut oka wydało się jasne, że coś tu jest nie w porządku. Opuszczone budynki, powybijane okna, dziurawe dachy i drzwi powyjmowane z zawiasów zdradzały że nikt się o domostwa nie troszczy. Jednak w powietrzu unosił się niezidentyfikowany zapach czy może odór, zależy od upodobań, który nieomylnie zdradzał obecność ludzi. Zatrzymałem się, naciągnąłem kuszę i położyłem ją na kolanach, żeby była pod ręką. Moja kusza to broń z łuczyskiem zrobionym z kilku różnych rodzajów drewna, masy rogowej i ścięgien zwierzęcych oraz naciągami około stu kilogramów. Dobra do strzelania na duże odległości, jak na moje strzeleckie umiejętności aż za dobra.

Kontynuowałem wędrowkę środkiem ulicy, ciszę gorącego, pełnego kurzu wczesnego wieczoru przerywał tylko chrzęst żwiru pod kopytami konia. W ustach czułem gorzkawy posmak krzemowego piasku. Słońce świeciło mi w oczy, żałowałem, że gdzieś w okolicy nie kupiłem sobie ulubionego kapelusza z szerokim rondem. Wystarczyłby nawet słomiany. Minąłem duży, trzypiętrowy dom. Z dwóch kominów się dymiło, w męczącej, bezwietrznej pogodzie w oknach zwisały wyblakłe zasłony. Szacowałem, że obserwuje mnie co najmniej pięć osób, w ciemnym prostokącie otwartych drzwi rozpoznawałem rozmazaną sylwetkę.

Dotarłem aż na plac, a raczej na zakurzony skwer otoczony ze wszystkich stron budynkami. W okolicy w której ludzie nie cierpieli na niedostatek wody pośrodku na

pewno znajdowałby się błotnisty stawik z kaczkami i gęśmi. Tutaj zamiast niego była studnia. Zadaszona, z solidną poręczą i potężnym drewnianym kołowrotem. Prześtrzeń wokół wyłożono łupkami. Po przeciwległej stronie placu stał rozległy parterowy dom z wyblakłym od słońca szyldem nad drzwiami, Z koloru, którym kiedyś był pomalowany, został tylko niewyraźny różowawy odcień.

Dopiero z bardzo bliska zdołałem rozszyfrować, co na nim napisano: „Gospoda U Pijaka”.

Litery przekrzywiały się w jedną stronę i wyglądały jakby stawiało je dziecko.

Dach budynku był naprawiony, okna przymknięte, na zewnątrz wydostawał się zapach pieczonego mięsa. Nigdzie nie widziałem stajni. Zamotałem uzdę wokół poręczy przed drzwiami, mała weranda chroniła konia przed słońcem. Chciało mi się pić, mojemu koniowi również. Spuściłem do studni wiadro, napełniłem je, wyciągnąłem i skosztowałem. Wystarczyło parę łyków, żeby czoło pokryło mi się potem. Woda była zimna, ale miała wyraźny słodkawy smak, jakby zawierała zbyt wiele gipsu. Zaniósłem wodę wierzchowcowi, na szyi powiesiłem mu płócienny worek z owsem i wyruszyłem znaleźć coś do jedzenia.

W oberży panował przyjemny półmrok, a dzięki uchylonym oknom w pomieszczeniu czuło się lekki przeciąg. Po męczącym dniu na słońcu przyjemna odmiana.

Szynkwas ciągnął się przez całą długość sali, półki na ścianie za nim zapełniały niezliczone ilości kieliszków i butelek. Większość z nich była pełna, niektóre już na pierwszy rzut oka wyglądały na bardzo stare i znakomite. Wąskich drzwi ukrytych między półkami prawie nie zauważyłem. Wybrałem stół w lewym rogu i usiadłem tyłem do ściany bagaż położyłem na ławie obok. Dźwięk moich kroków już dawno przebrzmiał, a wciąż nikt nie przychodził. Ogarnęło mnie uczucie, że mogę tak siedzieć godzinę,

dwie, rok, pięć lat, dopóki nie przyjdzie tu następny włóczęga i nie znajdzie za stołem mojego szkieletu. Przez okno z mojej prawej strony widziałem dużą część placu.

Oprócz sporadycznego dreptania konia i bzyczenia wszechobecnych much panowała martwa cisza.

- Czego pan sobie życzy? - rozległo się od drzwi za szynkwasem.

Dopiero po chwili w półmroku ujrzałem sylwetkę człowieka. Wydawał się mały i miał starczy zachrypnięty głos.

- Coś do jedzenia i do picia - zamówiłem.

- Do jedzenia może pan dostać fasolę z pieczoną koniną i kawałek chleba. Nic innego dziś nie mam. Co pan chce do picia?

- Dzban wody i może trochę wina. O ile nie przechowuje go pan zbyt długo - dodałem szybko, ponieważ w miejscowym klimacie wino, nawet w najlepszej beczce, szybko by się popsuło.

Cień w drzwiach zniknął i znów zagościła cisza, uczucie nierzeczywistości i straszliwości jeszcze się zwiększyło. Miasteczko na pustkowiu, które w ogóle nie powinno istnieć, gospoda bez klientów i obsługi. Tylko leniwe muchy polatywały, jakby wszystko było w najlepszym porządku. Za moment tajemniczy karczmarz pojawił się w świetle dziennym. Był to naprawdę stary człowiek, niewysoki, wysuszony starością i słońcem. Na twarzy nie miał ani jednego miejsca, którego nie pokrywałyby zmarszczki. Kroczył niczym mechaniczna zabawka, której stawy pozwalają na poruszanie się tylko w jednej płaszczyźnie. Otworzył drzwiczki w szynkwasie i przyczłapał do stołu. Postawił przede mną kamienny dzbanek z wodą i cienkościenny kielich z czystego szkła. W surowym otoczeniu i na stole wykonanym z nieobrobionego drewna wyglądał jakoś tak niestosownie i wydawało się, że w każdej chwili może się rozpaść. Szkło

załamywało promienie zachodzącego słońca, rzucając do pomieszczenia wiele migotliwych odblasków. Starzec oficjalnie nalał mi białego wina z zakurzonej butelki. Szkło natychmiast się zrosiło. Nie umiałem sobie wyobrazić, jak zdołał tak doskonale schłodzić napój. Może był czarownikiem? Podniosłem kielich i napiłem się. Wino smakowało zupełnie inaczej, niż się spodziewałem w podejrzanej knajpie, w zapomnianym mieście na obrzeżach pustyni. W pierwszym momencie pachniało zielonymi jabłkami, za chwilę jego zapach i smak dojrzewał, aż pojawił się w nim agrest, winogrona i kwitnąca trawa. Wino miało właściwą temperaturę i jeszcze długo po przełknięciu można było wyczuć na języku delikatne mrowienie.

- Ma pan więcej takich butelek? - spytałem.

- Tak, panie. Pasuje panu? - odpowiedział starzec.

Zdobyłem się tylko na skinienie głową.

Było wyśmienite. Wątpiłem, czy istnieje królewski dwór, gdzie podawano lepsze. Może dostałem się do nieba pijaków? Albo do piekła, po pierwszym kieliszku nigdy nie wiadomo.

- Myślę, że zatrzymam się tu na kilka dni. Muszę odpocząć.

Wzruszył ramionami.

- To pana sprawa, ale tutejszy klimat nie jest taki zdrowy jakby się mogło wydawać na pierwszy rzut oka. Bywa tu też bardziej gwaro.

Jakby na potwierdzenie jego słów, na zewnątrz rozległ się chrzęst żwiru. Starzec wrócił za kontuar.

Dwuskrzydłowe drzwi się rozwarły i do środka wszedł zgięty od krzywicy, oszpecony przez ospę mężczyzna odziany na czarno. Czarne spodnie, czarna kurtka i czarny płaszcz. Nie rozumiałem, jak to możliwe, że się nie ugotuje w swoim ubraniu.



Przez chwilę przyglądał mi się tak, jak rzeźnik ogląda prosię w chlewie. Później z zadowoleniem skinął głową i poczłapał na zewnątrz.

- Kto to był? - zapytałem.

- Aechyl, miejscowy grabarz - odpowiedział starzec. - Wziął pana wymiary.

- Grabarz? Tutaj?

Wszystko wydało mi się nagle zdecydowanie dziwniejsze. Co mógł robić grabarz w prawie zupełnie opuszczonym miasteczku na obrzeżu pustyni?

- Kogo tutaj grzebie i kto mu za to płaci?

Starzec znowu wzruszył ramionami i zdawało się, że nie odpowie.

- Co chwila kogoś i co chwila ktoś inny - namyślił się jednak.

Znów rozległ się chrzęst żwiru, tym razem, jednak do karczmy nikt nie wszedł.

Czułem, jak ktoś przygląda mi się przez okno. Nie zainteresowałem go na tyle, żeby zamienił ze mną parę słów i zaraz odszedł.

Dopiłem wino i nalałem, sobie kolejny kielich, starzec tymczasem przygotowywał w kuchni jedzenie. Nie spieszyłem się - jeśli podobnych butelek miał dosyć, mogłem tutaj spokojnie spędzić kilka dni i odpocząć. Gorący klimat nigdy mi nie przeszkadzał. Z zamyślenia ponownie wyrwały mnie kroki. Tym razem przyszło więcej osób naraz. Po dźwiękach zgadywałem, że to trzech mężczyzn. Wydawało się, że najlepszym sposobem poznania miejscowych było nieruszanie się z miejsca i siedzenie w gospodzie. Drzwi z trzaskiem się rozwarły, do sali wpadł olbrzymi mężczyzna, a za nim dwóch następnych. Głową prawie dotykał sufitu, ubrany był jedynie w spodnie jeździeckie i skórzaną kamizelkę bez rękawów. Pod opaloną skórą grały mu potężne, nieforemne mięśnie. Jego bicepsy były tak grube jak moje uda. Mógł mieć koło dwudziestki, ale słońce rozjaśniło mu włosy do białości.

- Hej, Klod! Daj każdemu kielicha porządnej gorzałki! Albo lepiej przynieś całą butelkę! - krzyknął olbrzym swobodnie w przestrzeń i ruszył do najbliższego stołu.

Wydawało się, że mnie nie zauważył, lecz musiałby być ślepy, żeby nie zauważyć konia przed gospodą.

- O! Wizyta! - powiedział nagle z udawanym zaskoczeniem i skierował się w moją stronę.

Sterczał nade mną jak wieża.

- Zająłeś moje miejsce, spadaj! - krzyknął w ten sam sposób, w jaki przed momentem zamawiał gorzałkę.

Żeby wyrzucić jeszcze większy efekt, poparł zdanie wściekłym gestem. Zmieniłem zdanie - jego ramiona były o wiele grubsze niż moje nogi, zamiast do ud porównałbym je raczej do pasa.

- Więc usiądź obok - poradziłem mu.

Moja swoboda go zdziwiła, przez chwilę stał i przyglądał mi się, jakbym miał na czole trzecie oko. Jego kompani wybuchli śmiechem. Oni stanowili prawdziwe niebezpieczeństwo. Wprawieni w bójkach faceci, ostrzy jak tarcza do polerowania mieczy i podstępni niczym trucizna w kielichu wina. Młody olbrzym był może gburem, który lubił bijatyki, ale nie był zabijaką. Miał, co prawda, za pasem potężny nóż myśliwski, ale ręce trzymał daleko od rękonoży i w odróżnieniu od towarzyszy nie zamierzał po niego sięgać. Może jednak miał w zwyczaju zabijać gołymi rękami? Bez ostrzeżenia złapał mnie za poły płaszcza, a zrobił to tak szybko, że aż mnie zaskoczył. Nie doceniłem olbrzyma. Kopnąłem go pod kolano, ale równie dobrze mogłem walić w słup podpierający sklepienie katedry. Warknął, w ostatniej chwili odsunąłem głowę i pięść ześliznęła się po moim czole. Wykręciłem się w bok, dzięki czemu mnie puścił, zrobiłem

krok w tył i dwa razy z rzędu mocno uderzyłem go w dolną część klatki piersiowej. Znow nie zdołałem całkiem się uchylić i miażdżący lewy sierpowy roztrzaskał mi lewe ramię. Zdałem sobie sprawę, że z obu stron stoją jego kompani. Wskoczyłem w górę, kopnąłem chłopaka piętą w pierś i jeszcze, zanim opadłem, podarowałem facetowi z prawej wierzchem stopy cios w skroń. Olbrzym się zachwiał, ale ułamek sekundy później, pod lawiną twardych pięści, musiałem wycofać się aż do ściany. Zainkasowałem pierwszy cios, drugi, trzeci, każdy czułem w kościach i straciłem władzę nad ciałem. Mężczyzna z lewej wyciągnął krótki, zakrzywiony miecz, może szablę. Pozwoliłem, żeby jeden szybki prosty ześliznął mi się po ramieniu, nachyliłem się pod wyciągniętą ręką, złapałem gościa za rękaw, wykręciłem się plecami i wciągnąłem olbrzyma na siebie. Ci, którzy uprawiają zapasy nazywają ten chwyt ippon seoi-nage. Ippon, ponieważ decyduje o wyniku walki. Jeśli arena nie jest wykonana z miękkiej włosianki lub delikatnego piasku, przeciwnik zazwyczaj nie wstanie. Przerzuciłem go przez siebie, ciężkie ciało zadudniło o podłogę. Mężczyzna z mieczem musiał przerwać atak, ponieważ nie chciał zranić swojego towarzysza, i wypadł z rytmu. Doskoczyłem do niego i w ten sposób jego miecz miałem za sobą. Całym ciężarem opierał się na tylnej nodze. Podciąłem go i zanim upadł na ziemię, przydusiłem. Pod palcami czułem puls w jego tętnicy szyjnej. Podduszenie podziałało i do mózgu nie dotarła ani kropla krwi. Pod dwóch sekundach stracił przytomność, a po kilku kolejnych był martwy

Powoli się podniosłem. Pierwsze, co zarejestrowałem, to bzyczenie much. Mężczyzna, którego kopnąłem w skroń, niepewnie wstał i chwiejąc się, wyszedł na zewnątrz. Powieki olbrzyma drgnęły, otworzył oczy. Nawet na ziemi nie wydawał się mniejszy. Przy upadku rozdarło mu się zapięcie kurtki i zrozumiałem, dlaczego przeżył moje uderzenie w splot słoneczny Jego mięśnie na piersiach przypominały pan-

cerz, który noszą turniejowi rycerze zakuci w stal. Pokrywały całą klatkę piersiową i częściowo chroniły również górną część brzucha. Mrugnął kilka razy i głęboko odechnął. Przy każdym ruchu pod cienką skórą rysowały się prążkowane mięśnie. Spokojnie mógłby służyć za żywy podręcznik anatomii.

Zostawiłem go na ziemi i usiadłem z powrotem przy stole. Starzec, a właściwie Klod - już wiedziałem, jak się nazywa - ostrożnie przeszedł nad ciałami i postawił przede mną wielką misę z jedzeniem. Jak na karczmarza był całkiem spokojny. Zacząłem jeść. Jedzenie nie smakowało wprawdzie tak dobrze jak wino, ale za to było go sporo.

Młodzieniec tymczasem doszedł do siebie i wstał. Wciąż sterczał nade mną niczym wieża, ale nie wyglądało na to, że chce rozpocząć kolejną rundę.

- Pan go zabił - powiedział ze zdziwieniem.

- A ciebie nie - zgodziłem się. - Proszę przynieść kieliszek i następną butelkę tego świetnego wina - zwróciłem się do Kloda.

- Nazywam się Varez - zdradził mi olbrzym, kiedy usiadł. - Dlaczego mnie pan nie dobił?

- Nie wiem. Chyba dlatego, że nie jesteś zabijaką. Chociaż twoi kompani byli.

Przez chwilę milczał zakłopotany

- Jestem tu nowy i... wyobrażałem sobie tę pracę trochę inaczej. Na mój gust to wszystko jest trochę za ostre. Propozycja brzmiała dobrze: pilnowanie towaru. Tylko że tutaj nie ma żadnych uczciwych kupców, sami szmuglerzy - rozgadał się.

- Szmuglerzy?

- Jasne. Ja pracuję dla Thomasa Danwooda. Nie należy pan do nas, a wśród ludzi Mustardiego też pana nie widziałem, więc zawieszenie broni nie obowiązuje. Po-

wiedziałem sobie, że pomogę panu w jak najszybszej ucieczce.

- Ale twoi kompani chcieli mnie zabić - dodałem.

Varez pochmurnie skinął głową.

- Mojemu szefowi się nie spodoba, gdy się dowie, że pan wykończył Kvagusa.

Powinien pan zniknąć.

Varez może lubił bójki, ale był młody, naiwny i w jakiś szczególny sposób honorowy.

- A co, jeśli szef ci zleci, żebyś spróbował ze mną jeszcze raz? - spytałem.

Milczał.

- Jesteś najlepszym zapaśnikiem, jakiego kiedykolwiek spotkałem. Ale nie jesteś mordercą. Nie masz tego we krwi.

Wciąż milczał.

- Co tu się szmugluje? - zmieniłem temat.

- Głównie dywany. Przez szereg starych oaz na Pustyni Gutawskiej. Długo był tu spokój, Danwood z Mustardim dzielili towary pół na pół. Teraz coś zaczęło iść nie tak, ponieważ wynajmują nowych ludzi. Mnie wynajął Danwood. Za dziewięć srebrnych tygodniowo.

Varez zamilkł, a po chwili wstał.

- Dostałem dobrą lekcję, panie. Nagle zaczęło mi się wydawać, że dziewięć srebrnych to nie jest znowu aż tak wiele. I jeszcze raz panu radzę, niech pan zniknie zanim się tu pokaże mój szef. Właściwie mój były szef.

Na pożegnanie dotknął palcami skroni i skierował się do wyjścia. Wahadłowe drzwi skrzypnęły, chłopak zniknął w oślepiającym słońcu. Byłem ciekawy, co na dezerccję powie człowiek, który przez cały czas czekał na zewnątrz.

Za bardzo rozpuściłeś język, młody - usłyszałem syczący głos. Później rozległ się charakterystyczny dźwięk stali wyciąganej ze skórzanego futerału. Piach zaskrzy-piał, raz za razem głucho zadudniło, przy drugim uderzeniu trzasnęła kość. Kiedy wy-cierałem misę ostatnim kęsem chleba, zobaczyłem, jak Varez odjeżdża na koniu w kierunku zachodnim.

- Miał więcej rozumu niż się wydawało - oznajmił cicho Klod. - Mówiłem panu, że jest tu czasem dość gwarно i radzę panu, żeby wziął pan z niego przykład.

- No nie! Jeden tutaj, a reszta w środku! To będzie dobry zarobek! - powiedział ktoś na zewnątrz.

Do karczmy wszedł grabarz Aechyl z rozweseloną twarzą. W ręce trzymał lasso, mniej więcej dziesięć metrów mocnej liny zrobionej z wołowej skóry. Nie jest tak do-bra jak porządne sznury z łyka, ale na terenach, gdzie hoduje się bydło o wiele tańsza i do rzucania lassem - łapania zwierząt na pętlę - nawet lepsza. Aechyl jednak nie łapał młodych cieląt czy krów. Zręcznie zawiązał martwemu wokół nóg podwójną pętlę.

Byłem ciekawy, jak sobie poradzi. Nie wyglądał na osiłka, a ciągnięcie bezwładnego ciała jest zawsze cięższe niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

- Ole! - wykrzyknął i nagle do sali posłusznie wszedł tyłem wielbłąd. Aechyl zręcznie przywiązał drugi koniec liny do kuli siodła i krzyknął po raz drugi. Zwierzę ruszyło i pociągnęło ciało za sobą, jedna ostroga robiła w podłodze z desek głęboką ryse.

- Po zmroku jestem z powrotem, Klod. Przygotuj mi tę moją truciznę - krzyknął jeszcze i już go nie było.

Jakkabardi może i było typową dziurą, ale usługi pogrzebowe działały tutaj bardzo efektywnie. Cesarscy urzędnicy mogli z nich brać przykład.

- Mogę dostać jeszcze jeden dzbanek wina i karafkę wody? - zapytałem Kłoda.

Wzruszył ramionami.

- Pewnie, panie. Za moment będą tu ludzie Danwooda, ale to już pana sprawa.

Chętnie przyniosę każdy napój, jaki pan zamówi.

Miał rację. Danwood ze swoją bandą przyszedł, zanim zdążyłem dopić pierwszy kielich.

Danwood okazał się niewysokim, barczystym mężczyzną z karkiem tak szerokim, że wyglądało, jakby głowa wyrastała z tułowia. Zarost na nieogolonej twarzy bardziej przypominał sierść niż brodę, co jeszcze bardziej podkreślało jego dziki wygląd. Uzbrojony był w szablę koczowniczą, do pary miał jeszcze smukły leworęczny sztylet z dużą osłoną. Towarzyszyło mu sześciu ludzi, wszyscy o podobnie niedbałym wyglądzie, z kapeluszami opuszczonymi na czoło. Dwóch niosło ze sobą kusze, jeden długi łuk. Niewątpliwie przyboczni strzelcy. Danwood zatrzymał się trzy kroki przed moim stołem. Jego ochrona rozstawiła się w półokręgu.

- Zabiłeś mi dwóch ludzi - powiedział i czekał.

Nie wyglądało to dla mnie zbyt różowo, ale również nie beznadziejnie. Ludzie Danwooda byli ostrożni i niezbyt skorzy do potyczki, chociaż mieli przewagę.

- Tylko jednego - poprawiłem go. - Nie wiedziałem, że należy do pana, ale nawet gdyby miał to wytatuowane na czole, nic by to nie zmieniło. Ugryzł twardszy kęs niż potrafił przeżuć.

- Gdzie jest Varez? - rzucił Danwood w przestrzeń, nie spuszczając ze mnie oczu.

Nie miałem pojęcia, kogo pyta. Na pierwszy rzut oka nie wyglądał najmądrzej, ale było po nim widać, że dokładnie myśli nad całą sytuacją i stara się gdzieś mnie

zakwalifikować.

- O ile wiem, odjechał. Powiedział, że jego pensja wydała mu się nagle zbyt niska. Ten człowiek na zewnątrz starał się mu w tym przeszkodzić, ale według mnie nie był zbyt przekonujący - odpowiedziałem.

- Krul ma nos wbity aż do mózgu, to naprawdę wygląda na robotę Vareza - oznajmił jeden z mężczyzn.

Danwood prawie niedostrzegalnie skinął głową, jakby zgadzało się to z jego własną teorią.

- Przed chwilą pan przyjechał, a ja mam trzech ludzi mniej. Pracuje pan dla Mustardiego? - spytał.

- Nie. Włóczę się po pustyni i natknąłem się na tę gościnną oazę. Pomyślałem sobie, że się tutaj zatrzymam. To wszystko - wytłumaczyłem.

- Gdyby pracował pan dla Mustardiego, zabilibyśmy pana bez względu na przymierze. Czy to jasne?

Zmieniłem swoje zdanie o Danwoodzie. Może trochę wolno myślał, ale nie był głupcem i umiał dodać dwa do dwóch.

- Spróbowalibyście mnie zabić - poprawiłem. - Gdybym pracował dla Mustardiego, nie czekałbym tu na was. Nie ma pan po co marnować na mnie swoich ludzi.

- Dokładnie tak - przytaknął Danwood. - Nie chce pan pracować dla mnie?

- Nie. Powiedziałem panu, że tylko tędy przejeżdżam - przypomniałem mu.

Danwood się odwrócił i zostawił mnie swojemu losowi. Jego banda poszła za nim i wszyscy usiedli w przeciwległym rogu sali. Do zachodu słońca przybyło jeszcze kilku innych ludzi i Klod miał pełne ręce roboty. Wszyscy mężczyźni należeli do Danwooda. Siedziałem w wolnej części sali. Według tego, co powiedział Varez, sądziłem,



że zająłem stół zarezerwowany dla drużyny Mustardiego. Mężczyźni jedli, pili i rozmawiali. Danwood nie mówił za wiele, wydawało się, że na kogoś czeka.

- Da się tutaj w Jakkabardi wygodnie przenocować? - spytałem Kloda, kiedy przyniósł mi kolejną karafkę z winem.

- Do oberży należą małe bungalowy tam z tyłu. - Machnął gdzieś za siebie. -

Kiedyś mieszkali tam kupcy.

- Dlaczego w specjalnych domkach? Zazwyczaj śpi się bezpośrednio w oberży, nie?

- Ta karczma jest pierwszym budynkiem, jaki powstał w tej oazie. Zbudowali go z sekwoi. Jej drewno bardzo źle się pali, a w pustynnych miasteczkach ludzie zawsze obawiali się pożarów. Dlatego domki z normalnego drewna stoją oddzielnie - wytłumaczył mi.

- Czy jakiś domek jest wolny?

- Wszystkie. Banda Mustardiego usadowiła się w domu publicznym, a ludzie Danwooda śpią na drugim końcu miasta.

Sięgnąłem po sakiewkę, żeby zapłacić, gdy do sali wszedł kolejny gość, kobieta.

Rozmowy natychmiast ucichły, wszyscy patrzyli tylko na nią - i nie było się czemu dziwić. Wyższa niż większość mężczyzn, metr osiemdziesiąt, może osiemdziesiąt pięć.

Dopasowane spodnie z cielecej skóry, przylegające jak druga skóra, opinały długie nogi o doskonałym kształcie i idealnie krągłe biodra przechodzące w szczupłą talię, podkreśloną dodatkowo szerokim rzemieniem. Na niebieskiej, wypłowiałej od słońca, wyszywanej koszuli z wywiniętymi rękawami miała kurtkę z naramiennikami zrobionymi ze starannie uformowanych stalowych płytek. Częściowo rozpięta koszula odkrywała dwie sterczące piersi. Dopełnieniem doskonałości były wystające kości po-

liczkowe, czarne jak noc rzęsy, głęboko osadzone kocie oczy i zmysłowe wargi. Prawie pogardliwym spojrzeniem obrzuciła całą salę, ułamek sekundy poświęciła tylko mnie i Danwoodowi. Później bez dalszego zastanowienia podeszła do szynkwasu. Kiedy szła, jej nogi wydawały się jeszcze dłuższe, a wewnętrzna krzywizna ud miała dokładnie taki kształt, który sprawia, że mężczyźni zaczynają szybciej oddychać.

Wolałem się skoncentrować na karafce z winem, żeby krew odpłynęła z miejsca, które sprawiało widoczne problemy. Słyszałem o plemienu ludzi puszczy, którzy mają tak duże penisy, że podczas erekcji tracą przytomność. Nie wiem, ile w tym jest prawdy, ale ich kobiety należą do najbardziej poszukiwanych masażystek w luksusowych domach publicznych w całym cesarstwie. Jeden z ludzi Danwooda zaczął myśleć inną częścią ciała niż mózg, podszedł do kobiety. Położył jej rękę na udzie i coś szepnął. Chyba nie zauważył, że za paskiem ma trzy sztylety z długimi, lecz tylko na palec szerokimi ostrzami, a w pochwie przy prawym boku kołysze się para mieczy na lewą i prawą rękę. Albo było mu wszystko jedno. Wyglądało, jakby chciała go tylko pogłaskać po policzku, ale nagle w jej palcach błysnęła stal, a mężczyzna znieruchomiał. Przyłożyła ostrze noża przy jego uchu. W ciszy jej słowa usłyszeli wszyscy.

- Chciałabym się wykapać. Chcę kąpiel, gorącą kąpiel. Jeśli nie zajmie ci to dużo czasu, może jedno ucho ci zostanie.

Miała głęboki, aksamitny głos. Mężczyzna zaczął drżeć, po skroni ciekła mu strużka krwi.

- Zrozumiałeś? - upewniła się.

Skinął głową ze strachem.

- Więc teraz już idź - zachęciła go i nonszalanckim ruchem schowała nóż.

Ucho upadło na ziemię. Mężczyzna nawet nie pisnął, z ręką przyciśniętą do

krwawiącej rany i twarzą wykrzywioną z bólu wybiegł z gospody. Podniósł się Danwood, zastępując przy szynkwasię swojego niefortunnego poprzednika. Nawet nauczyciel dworskiej etykiety nie mógłby mu nic wytknąć, tak bardzo zwracał uwagę na zachowanie właściwej odległości. Atmosfera powoli się ożywiła. Danwood rozmawiał z kobietą dobre pół godziny i rozstali się niczym starzy znajomi. Później z kieliszkiem w ręce skierowała się w moją stronę. Zdałem sobie sprawę, że mam spocone dłonie.

- Ty nie należysz do Danwooda - powiedziała, siadając przy stole.

- Dlaczego tak myślisz? - zapytałem.

- Ponieważ inaczej to ty byś przewodził jego bandzie - oświadczyła z czarującym uśmiechem.

- Dokładnie tak. Jestem tylko przejazdem. Zatrzymałem się tutaj, żeby coś zjeść

- powiedziałem.

- Ja przyjechałam w sprawach handlowych, Danwood potrzebuje pomocy w jednej sprawie.

Upiła z kieliszka, przez chwilę pottrzymała napój na języku i oblizała wargi.

Stwierdziłem, że mam problemy z myśleniem, a krew znów spływa do miejsca, które może przysporzyć mi problemów. Przez cały czas dziwnie mierzyła mnie wzrokiem.

- W takim wypadku to szczęśliwy człowiek, skoro ma takiego pośrednika - powiedziałem.

Roześmiała się. Miała duże białe zęby które świetnie pasowały do zmysłowych warg.

- Zostawmy te rozmowy o pracy, na nie będzie dość czasu jutro. Myślę, że moja kąpiel powinna już być gotowa. Nie chcesz się przyłączyć?

Oczywiście, że chciałem. Aż się do tego trząsałem. Tylko że... Jestem co prawda

niezniszczalnym nieokrzeszańcem, który profesjonalnych zabijaków zjada na śniadanie, na obiad rozbija parę głów, a wieczorem rozprawia się z oddziałem opancerzonych jeźdźców, ale i mnie czasem można zranić. Są to tylko chwile, ale są, i - co dziwne - lubię je. Patrzyła na mnie swoimi głębokimi, kocimi oczami, a w głowie mi się kotłowało. Przypomniałem sobie, że istnieją gatunki pajaków, gdzie samica, o ile nie jest całkowicie wyczerpana, po akcie zjada samca.

- Obawiam się, że oboje nie zmieścilibyśmy się w kadzi - powiedziałem z wymuszonym, uśmiechem.

Jej twarz zmieniła się w zimną maskę.

- Jak chcesz - oznajmiła wciąż tak samo głębokim głosem, lecz już nie było w nim kociego mruczenia, a coś zupełnie innego.

Wstała od stołu i wróciła do kontuaru. Chwilę poczekałem, wyszedłem z gospody i skierowałem się do domu publicznego. Między innymi można się tam było z pewnością stosunkowo bezpiecznie przespać. Jako środek nasenny, na wypadek gdyby inne środki nie zadziałały, niosłem, ze sobą butelkę wina.

\* \* \*

Burdelem kierowała gruba matrona o kluchowatej cerze i wyglądzie. Jej uśmiech zdradzał brak czterech zębów, zamiast nich miała wsadzone rubiny w złotej koronce. Razem z krzykliwym makijażem tworzyły kombinację, która mogła odstraszyć osobników o słabszym charakterze.

Po dwudziestominutowej rozmowie i zapłaceniu ośmiu srebrnych znalazłem się w stosunkowo dobrym pokoju na trzecim piętrze, z widokiem na pustynię. Luksus rozklekotanego łóżka był uzupełniony o stół i szafę na ubrania. Popękane i częściowo zniszczone lustro przymocowane do sufitu świadczyło o tym, że dom i miasto pamię-

tały z pewnością lepsze czasy. Otworzywszy okno na oścież, zaczerpnąłem zimnego i suchego powietrza, zmuszającego do kaszlu. Po zmierzchu szybko się ochłodziło, pustynia ożyła. Półmrok wypełniał pisk drobnych gryzoni, brzęczenie owadów, czasem zahukała sowa lub zawył kojot. Wiedziałem, że gdzieś ukrywają się również drapieżniki, ale te zazwyczaj polują w ciszy.

Wysuszona podłoga na korytarzu zaskrzypiała.

- Proszę - powiedziałem jeszcze zanim rozległo się pukanie do drzwi.

Przez chwilę stała na progu. Nie przejmowała się za bardzo strojem, miała na sobie tylko długą, dopasowaną spódnicę, w której - w co bardziej cnotliwych miejscach cesarstwa - nie wypuściliby jej na ulicę, brokatowy biustonosz ozdobiony koronką, na ramiona zarzucony płaszcz.

- Jak na rozbieranki, masz tu ociupinkę za zimno, nie? - powiedziała na powitanie.

Nic nie mówiąc, zamknąłem okno, a ochota na seks mi przeszła. Nie była brzydka, nie. Pięknie ukształtowane nogi i biodra, jeszcze jędrny brzuch, a piersi trochę większe niż się zazwyczaj widuje na ulicach. W oczach jednak miała wypisane, że jest zmęczona i nie ma ochoty na pokrytego setkami blizn, obwieszzonego żelastwem przybłędę nie wiadomo skąd. A poza tym, była jak dzban mętnego piwa po tym, jak człowiek odmówił wypicia trzykrotnie destylowanego koniaku, choćby nawet trochę zbyt ostrego.

- A co, jeśli lubię rozbieranki? Nie miałbym z ciebie zbyt dużej pociechy - powiedziałem, wskazałem jej krzesło i nalałem wina do dwóch kieliszków.

Usiadła i założyła nogę na nogę. Paznokcie u dłoni i stóp miała pomalowane na ostrą czerwień.

- Nie za dużo byś chciał za parę srebrnych? - odrzekła z rozbawieniem.

Zostawiłem jej uwagę bez odpowiedzi. Właściwie miała rację.

- A kąpiel? - spytałem.

Nagle nabrałem ochoty żeby zmyć z siebie kurz podróży i dziwne uczucie po spotkaniu w knajpie.

- To będą dwa srebrne dodatkowo za trzy szafliki wody. Możesz mi zapłacić.

Wody od rana zostało sporo. Tutejsi mężczyźni to bydlęta i niezbyt często się myją.

Dałem jej garść monet i nie chciałem reszty. Zaprowadziła mnie do łaźni - niepomalowanego pomieszczenia na parterze z dwiema wielkimi kadziami, korytem i kanałami odpływowymi. Stała oparta o drzwi i kiedy się rozbierałem, ciekawie mi się przyglądała. Miecze i noże odłożyłem na brzeg kadzi, żebym mógł ich dosięgnąć również podczas kąpieli.

Z przyjemnością zanurzyłem się w wodzie, zacząłem się myć. Barki i przedramiona bolały mnie jak zawsze, kiedy oberwałem parę ciosów, przed którymi nie zdążyłem uciec. Varez był naprawdę twardy. Podeszła bliżej i przejechała mi ręką po plecach.

- Wiele przeszedłeś - skomentowała zygzakowate, wypukłe blizny.

- To po batożeniu - odpowiedziałem.

- A te? - Pogłaskała mnie po cienkich zadrapaniach na łopatkach.

Wbrew swojej woli uśmiechnąłem się. Parę lat temu zrobiła mi je pewna bardzo namiętna kobieta, którą kochałem, a po nocy z nią został mi trwały ślad.

- Chcesz, żeby cię polać? - zaproponowała i nie czekając na odpowiedź, złapała wiadro.

- Nie jest dla mnie jasne, co tutaj robi taki mężczyzna jak ty - rzuciła. - Jak się

nazywasz?

- Koniasz. A ty?

- Delphi. Normalnie nie pytam klientów o ich imiona.

Ja dziwki pytam zawsze. Zazwyczaj potem wychodziło mi z nimi lepiej. Głośno tego jednak nie powiedziałem.

Po kąpieli kazałem przynieść jeszcze do pokoju wieczorne menu i butelkę wina.

Siedzieliśmy jedliśmy i popijaliśmy

- Dlaczego wasza szefowa ustaliła tak niskie ceny? Ma tutaj na ten rodzaj działalności monopol, mogłaby dyktować stawki - zacząłem rozmowę po pierwszym kieliszku wina.

Delphi wzruszyła ramionami.

- Nasza burdelmama twierdzi, że lepiej wyciągać pieniądze z mężczyzn małymi kawałkami. Udziela nawet rabatów. Połowa młodzieńców Danwooda i Mustardiego jest tutaj zadłużona po uszy. Ona z nich tę forszę wydostanie, dałabym sobie za to głowę uciąć. I ma całkowicie gdzieś, że my się przy tym możemy urobić i zapieprzyć.

- Do kogo należy? Do Danwooda czy Mustardiego? Ktoś musi nad nią sprawować pieczę.

Dopiła wino. Dolałem jej i podsunąłem karafkę z wodą.

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. - Mimo że jestem dziewczyną, traktujesz mnie jakoś bardzo uprzejmie.

- Zły nawyk z dzieciństwa - odpowiedziałem.

W młodości wszczepili mi uprzejmość wobec kobiet. Wydaje mi się to dobrą zasadą i wciąż się jej trzymam.

- Ten burdel to filia Kremmera Gadusa, który ma pod sobą połowę podobnych

lokali na całym południowym wybrzeżu. Ponadto Mustardi osobiście się nami interesuje, w ten sposób się to dubluje.

- Osobiście się interesuje?

Skinęła głową, zanurzyła kawałek mięsa w borówkowym sosie i z zadowoleniem go połknęła. Tutejszy kucharz był o wiele lepszy niż Klod.

- No, zakochał się w Marcelce. Urządził dla niej piętro wyżej stały apartament.

Nazywa go gniazdkiem miłości. Biedna dziewczyna.

- Myślę, że dla dziwki nie jest złe być kochanką szefa bandy - napomknąłem.

Delphi pokręciła głową.

- To bardziej skomplikowane, niż się wydaje. A ty co? Skąd się tu wzięłeś? - odbiła piłeczkę.

- Uwierzyłybyś, że uciekam przed mężem, któremu uwiodłem żonę?

- Nie uwierzyłabym. Ale opowiadaj.

Opowiadałem, wspominałem i wymyślałem. Kazaliśmy przynieść sobie jeszcze jedną butelkę i na niej też nie skończyliśmy. To była przyjemna noc.

\* \* \*

Wstałem wcześniej, jeszcze przed świtem. Delphi spała albo przynajmniej udawała. Zostawiłem jej na stoliku złocisza i zanim wyszedłem, przez chwilę się jej przyglądałem. Nie wiem, dlaczego tak jest, ale we śnie, szczególnie rano, prawie wszystkie kobiety wydają mi się piękne.

Kiedy przed domem dopijałem poranną kawę, którą za srebrnika wydusiłem z odźwiernego, do miasta wjeżdżało siedmiu mężczyzn. Byli uzbrojeni, czterech z nich oprócz broni siecznej miało jeszcze długie łuki. Prowadził ich wysuszony starzec, na pierwszy rzut oka wysłużony przewodnik karawan. Danwood albo Mustardi potrze-



bowali posiłków tak bardzo, że musieli jechać również w nocy. Na coś się tutaj zanosilo, ale mimo to nie chciało mi się stąd wyjeżdżać. Nie wcześniej niż się dowiem, skąd Klod ma swoje wyśmienite wino, a ponadto ciekawiło mnie, z jakiego powodu Danwood z Mustardim zwiększają swoje siły. Wynajmowanie ostrych chłopaków z miasta musiało kosztować mały majątek. Zdecydowałem, tak na wszelki wypadek, w ciągu dnia wybadać okolicę, rozpoznanie terenu często się przydaje. Przy odjeździe z domu publicznego zauważyłem, że w opuszczonym domu naprzeciwko ktoś się ukrywa. Zdradził to promyk wschodzącego słońca, który na moment odbił się od czegoś metalowego.

Okolice Jakkabardi były usiane labiryntem wąwozów, parowów i dolinek, w których mogłyby się schować dziesiątki ludzi i koni. Pół godziny drogi w kierunku na północny zachód wznosiła się długa wydma piaskowa o wysokości dwustu metrów i szerokości kilku kilometrów. Wspiąłem się na nią i na północy ujrzałem jej siostry. Z pewnością była niczym samotny zwiadowca, który podczas burzy piaskowej dotarł tutaj szybciej niż inni żołnierze. Według kronikarzy sto lat temu wielkie piaszczyste wydmy znajdowały się tylko w samym centrum Pustyni Gutawskiej. Kolejny punkt dla tych, którzy twierdzą, że świat zmierza ku gorszemu. Ziemia była wysuszona, a jeśli gdzieś znajdowała się woda, skrywała się pod piaskiem.

Odwróciłem się, żeby odejść. Jeszcze przed pierwszymi budynkami czekał na mnie komitet powitalny. Dziesięciu ludzi zgromadzonych wokół szczupłego, żwawego faceta z gęstymi, czarnymi włosami, które nieustannie opadały mu na czoło. On jeden nie był uzbrojony, ale tuż za nim stał chudy, hebanowo-czarny mężczyzna z dwoma mieczami za pasem i wieloma gwiazdkami do rzucania w bandolecie na piersi. Na twarzy miał spokój i rozwagę człowieka, którzy pogodził się ze swoim losem, nie my-

śli, tylko wykonuje rozkazy. Wnioskując ze spojrzenia, jakim mnie obrzucił, prawdopodobnie to właśnie on śledził mnie rano przy domu publicznym.

- Miło mi pana spotkać, panie Koniasz - zaczął z uśmiechem czarnowłosa.

- Pan Mustardi? - spytałem.

- Tak, naprawdę to ja i to osobiście! - Zrobił taką minę, jakby powiedział Bóg wie jaki dowcip.

Spojrzeniem wciąż błądził po okolicy. Raz patrzył na mnie, raz na teren wokół, raz sprawdzał swoich ludzi.

- Słyszałem, że sprawił pan Danwoodowi małą nieprzyjemność. Miałbym dla pana pewną propozycję, ha, ha, ha!

Jego śmiech brzmiał, jakby ktoś sypał suszony groch na dobrze wypaloną glinianą płytę. Zajęło mi dobrą minutę, zanim się grzecznie wytłumaczyłem, przedzierając się przez potok słów Mustardiego. Przez cały czas jego ochroniarz nie spuszczał mnie z oczu. W końcu, żeby za bardzo nie rozgniewać szefa drugiej bandy, dotarłem do Kloda. Najadłem się, wypilem butelkę jego świetnego wina i skierowałem w stronę bungalowów, które mi wczoraj polecił. Mężczyźni w karczmie, co prawda, podejrzliwie mi się przyglądali, ale to było wszystko. O ile mogłem ocenić, w środku siedzieli ludzie zarówno Danwooda, jak i Mustardiego, przymierze w gospodzie działało.

- Dzisiaj nie będzie dla mnie żadnej pracy? - Zatrzymał mnie na zewnątrz Aechyl.

Swoje pogrzebowe obowiązki traktował poważnie. Albo lubił żartować, na poczuciu humoru grabarzy mało kto się zna.

- Niestety nie, może jutro - zbyłem go.

Oczywiście się pomyliłem.

Ludzie przyzwyczajeni do wygody miast nie uświadamiają sobie tego, ale w nocy na większości pustyń panuje piekielne zimno. Tak piekielne, że krew potrafi zamrznąć w żyłach, a rano można się w ogóle nie obudzić. Nawet nieogrzewane pomieszczenie bez okien i drzwi pomaga człowiekowi zachować trochę potrzebnego do życia ciepła.

Wybrałem domek, który niezbyt rzucał się w oczy i uważałem, żeby nikt mnie nie widział. Położyłem się na kocu, przykryłem płaszczem i przeklinałem się za swoją głupią ostrożność. W domu publicznym byłoby mi o wiele lepiej i może nie musiałbym polegać tylko na swoim własnym cieple. Nie chciałem jednak drażnić, już na pierwszy rzut oka trochę niepoczytalnego, Mustardiego.

Jak każdy, kto przeżył większość życia w podróży, śpię lekko. Obudziło mnie skrzypienie piachu. Ostrożnie, żeby mnie nie zdradziło łupanie w przemarzniętych stawach, przemieściłem się w stronę okna. Na tle usianego gwiazdami nieba rozpoznałem sylwetki mężczyzn przechodzących od bungalowu do bungalowu. Wyraźnie kogoś szukali i starali się przy tym być cicho. Zacząłem mieć nieprzyjemne uczucie, że chodzi im właśnie o moją skromną osobę. Koc zostawiłem na swoim miejscu i ostrożnie podkradłem się do okna po drugiej stronie domku. Wyskoczyłem na zewnątrz, miękko spadłem w piach. W porównaniu z jeździeckimi butami z cholewami, moka-syny mają jedną zaletę: kiedy człowiek to potrafi, jest w nich cichszy niż letni wietrzyk. Lekko przygarbiony skierowałem się do stajni, gdzie odpoczywał mój koń, a na haku wisiała część mojego wyposażenia. W chwili, kiedy zaczynałem wierzyć, że zdołam bez problemu zniknąć, zaszczekał pies. Początkowo z wahaniem, później coraz głośniejszy i bliżej. Ci gnoje mieli ze sobą wyżła, który teraz zwietrzył mój ślad! Nie było

sensu uciekać. Poczekałem w cieniu, dopóki się nie zbliżyli i stanąłem przed nimi.

Dwóch mężczyzn przede mną znieruchomiało, nie oczekiwali ataku jednego przeciwko takiej przewadze. Rzuciłem jednocześnie z dwóch rąk, obaj upadli z nożami w piersiach. Jeden na nieszczęście prowadził psa. Zdażyłem go kopnąć w nos - zawył i przekoziółkował. Wydobyłem, miecz i poziomym cięciem przywitałem trzeciego z kolei. Rozłożywszy ręce, przewrócił się w tył, pozostali trzej otoczyli mnie już uważniej, kryjąc się w mroku. Słyszałem ich oddechy, ktoś przełknął ślinę. Wycofałem się, zarejestrowałem przygotowanie do cięcia krótką szablą, nagle bez wstępu sieknąłem po skosie z góry i skontrolowałem w odwrotną stronę przez rękę. W ciemności na finezyjne ciosy nie było czasu. Instynktownie odparłem atak z tyłu, mężczyzna przede mną osunął się na ziemię, charcząc przy tym z bólu. Nie miałem pojęcia, kogo trafiłem. Może nie był nawet martwy. Szybko przeszedłem nad nim do przodu, w obrocie odparłem serię cięć kolejnego przeciwnika i zyskałem chwilę oddechu. Nagle w kostkę u nogi wbiły mi się zębate szczęki. Pies warczał i skomlał jednocześnie, ale nie puszczał. Straciłem równowagę, dźgnięcie w pierś częściowo odepchnąłem ręką, stalowe ostrze dosięgło mnie tuż pod prawą pachą. Jednocześnie kolejny napastnik uderzeniem ciężkim jak młot wytrącił mi miecz z ręki. Złapałem zbliżające się ostrze lewą ręką i uderzeniem dłoni drugiej ręki je złamałem. Mężczyzna przede mną się zachwiał, odbiłem się i zwałem na drugiego przeciwnika, zanim zdołał zamachnąć się do kolejnego cięcia. Pociągnąłem go na ziemię, pies wciąż trzymał. W ciemności wymacałem twarz, przewalaliśmy się w piachu jeden na drugim, ktoś krzyczał. Ostrze pogłaskało mnie w bok, mój rywal, znieruchomiał zanim zdażyłem wepchnąć mu oczy do mózgu. Pies zaskomlał i wreszcie mnie puścił.

- Ty gnoju, o mało nie załatwiłeś nas wszystkich - zachrypiał ostatni napastnik.

- Nawet mnie porządnie dałeś do wiwatu! Zgnij w piekle! - Splunął.

Piach skrzypiał pod jego oddalającymi się krokami. Leżałem pod jego towarzyszem, którego prawie zabiłem i wstrzymywałem oddech.

- Odejdź, psisko - zachęciłem amatora mojej kostki. Co dziwne, pies posłuchał.

Chyba też miał tego dość, albo mu nie smakowałem.

Poczekalem, aż zapadnie cisza i spróbowałem wstać. Zbyt bolało i brakowało mi sił. Zdecydowałem się chwilę poczekać, a później spróbować ponownie. Oddychałem głęboko lodowatym powietrzem pustyni, upewniając się, że jestem jeszcze żywy. Musiałem stracić przytomność, ponieważ kiedy zdecydowałem się na drugą próbę, mężczyzna obok był już zimny. Ale niewiele bardziej niż ja. Niebo na wschodzie bladło, z ust wydobywała mi się para. Przewróciłem się na brzuch, wsunąłem pod siebie jedno kolano i wyprostowałem się. Przy tym ruchu materiał przyschnięty do rany się oderwał, z trudem stłumiłem krzyk, na wargach znów poczułem smak piachu. Dopiero za trzecim razem mi się udało.

Było ze mną o wiele gorzej niż myślałem. Straciłem wiele krwi, noga, którą pogruchotał mi pies, była prawie bezwładna, a ponadto rany wciąż lekko krwawiły. Zadałem sobie trochę trudu, żeby przeszukać bandę zabijaków. Rozpoznałem ludzi Danwooda. Chyba przemyślał przedwczorajszy występ i zdecydował ze mną skończyć. Prawie mu się udało. W tym stanie nie mogłem polegać na sobie, moją jedyną nadzieją był Mustardi. Nie pozostawało mi nic innego, niż poprosić o pomoc i zaproponować za nią swoje usługi. Oczywiście, dopiero kiedy trochę dojdę do siebie i będę w stanie utrzymać się na nogach. Chwiejnie skierowałem się w stronę domu publicznego. Zastukałem w drzwi. Po długim oczekiwaniu, kiedy miałem co robić, żeby utrzymać się na nogach, w końcu otworzył mi portier. Patrzył na mnie, jak na zjawę.

Później przyszli ludzie Mustardiego. Od pierwszego dostałem cios między oczy. Był powolny, odplącałem mu tym samym, a on w rewanzu złamał mi nos. Znów. Zrozumiałem, że coś jest nie w porządku i wzięłem nogi za pas. Pewnie by mi się udało uciec, gdyby nie hebanowy strażnik Mustardiego.

Pamiętam tylko, że zabiłem jeszcze jednego człowieka, później coś powaliło mnie w kurz, beznadziejnie przewalałem się po ziemi w jedną i w drugą stronę i starałem się ochronić przed kopniakami przynajmniej te najważniejsze organy ciała. W końcu zanieśli mnie do jakiegoś opuszczonego domu.

Leżałem na podłodze, świat miał tęczowe obrysy i nic nie rozumiałem. Dlaczego mnie stłukli? Dlaczego nie zabili? Czas pomału płynął, chwile przytomności przechodziły w ciemność. Nagie zaczął palić się dach. Spróbowałem wstać, ale nie miałem dość siły. Nogi mnie nie słuchały, chyba uszkodziłem sobie kręgosłup. Ogień przybiegał na sile, nocny chłód zamienił się w mgłę, gorące powietrze parzyło. Zacząłem na leżąco wyrywać deski z podłogi. Pod nimi znalazłem parę centymetrów wolnej przestrzeni i delikatny piasek. Dymu przybywało, powietrza ubywało, prawie się paliłem i jednocześnie dusiłem. Ostatkiem sił starałem się zakopać jak najgłębiej poci ziemię. Za bardzo mi się nie udawało.

Dusiłem się z gorąca, krew tężała w żyłach z zimna, a do tego jeszcze brakowało mi tlenu. Dość powodów, żeby umrzeć. Jestem uparty, jestem mężczyzną z najbardziej upartym łbem na świecie. Chciałem żyć, moje serce biło pomimo bólu, krew moczolnie, powoli krążyła w żyłach, a ponadto napędzała mnie ciekawość. Ta sama ciekawość, która wpędziła mnie w niejedne tarapaty. Poruszyłem się, spadła ze mnie cienka, warstwa piasku i wyjrzałem ze swego płytkiego grobu.

Leżałem pośrodku pogorzelniska, wszędzie wokół popiół i kilka nadpalonych de-

sek. Ból przybrał na intensywności. Chciałem umrzeć albo przynajmniej znów zemdleć, ale nie potrafiłem. Słońce wznosiło się kawałek nad horyzontem, do przejścia berła nocy brakowało już tylko trochę. Ostatnią świadomą resztką swoich myśli rozumiałem, że jeśli ktoś mnie zobaczy, umrę. Inaczej umiera się z bólu jak zwierzę, które nie zdoła przeżyć ciężkich ran, inaczej z rąk człowieka. Nie chciałem, żeby ktoś podniósł na mnie rękę.

Poczekalem, aż się zupełnie ściemni, i zacząłem się czołgać w kierunku piaszczystej wydmy. Modliłem się przy tym o nocny wiatr, który zatrze za mną ślady. Moje rozważne ja zmusiło mnie, żebym wydłużył sobie drogę i doszedł do studni. Na moje szczęście ktoś zostawił tam bukłak z wodą. Wypiłem chyba pół wiadra, napełniłem i przywiązałem bukłak do pasa i dopiero później znów wyruszyłem. Podobnie jak dzikie zwierzęta rozumiałem, że muszę się schować.

Świat ograniczył się do następnego kroku, kolejnego ruchu, nowego oddechu.

Walczyłem z bólem, słabością, co chwila traciłem przytomność, ale przed brzaskiem znalazłem się za wierzchołkiem wydmy. Towarzystwa dotrzymywały mi skorpiony, pustynne gryzonie, patyczaki i żmije piaskowe. Po prostu sami kumple, których tak podziwiam za ich umiejętność przeżycia prawie wszędzie. Czasem uważam się za jednego z nich.

O świcie usnąłem, albo raczej zemdlałem z myślą, że nie pamiętam, co i dlaczego mi się przydarzyło.

Obudziłem się po południu. Na szczęście leżałem na dnie głębokiej rozpadliny w cieniu nawisu skalnego, dlatego słońce, jak na razie, mnie nie spaliło. Kręciło mi się w głowie, przy najmniejszym ruchu odczuwałem przenikliwy ból. Dłonie, przedramiona, większość twarzy i łydki miałem spalone aż do mięsa. O pogryzionej kostce,

nadłamanych i poobijanych żebrach oraz zwichniętym barku prawie zapomniałem.

Znalazłem najwygodniejszą pozycję, co chwila popijałem ciepłą wodę z bukłaka i czekałem. Czekałem, aż poparzenia zaczną się goić albo przeciwnie - aż zaropieją i dopadnie mnie gangrena. Na szczęście znajdowałem się na pustyni. Wokół mnie nie latały ani komary ani muchy, a rozpalony słońcem krzemowy piasek pomógł w zatrzymaniu krwawienia.

Drugiego dnia skończyła się woda. Było to dla mnie zaskoczeniem, ponieważ z powodu bólu nie byłem w stanie rozsądnie myśleć. W moim stanie nie mogłem się odważyć na wizytę w mieście. Żeby przeżyć i wyleczyć rany musiałem jeść i pić. Woda jednak była ważniejsza. Zmuszałem swój zamroczony mózg do myślenia, łączyłem fakty, kombinowałem, szukałem. Wciąż przychodziło mi do głowy że kiedy przyjechałem do Jakkabardi, przeoczyłem coś ważnego, coś, co dotyczyło wody, coś, co pomógłby mi przeżyć. Przypominałem sobie każdy swój krok po kolei, co komu powiedziałem, co zrobiłem. O północy na to wpadłem, albo przynajmniej taką miałem nadzieję. Wypelzłem na wydnię, z której szczytu mogłem obserwować miasto. Cierpliwie czekałem i liczyłem na szczęście. Los zbyt często sobie ze mnie kpi, ale tym razem mi sprzyjał. Tuż przed świtem, kiedy noc już bladła, z gospody wynurzyła się postać z bukłakiem na ramieniu. To był Klod, a ja dokładnie wiedziałem, dokąd zmierza. Woda w studni na placu była słodka od gipsu, woda, którą podawał do wina, smakowała inaczej. Gdzieś w okolicy musiało być jeszcze jedno ukryte źródło. Ześlizgiwałem się po piasku w dół, upadałem i znów wstawałem, przeklinałem swoją niezgrabność i słabość, i starałem się nie zgubić Kloda wśród dzikich wąwozów oraz głazów. Pomogło mi to, że zobaczyłem, jak znika za dwoma pagórkami. Gdyby nie to, straciłbym ślad w ciężkim kamienistym terenie. Spotkałem go, kiedy wychodził z głębokiego jaru z na-



pełnionym bukłakiem. Z głębi, zza jego pleców dobiegał szum wody i szelest liści w porannym wietrze. Musiałem oprzeć się o głaz, żeby utrzymać równowagę. Chciałem powiedzieć Klodowi, żeby pomógł mi dostać się na dół, ale nie zdołałem. Tylko go obserwowałem i kołysałem się z boku na bok.

- Kiedy grabarz nie znalazł twojego ciała, nie uwierzyłem, że cię zabili - powiedział spokojnie i położył na ziemi pakunek zawinięty w nawoskowane płótno. Myślałem, że mogłeś odnaleźć to źródło. Muszę szybko wracać. Nikt nie ma pojęcia, że tu przychodzę. Jutro czy pojutrze znów się pokaże.

Minął mnie i zniknął wśród skał. Wziąłem pakunek i bardziej spadłem niż zszedłem w dół do wody.

Przez chwilę tylko siedziałem na piaszczystym brzegu i przyglądałem się tafli przed sobą. Jeziorko wypełniało prawie całą powierzchnię rozpadliny z wyjątkiem dwu-, trzymetrowego pasa na skraju. Ze szczelin w skalach wyrastały powykręcane, sękate pnie pinii pnące się w stronę światła, trawa wokół wody była świeżo zielona, a w porównaniu ze złotożółtym piaskiem wyglądała niewiarygodnie wręcz miękko i żywo. Zajrzałem do zawiniątka. Znalazłem w nim ponad dwa kilo suszonego i nasolonego mięsa. Kawalek odłamałem i zacząłem żuć. Smakowało jak podeszwa namoczona w soli. Napełniłem bukłak wodą i zapijałem regularnie łykowate kęsy. Woda była lodowata, lecz smakowała lepiej niż vezelskie rocznik '72. Głęboko pod powierzchnią migotały cienie dużych ryb.

Trzy dni siedziałem, odpoczywałem, dochodziłem do zdrowia i żułem mięso. Z gałęzi zrobiłem sobie łożo, które przynajmniej częściowo chroniło mnie przed zimą. Klod pojawił się czwartego dnia rano, oprócz swojego wora na wodę niósł na ramieniu tobołek. Mimo że był stary i pomarszczony, po stromym zboczu poruszał się

ze zrzęczością osła górskiego.

- Musi pan odejść. Przyniosłem panu parę rzeczy na drogę - powiedział zamiast powitania.

Czułem się o wiele lepiej, ale na podróż przez pustynię jeszcze bym się nie odważył. Z wielu miejsc nie zeszyły jeszcze strupy po oparzeniach, w innych miejscach skóra była wciąż różowa, bardzo cienka i podatna na wszelkie uszkodzenia.

- Dlaczego?

- W Jakkabardi wrze. Z miasta przybyło co najmniej czterdziestu nowych ludzi, połowa dla Mustardiego, połowa dla Danwooda. Nie ma poranka, żeby nie znaleziono jakiegoś trupa. Aechyl ma pełne ręce roboty i już prawie nie daje sobie rady. Roxana pracuje dla Danwooda. Słyszałem, jak twierdziła, że śmierci niektórych jego ludzi jest winien pan. Że jest pan martwy uwierzy, gdy znajdzie pana ciało.

To były naprawdę interesujące nowiny

- Jeszcze nie jest ze mną dobrze, nie mogę odejść - powiedziałem.

Kłód wzruszył ramionami.

- Już panu nie będę pomagać. Gdyby mnie złapali, przybiliby na drzwiach mojej własnej karczmy. Jeśli naprawdę zaczną przeszukiwać okolicę, znajdą pana. Albo kiedy mnie ostrzej przycisną.

- Jakoś sobie z tym poradzę. Dlaczego pan tu zostaje? - spytałem.

Kłód się skrzywił.

- Też nie pytam o pana tajemnice, młodzieńcze. Może sobie pan myśleć, że tujsze suche powietrze dobrze robi na mój artretyzm.

Uśmiechnąłem się. Nieczęsto się zdarza, żeby do czterdziestodwuletniego człowieka ktoś powiedział młodzieńcze, chociaż Kłód miał do tego prawo. Mógł mieć spo-

ro ponad siedemdziesiąt lat.

- Dzięki - krzyknąłem za nim, kiedy wdrapywał się po zboczu na górę. Zamiast odpowiedzi machnął tylko ręką.

Kłód mi się podobał. Był twardy jak niewyprawiona skóra, i pilnował swoich tajemnic.

Zacząłem przeglądać podarowany tobolek. Długi znoszony płaszcz, który na pustyni wciąż mógł wyświadczyć przysługę, rezerwowy bukłak na wodę, dwa kawałki mięsa i nóż myśliwski. Nieźle mnie wyposażył na drogę, ale ja w żadnym przypadku nie planowałem wyjazdu. Musiałem się dowiedzieć, dlaczego chcieli ze mnie najpierw zrobić żarcie dla psa, a później flambirowany befsztyk. Ponadto podróży pieszo przez pustynię mógłbym nie przetrwać.

Następnego dnia powoli i ostrożnie obszedłem Jakkabardi i usiadłem na pagórku, z którego zauważyłem wyjeżdżającego na koniu mężczyznę, ale później już go nie widziałem. Albo pojechał dalej przez pustynię na południe, co jednak wydawało mi się nieprawdopodobne, albo do cywilizacji zmierzał okrężną drogą. To oznaczało, że szlak jest pilnowany. Podpowiedział mi tuman kurzu, który ujrzałem w skośnych promieniach słońca. Jeździec jechał na południe równoległe do szlaku w odległości około kilometra. Ponieważ po trudnym terenie poruszał się szybko, z pewnością nie robił tego po raz pierwszy.

Wraz z nocą nadszedł chłód, na szczycie wzgórza o wiele bardziej nieprzyjemny niż w głębokim wąwozie, który ocieplała jednak woda nagrzana w ciągu dnia. Zapiąłem swój nowy płaszcz, zwinąłem się w kłębek i obserwowałem południowy horyzont. Skoncentrowałem się na pagórkach, które sam bym wybrał na punkt obserwacyjny, gdybym chciał być dalej od miasta. Koło północy tak trząsałem się z zimna, aż z włosów

spadał mi szron, ale się opłacało. Odkryłem dwa szczyty obramowane ledwie dostrzegalnym blaskiem światła. Były to dwa niezależne punkty obserwacyjne, a ich mieszkańcy prawdopodobnie o sobie nie wiedzieli, ponieważ oślepiał ich blask własnych ognisk. Powoli i ostrożnie wyruszyłem w kierunku bliższego ogniska.

Ponieważ było ciemno, szedłem prosto, uważałem tylko na hałas. Noc znów była jasna i zimna niczym kostnica pod koniec stycznia.

Chwilę przed tym, zanim wschodni horyzont zaczął blednąć, wszyscy nocni mieszkańcy pustyni ułożyli się do snu. Nawet dla nich było zbyt zimno. Kulłem się w cieniu skalnej ściany i starałem się ogrzać skostniałe ręce. Gdybym teraz miał sięgnąć po nóż, prawdopodobnie wypadłby mi z palców, tak mało miałem w nich czucia. I nie brałem pod uwagę swoich gojących się dłoni. Mroźną ciszę przerwało stuknięcie kamieni i brzęk ostróg. Zatrzymywać kogoś w jeździeckich butach nie jest najmądrzejszym pomysłem. Usłyszałem sapnięcie i stłumione polecenie. Wciąż mieli tego psa! Podniosłem się i jak najszybciej ruszyłem do przodu. Przemarznięty, bez miecza, z niedoleczonymi rękami nie odważyłbym się przeciwstawić swojemu nieprzyjacielowi. A mogło ich być również więcej. Wciąż kierowałem się do miejsca, gdzie widziałem ogień. Z doliny przez którą przechodziłem, nie było go widać, ale wcześniej obmyślałem drogę i jako tako się orientowałem. Chciałem przyciągnąć swoich nieprzyjaciół jak najbliżej stanowiska strażniczego. Miałem nadzieję, że tam pies straci ślad.

Wraz ze świtem, podniósł się wiatr. Szelest ziaren piasku podrywanych w powietrze maskował odgłos kroków. Doczołgałem się do miejsca, skąd blask ognia był doskonale widoczny, później okrążyłem ognisko i wcisnąłem się między dwa kamienie po przeciwnej stronie. Sił mi wiele nie zostało, trząsałem się i nie mogłem złapać tchu. Nocna gonitwa wciąż jeszcze była dla mnie zbyt wielkim wysiłkiem. W swej kryjówce

usłyszałem po chwili wściekłe szczekanie psa i serię okrzyków, a potem dźwięki krótkiej potyczki. Później nastąpiła cisza. Nie miałem pojęcia, czy wygrali uważni obrońcy czy podstępni napastnicy. Lecz nie mogłem tu siedzieć wiecznie, ponieważ zbliżał się poranek, a wraz z nim zmiana warty. Podkradłem się do ognia, który palił się teraz o wiele mocniej.

Na ziemi leżało trzech mężczyzn. Czwarty klęczał, obwiązywał sobie lewe ramię i coś do siebie mrukiwie powtarzał. Pies też był martwy. W końcu. Dotknąłem rękojeści jednego z noży które zostały w bandolecie, ale strup pękł, gdy się poruszyłem i ponowna fala bólu na chwilę mnie sparaliżowała. Jeszcze daleko było do tego, żeby dłoń całkiem mi się zagoiła i żebym mógł dobrze rzucić nożem, dźgnąć czy właściwie użyć miecza. Musiałem poradzić sobie inaczej. Centymetr po centymetrze się przybliżałem, wyrównywałem teren przed sobą i wykorzystywałem każde zagłębienie, żeby zniknąć w cieniu. Wreszcie znalazłem się tuż za piecami mężczyzny. Wstrzymywałem oddech. Jego mruczenie brzmiało jak coś pomiędzy jękami a przekleństwami, rękę miał brzydko rozciętą. Z kołnierza koszuli wyciągnąłem maleńki nożyk z zaledwie trzycentymetrowym ostrzem, delikatnie chwyciłem go kciukiem i palcem wskazującym. Powoli wyciągnąłem rękę do jego szyi, aż się bałem, że zdradzi mnie ciepło, które wydzielano moje ciało. Ostrze dotknęło naskórka, zaciąłem. Błyskawicznie się odwrócił, łokciem powalił mnie na ziemię, w ręce błysnął mu miecz. Krzyknąłem z bólu, on upadł. Krew z podciętej tętnicy szyjnej skrapiała wokół wiecznie wyschnięty piasek. Wstałem i zacisnąłem z bólu zęby. Wprawdzie umarł, ale nie mógł cierpieć bardziej niż ja. Podczas ataku zerwałem strupy z całej lewej dłoni, a podczas upadku - z prawej. Czuję się jak zaraz po łomocie parę dni temu, może nawet jeszcze gorzej, ponieważ odnowione rany goją się wolniej. Trząsnąłem się z zimna, wyczerpania, bólu. Z

jękiem zabrałem kilka pożytecznych rzeczy których braku nikt nie powinien odczuć, dojadłem przypalone puree z fasoli, którym strażnicy umilali sobie służbę i pokuściłem w poszukiwaniu kryjówki.

Krótko po tym, jak się rozwidniło, usnąłem. Obudził mnie dźwięk ludzkich głosów. Leżałem na zboczu pagórka oddalonym od szlaku łączącego Jakkabardi z cywilizacją, ukryty pod kolistymi zaroślami młodej, nie starszej niż kilkaset lat, Larrei tridentaty. Nie była to najlepsza kryjówka, ale dalej nie dałem rady się odczołgać.

- Ci dwaj należą do Danwooda, widziałem ich razem. Dobrze, że też im się dostało, gnojkom! - komentował znalezisko czterech trupów niewyraźny głos. - Zostanę tutaj, żeby kurier się nie prześliznął, a ty pojedziesz do miasta i powiesz szefowi, co się tutaj stało. Ale wróć przed zmrokiem albo żywcem obedrę cię ze skóry. Nie chcę być tu sam, kiedy te łotry włóczą się po okolicy.

- Za chwilę jestem z powrotem - odpowiedział ktoś dużo młodszy.

Rozległ się tętent podkutych kopyt na kamieniach. Konie, o nich zupełnie zapomniałem. Gdzieś musiały być dwa konie. Teraz jednak nie zdałyby mi się na nic, ponieważ nie utrzymałbym w rękach wodzy.

Z rozmowy wynikało, że czekają na jakiegoś kuriera. Wnioskując z tego, że stanowisko wybudowali tak daleko od miasta, nie chcieli, żeby dowiedziała się o nim druga strona. Ale ta swój punki obserwacyjny miała jeszcze dalej. Może czekali na tego samego kuriera? To by tłumaczyło, dlaczego obie bandy wzmacniają swoje siły. Ręce niewyobrażalnie mnie bolały i wyglądały o wiele gorzej niż wcześniej. Potrzebowałem, żeby ktoś oczyścił mi rany i przyszył zdartą skórę. Ekstremalne temperatury - w dzień ponad czterdzieści stopni, w nocy poniżej zera - również nie pomagały w gojeniu. Potrzebowałem pomocy, tylko że w otoczeniu kilkuset kilometrów nie

było nikogo, komu mógłbym zaufać. Właściwie na całym świecie nie było nikogo takiego. W połowie kolejnej nocy zrozumiałem, że sam na pustyni nie wytrzymam i bez dokładnego planu zacząłem się wlec w kierunku Jakkabardi.

Wiele razy upadałem i do obnażonego mięsa na dłoniach wbijało mi się mnóstwo żwiru, drobniejszych i większych kamieni. Upadki nie wpłynęły dobrze również na moje inne rany. Żeby nie oszaleć z bólu, zacząłem wyśmiewać samego siebie. Dwa-dzieścia lat temu zdołałem uciec przed oddziałem profesjonalnych zwiadowców, przeszedłem przez dżunglę, która uśmierciła tysiące ludzi, przeżyłem zarażenie czerwonym morem. Dzisiaj wystarczyły dwie grupki prowincjonalnych bandziorów, żebym ciągnął resztkami sił. Byłem partaczem, nędznym partaczem, który niczego nie wytrzyma. Wymyślanie dalszych niepocholebnych określeń pomagało pokonywać metr po metrze i o świcie dotarłem do Jakkabardi. Krótco po wschodzie słońca stałem zgarbiony wykrzywiony z wyczerpania i bólu przy tylnym wejściu do domu publicznego.

Połowa słonecznej kuli pojawiła się już nad horyzontem, cienie były długie i ostre, powietrze pachniało jeszcze chłodem minionej nocy. Właściwie nie była to zła chwila na śmierć. Zapukałem do drzwi. Mógł mi otworzyć portier, sama szefowa burdelu, jakaś dziwka albo Delphi. Prostytutki nie znają wdzięczności, nie mogą sobie na nią pozwolić. Gdyby jednak otworzyła Delphi albo któraś jej koleżanka, mógłbym negocjować - zaproponować jej za pokój więcej pieniędzy niż umiała sobie wyobrazić.

Potrzebna mi była owa przysłowiowa kropla szczęścia. Delphi byłaby najlepsza.

Otworzył mi hebanowy facet z pustym spojrzeniem, osobisty stróż Mustardiego. Jakby ktoś dał mi do przeżucia trzy liście koki. Wyprostowałem się - zrobiłem obojętną minę i żeby podkreślić swoją pewność siebie, skrzyżowałem ręce na piersiach.

- Zaprowadź mnie do swego dowódcy - rozkazałem.

Długo mi się przyglądał, jego czarne spojrzenie było płytkie i głębokie zarazem. Bramy mojej śmierci. Nie miałem pojęcia, jakimi drogami krążą jego myśli. Słońce właśnie odlepiło się od horyzontu, kanie przywitały nowy dzień swoim niemiłe brzmiącym skrzekiem. Hebanowy zabijaka cofnął się, żeby mógł wejść do środka. Wydawało mi się, że na jego twarzy przez chwilę pojawił się cień rozbawienia. Zdziwiło mnie, że schody na najwyższe piętro pokonałem bez problemu. Po kilku minutach oczekiwania uginały mi się już nogi, ale wreszcie ze swego apartamentu wynurzył się Mustardi. Ubrany był w jedwabny szlafrok z kołnierzem z gronostajów. Oczy miał mętne od snu i wyglądał na wściekłego.

- Przyszedłem zaproponować panu interes - powiedziałem, zanim zdążył otworzyć usta.

- Pan? Interes? Nie rozumiem, jak to się stało, że jeszcze pan żyje. Moi ludzie mi oznajmili, że zgodnie z rozkazem pana spalili!

Wzruszyłem ramionami. Ból zszedł na dalszy plan, cała sytuacja wydała mi się tak bezsensowna i dziwaczna, że zaczęła mnie bawić. Byłem na wpół przytomny i sam tylko z grubsza wiedziałem, co będę mówił.

- Pana ludzie nie są tak dobrzy, za jakich się uważają. Albo za jakich pan ich uważa. - Pogardliwie się skrzywiłem do strażnika Mustardiego. - Odłóżmy jednak na bok stare nieporozumienia. Mam dla pana informację, która z pewnością pana zainteresuje - kontynuowałem służbowym, tonem.

- Mogę pana zabić! Wystarczy jedno słowo i już jest pan martwy! - wybuchnął Mustardi.

- Naprawdę? - odrzekłem ze zdumieniem i zdziwieniem naraz. - Ilu ludzi jeszcze pan na mnie nasłał? Ilu z nich nie wróciło? Ale nawet gdyby miał pan rację, nigdy



by się pan nie dowiedział, dlaczego właściwie tutaj jestem. Musi się pan zgodzić, że rozsądny człowiek nie pójdzie do wilczej nory bez porządnego asa w rękawie - zmieniłem temat.

- Dobra, o co właściwie chodzi? - złapał się na lep.

Wiedziałem, że muszę się spieszyć, ponieważ zaczynały trząść mi się nogi i nie wiedziałem, jak długo jeszcze wytrzymam na stojąco.

- Musimy uzgodnić cenę - kontynuowałem czysto służbowo.

W końcu wytargowałem konia, wyposażenie i pięćdziesiąt złotych. Oczywiście, o ile moje informacje będą Mustardiemu pasować.

- Oczekujecie na kuriera z Cesarstwa Crambijnskiego - obwieściłem obojętnym tonem pierwszy atut. - Danwood chce tego samego człowieka, co pan - podbiłem grę blefowaniem.

Mustardi zrobił zdziwioną minę, lecz szybko się opamiętał.

- Nawet gdyby tak było, nie jest to dla mnie niczym nowym - odciął się.

- Wczoraj Danwood napadł na stanowisko strażnicze, z którego pilnujecie szlaku. Ludzie Danwooda siedzą jeszcze dalej na szlaku. Kuriera przechwycą oni. Jeśli oczywiście panu nie powiem, gdzie się ukrywają. Pustynia jest pełna kryjówek i możecie ich szukać wiele dni - rzuciłem swój główny atut

Mustardi zsiniał.

- To gnój! - krzyknął.

W końcu doszliśmy do porozumienia. Narysowałem mu plan, a on pozwolił mi odejść. Wiedziałem, że później będzie próbował mnie zabić, ale zyskałem trochę czasu.

- Niech pan przyśle do mnie Delphi! - przykazałem portierowi, który podsłu-

chiwał naszą rozmowę ukryty na korytarzu za zasłoną. - Po tygodniu na pustyni mam piekielną ochotę na kobietę!

Doszedłem do apartamentu dla klientów, kiedy zamknęły się za mną drzwi, upadłem na podłogę. Dywan był o wiele wygodniejszy niż kamienie i piasek. Tylko moich kumpli skorpionów mi brakowało.

Obudziło mnie uczucie ciepła w żołądku. Delphi karmiła mnie rosołem z kury, ręce miałem zabandażowane. Ubrana była w jedwabny szlafrok ozdobiony pomarańczowymi smokami. Kiedy się nade mną nachylała, odsłaniał w rozcięciu jej duże pierśsi. Zauważyła, na co patrzę, i cnotliwie przyciągnęła szlafrok do ciała.

- Jeśli sobie podliczę to, jak się z tobą cackam, musiałbyś za tę usługę godziwie zapłacić.

Wciąż miała, zachrypnięty głos od niezliczonych przehulanych nocy.

- No - odpowiedziałem.

Mimo że miałem wszelkie wygody czułem się tak, jakbym się miał za chwilę rozsypać.

- Powiedzieli mi, że chcesz ze mną porządnie użyć. Zamiast tego już drugi dzień bawię się w twoją mamę i rozpuszczam plotkę, że jesteś najbardziej niezaspokojonym kozłem, jakiego kiedykolwiek spotkałam.

Zauważyłem, że na stole stoi bateria nieotwartych butelek wina i tace ze smakołykami serwowanymi przy podobnych okazjach.

- Jak długo jeszcze będą ci wierzyć?

- Do czasu, kiedy Mustardi z Danwoodem wrócą z pustyni. Od chwili, kiedy się pojawiłeś, bawią się tam w żołnierzyków i interes nam stoi.

Głowa opadła mi z poduszek. Delphi odłożyła łyżkę oraz talerz z zupą i pomogła

lepiej usiąść. Zobaczyłem swoje odbicie w starym, lustrze na suficie. Wyglądałem jak zbyt długo niepogrzebany trup.

- Możesz mi wytłumaczyć, dlaczego się tobą opiekuję, zamiast powiedzieć Mustardiemu, w jakim stanie naprawdę się znajdujesz i zaserwować mu ciebie na srebrnej tacy?

Jeszcze była piękna, ale głos miała ostry, a spojrzenie, oprócz chwilowych przeblysków delikatności, twarde jak młyńskie kamienie.

- Ponieważ w ten sposób więcej na tym zarobisz - objaśniłem.

- Trafiłeś w dziesiątkę - zgodziła się. - Ale teraz musisz powiedzieć mi, jak.

- W pasku mam sto pięćdziesiąt złotych. Jeśli mi pomożesz, są twoje.

Zmrużyła oczy.

- Mogę je sobie wziąć już teraz, a potem cię wydać. Jesteś bezbronny jak dziecko.

- Myślisz? - zdobyłem się na pytanie.

Niestety, miała rację i zdawała sobie z tego sprawę. Mimo to opiekowała się mną jeszcze dwa dni, a kiedy z pustyni zaczęli wracać pierwsi ludzie, pomogła mi przemieścić się do pustej komórki na końcu korytarza na poddaszu. Co więcej, zaopatrzyła mnie w porządną ilość jedzenia i picia oraz duży nocnik z pokrywką.

- Żegnaj, bohaterze - pożegnała się ze mną ironicznie. - Już wczoraj powiedziałam burdelmamie, że zwiąłeś. Nikt przez jakiś czas nie będzie cię tutaj szukał. Ale jeśli będziesz tu zbyt długo, znajdą cię. Uważaj na siebie.

- Chwila. - zatrzymałem ją, zanim zamknęła za sobą drzwi. - Nie wiem dokładnie, co się tutaj dzieje, ale wygląda to bardzo nieuczciwie i mam takie przeczucie, że wielu ludzi zginie. Sto pięćdziesiąt złotych to dużo jak na nowy początek. W stajni go-

spody znajdziesz sporo wolnych koni. Weź jednego i odjedź.

Zatrzymała, się w drzwiach i zmierzyła mnie zdziwionym wzrokiem.

- Może nie jestem najmądrzejsza, ale takiemu mężczyźnie jak ty można wierzyć w tych sprawach. Ale dlaczego mi to mówisz?

Nie byłem pewien, czyby zrozumiała, że tylko dlatego, żeby była bezpieczna.

Dziwki nie znają wdzięczności. Nie wolno im jej znać, jeśli mają przynajmniej jakiś czas przeżyć.

- Ponieważ kiedy odjedziesz, nie będzie o mnie wiedział zupełnie nikt. A jeśli nie odjedziesz, uważaj na siebie. Już nie jestem bezbronny jak dziecko.

Uśmiechnęła, się i skinęła głową. Ten ton rozumiała.

- Jasne, bohaterze. Dużo szczęścia.

W oczach jej błysnęło i wyszła. Przez moment miałem wrażenie, że oboje udawaliśmy innych niż w rzeczywistości jesteśmy, ale później wyrzuciłem to z głowy. Miałem nad czym myśleć.

Według Delphi, Roxana oficjalnie stanęła po stronie Danwooda i tym samym zyskała przewagę siły. Z okna widziałem, że Aechyl w ciągu ostatnich osiemnastu godzin pogrzebał co najmniej dwudziestu martwych. To oznaczało, że Danwood z Mustardim prowadzili na pustyni prawdziwą wyniszczającą wojnę, lecz jednocześnie uważali, żeby nie dowiedziano się o niej w innych miastach imperium. Właśnie dlatego kazali grzebać wszystkich poległych. Nie chcieli niepotrzebnymi trupami zwracać uwagi cesarskich urzędników na istnienie szlaku przemytniczego. A jeśli umierało tylu ludzi, oznaczało, że chodzi o coś naprawdę dużego. W takim wypadku los kilku dziwek, choćby strzegł ich sam bóg rozpustników, był im obojętny.

Rankiem następnego dnia usłyszałem, jak do pokoju, gdzie prawie trzy dni się

ukrywałem, wtargnęli ludzie. Wściekle porozbijali meble i odeszli. Później przez całą noc z apartamentu Mustardiego dochodziły na przemian jęki, sprośne okrzyki, skrzywienie łóżka, a później nad ranem stłumiony kobiecy płacz. Leżałem na ziemi, jadłem, piłem i zachęcałem swoje ciało do jak najszybszej regeneracji. Moje rany były co dzień w lepszym stanie, może nawet co godzinę, ale wciąż jeszcze nie mogłem nic złapać w dłoń bez przykrych skutków. Po raz pierwszy od mojej nieudanej kremacji zainteresowałem się swoją bronią. Do tej pory czułem się na tyle marnie, że i tak nie mogłbym jej użyć. W bandolecie zostały trzy ostatnie noże do rzucania, do tego po jednym na każdej kostce nogi i jeden w lewym futerale nad łokciem. Kuszę zostawiłem w bungalowu, miecz straciłem diabli wiedzą gdzie. Gdybym był zdrowy, w pełni uzbrojony z zapasami wody a do tego jeszcze miałbym konia, nie wahałbym się ani chwili i zniknąłbym stąd jak najszybciej. Niestety, straciłem większość wyposażenia i wciąż jeszcze kuśtykałem. Jakkabardi stało się dla mnie pułapką, z której nie potrafiłem się wypłatać.

Uprzyjemniałem sobie czas rozmyślaniami o przyczynach wojny bandytów.

Mogło chodzić o kontrolę nad szlakiem przemytniczym, albo o pozyskanie szczególnie dużego ładunku soli, gorzałki, wina czy dywanów. Na wszystkie te rzeczy cesarz crambijski narzucił olbrzymie podatki i każdy kto zdołał się wykręcić jego urzędnikom, mógł się łatwo wzbogacić. Ale i tak niezbyt w to wierzyłem. W tej grze musiało chodzić o coś dużo większego.

W nocy ze snu ponownie wyrwał mnie kobiecy szloch. Stał się moim koszmarem sennym. Do tego jeszcze z dolnych pięter domu publicznego dochodził mnie nieustanny szum, jakby ktoś prznosił meble, starając się przy tym nie robić hałasu.

Świt przyniósł zaskoczenie. Okno wychodziło bezpośrednio na plac. Wokół je-

dynej miejskiej studni w ciągu nocy wyrosła prowizoryczna zapora z worków wypełnionych piaskiem, drewnianych belek i części mebli. Miasto jeszcze spało.

Krótko po tym, jak się rozwidniło, na placu zaczęli gromadzić się ludzie. Dwóch najodważniejszych albo najbardziej ciekawskich, po długiej debacie zdecydowało się obejrzeć budowlę z bliska. W połowie drogi na ziemię obaliły ich cztery strzały.

W południe, na podstawie swoich uważnych obserwacji oraz z usłyszanych fragmentów rozmów, zrozumiałem nową sytuację. Dla Mustardiego wojna na pustyni nie rozwijała się najlepiej, dlatego zdecydował się zająć studnię, żeby zyskać kontrolę nad sytuacją. Krótko przed końcem sjesty Danwood pokusił się o szturm, ale zapłacił za to trzema martwymi i dwoma rannymi. Mustardi miał wielu łuczników. Dopiero pod wieczór ludzie Danwooda zdali sobie sprawę, że dom publiczny jest wolny i go zajęli. Co dziwne, dowodziła nimi Roxana.

Nagle poczułem w gardle nieprzyjemną gulę strachu. Potrafiłem blefować przed Mustardim i pysznić się przed jego ochroniarzem, ale jej się bałem. Była zbyt mądra, żeby dała się długo wodzić za nos. Moje tajne schronienie wydało mi się nagle pułapką, ponieważ prowadziła do niego tylko jedna droga. Wyjrzawszy ostrożnie, wyszedłem na korytarz. Pusty. Mimo że znajdowałem się na poddaszu, sufit z nieheblowanych desek był prosty. Musiało się nad nim znajdować jeszcze jedno zadaszone pomieszczenie! Po minucie gorączkowych poszukiwań znalazłem klapę. Z dołu dobiegały mnie podniecone głosy i głośnie hałasy. Dom publiczny ożywał, chociaż nawet jeszcze się nie ściemniło. Korytarz był dość niski. Podziękowałem przodkom za dwumetrowy wzrost i spróbowałem pchnąć ręką klapę. Była otwarta. Błyskawicznie zabrałem wszystkie rzeczy z pokoiku, wrzuciłem je na stryszek, a później sam wspiąłem się na górę. Nie sprawiło mi to żadnego trudu. Nie minęło pół godziny, gdy ludzie Roxany

zaczęli przeszukiwać wszystkie pomieszczenia, nie wyłączając mojej byłej klitki. Stało się dla mnie jasne, że muszę jak najszybciej zniknąć z Jakkabardi, bez względu na rany czy wyposażenie. Poczekalem do północy, później ostrożnie zeskończyłem na korytarz i na palcach zszedłem piętro niżej. W większości pokoi było gwarno. Od czasu, kiedy bandy zaczęły skakać sobie do gardła, przestało obowiązywać burdelowe przymierze, a ludzie Danwooda rekompensowali sobie teraz długotrwałą abstynencję seksualną. Jutro ich męskość prawdopodobnie osłabnie, ponieważ nie będą mieli co pić. Nie musiałem nawet uważać na hałas, ponieważ zewsząd rozlegały się śmiechy jęki, bełkoty i sprośne uwagi. Na końcu korytarza znalazłem drzwi, za którymi panowała cisza. Ostrożnie je otworzyłem, wszedłem do pokoju i cicho za sobą zamknąłem. Stałem i nasłuchiwałem. Im dłużej czekałem, tym bardziej rozumiałem, że coś jest nie w porządku. Powoli i ostrożnie sięgnąłem po nóż w bandolecie. W tym momencie ktoś podniósł zasłonę i ciemność rozświetlił płomień lampy olejowej. Przy oknie stała Roxana z Danwoodem.

- Przyszedł. Dokładnie tak, jak przypuszczałam - powiedziała, z pewnym siebie uśmiechem do towarzysza, nie spuszczając ze mnie oczu.

Celowała we mnie moją własną kuszą. Z tak bliskiej odległości prawdopodobnie przestrelałaby mnie na wylot.

- Wystarczyło zrobić trochę ruchu i szczur sam wylazł z dziury. Jedyne otwarte i puste pokój w całym burdelu to właśnie ten - wytłumaczyła mi z grymasem.

Doskonale mnie rozgryzła.

- Dlaczego pana ludzie próbowali mnie zabić? - zwróciłem się do Danwooda.

Swój miecz z szerokim ostrzem trzymał nisko, przygotowany do ataku w dowolnym momencie.

- Byłem głupcem, kiedy panu uwierzyłem - warknął. - Wykończył pan czterech moich ludzi, później w bójce następnych trzech. Powinienem pana przycisnąć od razu, kiedy po raz pierwszy pana zobaczyłem.

Nie miałem pojęcia, o czym mówi, lecz nie wydawało mi się rozsądne właśnie teraz się z nim kłócić.

- Mam dla pana propozycję handlową - zacząłem, zastanawiając się jednocześnie, czy zdążę uciec drzwiami na zewnątrz.

Danwood pokręcił głową.

- Na zewnątrz stoi sześciu najlepszych moich ludzi.

Światło lampy sprawiało, że ich oczodoły ginęły w ciemności, a nosy rzucały długie cienie. Jakbym rozmawiał z martwymi od lat kościotrupami, a nie z żywymi ludźmi.

- Nie sądzę, że zdążysz - zaśmiała się Roxana.

Błysnęły jej białe zęby, dotarł do mnie lekki zapach.

Zmysłowy zapach morderczego drapieżnika.

Miała rację, z pewnością nie byłbym dość szybki. Nie wtedy, kiedy to ona miała palec na spuście.

- Jutro pana ludzie będą umierać z pragnienia, a do studni się nie dostaniecie - kontynuowałem targowanie się o własną skórę.

- Dokładnie tak. - Roxana nie pozwoliła mi dokończyć. - Ponieważ jesteś ważnym człowiekiem dla Mustardiego, wymienimy cię na wodę.

- Mam inną propozycję.

- Milcz! - weszła mi w słowo. - Jakakolwiek inna propozycja i na miejscu cię zabiję! Chodźcie tutaj, zwiążcie go i włożcie mu knebel! - krzyknęła.



Drzwi się otworzyły. Spojrzałem, w bok, żeby się upewnić, że naprawdę nie istnieje nawet najmniejsza szansa na ucieczkę. Nagle dostałem w szczękę, aż pociemniało mi w oczach, ugięły się pode mną kolana. Roxana powaliła mnie na ziemię sierpowym, jakiego nie powstydziliby się nawet profesjonalny bokser. Ocknąłem się mocno związany, z drewnianą gruszką w ustach. Dobrze przynajmniej, że nie wybili mi przednich zębów. Leżałem na podłodze w głównym holu domu publicznego twarzą do ziemi.

- Wystarczyło zajrzeć do tej klatki i wiedziałam, że jesteś gdzieś blisko. Po smrodzie - usłyszałem głos Roxany. - Jestem ciekawa, jak sobie z tym jutro poradzisz. Na pożegnanie kopnęła mnie pod zębra, a później usłyszałem już tylko odgłos oddalających się kroków.

Przewróciłem się na bok. Aż do świtu starałem się uwolnić z więzów, lecz na próżno. Później gorączkowo rozmyślałem, co zrobić, żeby ludzie Mustardiego mnie nie zabili. Nie znalazłem ani jednego powodu, dlaczego nie mieliby tego zrobić. Dlaczego, do diaska, Danwood myślał, że jestem dla Mustardiego człowiekiem numer jeden? Może była to tylko desperacka próba dotarcia do wody? Nie miało to sensu. W końcu pozwoliłem swoim myślom swobodnie krążyć. Zawsze sobie wyobrażałem, że umrę ze strzałą w piersi, z poderżniętym gardłem albo z zaśniedziałą stalą we wnętrznościach. Nigdy nie przyszło mi do głowy, że mógłbym zostać stracony bez możliwości spróbowania jakiegokolwiek obrony. Znow zmusiłem swój mózg do pracy na najwyższych obrotach, w przenośni i dosłownie waliłem głową w ziemię, ale na próżno.

Przed dziewiątą, kiedy słońce zaczynało przybierać na sile, wyprowadzili mnie na skraj placu. Zabrali mi całą broń, zdjęli pęta, lecz kostki u nóg zostawili związane, żebym mógł stawiać tylko drobne kroczki. Najlepszy łucznik Danwooda trzymał mnie

na muszce. Moim zadaniem było przekonanie Mustardiego, żeby dobrowolnie pozwolił wszystkim korzystać ze studni. Proste. Roxana chciała, żebym umarł, to było tak jasne, jak oślepiające słońce nad nami.

- Wiem, gdzie jest inne źródło wody - powiedziałem głośno, żeby słyszeli wszyscy wokół.

- Mówiłam ci, że będzie się wykręcał. Robi w portki ze strachu, jak każdy.

Chcemy wody ze studni, a nie jakiejś twojej fatamorgany - powstrzymała mnie pogardliwie Roxana. - A teraz już idź albo zaoszczędzimy Mustardiemu pracy.

Uśluchałem i zrobiłem pierwszy krok. Piach zaskrzypiał pod moim ciężarem. W innej sytuacji nie zwróciłbym uwagi na tak cichy dźwięk, ale teraz wszystko miało dla mnie znaczenie. Szare, wypalone niebo, które zdążyło już stracić swój poranny błękit, wydawało mi się wspaniałe, zapach koni z pobliskich stajni był niczym najbardziej wyrafinowane perfumy. Zapachy życia. Kolejny krok w stronę fortecy Mustardiego. W wąskich otworach strzelniczych między workami z piaskiem czekała wystarczająca liczba łuczników, żeby jedną salwą zmienić mnie w krwawą miazgę. Głęboko odechnąłem i znów postawiłem lewą nogę przed prawą. Gdybym zbyt się ociągał, wykończyłby mnie strzelec Danwooda. W grupie gapiów w wąskiej uliczce ujrzałem grabarza Aechyla. Dziwne, ale nie wyglądał na zniecierpliwionego. Doświadczenie pewnie go nauczyło, że każdy będzie kiedyś potrzebował jego usług. Nie chciałem umierać. Jeszcze nie. Potrząsnąłem głową, żeby przestać się nad sobą użalać. Właściwie miałem szczęście: słońce świeciło, wiał delikatny wiatr i na razie nie było gorąco. Wiele osób przed śmiercią nie mogło napawać się pięknem świata. Z twierdzy wyleciała strzała, ale minęła mnie. Najwyższy czas wykazać się porządną dyplomacją. Nagie miałem sucho w ustach. Zanim jednak zdążyłem cokolwiek powiedzieć, wyczułem pod

stopami delikatne wibracje piasku. Nagie pełną napięcia ciszę przerwał tętent kopyt i rżenie koni. Pierwsza w stronę, skąd dochodził dźwięk, odwróciła się Roxana. Rzuciłem się na ziemię, żeby być jak najmniejszym celem, dla łuczników.

Główną ulicę Jakkabardi wypełnił szereg cwałujących jeźdźców. Zbliżali się otoczeni tumanami kurzu, w słońcu ich pancerze połyskiwały srebrem. Za chwilę stali przy nas. W całkowitej ciszy rozmieścili się wokół bandytów i uformowali w taki sposób, żeby w ewentualnej walce zaatakować wszystkich naraz. Było ich czterdziestu, pięćdziesięciu, wszyscy w jeździeckich stalowych zbrojach, za które poza granicami cesarstwa płaci się horrendalne sumy. Był to jeden z najbardziej widocznych dowodów wysokiej pozycji cesarskich płatnerzy. Każdy uzbrojony w miecz, kuszę lub łuk w futerale przy siodle i trzy kopie do rzucania. Już na pierwszy rzut oka wyglądali na doświadczonych weteranów, elitarny oddział armii używany w delikatnych operacjach przeciw poszczególnym feudałom, wasalom imperatora. Nie sądziłem, że obecność żołnierzy może sprawić mi tyle radości.

- Kapitan Gasged, oficer armii imperialnej - przedstawił się potężny mężczyzna z krótką brodą.

Nie miał na zbroi żadnego śladu rangi, nie pozostawało nic innego, niż mu wierzyć.

- Przyjechałem zbadać, co się tutaj dzieje. Aż do odwołania w Jakkabardi i okolicy obowiązuje prawo wojskowe.

Ludzie Danwooda stali spokojnie i pilnowali się, żeby trzymać ręce jak najdalej od swojej broni. Gasged nie musiał nikomu grozić. Ponieważ zaprowadził w Jakkabardi prawo wojskowe, jego słowo było prawem i gdyby chciał, mógł nas wszystkich na miejscu powiesić. Później oczywiście musiałby się ze swojej decyzji wytłumaczyć

przed przełożonymi, ale nam, wisielcom, już i tak byłoby wszystko jedno. Danwood to wiedział, Mustardi to wiedział i obaj zdawali sobie sprawę, że w bezpośrednim starciu ich ostrzy faceci nie mogą się równać z profesjonalnymi żołnierzami.

- Hej! Wy tam, za tymi workami z piaskiem! Przymaszerujcie tutaj i bądźcie przy tym bardzo ostrożni! - krzyknął Gasged w kierunku studni. Połowa żołnierzy bez wyraźnego rozkazu wyciągnęła z futerałów przy siodłach kusze i łuki i przygotowała się do obrony. Mustardi na szczęście miał rozum i usłuchał. Jego ludzie zmieszali się z Danwoodowymi i nagle wszyscy wyglądali jak uosobienie spokoju.

- Jest tu ktoś, kto zwięźle wyjaśniłby mi, co się tutaj dzieje? - spytał Gasged, rozglądając się wokoło.

- Zatrzymaliśmy się tutaj w drodze do Hantenu i mieliśmy małą sprzeczkę o wodę. Studnia nie jest bez dna, a wszystkim nam chce się pić - powiedział spokojnie Danwood.

Jak na tak krótki czas, jaki miał na wymyślenie kłamstwa, nie była to najgorsza historia.

- Kto reprezentuje drugą stronę? - kontynuował przesłuchanie Gasged.

- Ja! - zgłosił się Mustardi.

Kapitan zwrócił się do swego adiutanta.

- Jak się zakwateruję, chcę z tymi dwoma pomówić. Z każdym oddzielnie. Na razie gdzieś ich zamknijcie. I tego tam - pokazał na mnie - też do mnie przyprowadźcie. Tymczasem zostawcie go związanego, wygląda mi znajomo.

Uniknąłem egzekucji, ale jeszcze całkiem nie pozbyłem się problemu. W przeszłości już kilka razy moje drogi skrzyżowały się z interesami cesarza i było całkiem możliwe, że gdzieś jeszcze wciąż znajdują się moje portrety z napisem: „Poszukiwany

żywy lub martwy. Uwaga, bardzo niebezpieczny!”.

Bez oporu pozwoliłem się zaprowadzić do opuszczonego domu, z którego żołnierze zrobili prowizoryczne więzienie. Mustardiego z Danwoodem zamknęli gdzie indziej. Cała sytuacja w Jakkabardi była jeszcze bardziej skomplikowana, niż mi się wydawało. Czego tutaj, do diabła, szukali cesarscy żołnierze? I to na dodatek elitarny oddział? Może wyszło na jaw, że szaleje tu mała wojna? Bandytów nie było szkoda, ale cesarz swoich poddanych najchętniej wieszał sam i nie lubił, gdy ktoś mieszał się w jego kompetencje. Albo przysłała ich tutaj Delphi, żeby mi pomóc. To było jednak zbyt nieprawdopodobne - dziwka zawsze stara się unikać władzy państwowej. Trzecia możliwość wydawała się najbardziej interesująca. Cesarz dowiedział się, że szykowana jest duża operacja przemytnicza i zdecydował się dodać pikanterii życiu szmuglerów. Tylko że to nie tłumaczyło obecności oddziału elitarnego - wystarczyłaby jakakolwiek jednostka regularnej armii.

Wieczorem kapitan kazał mnie do siebie przyprowadzić. Co dziwne, nie mieszkał w burdelu, chociaż, jak zdążyłem zauważyć po drodze, wszyscy żołnierze po służbie trwonili tam swój żołd. Dom, który wybrał, stał nieco z dala od pozostałych i pilnowało go czterech ludzi. Z pewnością z powodu niebezpieczeństwa niespodziewanej napaści. Pomieszczenie, pierwotnie zapewne główny pokój mieszkalny, było pozbawione kurzu, na stole ujrzałem mapę pustyni, identyczną jak moja. Jedyne, co czyniło dom przytulniejszym, to dwa pięcioramienne świeczniki ze świeżo zapalonymi świecami. I karafka z winem.

- Rozwiążcie go i poczekajcie na zewnątrz - polecił Gasged, kiedy przyprowadzili mnie do środka. - Napije się pan? - spytał, wskazując krzesło.

Kiwnąłem głową i usiadłem. Przesłuchanie rozwijało się lepiej, niż sobie wyob-

razałem. Wino nie pochodziło z zapasów Kloda. Po dwudziestu czterech godzinach w upale, bez jakichkolwiek płynów, smakowało jednak wyśmienicie.

- Zanim zaczniemy rozmowę, coś panu pokażę - powiedział i podsunął mi dwa pergaminowe rulony. Wystarczyło jedno spojrzenie i wiedziałem, o co chodzi. Na pierwszym był mój nieumiejętnie wykonany portret sprzed mniej więcej piętnastu lat. Pochodził z jednego z pierwszych listów gończych, jakie za mną wysłano. Grzechy młodości. Drugi był świeży, ktoś musiał narysować go dzisiaj.

- Mam w jednostce znakomitego rysownika i często wykorzystuję jego talent. Nie pomogłoby panu, gdybym odświeżył pana wizerunek i tę nową podobiznę puścił w obieg, a pana imię połączył z miejscowymi wydarzeniami?

Kapitan z pewnością należał do gorliwców, dla których służba jest wszystkim.

Nikt inny nie studiowałby urzędniczych papierzyk sprzed piętnastu lat.

- Nie pomogłoby - odrzekłem i bez zachęty nalałem sobie kolejny kieliszek;  
- Gdyby oddalił się pan z Jakkabardi bez mojej wiedzy tak właśnie zrobię. Może uda się panu uciec jednemu łowcy albo dwóm, ale my będziemy chodzić za panem krok w krok, jak długo będzie trzeba. Czy to jasne?

- Tak.

Nie wiedziałem, co ma na myśli, mówiąc „my”, lecz wolałem nie pytać. Nasza konwersacja nie rozwijała się wprawdzie bardzo źle, ale jak do tej pory przypominała raczej monolog.

- Co pan sądzi o tym, co się tutaj dzieje? - przeszedł w końcu do rzeczy, uważnie mnie przy tym obserwując.

Nie miałem czego ukrywać i bez ogródek zapoznałem go ze swymi domysłami.

Kapitan nalał sobie wina, ponownie dolał mi do kieliszka i przez chwilę w za-

myśleniu przyglądał się płomieniowi świec.

- Dokładnie tak. A rzecz, o którą toczy się gra, to przesyłka szmaragdów ukradzionych z cesarskich szlifierni.

- Surowych? - spytałem.

- Nie, już oszlifowanych.

Głęboko westchnąłem. Szmaragdy, uszlachetnione przez najlepszych szlifiery na świecie, miały od dziesięciu do dwudziestu razy większą wartość niż nieobrobiony materiał.

- Jest pan pewien, że kamienie szlachetne będą przewożone właśnie przez Jakkabardi?

Gasged przytaknął.

- Dokładnie. A gdzieś z drugiej strony pustyni dostaną się w łapy pośrednika i w ten sposób bezpowrotnie nam przepadną.

Mówiąc „nam”, Gasged miał oczywiście na myśli całe Imperium Crambijskie.

- A Danwood z Mustardim walczą o prowizję za przewóz przez pustynię - wynioskowałem.

- Przechwyciliśmy wiadomość, że przewoźnik dostanie dwadzieścia procent ceny przesyłki - kontynuował Gasged. - Wnioskując z tego, co się tutaj działo, kiedy przybyła moja jednostka, kurier niewątpliwie wciąż nie dotarł. Teraz zapewne pan rozumie, dlaczego nie chcę, żeby oddalił się pan stąd, zanim cała sprawa zostanie zakończona. Każdy, kto odjedzie, jest potencjalnym złodziejem szmaragdów. Jeśli pomoże mi pan odnaleźć skarb, będzie mógł odejść, a ja zapomnę, że kiedykolwiek pana widziałem. Rozumie pan?

Skinąłem głową i podniosłem się z krzesła. Ostatnie pytanie było jasnym pole-

cenieniem odejścia.

- Mój adiutant odda panu broń. Może będzie jej pan potrzebować - powiedział, zanim zdążyłem zamknąć drzwi.

Na zewnątrz tymczasem zapadł zmierzch i się ochłodziło. Oddech w świetle pochodni zamieniał się w dobrze widoczną parę. Byłem wdzięczny Klodowi za jego stary płaszcz i żeby spłacić część swego długu, skierowałem się w stronę oberży. Chciałem się porządnie najieść i napić - oczywiście na kredyt, ponieważ żadnego złota mi nie zostawili. Wewnątrz było zadziwiająco pusto, przy dwóch stołach siedziało tylko czterech żołnierzy. Klod, nie pytając o nic, przyniósł mi dzisiejsze menu: koninę z chlebowymi plackami. Po utarczkach minionych dni koni był nadmiar.

- Skąd pan bierze takie wino? - spytałem. Zamiast odpowiedzi wzruszył ramionami.

- Każdy z nas ma swoje tajemnice - dodał, gdy znów wrócił za swoją ladę.

- Gdzie są ludzie Danwooda i Mustardiego? Urządzają wspólny piknik?

Jednemu z żołnierzy moje pytania się nie spodobały, ale dopóki obrzucał mnie tylko wrogimi spojrzeniami, nic sobie z tego nie robiłem.

- Trzymają się razem jak kojoty, każdy w innej norze - odpowiedział od drzwi grabarz.

Stał na progu i otrzepywał się z kurzu. Na zewnątrz podnosił się wiatr.

- Dzisiaj wezmę wszystko podwójnie, Klod. Mam w końcu za sobą tę harówkę, już są pod ziemią. Mam nadzieję, że parę dni sobie odpocznę, skoro przyjechali żołnierze.

Nawet po Aechylu widać było trud minionych dni. Kopanie na pustyni sześciu, siedmiu grobów każdego dnia musiało być naprawdę wyczerpujące. Nie wierzyłem



jednak, że będzie spokój. Informacje Gasgeda tłumaczyły wiele rzeczy, lecz nie wszystkie. Zagadką zostawało, dlaczego bandyci, którzy przez długi czas rozsądnie prosperowali obok siebie, nagle nie zdołali porozumieć się w sprawie podziału zysków, zwłaszcza że wystarczyłoby dla wszystkich. Nie miałem również pojęcia, jaką rolę odgrywa Roxana. Może naprawdę pracowała dla Danwooda, a może była tutaj z zupełnie innego powodu? Może właśnie ona była informatorem kapitana, albo przeciwnie - przygotowywała drogę dla przesyłki? A może...? Ostatnimi czasy zaczynałem mieć talent do mnożenia najróżniejszych hipotez. Po dniu pełnym wrażeń i kilku kieliszkach wina dojrzałem do tego, żeby położyć się do wygodnego łóżka. Nie dysponowałem nim wprawdzie, ale łóżko polowe w pustym bungalowie, który przed kilkoma dniami w takim pośpiechu opuściłem, przy odrobinie skromności mogło je zupełnie dobrze zastąpić. Wyszedłem z gospody i oparłem się o ścianę, żeby przyzwyczaić oczy do mroku. Za rogiem domu ktoś stał. Wiedziałem o nim, chociaż nie wydawał najmniejszego dźwięku. Nie miałem nastroju na potyczki w ciemności, zdecydowałem się więc obejść budynek z drugiej strony, żeby go ominąć. Kiedy robiłem drugi krok, nieznajomy wyszedł z ukrycia - kobieta.

- Proszę, niech mi pan pomoże - wyszeptała.

Był to głos bez nadziei, pełen rozpacz. Głos człowieka, który w życiu ciągle przegrywa i już nawet nie ma na nic nadziei. Była niska, sięgała mi zaledwie do piersi, w mroku widziałem tylko jej sylwetkę i chustkę omotaną wokół głowy. Nawet nie pragnąłem jej zobaczyć, ten głos w zupełności wystarczył.

- Skąd pani jest?

- Z domu publicznego.

- I czego pani potrzebuje?

- Chcę stąd odejść - załkała.

- A dlaczego pani myśli, że mógłbym pani pomóc?

- Delphi pan pomógł.

- Może. - Skinąłem głową. - Ale ona mi zapłaciła. Nie jestem dobrym dziadkiem z bajki. Może mnie pani wynająć. Ma pani czym zapłacić?

Doświadczenie mnie nauczyło, że jakiegokolwiek przejawy miłosierdzia prędzej czy później będą człowieka sporo kosztować.

- Zapłacić? - zająknęła się.

- Pewnie - przytaknąłem niecierpliwie. - Pieniądze, klejnoty, złoto, szmaragdy, cokolwiek, co ma wartość. Jeśli mam pomóc, będę przy tym ryzykował. Musi się opłacać.

- Mam klejnoty, ale on... zawsze je sprawdza. Poznałby. Moje jest tylko to.

Zanim zdążyłem ją powstrzymać, wcisnęła mi do ręki monetę. Czułem, że to stary zdarty miedziak. Nie wiedziałem, co to wszystko znaczy i w jakie intrygi znów się wplątałem. Ta pustynna dziura była nimi naszpikowana jak imperialny pałac.

- Dobrze. Zapłaciła mi pani. Gdy nadejdzie właściwa chwila, pomogę pani stąd zniknąć. Teraz proszę odejść, niech nikt nas razem nie widzi.

- Tak, dziękuję panu bardzo - pisnęła.

Jej beznamienny głos bez szczypty życia przyprawiał mnie o gęsią skórę. Jakbym nie rozmawiał z człowiekiem, lecz z jakimś odbiciem w lustrze. Zanim całkiem zniknęła w ciemności, zrozumiałem, że to właśnie ona nocami, które spędziłem w domu publicznym, na zmianę płakała i jęczała z bólu. Cieszyłem się, że nie widziałem jej twarzy i że dała mi tylko lichego miedziaka. Nie chciałem nawet znać jej imienia.

Drzwi wahadłowe do lokalu skrzypnęły, na schodach pojawił się Aechyl.

- To była Marcelka, kochanka Mustardiego.

Stłumiłem przekleństwo i wolałem pójść spać.

Rano obudzili mnie ludzie kapitana. Skrzywienie piachu pod ich ciężkimi butami mnie ostrzegło, zanim jeszcze weszli do domku, lecz nie było sensu uciekać, dlatego pozwoliłem im na przyjemność wyciągnięcia mnie z łóżka. Musieli obserwować, gdzie poszedłem spać. Zaprowadzili mnie do Gasgeda. Kapitan się wściekał, w szeregu przed nim z kamiennymi twarzami stali Danwood z Roxaną i Mustardi ze swoim hebanowym zabijaką. Na ziemi, ładnie poukładani obok siebie, leżeli trzej weterani elitarniej jednostki cesarskiej. Martwi. Wszyscy zostali zabici w ten sam sposób, skośnym cięciem przez gardło i tętnicę szyjną. Wyglądało to na rutynową robotę doświadczonego profesjonalisty. Skoro zdołał ich wszystkich zaskoczyć, musiał być cichszy niż ryś. Ze słów Gasgeda rozumiałem, że dwóch z nich miało nawet nocną wartę.

- Sam pan zauważył, kapitanie, że moi ludzie nie dorastają pańskim do pięt. -

Danwood wykorzystał krótką pauzę. - A ja się z panem zgadzam. Nikt z moich ludzi by tego nie potrafił i myślę, że jego też nie. - Kiwnął w kierunku Mustardiego. - Pańscy ludzie, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, rozprawili się sami ze sobą.

Gasged przez chwilę nie był w stanie powiedzieć słowa.

- Jeszcze jeden martwy i każę powiesić pięciu ludzi każdego z was! - wybuchnął, lecz nagle się zatrzymał i zwrócił do mnie. - Niech pan pokaże ręce!

Wyciągnąłem dłonie. Skóra była różowiotka i ciągle tak cienka, że prześwitywało pod nią gojące się mięso. Nie mogłem to być ja.

- Pięciu ludzi każdego z was! - powtórzył jeszcze raz wściekle i zwolnił nas.

Zanim zdążyliśmy się rozejść, na ulicy pojawiły się dwa konie. Jeden z pustym siodłem, drugi z uprzężą pociągową, lecz bez bagażu. Gasged zmrużył oczy, Mustardi z

Danwoodem przeszzywali się nawzajem wzrokiem, Roxana nie spuszczała wierzchołków z oczu. Wyglądało na to, że kurier ze szmaragdami dotarł, ale ktoś się na niego zaczął kawałek przed Jakkabardi. Cisza stała się ciężka od napięcia, każdy starał się wyczytać coś z gestów i spojrzeń pozostałych, Gasged szczegółowo przeszukał konie i posłał swoich ludzi, żeby wyruszyli po śladach i znaleźli ciało. Wrócili późno i bez niczego. Pustynny wiatr zatarł ślady. Ja tymczasem przeszukałem martwych żołnierzy. Byli zimni i sztywni, musieli umrzeć już przed północą. Nic nie wskazywało na to, że walczyli. Poszedłem do stajni, żeby sprawdzić konie kuriera. Nikt mi nie zabraniał poszukiwań, ponieważ kapitan wypytywał swoich żołnierzy, a Danwood z Mustardim zniknęli z pola widzenia. Z pewnością zastanawiali się, co dalej. Oba konie przebywały na pustyni już od dłuższego czasu i długo oraz łąpczywie piły. Ten, kto wypręgał zwierzę pociągowe, zrobił to dokładnie i zabrał wszystko. Oczekiwałem raczej, że złodziej będzie się spieszył, weźmie tylko szmaragdy a resztę zostawi na swoim miejscu. Jeśli jednak chciał wędrować dalej przez pustynię, zapasy wody i pożywienia kuriera mogły mu się przydać. Ale również przydałby się koń pociągowy. Oględziny przerwała Roxana.

- Jak się masz? Już ci lepiej? - Pokazała na moje ręce.

Wzruszyłem ramionami. Wystarczyło, żebym raz musiał porządnie ścisnąć rękę, a moje dłonie znów stałyby się jedną bolącą raną. Tego jednak nie zamierzałem zdradzać.

- W co ty właściwie grasz? - spytałem zamiast tego.

Odsłoniła swoje doskonałe zęby i przysunęła się o krok. Ostra pustynia nie odebrała jej urody. Była tak samo pociągająca jak wtedy, gdy zobaczyłem ją po raz pierwszy, ciągle też tak samo pachniała. Musiała się niedawno kąpać. Uważałem, żeby

zbyt długo nie przyglądać się jej sylwetce i wolałem skoncentrować się na oczach i rękach. Była niebezpieczna na wiele różnych sposobów.

- Jestem tutaj, bo taką mam umowę. Pięćdziesiąt procent zysku dla mnie, reszta dla Danwooda i jego ludzi. Proponuję ci połowę swojego udziału, jeśli pomożesz mi odnaleźć te przeklęte szmaragdy. Resztę załatwię. Dla nas dwojga to łatwe.

Z bliska czułem jej oddech, w głosie ukrywało się wiele obietnic.

Przypomniałem sobie pełne nienawiści spojrzenie, jakim mi się przyglądała, kiedy razem z Danwoodem wzięli mnie do niewoli oraz kopniaka w zębra. Zgadła, jaka będzie moja prawdziwa odpowiedź zanim zacząłem blefować.

- Jesteś nędznym tchórzem - zasyczała. - Ta gra jest dla ciebie za ostra. Zejdź mi z drogi!

Odwróciła się na pięcie i zostawiła mnie w stajni samego.

Jakkabardi wyglądało spokojnie, ale tuż pod powierzchnią wrzało z napięcia.

Danwoodowcy i banda Mustardiego chodzili wokół siebie na palcach, przygotowani, żeby pod najmniejszym nawet pretekstem rzucić się na siebie jak koguty. Żołnierze tymczasem, chmurnie im się przyglądali. Bandyci i najemnicy chodzili obwieszeni bronią, ręce trzymali zawsze blisko rękojeści mieczy, szabli czy łuków i kusz. Przy studni wciąż ktoś pilnował zapasów wody. Słońce jakby zdecydowało się jeszcze podgrzać przepełniony kocioł i piekielnie paliło. Niebo zrobiło się bardziej szare niż zwykle, powietrze stało nieporuszone nawet najmniejszym powiewem wiatru, nad rozpalonym piaskiem drżało niczym trzęsąca się zjawą.

Siedziałem „U Pijaka” z tyłu, w rogu, jadłem powoli i jeszcze wolniej popijałem doskonale schłodzone wino Kloda. Od czasu do czasu w sali pojawiała się grupka ludzi jednej lub drugiej strony, zamawiała coś do picia i szybko usuwała się z pola widzenia.

Było tak gorąco, że nawet muchy nie bzycały, widocznie wolały się schować gdzieś w cieniu. Przez jedno okno widziałem Aechyla, jak w cieniu swojej chaty naprawia narzędzia i z niezadowoleniem mruczy coś poci nosem. Chyba perspektywa dalszej pracy niezbyt go bawiła. Plac nieprzerwanie patrolowało sześciu żołnierzy pilnując studni, pancerze mieli zasłonięte wyblakłymi tunikami. Bez nich w swoich zbrojach dosłownie by się upiekli. Tylko że steki z nich byłyby zbyt żyłaste. Reszta załogi rewidowała mieszkańców Jakkabardi od stóp do głów i szukała szmaragdów. Gasged od razu w dzień swego przyjazdu zrobił dokładny spis wszystkich ludzi w mieście. Ponieważ nikogo nie brakowało, był pewien, że zabójca kuriera i kamienie szlachetne są gdzieś tutaj. Nie wróżyłem mu zbytniego sukcesu. Cała przesyłka nie musiała mieć wielkiej objętości, a zwyczajna torba podróżna mogła się znajdować w wielu miejscach. Właściwie nawet nie wiedziałem, o ilu szmaragdach w rzeczywistości mówimy. Kiedy wyobrażałem sobie ćwierćetnarowy worek pełen zielonych, doskonale oszlifowanych kamieni, zapierało mi dech. Nie umiałem sobie wyobrazić, jaką mogłyby mieć wartość. Klod przyniósł mi drugą karafkę wina.

- Dziś jakoś szczególnie oszczędnie je pan pije - burknął.

- Tak, dobre rzeczy trzeba oszczędzać.

- Może? - Skrzywił się. - A może będzie pan potrzebował pewnej ręki?

Wzruszyłem ramionami. Nie miałem zamiaru niepotrzebnie się do niczego mieszać. Wierzyłem, że sprawny Gasged rozwikła sprawę, używając gwałtowniejszych metod niż te, jakimi dysponowałem ja.

Przypomniałem sobie miedziaka, którego dostałem w nocy i obejrzałem go. Była to stara moneta, trochę większa niż dzisiejsze, relief na awersie był wytarty od długiego używania. Za coś takiego człowiek nie kupiłby nawet starego precla. Na rewersie

ktoś starannie wyrył portret kobiety z owalną twarzą i oczami jak migdały. Schowałem miedziaka z powrotem za pasek.

O zachodzie słońca do sali przybiegł Mustardi ze świtą swoich najwierniejszych. Machnął na Kloda, oparł się o szynkwias, spojrzeniem błędził po okolicy i wyglądał na jeszcze bardziej zdenerwowanego niż zwykle. Jego czarny strażnik stanął obok niego, sprawdziwszy wzrokiem pustą salę. Poświęcił mi zaledwie ułamek więcej uwagi niż krzesłom i stołom. Nie potrafiłem zgadnąć, o czym w tej chwili myślał. Może o niczym? Za pasem trzymał dwa sztylety przy lewym boku wisiały dwa krótkie miecze. Ich pochwy były skierowane równoległe do ziemi. W chwili, kiedy Mustardi dostał dużego drinka, do sali wpadł jeden z jego gońców i podał mu mały rulonik. Niecierpliwie go rozwinął i obrzucił spojrzeniem. Na moment skamieniał, na czole nabrzmiała mu niebieska żyła. Później coś gniewnie syknął tak szybko, że go nie zrozumiałem. Jeden człowiek z ochrony, wysoki, potężny facet z byczym, karkiem, odważył się zaprotestować. Kilku pozostałych z wahaniem przytaknęło. Mustardi spojrzał na swojego czarnego ochroniarza, a później na zuchwalca. Grupka zamarła. Wszyscy rozumieli, co to znaczy. Hebanowy zabijaka z rękami opuszczonymi luźno wzdłuż ciała zrobił krok w stronę dużego mężczyzny. Drugi. Nie spieszył się, dał przeciwnikowi możliwość zareagowania. Ten czarny facet najwidoczniej kochał walkę. Zuchwalec się skrzywił, w jego ręce błysnął nagle długi nóż. Miał go za paskiem rękojeścią w dół, dlatego jego atak był tak błyskawiczny. Hebanowego jednak nie zaskoczył - skłonił tułów i uciekł przed ostrzem, jednocześnie przysunął się bliżej rywala, złapał i wykręcił uzbrojoną rękę. Nagle, uderzywszy dłonią od wewnętrznej strony w łokieć, mu ją złamał. Wielki mężczyzna zbladł, ale jeszcze uderzył w hebanowego lewym sierpowym. Zabijaka wśliznął się pod niego, wręcz się do niego przykleił i chwilę potem

chłop z byczym karkiem leżał już na ziemi z rozprutym brzuchem. Charczał i trząsał się w drgawkach nie do opanowania. Hebanowy, pochyliwszy się nad nim, dobił go cięciem miłosierdzia.

Mustardi nie poświęcił martwemu żadnej uwagi. Szybko wyszedł na zewnątrz, pozostali posłusznie drobili za nim. Był to trochę osobliwy sposób utrzymania dyscypliny, ale działał doskonale.

Poczekalem, aż się oddalą i przysunąłem się do baru, żeby przeczytać wiadomość, o której Mustardi w pośpiechu zapomniał. Była napisana na niezbyt dobrym papierze, używanym przez niższych urzędników imperialnych do mało istotnych komunikatów, i brzmiała zwięźle:

Danwood ma szmaragdy. Chce cię zwabić w pułapkę i skończyć z tobą. Porwał Marcelę i ukrył się z nią na pustyni. Wiem, gdzie. Czekam na ciebie w naszym miejscu.

Podpisu oczywiście brakowało. Kiedy jednak powąchałem rulonik, poczułem charakterystyczny zapach Roxany. Grała na dwa fronty, pytanie brzmiało, dla kogo naprawdę. Klod z zainteresowaniem mi się przyglądał. Wsunąłem wiadomość do kieszeni.

- Zapłacę, jak wrócę. Za chwilę jestem z powrotem - powiedziałem mu.

Skinął głową w milczeniu. W drzwiach spotkałem się z Aechylem. Nie wiedziałem, czy to dobry, czy zły znak. Właściwie to bez znaczenia, ponieważ nie zamierzałem się w nic mieszać.

Przedwieczorne Jakkabardi stało się nagle puste, usłyszałem jeszcze tętent odjeżdżających koni. Gnali cwałem, co znaczyło, że owo miejsce nie mogło być daleko.

Podniósł się silny wiatr, silniejszy niż w inne dni, piach, który się wzbijał, nieprzyjem-



nie kłuł w twarz. Nie zapinałem jednak płaszcz - za długo by mi zajęło wyjmowanie broni. Zajrzałem do stajni. Zostało tam tylko kilka koni, nawet zagroda, gdzie stały zwierzęta żołnierzy, była pusta. To podsunęło mi pewną myśl i skierowałem się do kwatery Gasgeda. Nikt go nie pilnował, nie widziałem ani jednego żołnierza. Włamałem się do środka. Na stole nie leżała żadna wiadomość, jednak po półgodzinie grzebania w oficjalnych dokumentach Gasgeda, starannie poukładanych w skórzanych futerałach, znalazłem podobną, sporządzoną tym samym charakterem pisma i przesiąkniętą takim samym zapachem, jak wiadomość do Mustardiego:

Danwood z Mustardim biję się o przesyłkę. Poczekaście na mnie pod najbliższym pagórkiem przy drodze w stronę cesarstwa. Zaprowadzę was na miejsce.

Oznaczało to, że Roxana nie pracuje ani dla Danwooda, ani dla Mustardiego, lecz dla kogoś trzeciego. Gorliwa dziewczyna, nawet zbytnio mnie to nie zdziwiło.

Mój własny koń, co dziwne, stał w stajni. Osiodłałem go i wyruszyłem po śladach bandy Mustardiego, Zgadywałem, że ich doprowadziła do celu najkrótszą drogą.

Wiatr, co prawda, zdążył już częściowo zatrzeć ślady, ale odciski kopyt trzydziestu jeźdźców nawet w świetle gwiazd były jeszcze dobrze widoczne. Nie ujechałem daleko, przez ostatnią jedną trzecią drogi kierowałem się odgłosami, które przynosił nasilający się wiatr.

Konia zostawiłem w płytkim parowie za wielkim kamieniem i dalej szedłem na piechotę. Zbytnich problemów z maskowaniem sobie nie robiłem. W ciemności przede mną walczone, w panującym chaosie nie byłoby słyszeć nawet wycia kojotów.

Wspinałem się w górę zbocza, starając się rozpoznać walczące strony. Szybko pokonałem linię żołnierzy Gasgeda, którzy zamierzali otoczyć cały obszar i nie pozwolić nikomu uciec. W nocy i w zróżnicowanym terenie były to próżne zamierzenia. Starali

się, żeby nie zauważyli ich ludzie wewnątrz okręgu, dlatego łatwo ich znalazłem. Teraz poruszałem się ostrożniej, przebiegałem z cienia w cień, a kilka razy nawet czołgałem na łokciach. Ciemny płaszcz z grubej bawolej skóry zapewniał mi dobrą ochronę przed ostrymi kamieniami i ciekawskimi spojrzeniami. W ciemności nie było jasne, kto należy do kogo, ale bandyci znali się z widzenia, dlatego nie mieli problemu odróżnić nieprzyjaciół od sprzymierzeńców. W chaosie głazów i zagłębień walczono jeden na jednego, jednolita linia nie istniała. Gdybym nie wiedział, że ludzie Mustardiego starają się zdobyć szczyt broniony przez danwoodowców, w nocnym chaosie bym na to nie wpadł. Ja nie starałem się nikogo zabić i posuwałem się niczym cień po obrzeżach pola walki.

Szybko się zorientowałem, dlaczego wszyscy ludzie są skoncentrowani na północnej stronie. Roxana wybrała miejsce, gdzie mogła się łatwo bronić. Na zachodzie i wschodzie teren szybko się zmieniał w strome, wprost nie do przebycia ściany. Nie miałem pojęcia, gdzie jest teraz Roxana, ale sądziłem, że nie dała się zagnać w kąt i przygotowała, sobie kilka dróg ucieczki. W końcu dzięki odrobinie akrobacji dostałem się aż na szczyt. Tutaj było stosunkowo spokojnie, walczono trochę niżej. Pośrodku prowizorycznej zagrody z kamieni tłoczyły się konie, kawałek dalej odkryłem zapasy wody i jedzenia. Południową ścianę tworzyła pionowa ściana opadająca w dół, w ciemność. Pagórek z jednej strony przechodził w pochyłe skalne urwisko sterczące stromo w powietrzu. Przy drugich oględzinach o mało nie potknąłem się o małą, ciasno związaną postać. Ten sposób wiązania dobrze znałem. Wyciągnąłem dziewczynie z ust knebel i położyłem palec na jej ustach.

- To ja, człowiek, któremu pani zapłaciła, żeby pani pomógł. Niech się pani nie boi.

Szeptalem, chociaż w harmidrze brzęczącej broni, przekleństw i wrzasków było

to zupełnie zbyteczne. Skinęła głową. Rozwiązałem ją.

- Może pani chodzić?

- Tak - szepnęła, ale przy pierwszym kroku się potknęła.

- Była tutaj Roxana?

Znów przytaknęła. Zwięzłość jest lepsza niż rozwlekłość, lecz miałem nadzieję, że dowiem się od Marcelki trochę więcej. Musiałem się spieszyć, ponieważ w każdej chwili mógł się pojawić na szczycie ktoś z ludzi Danwooda, żeby sprawdzić, co z zapasami i końmi. Ponadto walka trochę się uspokoiła, z pewnością przeszła do następnej, pozycyjnej fazy

- Wie pani, którądy stąd odchodziła?

Znów przytaknęła i pokazała w kierunku stromej ściany południowej. Chyba wiedziała, co robi. Posłuchałem jej i zaprowadziła mnie do miejsca, gdzie kawałek pod stromizną w gładkiej skale zaczynał się wyżłobiony komin. Gdybyśmy nie byli na pustyni, powiedziałbym, że podobną rzecz może w skale wyryć tylko wodospad. Była to możliwa do przejścia droga, jednak nie w ciemności i nie z roztrzęsioną, przerażoną dziewczyną, którą musiałem prowadzić.

- Niech mi pani wejdzie na plecy i obejmie rękami wokół szyi. I proszę się jednocześnie trzymać własnych rękawów - przykazałem jej. Była tak wystraszona, że posłuchała bez gadania. Nie ważyła więcej niż worek zboża. - Jeśli zacznie mnie pani dusić, zrzucę panią w dół! - dodałem jeszcze.

Zostawiłem swoje dłonie na łasce losu, chwyciłem za ostry kamienny występ i przeskoczyłem przez krawędź w dół. Zabolało.

Bez problemu dotarliśmy aż do mego konia. Wsadziłem dziewczynę w siodło,

wskoczyłem za nią i najkrótszą drogą wróciliśmy do Jakkabardi.

- Ma pani jakieś rzeczy przygotowane do ucieczki?

- W pokoju Delphi, w torbie podróżnej pod łóżkiem. Nikt tam teraz nie chodzi -  
odpowiedziała.

Zatrzymaliśmy się przed domem publicznym. Ponieważ się spieszyłem, nie tra-  
ciłem czasu na pukanie oraz czekanie na portiera i od razu wykopałem drzwi. Wbie-  
głem na trzecie piętro, z dobrze znanego pokoju zabrałem bagaż i znów wybiegłem.

Nikt mnie nawet nie zauważył. Nie miałem pojęcia, co spakowała Marcelka, ale było  
tego dużo i było ciężkie. Jechałem z nią jeszcze parę kilometrów przez pustynię.

- Do miasta będzie trzy dni drogą. Wodę, jedzenie i karmę dla konia pani ma.

Jeśli sprzeda pani konia, zdobędzie jakieś pieniądze na początek. Żegnam!

- Dziękuję panu - szepnęła i po raz pierwszy w głosie zabrzmiało przynajmniej  
trochę życia.

- Proszę nie dziękować, zapłaciła pani.

Wyciągnąłem z futerału swą kuszę, klepnąłem konia w zad i poczekałem, dopó-  
ki nie zniknęła w ciemności. Piechotą skierowałem się znów do Jakkabardi. Na wszel-  
ki wypadek naciągnąłem kuszę i założyłem bełt. Poraniłem znów dłonie, więc nie mia-  
łem ochoty na żadną szermierkę. Wracałem, ponieważ byłem ciekawy jak to wszystko  
się skończy, nie chciałem także, żeby Gasged zaczął mnie tropić. Silny wiatr wiał mi  
teraz w plecy i nie kłuł w twarz. Zamiast tego słyszałem, jak ziarenka piasku z szele-  
stem uderzają o płaszcz. Noc miała się już ku końcowi - niebo na wschodzie zbladło,  
wzeszedł księżyc i poprawiła się widoczność.

Wynurzyli się przede mną, ciemne sylwetki na tle jaśniejszej pustyni. W pierw-  
szym rzędzie czterech, w drugim sześciu, w trzecim pięciu. Szli po moich śladach.

- Daj nam te szmaragdy, a zostawimy cię przy życiu - powiedział człowiek najbardziej z prawej.

- Nie mam żadnych, popatrzcie - odpowiedziałem.

Rozległo się uderzenie krzesiwa o krzemień, zapłonęła pochodnia.

- Nie ma ich - skonstatował z rozczarowaniem brodacze w drugim rzędzie.

- Więc ma je ta dziwka! Zejdź nam z drogi! - polecił przysadzisty mężczyzna z wąsem i zakrzywioną szablą przy boku.

Płomień pochodni syczał na wietrze, starałem się patrzeć w bok, żeby nie być oślepionym, kiedy zgaśnie. Ziarna piasku świszczą w powietrzu wszędzie wokół nas.

Było ich piętnastu. Pewien starożytny wojownik i filozof napisał kiedyś, że doskonale wyćwiczony żołnierz, przygotowany na śmierć w dowolnym momencie, zdoła się przeciwstawić dziesięciu przeciwnikom. Znałem mężczyznę, który zdołał stawić czoła nawet piętnastu. Był zdecydowanie lepszym szermierzem niż ja i widziałem, jak umierał.

Stałem między zgrają zabijaków a dziewczyną, której za nic niewartego miedziaka pomogłem aż nadto.

- Nie, ona nie ma żadnych szmaragdów. Nie zostawiłbym ich jej - starałem się zniechęcić napastników do dalszego ścigania. Rozprawiliby się z Marcelką w okamgnieniu.

- Nie bądź głupcem, zejdź nam z drogi. To tylko mała ladacznica, z którą Mustardi używał, ile się dało.

Mieli rację, a ona zapłaciła mi tylko jednego marnego miedziaka.

Pokręciłem głową i skierowałem kuszę w stronę wąsacza.

- Nie.

- Jest nas piętnastu, nie masz z nami szans - skrzywił się drwiąco.

- Wiem - przytaknąłem i nacisnąłem spust.

Odłożyłem kuszę i jednocześnie rzuciłem nóż w człowieka z lewej strony który starał się mnie wyminąć, brzęknął o stal jego miecza. Mężczyźnie przed sobą butem sypnąłem piachem w twarz, precyzyjnie przycisnąłem się obok jego szabli, poderżnąłem mu szyję nożem i rzuciłem na człowieka, który nacierał na mnie z lewej strony. Jednym ruchem wyśliznąłem się z płaszcza i cisnąłem nim w mężczyznę, który tymczasem zdążył zająć mnie od tyłu. Skóra zasłoniła ostrze jego broni, dobyłem miecza, sieknąłem go przez pierś i, zamachnąwszy się poziomo, wykonałem obrót, septymą zatrzymałem ostrze skierowane na moje ramię, zwałem się na kolejnego przeciwnika, rękojeścią uderzyłem go w twarz. Nagle wycofałem się w ciemność. Mimo że starali się stworzyć zwartą grupę, na razie udawało mi się utrzymać na skraju ich formacji i nie pozwoliłem się otoczyć.

- Z tym scyzorykiem nie miałeś szczęścia - prychnął mężczyzna, którego nie trafiłem.

Zbliżał się do mnie z lewej strony. Otworzyłem futerał na prawym przedramieniu i pozwoliłem, żeby nóż wśliznął mi się w dłoń. Człowiek naprzeciw to zobaczył i zaatakował pchnięciem w brzuch. Odwróciłem jego cięcie ślizgiem, wypchnąłem broń z linii prostej i tępą stroną sieknąłem od spodu, w szyję. Dwóch rzuciło się na mnie jednocześnie. Cofnąłem się, od jednego się oddaliłem, zaś do drugiego - przybliżyłem. Miał długi, prosty miecz jak ja i umiał się nim posługiwać. Przylepił swoje ostrze do mojego, chciał mnie zatrzymać. Zwałem się na niego, osłona natrafiła na osłonę, zrobiłem szybki obrót, obszedłem go i w ruchu drasnąłem nożem w bok. Był odrobinę wolniejszy, ostrze jego miecza przeleciało mi po plecach. Obaj mieliśmy przesywane metalem kurtki. Znalazłem się twarzą w twarz z dwoma kolejnymi. Wiatr sypał mi

teraz ostre ziarenka piasku prosto w oczy, szybko oddychałem, mój oddech zamieniał się w rozpraszający się obłok białej pary.

Rzuciłem nóż, który ciągle trzymałem w lewej ręce i zaatakowałem głowę najbliższego. Przebiłem się przez jego krycie, biały owal twarzy oświetlony przez księżyc poczerwieniał od krwi. Instynktownie odepchnąłem ręką powolne cięcie na lewy bok.

Mężczyzna z nożem w piersi się chwiał, ale zamierzył się do następnego cięcia. Z lewej ręki sączyła mi się krew, z jednej strony napierał na mnie brodacz z szablą, z drugiej mężczyzna z szerokim mieczem i tarczą, z przodu w niskiej pozycji posuwał się chudzielec, światło księżycy odbijało się w jego łysinie. Za żadne skarby nie mogłem stać w miejscu.

- Mam łuk, odsuńcie się, skończę z nim! - ktoś krzyknął.

Rzuciłem się do przodu, ryzykownym wymykiem odepchnąłem cięcie w pierś i dźgnąłem łysego w brzuch. Nie udało mi się to w pełni, ostrze wbiło się w bok, a moja broń ugrzęzła między jego żebrami. Puściłem rękojeść i przewrotem przez bark, obok zataczającego się mężczyzny, zyskałem chwilę przewagi. Stałem na nogi, wyciągnąłem z bandoletu ostatnie dwa noże i prosto z obrotu obiema rękami równocześnie rzuciłem nimi w brodacza. Jeden odepchnął szablą, ale drugi trafił go w prawe ramię. To brodacza spowolniło, ręka z bronią mu opadła. Okręciłem się na pięcie i kopnięciem w bok trafiłem prosto w jabłko Adama. Bezgłośnie osunął się w miejscu.

Mężczyzna z tarczą był już przy mnie. Zamierzył się w moją stronę poziomym cięciem, obroniłem się skłonem w tył, ale przed ponownym atakiem nie zdołałem uciec, ukosem z dołu w górę drasnął mnie w pierś. Usłyszałem skrzypienie metalowych płytek wetkniętych w kurtkę, na piersi poczułem ciepło. Zamiast się wycofać, wsunąłem się pod niego, nawiązałem do kierunku jego cięcia i prawą ręką chwyciłem

go za pasek.

- Odsuńcie się, skończę z nim tym łukiem! - wciąż ktoś krzyczał.

Siła bezwładu pomogła mi podnieść i wysokim łukiem rzucić mężczyznę za siebie. Z głośnym łupnięciem upadł na plecy i leżał bez ruchu.

Ręka, bok i pierś były jednym ogniem, krawędzie głazów na równinie pokrytej srebrem księżyca rzucały ostre cienie, każdy wdech bolał.

Łysy wciąż trzymał się na nogach i spróbował stanąć przodem w moją stronę, żeby móc dalej walczyć. Tym samym sprawił, że musiałem skorzystać z miecza.

Złapałem rękojeść dwiema rękami i wbiłem łysego na ostrze. Ktoś rzucił mi w twarz płonąca pochodnie. Rozsiekałem ją w locie, oba palące odłamki upadły nieopodal i oświetlały niezwykłą scenę swym migotliwym płomieniem.

Stałem między trzema mężczyznami powoli obchodzącymi mnie dokoła.

Czwarty podskakiwał niedaleko i paplał jakieś brednie o łuku, piąty siedział na kamieniu i obserwował nasz dziwaczny taniec. Wiatr na chwilę się uciszył, płomienie rozpały się jaśniej i poznałem go. Na kamieniu siedział hebanowy zabijaka. On jeszcze nie włączył się do bitwy, wynik z pewnością wyglądałby wówczas inaczej. Mówi się: najlepsze na deser. Ból ustąpił, albo się przyzwyczaiłem. Trzech wciąż mnie obchodziło wokół, na twarzach mieli strach i zawziętość jednocześnie. Chcieli całą tę krwawą sprawę dociągnąć aż do końca. Co dziwne, nie bałem się. Karty zostały rozdane, pozostawało tylko dokończyć grę. Trzymałem miecz obiema rękami nad głową i czekałem. Mimo że rękojeść pokryta była szorstką skórą z płaszczki, ślizgała mi się w dłoniach. Krew z lewej ręki kapłała na włosy i ściekała po czole przez oko w dół. Żadna z ran, które odniosłem, nie mogła jednak być poważna, ponieważ już dawno byłbym martwy. A tak zostało mi jeszcze trochę życia.



Szelest wirującego piasku, dźwięk kroków, migotanie płomienia i kamienna twarz milczącego obserwatora.

Nagle przyszło mi do głowy, że jeśli teraz umrę, całe moje starania pójdą na marne. Dogonią tę dziewczynę i zabiją ją.

- Poważnie wam się to opłaca? - spytałem. - Było was piętnastu, teraz jest tylko czterech, a do tego tchórz, który was spokojnie zostawił na lodzie i chowa się w ciemnościach, i po co to wszystko? Ponieważ chcecie użyć sobie z małą dziwką? Nie ma żadnych szmaragdów i wy to dobrze wiecie, ponieważ bym ich jej nie zostawił. Żaden mężczyzna by tego nie zrobił. Miałbym je u siebie. Ktoś się pięknie zabawił kosztem nas wszystkich, a wy daliście się złapać. Poważnie chcecie dać się zabić za nic? Nie odpowiadali, tylko wciąż chodzili wokół mnie. Może zmienił się rytm ich kroków?

- Pozwolę sobie jeszcze na dwóch. Który z was będzie tym szczęśliwcem?

Kolejne koło. Jeden z nich nagle się zatrzymał, przerywając nasz dziwaczny tańiec.

- Zwijam się, bracie. W mieście wsiadam na konia i znikam. Wszystko to jest jakieś dziwne, od początku bardzo dziwne i śmierdzi cmentarzem dla wszystkich. Chwila ciszy, wiatr się nasilił, płomienie pochodni ożywiały blednącą noc migotliwymi cieniami.

- Dobrze, bracie, wiesz, że zawsze jestem z tobą - odpowiedział mężczyzna za moimi plecami.

Nie widziałem, jak odchodzili, ale słyszałem ich oddalające się kroki. Zostałem ja, hebanowy zabijaka, uparty mężczyzna, który ciągle powoli chodził wokół mnie i łucznik gdzieś w ciemnościach.

Nagle coś podcięło mi lewą nogę, lecz utrzymałem równowagę. Kiedy na moment spuściłem wzrok, ujrzałem strzałę, która przeszła przez moje udo na wylot.

Marny strzelec. Hebanowy zabijaka już nie siedział na kamieniu. Chwilę później w ciemnościach rozległ się zduszony charkot, jakby ktoś starał się po raz ostatni odechnąć, z poderżniętym gardłem.

Zostałem ja, uparty mężczyzna i hebanowy zabijaka, który nie chciał, żeby do pojedynku na miecze mieszał się jakiś marny łucznik.

Rana w nodze kosztowała mnie znów wiele krwi i sił. Powód, dla którego stoję na wpół martwy pośrodku pustyni z mieczem w ręce, wydał mi się nagle nieistotny.

Nieważny. Ale nie chciałem z tego rezygnować, nie chciałem się poddawać. Z pewnością było warto, skoro zaszedłem aż tak daleko. Niestety, nie mogłem sobie przypomnieć, o co chodzi.

Zamknąłem oczy i przysłuchiwałem się regularnym krokom, które obchodziły mnie po okręgu. Zostało mi energii tylko na jeden ostatni ruch. Chodził dookoła całą wieczność, ja stałem i czekałem. Zacząłem trząść się z zimna, oczu wolałem nie otwierać. Wiedziałem, że widziałbym już tylko, różową mgłę. Wiatr chwilowo się uspokoił.

Piasek pod ciężkimi krokami nagle skrzypnął inaczej, mężczyzna przesunął ciężar bardziej na palce. Jeszcze nie, dopiero gdy będę go miał prosto za plecami. Tacy ludzie jak on najbardziej lubią atakować z tyłu. Teraz. Sieknąłem ukośnie z góry na dół prosto z obrotu i rozciąłem jego obojczyki aż do pachwin. Nie utrzymałem równowagi i upadłem na piach obok niego, twarz zalał mi potok gorącej krwi. Jego krwi.

Po dłuższym czasie zdołałem otworzyć oczy i ujrzałem nad sobą twarz hebanowego zabijaki.

- Może kiedyś - powiedział i odszedł.

Nie leżałem w miejscu, gdzie upadłem, ale w cieniu wielkiego głazu. Wszystkie rany miałem dokładnie opatrzone i najpewniej powracałem do zdrowia cały dzień, ponieważ słońce chyliło się już ku zachodowi. Diabli wiedzą, dlaczego hebanowy zabił mi pomógł. Mimo to miałem nadzieję, że nigdy się z nim nie spotkam.

Wstałem. Byłem zadowolony, kiedy stwierdziłem, że jestem w stanie utrzymać równowagę, a nawet iść. Zebrałem swoją broń i wyruszyłem w kierunku Jakkabardi. Wiatr w ciągu dnia nie osłabł, przeciwnie - wydawało się, że jeszcze się nasilił. Do miasta dotarłem dopiero w nocy. Świeciło się tylko w domu publicznym i w gospodzie. Wybrałem gospodę. Klod przywitał mnie podniesionym brwiami, Aechyl skinął na powitanie. Oprócz nich nikogo tam nie było.

- Chcę się najeść i napić - warknąłem, osunąwszy się na krzesło.

Aechyl wziął od Kloda karafkę z winem i bez pytania się przysiadł.

- Kiedy pański koń wrócił bez jeźdźca, myślałem, że będzie pan moim następnym klientem. Cieszę się, że to nieprawda. I tak mam dość pracy.

Pozwoliłem nalać sobie kieliszek, który wypilem jednym haustem. Zatem mimo moich starań Marcelce się nie udało. Może nie utrzymała się w siodle albo ktoś ją dogonił i zabił. Byłem tak zmęczony, że było mi wszystko jedno.

- Co się dzieje w burdelu? - zapytałem. - Wygląda, jakby właśnie zaczął się sezon balowy

Klod przyniósł kieliszek czerwonego wina i przysiadł się do nas.

- W walce na skałach ludzie Mustardiego zaczęli zdobywać przewagę, ale później ktoś go zabił i połowa jego ludzi uciekła. Danwoodowcy próbowali potem uciekać jakimś tajemnym szlakiem, lecz żołnierze się na nich zacaili. Nie chcieli się

poddać, ponieważ mieli te szmaragdy - streścił między dwoma łykami wydarzenia minionych dwóch dni.

- Zostali tutaj tylko żołnierze, nas trzech i dziwki. Pozostali są martwi. No i oczywiście Roxana. Gasged zezwolił na uroczystość, ponieważ zdobyli szmaragdy i nie grozi im już żadne niebezpieczeństwo - dołączył się Aechyl.

- Jestem zdziwiony, że nie znikli stąd jak najszybciej. Świątować mogliby gdzie indziej - powiedziałem w zamyśleniu.

- Gasged nie wie na razie, ile tych szmaragdów właściwie się zgubiło. Nie chce stąd odjeżdżać, dopóki nie będzie miał pewności, że są wszystkie - wytłumaczył Klod.

- Jestem zmęczony, ale zanim pójdę spać, chciałbym, żeby ktoś zmienił mi opatrunki. Czy któryś z was to potrafi, czy będę musiał iść do domu publicznego? - zapytałem.

Aechyl skinął głową.

- Kiedyś nawet balsamowałem nieboszczyków, obwiązywać umiem dobrze. Ja pana opatrzę.

Noc na zewnątrz nagle się rozjaśniła.

- O nie! - wyszeptał z przestrawieniem Klod. - Pożar!

Wybiegliśmy przed gospodę. Dom publiczny stał w płomieniach. Ogień powstał gdzieś na parterze i rozprzestrzenił się w górę, nikt nie mógł uciec. Wiatr, zmienny wiatr, roznosił całe kule płomieni po okolicy, najbliższe budynki też zaczynały się palić. W jednym z okien na piętrze pojawiły się dwie postaci, obie rzuciły się w dół. Jedna podniosła się z piasku, druga wciąż leżała. W nagłym porywie rodzącej się burzy z płonącego dachu domu publicznego zerwała się cała lawina płomieni i przeleciała nad naszymi głowami. Pożar rozprzestrzenił się z niewiarygodną szybkością.

- Musimy się ukryć! To miasto obróci się w popiół! Pod gospodą są bezpieczne piwnice - rozkazał Klod.

Posłuchaliśmy go. Kuśtykałem o połowę wolniej niż Aechyl i Klod, ale obaj starcy mężnie na mnie czekali. Do gospody dotarliśmy w chwili, kiedy paliła się już dobra jedna trzecia burdelu. Sprowadzili nawet na dół mojego konia i postawili obok wielbłąda Aechyla.

Siedzieliśmy w obszernym, podziemnym pomieszczeniu wykutym w piaskowcu, gdzie Klod przechowywał zapasy jedzenia. Szybki ruch nie wpłynął na mnie dobrze, w ranach czułem pulsującą krew, a wszystko bolało dwa razy bardziej niż wcześniej. Nawet tutaj przenikał swąd spalenizny i oddychało się coraz gorzej. Klod z niezadowoleniem spoglądał na ścianę.

- Teraz i tak już nie ma po co tego ukrywać - powiedział nagle. - Chodźcie ze mną.

Zaprowadził nas do tylnej ściany, gdzie pod trzcinową matą ukryte były drzwi spustowe. Kiedy je otworzył, przywitał nas powiew świeżego, chłodnego powietrza.

Konie zostawiliśmy na górze, a sami zeszliśmy na kolejne podziemne piętro.

Znaleźliśmy się w obszernej jaskini, dobrych trzydzieści metrów pod powierzchnią ziemi, przebudowanej w olbrzymią piwniczkę winną. Mnóstwo półek z butelkami i beczek było już pustych, ale z tyłu wciąż jeszcze widziałem wystarczająco dużo pełnych. Wystarczająco dla nas trzech.

Znalazłem drewnianą ławkę, na której się położyłem. Klod odszpuntował mniejszą beczkę i postawił przed nami wino w dzbanie.

- To była moja tajemnica. Mój dziad, ojciec i ja uprawialiśmy tutaj wino. Jeszcze dwadzieścia lat temu najlepsze w całym cesarstwie. Ale później pustynia się ruszy-

ła i piasek zasypał wszystkie winnice. Wszystkie pieniądze zainwestowałem w ich rozbudowę...

Machnął ręką.

- Nie chciało mi się tego porzucić ani zaczynać od nowa. Zatem jedźcie i pijcie, może będziemy siedzieć tu dość długo. Oprócz pożaru, tam na górze zbiera się na burzę piaskową.

Przepowiednia Kloda spełniła się co do joty, spędziliśmy w podziemiach siedem dni. Tak długo na zewnątrz szalał huragan. Moje rany w tym czasie w dużej mierze się zagoiły, tylko dłonie wciąż miałem w złym stanie. Zanim wyszliśmy na górę, naciągnąłem kuszę i założyłem bełt. Miecza i noża nie mogłem jeszcze używać, a nie chciałem być zupełnie bezbronny.

Gdy Klod otworzył klapę do kuchni, zasypała nas fala piachu. Gospodę przysypało aż na wysokość pasa. W ciągu kilku godzin wygrzebaliśmy się na górę, ale największe zaskoczenie czekało nas na zewnątrz. Miasta nie było. Drewniane budynki zmieniły się w popiół, który później porozwiewała wichura. Została tylko ogniotrwała „Gospoda U Pijaka”. Wydma, która zacieniała cały horyzont, znikła. Burza piaskowa zepchnęła ją z powrotem do jej sióstr na północy i odsłoniła smutną panoramę gołych pagórków, które przez całe dziesięciolecia nie widziały słońca.

- Tutaj były moje winnice - skomentował to Klod i zaczął porządkować oberżę.

Wyprawiliśmy na górę mojego konia i wielbłąda Aechyla. Grabarz natychmiast wziął się za czyszczenie studni. Późnym popołudniem na horyzoncie, na wschodzie, jakby od strony tajnego jeziora Kloda, pojawił się pieszy. Miałem nieprzyjemne przeżycie, że wiem, kto to jest. Nie myliłem się.

Była może trochę chudsza, a ubranie miała pełne piasku, ale nie to było ważne.

Długi i sprężysty krok podkreślał jej krągłości, jelenia skóra dopasowanych spodni napinała się na doskonałych udach, czarne włosy połyskiwały metalicznie w zachodzącym słońcu. Aechyl przerwał pracę i obserwował ją pełnym zachwytem wzrokiem. Przesunąłem kuszę na kolana.

- Przeżyłeś - powiedziała, na powitanie. - To mnie dziwi.

Jedną rękę opierała na pasku, parę centymetrów od rękojeści noża. Ja trzymałem palec na spuście, ale nie celowałem w nią.

- Mnie również. Czego chcesz? - spytałem.

- Konia, i jakieś zapasy na drogę.

- Wszystkie konie, oprócz mojego, zdechły, a zapasy... Może Klod ci coś da? -

Wzruszyłem ramionami.

Mimo że była bardziej niebezpieczna niż grzechotnik i skorpion naraz, nie czyniło jej to ani trochę mniej pociągającą, wręcz przeciwnie. Czułem, jak przyspiesza mi puls. Na szczęście nie działało to dobrze na moje jeszcze nie całkiem zagojone rany i szybko się uspokoiłem.

- Daleko zmierzasz? - spytałem, żeby podtrzymać rozmowę.

- Dokładnie tak. - Uśmiechnęła się i potrząsnęła głową. Włosy zafalowały niczym lwia grzywa.

Wiedziała, jak na mnie działa, na mnie i wszystkich mężczyzn, i bawiła się tym.

Aechyl nie pracował, obserwował naszą rozmowę.

- Wydać zarobione pieniądze. - Klepnęła torbę, którą miała na plecach.

- Szmaragdy? - domyśliłem się.

Przytaknęła z rozbawieniem.

- Nie jesteś tak głupi jak obrzydliwy.

- Dla kogo właściwie pracowałaś? - spytałem.

Odpowiedź naprawdę mnie interesowała.

- Od początku tylko dla siebie - zdradziła. Rozkoszowała się sytuacją, ale nie pozwalała sobie na rozprężenie i ciągle miała się na baczności.

- Chciałam mieć te szmaragdy. Kradzież w szlifierniach została zorganizowana przez wysoko postawione osoby. Miałam w tym swój udział. Znasz to, praca na zlecenie. Przez przypadek dowiedziałam się jednak, którzy będą przewożone i pomyślałam sobie: dlaczego nie chcieć więcej? Danwood z Mustardim mieli początkowo współpracować i zapewnić bezpieczny przewóz przez pustynię do rąk klienta na zewnątrz. Tylko że ja każdemu z nich już z miasta wysłałam informację, że ten drugi próbuje go oszukać. Zaczęli wynajmować nowych ludzi. Dla Danwooda pracowałam oficjalnie, dla Mustardiego jako tajny agent. Wiedziałam, że jeśli będę chciała przechytrzyć również organizatorów kradzieży, musi tutaj wybuchnąć prawdziwe zamieszanie, żeby nikt nie miał pojęcia, co się właściwie stało. Inaczej byli pracodawcy posłaliby po moich śladach wyżyły i w końcu by mnie dogonili. Przyjechałam tuż przed transportem, żeby wszystko dopracować i spotkałam ciebie. Wyglądałeś na idealnego winowajcę wszystkiego, co się stanie. Wielki nieokrzesaniec, który chwilę po przyjeździe zabił człowieka Danwooda. Wykończyłam dwóch posłańców Danwooda i zrzuciłam to na ciebie, później to samo zrobiłam z ludźmi Mustardiego. Próbowali cię zabić, ale wciąż jeszcze nie skakali sobie do gardła tak, jakbym sobie tego życzyła. Obu podjudzałam, żeby starali się przechwycić kuriera ze szmaragdami, zanim dotrze do miasta.

Roxana na chwilę zamilkła. Ciekawiło mnie, co było dalej, lecz miałem podejrzenia, że wszystko tak szczegółowo objaśnia tylko po to, żeby mnie zabić i wziąć mo-



jego konia. Uśmiechnąłem się do niej, odpłaciła mi tym samym. Rozumieliśmy się doskonale.

Prawie z rozbawieniem potrząsnęła głową i kontynuowała:

- Tak samo jak ty odkryłam, że Klod ma gdzieś w okolicy tajemne źródło wody.

Kiedy poszłam się rozejrzeć, stwierdziłam, że jeszcze niedawno tam przebywałeś. Dlatego pokazałam, ludziom Danwooda twój ślad. Ty doprowadziłeś ich do wysuniętej dalej straży Mustardiego i zostawiłeś, żeby się nawzajem pozabijali. To było naprawdę piękne, najwyższe uznanie. Ja zrobiłam coś podobnego, tylko w większej skali. Informując Mustardiego o wysuniętym punkcie obserwacyjnym, zyskałeś trochę czasu.

Później znów zaczęli walczyć na pustyni, a ja długo nie miałam kontaktu z Mustardim. Dlatego nie mogłam go przekonać, żeby natychmiast cię zabił. Byłeś dla mnie niebezpieczny. Bałam się, że zbyt wiele się domyślasz.

Kiedy mówiła, naturalnym ruchem, oparła palce na rękojeści noża. Ja zaś zupełnie naturalnie zmieniłem nachylenie kuszy i mierzyłem Roxanie teraz prosto w brzuch. Z uśmiechem odsunęła rękę.

- Danwood był na pustyni lepszy i zmusił Mustardiego do przejścia do defensywy. Nie chciałam, żeby jeden z nich zwyciężył, chciałam, żeby obaj się wykrwawili. Namówiłam Mustardiego, żeby zajął studnię, a później wywabiłam cię z ukrycia jak małą myszkę. Przyznaj, że to była mistrzowska sztuczka. - Uśmiechnęła się do mnie promiennie.

Przyznałem, ale kuszy jednak nie ruszyłem ani o milimetr i ciągle mierzyłem w jej twardy brzuch.

- W chwili, kiedy wszystko wskazywało na to, że ciebie zabiją, a później pomordują się nawzajem, przybył Gasged. To pokrzyżowało moje plany. Przesyłka w rzeczy-

wistości miała dotrzeć wraz z jednostką żołnierzy, ale mieli to być zwyczajni żołnierze, a nie ci napuszeni weterani. Ponadto gdzieś na górze doszło do przecieków i cesarska maszyna wywiadowcza się rozpędziła. Z zachowania Gasgeda zrozumiałem, że wie o transporcie szmaragdów i idzie ich śladem. Nie miał jednak pojęcia, że przywiózł je jeden z jego ludzi. Nawet ja nie wiedziałam, który. Wytypowałam kilku, wniosując z ich zachowania, ale trafiłam dopiero za trzecim, razem. Zdradził mi, że ukrył je w niezamieszkanym pokoju w domu publicznym. To było całkiem sprytne.

- Ukrył je w pokoju Delphi - uzupełniłem z dziwnym przeczuciem.

Roxana przytaknęła.

- Tak, tej dziewczyny, która ci pomogła. Tylko że z powodu gorliwości Gasgeda wszystko porządnie się skomplikowało. Musiałam poradzić sobie z trzema rzeczami: Danwoodem, Mustardim i Gasgedem. Zaproponowałam naszemu gorliwemu kapitanowi, że za znaleźne pomogę mu odszukać kamienie. Uwierzył mi. Nie był aż takim ascetą, na jakiego wyglądał, ale myślał, że zrobi na mnie wrażenie jego męskość i stanowczość. Naprawdę był niezły.

Źrenice podczas tego przyjemnego wspomnienia zwęziły się jej jak prawdziwemu drapieżnikowi.

- Modliszka - powiedziałem głośno.

- Co?

- Ona też po kopulacji pożera swego partnera.

Roxana się roześmiała.

- Masz rację, zabiłabym go, ale połamał sobie nogi, kiedy wyskakiwaliśmy przez okno z burdelu. Zostawiłam go tam leżącego, a on się spalił. Lecz powiem po kolei.

Najpierw zasugerowałam, że ktoś zabił kuriera. Zdenerwowałam się, kiedy tak szcze-

gółowo oglądałeś konie, jednak w końcu nic nie znalazłeś. Wszystko to było całkiem proste. Zaprowadziłam zwierzęta na skraj miasta do opuszczonego domu, drzwi zaklinowałam cienką żerdzią. Po dwóch dniach oszalały z pragnienia, wydostały się na zewnątrz i skierowały w stronę wody na placu. Danwooda później szybko przekonałam, że szmaragdy ma Mustardi. Przekonałam go, żeby uprowadził tę małą ladacznicę i chciał za nią wykupne. Mustardi był od niej zupełnie uzależniony. Sadysta, katował ją każdej nocy. Podniecało go, że nigdy się nie broniła. O ile wiem, była jedyną kobietą, z którą mógł spać. Dałby za nią dosłownie wszystko.

Na chwilę zamilkła i wyglądała na nieobecną. Nie miałem pojęcia, dlaczego mi to wszystko opowiada. Musiała już zrozumieć, że nie pozwolę się zaskoczyć. Może swoją opowieścią zmierzała jeszcze do czegoś innego.

- Podzieliłam szmaragdy na dwie części. Większą zostawiłam tam, gdzie były ukryte na początku, a mniejszą wzięłam ze sobą. Nikt na razie nie wiedział, o jaką ilość kamieni chodzi - kontynuowała. - Danwooda z tą małą dziwką zaprowadziłam na skały, gdzie się obwarowali, później przyprowadziłam na miejsce Mustardiego, a jeszcze później żołnierzy. Była dokładnie taka jatka, jaką zaplanowałam. Tylko że Mustardi dzięki swemu czarnemu demonowi zaczął zyskiwać przewagę, ponadto stwierdziłam, że ktoś odbił tę małą sukę. Tylko ty byłeś w stanie to zrobić.

Ostatnie zdanie wysyczała wręcz jadowicie.

- Musiałam ryzykować. Poderżnęłam Mustardiemu gardło, a jego ludzi naprowadziłam na twój ślad. Nagadałam im, że uciekasz ze szmaragdami razem z tą małą ladacznicą. Wróciłam do Danwooda, powiedziałam, mu, że zabiłam Mustardiego i zabrałam drogocenne kamienie. Które oczywiście posłusznie oddałam. Wciąż nikt nie miał pojęcia, ile ich w rzeczywistości jest. Pokazałam drogę w dół ze skały, tę samą,

którą odkryłeś. Gasged i jego profesjonaliści już na nich czekali. Danwood nie chciał się poddać. Szmaragdy były tego warte. Wierzył, że zdołają ich zgubić na pustyni, ale się pomylił. Przy tej okazji zabiłam kilku żołnierzy, żeby osłabić Gasgeda. Później wyruszyłam po twoich śladach. Było niewiarygodne, ilu ich załatwiłeś. Znalazłam cię nieprzytomnego, a nad tobą stał ten czarny gnój. Nie chciał mi cię oddać, chyba z jakiegoś szurniętego podziwu dla świetnej szermierki. Po prostu głupi facet. Nie kłóciłam się z nim, tyle nie byłeś warty. Jest naprawdę dobry. Chcesz wiedzieć, co było dalej?

Popatrzyła na mnie wyczekująco. Zrozumiałem, że zbliża się punkt kulminacyjny opowieści.

- Pewnie.

- Co ta mała dziwka dała ci, że jej pomogłeś? Nic przecież nie miała! - syknęła wściekle.

- To, co kobieta może zaoferować mężczyźnie - odpowiedziałem, wzruszając ramionami.

- Kłamiesz! - wybuchnęła. - Ta mała zdzira była tak oszpecona, że nie mogła zadowolić żadnego normalnego mężczyzny! Dogoniłam ją i zabiłam! Wierz mi, cierpiała długo!

Nagle zaschło mi w ustach. Zabiła dziewczynę tylko z mojego powodu, zrobiła to specjalnie. Nie powinienem brać od Marcelki tego pieniążka albo powinienem chcieć więcej. Miłosierdzie nigdy się nie opłaca.

- I co dalej? - Zmusiłem się do zadania pytania.

Nie oszukałem Roxany swoją kamienną twarzą, dobrze wiedziała, jak się czuję.

Przeszywała mnie wzrokiem i rozkoszowała się widokiem.

- Dalej? - Na jej twarzy pojawiła się oznaka niezadowolenia. - Wróciłam do Jakkabardi, przekonałam Gasgeda, żeby zgodził się na zabawę w burdelu i chwilę z nim użyłam. Kiedy usnął, poszłam po ukryte szmaragdy. Miały być moją nagrodą za dni ciężkiej i niebezpiecznej pracy. Tylko że ich tam nie było, znikły! Za żadne skarby nie chciałam zostać bez niczego, dlatego zmieniłam plany. Podpaliłam cały ten burdel od parteru w górę. Palił się niczym suche siano. Wszyscy musieli umrzeć. Wróciłam do Gasgeda i obudziłam go. Wskoczyliśmy przez okno, o szmaragdach oczywiście zapomniał, Wzięłam je. On ich już nie potrzebował.

- A skąd wiesz, że po tym wszystkim, co mi teraz powiedziałaś, nie przestrzele ci brzucha? - spytałem cicho.

Roxana we wspaniałym uśmiechu pokazała białe zęby jej wargi były doskonałe, oczy i cała twarz również.

- Ponieważ jesteś za miękki do tej ostrej gry. Ty nigdy nie strzelisz takiej kobiecie jak ja w plecy.

Odwróciła się i dziarskim krokiem skierowała się do wyjścia. Stałem i przyglądałem się jej wspaniałej sylwetce. Dobrze mnie oceniła, w plecy bym nie potrafił. Zatrzymała się w odległości trzystu metrów, odwróciła, i pomachała mi. Zasięg najlepszych kuszy kiedy się z nich celuje, może dochodzić do około stu metrów. Broń musi jednak trzymać w rękach świetny kusznik. Ja w strzelaniu na dużą odległość nigdy nie byłem zbyt dobry. Skierowałem kuszę w górę, wybrałem kierunek i na chybił trafił strzeliłem. Roxana stała jeszcze trzy sekundy, a później coś powaliło ją na ziemię. Kiedy do niej doszedłem, jeszcze żyła. Bełt trafił ją w podbrzusze, ale kręgosłupa nie złamał, tylko rozerwał wnętrzności. Klęczała zwinięta w kłębek.

- I tak nie zdołałeś strzelić mi w plecy. Wiedziałam, że jesteś miękki. Skończ to,

do diabła! - wycharczała.

Siłą woli się wyprostowała i nadstawiła mi szyję. Ściąłem ją czysto, jednym ruchem.

Wziąłem torbę ze szmaragdami i wróciłem do jedyne go, jak okiem, sięgnąć, budynku na pustyni. Wysypałem, drogocenne kamienie na piasek przed zaskoczonymi Aechylem i Klodem, później dodałem do tego jeszcze większą błyszczącą kupkę z tobołka, który wcześniej znajdował się na moim koniu. Kurier nie był jedynym, który wpadł na to, żeby schować coś w pustyni burdelowym pokoju, ale ja, niestety, pomyliłem bagaż Marcelki.

Odjechałem dziesięć dni po tym, jak wyzdrowiałem. Mimo protestów zostawiłem kamienie Aechylowi i Klodowi. Namawiali mnie, żebym wziął przynajmniej jedną trzecią, lecz nie chciałem. W końcu podpisaliśmy umowę, że będzie do mnie należała połowa spółki pogrzebowej, którą założy Aechyl, i połowa zysków z winnic, które na miejscu Jakkabardi odnowi Klod.

Roxanę pogrzebał Aechyl. Za darmo.

## WYSOKI PRZYPLÝW

Łańcuch kotwicy naprężył się i żaglowiec stanął. Worek z rzeczami miałem przygotowany, a stały ląd w odległości kilku metrów kusił. Ostatnimi czasy spędziłem na morzu więcej czasu niż mi się to podobało. Spojrzałem w górę. Z dołu maszty nie wydawały się tak wysokie, z góry przeciwnie - pokład wyglądał na strasznie mały.

- Porządek, ludzie! Liny, żagle, za co wam płacę! - wrzeszczał Grincz, kapitan, sternik i bosman w jednej osobie.

Rybacy, kotwiczący tuż obok nas, czyścili sieci i przekładali połów do skrzyń, mewy wokół szalały, żeby urwać choć kawałek ich zdobyczy. Bulwarem przechadzali

się ludzie, mołem zbliżał się do nas poważnie wyglądający mężczyzna z brzuchem, w towarzystwie czterech żołnierzy. Celnik w każdym calu. Reprezentował miasto i starał się, żeby było to widać we wszystkich jego gestach.

Wielkość jego pewności siebie oraz pępka były świetnie zharmonizowane.

- Hej, ty tam, rusz tyłek! - popędził mnie Grincz, mój były kapitan.

- Jestem w Krahunie. Zgodnie z naszą umową tutaj, kończę - przypomniałem mu.

Przeklął i wzruszył ramionami. Byłem ciekaw, czy będę mu musiał przypominać o zapłacie, ale bez żadnych wykrętów sięgnął pod koszulę i rzucił mi sakiewkę.

Zważyłem ją tylko w dłoni i schowałem do torby.

- Nawet nie zobaczysz, czy cię nie okradł? - Floren podniósł wzrok znad pracy.

Wiele razy sprawdzaliśmy razem w nocy brzeg, czy znajdziemy dobre miejsce na przekazanie towaru. Z wiosłami radził sobie jak nikt inny, a ponadto rozumiał morze.

- Ty byś próbował mnie okantować? - odpowiedziałem mu pytaniem.

- Nie - wyszczerzył się w uśmiechu.

Do burty dobiła łódź i celnik, sapiąc, wdrapał się na górę, za nim jego towarzysze. Obrzucił nas wszystkich nieżyczliwym spojrzeniem. Nikt na niego nie zwracał uwagi, co wyprowadziło go z równowagi. Zazwyczaj kapitanowie i właściciele starali się z ludźmi jego pokroju żyć w zgodzie, a jeśli nawet z ręki do ręki nie wędrowały łapówki, coś na ząb i do popicia zawsze się znalazło.

- Kapitanie, jaki macie ładunek? Ile tego wieziecie, jaka jest cena? Wszystko musi być w porządku w najdrobniejszych szczegółach, inaczej w ogóle na puszcę was na brzeg!

Głos mu się załamywał z wściekłości, za brak okazanego szacunku z całą pewnością chciał się zemścić.

- A, dzień dobry! Skąd pan się tu wziął? Mógł pan sobie spokojnie zaoszczędzić pracy. - Grincz zrobił minę, jakby dopiero teraz go zauważył.

On z celnikami nigdy się nie bratał. Grincz był przemytnikiem i towar wyładowaliśmy poprzedniej nocy dwadzieścia kilometrów dalej na południe. Statek był zupełnie pusty.

- Podrzucicie mnie na brzeg? - spytałem najprzystępniej wyglądającego żołnierza. - Jestem tylko podróżnym, a ci tutaj - wskazałem na marynarzy - będą mieć jeszcze masę pracy, zanim kapitan pozwoli im się rozejść.

- Miejsca dość - odpowiedział obojętnie.

On się nie wściekał, ponieważ łapówki dostawał tylko jego przełożony.

Czekałem, aż Grincz rozprawi się z celnikiem, i rozglądałem się. Miesiące na pokładzie „Nagiej Piękności” minęły zawrotnie szybko. Szum wiatru, skrzypienie lin i niekończąca się melodia fal goiły stare rany i znów zaczynałem czuć się jak człowiek, a nie jak gąbka na przemian maczana w krwi i wyżymana. Fenidong i wyniszczająca wojna na Pustyni Gutawskiej zostały daleko za mną. Grincz skończył swoją rozmowę z celnikiem, dobrotliwie życząc mu miłego dnia. Przez cały czas, gdy z nim pływałem, nie musiałem nawet wyciągać miecza z pochwy. W grze w berka był niedościgniony, lecz jeśli jednak celnicy nas przyłapywali, nie skąpił i przekupywał ich.

- Idziesz z nami? - przypomniał się żołnierz.

Podniosłem worek i zląłem do łodzi.

- Gdybyś się namyślił, będziemy na kotwicy jeszcze trzy dni! - krzyknął Grincz.

Floren mnie pozdrowił podniesionym kciukiem.



Machnąłem im i usiadłem w łódce.

W Krahunie zamierzałem zatrzymać się dłużej, ponieważ chciałem zobaczyć zaćmienie słońca, a także dowiedzieć się czegoś o Wyspie Dymnej. Rozdzielała ona ujście Zatoki Krahuńskiej na odnogę północną i południowo-wschodnią i mimo że była to naprawdę mała wysepka, chroniła przystań przed silnym, północno-wschodnim pasatem i czyniła z niej miejsce kotwiczenia, gdzie zimowało najwięcej statków na wschodnim wybrzeżu. Na pewnej starej mapie znalazłem ostrzeżenie, że w jej bliskości źle się nawiguje. W dopisanej później notatce ktoś nazwał ją przeklętym miejscem. A ponieważ na Wyspie Dymnej znajdował się również czynny wulkan, opłacało mi się trochę wysilić i zamierzałem tam zawitać.

Przybiliśmy do brzegu. Z łódki wyskoczyłem pierwszy, skinąłem na pożegnanie i z workiem na ramieniu zacząłem się rozglądać, gdzie mógłbym się dobrze najeść i napić. Na statku jadłospis jest ograniczony i nie ma miejsca na wino. Moją uwagę przyciągnął szyld w kształcie strzały wskazującej jedną z wielu uliczek wychodzących na nabrzeże. Lokal nazywał się „Pełny Brzuch”.

Nie spieszyłem się - przyglądałem się przechodniom, zatrzymywałem się przy straganach ulicznych i patrzyłem, co oferują miejscowi rzemieślnicy. Potrzebowałem paru nowych ubrań, a ponieważ chciałem, przez jakiś czas zostać na stałym lądzie, również plecak, może też torby jeździeckie. Ludzie wyglądali na zadowolonych i zamożnych. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to ja tak na nich patrzę. Przed „Pełnym Brzuchem” drogę blokował tłum. Przepchnąłem się do środka, żeby ponad głowami ludzi zobaczyć, co się dzieje.

Na ziemi leżała martwa kobieta. Ktoś ją rozpruł od podbrzusza aż po klatkę piersiową i wnioskując z porzrzuconych wokół wnętrzności, grzebał w środku.

- Zabójcy wrócili! - rzucił w podnieceniu stary, zgarbiony mężczyzna, a oczy mu przy tym świeciły. - Ostatnio zabijali dwadzieścia lat temu podczas zaćmienia słońca.

- Skąd pan wie, że zabili ją właśnie oni? - szepnął ktoś. - Może to dziwka, która pokłóciła się z klientem?

Skoncentrowałem się na twarzy zabitej. Była dość wyzywająco umalowana i kiedy żyła, musiała być piękna.

- Nie ma żołądka. - Mężczyzna zaczął grzebać w ranie, żeby udowodnić swoje słowa. - A tutaj są gawronie pióra. Zawsze je zostawiają na miejscu przestępstwa.

Dalej nie słuchałem i ostrożnie zacząłem przepychać się z powrotem. Mimo to dowiedziałem się jeszcze, że kiedy będą mieć dwanaście żołądków rozpustnych kobiet, złapią dziewicę, którą później ofiarują ognioniowi. Ludzi wokół przybywało, każdy pewnie chciał popatrzeć na martwą dziwkę i ucieszyć się z cudzego nieszczęścia.

Oberża „Pełny Brzuch” straciła dla mnie swój urok, szedłem dalej. Po drodze minąłem okrągłą wieżę wybudowaną między domami na ulicy. Była wyremontowana, nowy właściciel dodał jej jedno piętro. Prawie nikt już dziś nie wiedział, że mniej więcej pięćdziesiąt lat temu, tuż po Wielkiej Wojnie, zanim czarodzieje zaczęli być zbiorowo prześladowani, właśnie w takich budynkach mieszkali ludzie wtajemniczeni w sztuki magiczne. Stosunek wysokości i średnicy zawsze wynosił dokładnie 2,71. Bóg jeden wie, dlaczego była to dla nich liczba magiczna. Nowy właściciel wieży nie miał o tym najpewniej najmniejszego pojęcia, ponieważ w innym przypadku nie dodawałby piętra.

Już chciałem wejść do restauracji Bauminga, na pierwszy rzut oka luksusowego lokalu, który oferował wszystko, czego smakosz mógł sobie zażyczyć, kiedy zauważyłem drzwi z małą drewnianą tabliczką. Tekst był drobny i z daleka nieczytelny od razu

jednak było widać, że to prawdziwa kaligraficzna perełka.

Skupujemy książki, nowe i stare, całe i fragmenty. Możecie się u nas również pozbyć pojedynczych arkuszy, pergaminów w dowolnym stanie, także nieczytelnych - przeczytałem z bliska.

Oprócz elegancji, ten, kto to pisał, miał zamiłowanie do archaicznego języka.

Wszedłem do środka. Żeby przejść przez niskie drzwi, musiałem się bardzo schylić, a wewnątrz wcale nie było lepiej. Otoczył mnie charakterystyczny zapach książek zmieszany z wonią soli pochłaniającej wilgoć. Ściany pokrywały półki z książkami z góry na dół, na stołach leżały całe stosy papierów.

- Dzień dobry, a cóż to pan nam przyniósł? - spytał sprzedawca, zanim oderwał wzrok od strony, którą właśnie obserwował przez lupę.

Wyglądał na dwadzieścia, dwadzieścia pięć lat i z pewnością większość czasu spędził właśnie tutaj, ponieważ był kredowobiałym człowiekiem, który słońce zna tylko z opowiadań, a brzuch pod luźną tuniką rozlewał mu się na wszystkie strony

- Nic - odpowiedziałem, i zszedłem ze schodków przy drzwiach.

Na dźwięk mojego głosu się wzdrygnął i spojrzał na mnie.

- Nie mam tutaj prawie żadnych pieniędzy! Tylko pięć złotych, poza tym same książki! - wyrzucił z siebie ze strachem.

Spojrzałem na siebie - miecz wciąż tkwił w pochwie, ręce miałem puste, bandole z nożami przykryty kurtką. Żadnej krwi nigdzie nie widziałem, nie nosiłem również naszyjnika z pomniejszonych ludzkich czaszek. Może księgarz tylko był strachliwy?

- Przyszedłem obejrzeć pańskie książki - uspokoiłem go i już błądziłem spojrzeniem po półkach.

Co dziwne, całą jedną ścianę mieli zarezerwowaną dla woluminów i dokumen-

tów pisanych ręcznie. Takie zapiski, zwłaszcza jeśli były oprawione, zawsze zwracały uwagę Wielkiego Konwentu, starającego się wytrzebić wszystko, co miało jakikolwiek związek z magią. A jeśli księga miała jeszcze okute rogi i zdobiły ją ornamenty, właściciel mógł być pewien, że kara go nie minie.

Po dwóch godzinach szperania w mnóstwie rodzinnych i oficjalnych kronik, starych rocznych ksiąg rachunkowych i innych mało interesujących rzeczy znalazłem książkę, która wyglądała na o wiele mniej zniszczoną niż inne. Otworzyłem ją i zacząłem przeglądać od tyłu. Na ostatniej stronie zamasztysem pismem w języku saxpoliskim było napisane: Spisane w roku 27 po ostatniej Wielkiej Wojnie przez Mistrza byłego klanu Augupów Ebeneza Cramwola, uzupełnione uwagami szermierza klanu Kaal Calva Nateva.

Wstrzymałem oddech. Sądząc po wszystkim, trzymałem w ręce prawie trzystuletnią księgę napisaną przez prawdziwego czarodzieja! Ostrożnie przekartkowałem ją do początku. Tekst był w większości w prawie zapomnianym języku magów swaglish i tylko w małej części w saxpoliskim. Na pierwszej stronie tym samym charakterem pisma napisano: Jak o mało nie zniszczyliśmy świata. Historia ostatniej Wielkiej Wojny i tego, co nastąpiło po niej.

Nie rozumiałem, jak to możliwe, że księga umknęła uwadze inkwizytorów i wyganiaczy magii. Spokojnie jednak mógł ją również chronić jakiś czar.

- Ile kosztuje? - spytałem.

Młodzieniec popatrzył na mnie ze zdziwieniem i zmieszał się.

- Tutaj tylko skupujemy książki, sprzedaż jest na ulicy obok - powiedział niepewnie.

- Ale ja chcę tę książkę kupić i wszystko mi jedno, czy tu, czy na ulicy obok - nie

poddawałem się.

- Zawołałam ojca, on prowadzi sklep, ja tylko pomagam - wyznał i pociągnął za sznurek, który prowadził dokądś przez otwór w suficie.

Jego ojciec, mniej więcej sześćdziesięcioletni wychudły mężczyzna, pojawił się prawie natychmiast. Wszedł przez drzwi ukryte między dwiema półkami. Z miejsca, w którym stałem, nie było ich w ogóle widać.

- Pan chce kupić książkę, znalazł ją wśród nieposegregowanych sztuk - poinformował go syn.

Starszy mężczyzna zmierzył mnie badawczym spojrzeniem. Podałem mu kronikę, żeby sam mógł się przyjrzeć.

- To już dawno powinno być w skarbcu. - Popatrzył posepnie na syna po przejrzaniu kilku linijek tekstu. - Obawiam się, że ten tom to rzadki okaz i jest bardzo drogi, może nawet nie do sprzedania. - Znow zwrócił się do mnie.

Nawet przez chwilę nie był zdziwiony że właśnie ja chcę kupić tę książkę.

- Ile? - spytałem.

- Sto sześćdziesiąt złotych - natychmiast podał kwotę.

Sięgnąłem do worka i wyciągnąłem sakiewkę od Grincza. Powinny być w nim dwie setki. Jeśli mnie nie okradł, oczywiście.

- Ekhm, pomyliłem się, dwieście dwadzieścia. - Starzec podniósł cenę, kiedy zobaczył, że zamierzam płacić bez targowania.

Przestałem liczyć pieniądze i spojrzałem mu w oczy

- Ktoś z waszej branży powiedział panu, że ma klienta, wysokiego, brzydkiego, obwieszzonego bronią faceta, który u niego bez targowania wydaje wiele pieniędzy na stare księgi. A teraz pan chętnie napchałby sobie kieszenie. Sto sześćdziesiąt to była

pierwsza oferta. Więcej panu nie dam...

Zanim zdobył się na jakikolwiek ruch, zabrałem mu tom z ręki i wróciłem do przeliczania pieniędzy. Grincz nie ryzykował, cztery dziesięciozłocisze jeszcze mi zostały.

- Ale to kradzież! Ja chcę dwieście dwadzieścia!

- Druga możliwość jest taka, że nie dam nic, a ten egzemplarz zaniosę do urzędnika zajmującego się w Krahunie kontaktami z Konwentem. Napisał to czarodziej, specjaliści powinni obejrzeć i stwierdzić, czy nie zawiera niewłaściwych informacji. Zanim zostanie to zbadane, zamkną pański sklep, a pana prawdopodobnie wsadzą do więzienia - przedstawiłem starcowi swoją wizję.

- Ale dziś już się tego tak nie robi. A to tylko kronika! - Naprawdę się zląkł.

- To niech pan tłumaczy urzędnikom - poradziłem mu.

Syn tymczasem zaczął pomału i znacząco przeliczać trójzłocisze, starzec milczał.

- Słownika swaglish przez przypadek nie macie? - spytałem. - Zapłaciłbym za niego więcej niż sto sześćdziesiąt.

- Nie mamy! - wybuchnął sklepikarz.

Wzruszyłem ramionami i skierowałem się do wyjścia.

- Można się z panem jakoś skontaktować, gdybyśmy przypadkiem go zdobyli? -

krzyknął za mną jeszcze jego syn.

Wyglądało na to, że będzie szczególnie zdolnym następcą swego ojca.

- Poślijcie wiadomość do Griuvata. Przypuszczam, że go znacie? - Odesłałem go do największego handlarza antykami na wschodnim wybrzeżu. Poszukiwał dla mnie starych ksiąg i innych rzeczy. Ponadto miałem u niego prywatną przechowalnię. Jemu

się to oczywiście podobało, ponieważ istniała mała nadzieja, że prędzej czy później szczęście mnie opuści i zostanie mu spory stos kosztowności.

Nagle stałem się o wiele biedniejszy, a w Krahunie nie było filii banku Horowitza ani Guiny'ego. W Imperialnym nie chciałem się dla pewności pokazywać - od wydarzeń w Fenidong moja osoba wciąż jeszcze leżała na wątrobie cesarzowi. Musiałem więc oszczędzać. Restauracja Bauminga okazała się teraz nie na moją kieszeń, dlatego wybrałem oberżę „Wesoła Noga”.

Sala była większa, niż w innych lokalach tego typu, okna czystsze - po prostu świetny wybór. Kiedy postawiono przede mną dzban, wprowadzie trochę cierpkiego, ale niepodrabianego czerwonego wina, dymiącą misę z kapustą, górę knedlików i słuszną porcję mięsa, czułem się naprawdę wspaniale. Podczas gdy z zadowoleniem zjadałem drugą porcję, gości powoli, przybywało i, co dziwne, było wśród nich wiele kobiet. Początkowo sądziłem, że przez przypadek wybrałem miejsce, gdzie pracujące dziewczyny polują na klientów, ale nie wszystkie wyglądały na prostytutki. Dopiero kiedy trójka muzykantów, których ze swego miejsca przy stole nie mogłem zobaczyć, zagrała kilka próbnych taktów, zrozumiałem. Siedziałem w jednej z tancbud typowych dla bogatszych miast na północy wschodniego wybrzeża.

Zamówiłem kolejny dzban i obserwowałem gęstniejący przedziwny tłum. Spotykali się tutaj marynarze, młodzi kupcy i rzemieślnicy, podejrzane indywidua podobne do mnie, pary małżeńskie i niemalżeńskie, które przyszły się zabawić, pracujące dziewczyny, grupki panienek i kobiet pragnących tańczyć, a może także szukających czegoś innego, i, oczywiście, profesjonalne tancerki. Mężczyźni jak zwykle byli w znacznej przewadze. Zajmowałem się obserwowaniem i ocenianiem otwarcie, powściągliwie, ale także i zupełnie skromnie eksponowanych wdzięków i popijałem wi-

no. Już dawno się przekonałem, że rzeczy, które wieczorem wydają się tak pożądane i atrakcyjne, nad ranem się zmieniają i człowiekowi zostaje na podniebieniu tylko posmak po iluzji, którą starał się zamaskować surową rzeczywistość. Ale widok był piękny, miłośnicy wszelkiego rodzaju krzywizn mogliby znaleźć coś dla siebie.

- Czy to miejsce jest wolne?

Metr pięćdziesiąt, włosy zaczesane do góry, żeby nie było jej gorąco, makijaż, pełne wargi podkreślone szminką, sprawiające wrażenie, jakby się uśmiechały. Oddychała szybko, prawdopodobnie zeszła właśnie z parkietu. Marszczona spódnica sięgała nad kolana i odsłaniała pełne, ukształtowane przez taniec łydki. Pantofelki miała wygodne, na niewysokim obcasie. Oczywiście, że miejsce przy moim stole było wolne. Do mnie nigdy nikt się nie dosiada... dobrowolnie nie dosiada. Inna rzecz, jeśli ktoś ma ku temu jakiś powód.

- Dziękuję - powiedziała, usiadła i zrobiła zachęcającą minę.

Obok nas przeszedł brzuchaty mężczyzna, który najwyraźniej kogoś szukał. W momencie, kiedy ją zobaczył, zrobił ucieszoną minę. Później dostrzegł również mnie, przyjął obojętny wyraz twarzy i szybko zniknął z horyzontu.

- Nie zatańczy pan? - Chwyciła się tego, w czym czuła się najpewniej.

Wyglądała na profesjonalną tancerkę, która nie wiadomo dlaczego, jednego klienta się pozbyła, żeby złapać innego.

- Napije się pani czegoś? - zaproponowałem.

- Chętnie, wino z wodą - zdecydowała.

Nie miałem pojęcia, dlaczego ona, dziewczyna jak malina, nie jest już od dawna mężatką, nie zajmuje się dziećmi i mężem. Może jednak takie życie się jej nie podobało? Miejscowe wino było całkiem niezłe, ale z wodą? Wyobrażenie tego smaku nie



spodobało mi się ani trochę.

- A może poszlibyśmy gdzieś, gdzie podają lepsze wino niż to miejscowe?

Zgodziła się zbyt szybko i bez jakiegokolwiek skrępowania czy wykręcania się.

Tancerka, która czasem zaprosi kogoś do domu. Zapłaciłem, wstaliśmy od stołu, przy barze odebrała lekki płaszczyk. Grzecznie pomogłem jej go założyć, oberżysta obrzucił mnie ukradkowym, ostrożnym spojrzeniem. Naturalnym gestem, wzięła mnie pod rękę i wyszliśmy na zewnątrz. Zamieniła pewny zysk na niepewny, nawet nie chciała ode mnie trzykrotnie większej stawki jak inne pracujące dziewczyny. Już prawie nie pamiętałem, kiedy straciłem z którąś z nich swoje złoto. Starzeję się. Skierowałem się do restauracji Bauminga, ale zatrzymałem się przed wejściem.

- Czego ode mnie chcesz? - spytałem wprost.

- Odprowadzenia do domu - przyznała.

- Ty się mnie nie boisz? A co, jeśli będę chciał u ciebie zostać?

Zmierzchało się, potok ludzi przed nami się rozstępował, a za nami znów łączył.

Większość mężczyzn ostrożnie rzucała na dziewczynę pełne zachwyty spojrzenia.

- Coś za coś. - Wzruszyła ramionami.

Nie miałem pojęcia, że w tak zwykłym ruchu może być tyle smutku.

- Ciebie się nie boję. Boję się człowieka, który dzisiaj w nocy zabił moją koleżankę. Mieszkałyśmy razem. Ja pracowałam tutaj, ona w „Pełnym Brzuchu”. Boję się, że teraz zaczał się na mnie. Według mnie wie, że w domu nie ma żadnego mężczyzny.

Przypomniałem sobie wypatroszoną kobietę, którą rano widziałem.

- Gdzie mieszkasz?

- Mam mały dom na skraju miasta. Z ogródkiem, przez który płynie potok. Jest tam wiele... - przerwała.

Jeśli coś lubiła, był to jej ogródek.

- Umiesz gotować?

Skinęła głową.

- Dobijemy targu, coś za coś. Odprowadzę cię do domu, w nocy popilnuję i chcę za to kolacji. Dużej kolacji z mnóstwem smakołyków.

Moja propozycja ją zaskoczyła.

- Nie mam za dużo jedzenia - zawahała się.

- Na targu są jeszcze otwarte kramy, musimy tylko zatrzymać się u jakiegoś handlarza winem. Kolacja bez wina to nie kolacja - rozwiałem jej wątpliwości.

\* \* \*

Ilość jedzenia i używek wszelkiego rodzaju, jakie razem kupiliśmy, wystarczyłaby dla całej rodziny. Najwięcej nadźwigaliśmy się butelek wina.

Domek był mały, dokładnie taki, jak mówiła. Przedsiónek i dwie izdebki, od razu było widać, że mieszkają tu dwie kobiety. Nerwowo uprzątnęła kilka rzeczy, ja tymczasem napaliłem w piecu. Na zewnątrz zaczęło padać i ochłodziło się, ciepło i trzask ognia sprawiały, że pomieszczenie wydawało się przytulne.

- Nasza transakcja to kolacja za pilnowanie - przypomniałem, żeby ją uspokoić.

Moja wizyta, z pewnością odbiegała od zwykłego schematu i to wyprowadzało dziewczynę z równowagi. Otworzyłem pierwszą butelkę. Handlarz winem dał nam spróbować miejscowego czerwonego i, o dziwo, nie smakowało źle. Kupiłem go po dwie butelki z każdego rocznika z ostatnich siedmiu lat. Zdecydowałem się zacząć od najmłodszego i stopniowo posuwać się w przeszłość. Nalałem do kieliszków, które przewidująco również kupiłem. Podałem jej kielich, stuknęliśmy się.

- Jak masz na imię? - zapytałem.

- Erika - odpowiedziała.

- Za Erikę i Koniasza! - wzniosłem toast.

Było to ziemiste wino, o ciężkim smaku gleby, na której wyrosło, a jednocześnie pełne obietnic, tak jak wiatry wiejące od morza na ląd. Stałem przy stole, wyciągnąłem jeden ze swych noży i błyskawicznie pokroiłem pomidora na cienkie plasterki.

- Czekam na rozkazy, co trzeba pociąć, zetrzeć i tak dalej. Gotować nie umiem, ale poza tym...

- Chyba należałoby te warzywa wcześniej umyć - zwróciła mi uwagę z uśmiechem.

Możliwe, że miała rację.

Kiedy już wszystkie produkty były przygotowane zgodnie z życzeniem Eriki, starannie oczyściłem nóż i położyłem na stole, żeby wysechł. Ostrożnie go podniosła i uważnie obejrzała ostrze i rękojeść z nawiniętej skóry płaszczyk.

- A tego z nożem - zrobiła ruch, jakby szybko kroić - gdzie się nauczyłeś?

- Uwierzyłabyś w to, że jestem wyuczonym kucharzem?

Przyjrzała mi się z powątpiewaniem, ale później się roześmiała.

- Tylko, jeśli będziesz miał takie życzenie.

I tak zostało. Dolałem nam wina i stanąłem przy oknie, skąd mogłem wyjrzeć na zewnątrz. Piec grzał, na zewnątrz się rozpadało i na okno z taniego, ledwo prześwietającego szkła krople deszczu spadały jedna po drugiej. Nic przyjemnego być gdzieś na zewnątrz, na szlaku, w taką niepogodę.

- Słyszałem, że podobne zabójstwa miały już miejsce w przeszłości - wspomniałem temat.

Placek ziemniaczany na patelni pokryła szczodłą warstwą mielonego mięsa, nie

mniej dokładnie posypała ją przyprawami.

- Dwadzieścia lat temu podczas poprzedniego zaćmienia słońca. Ostatnimi czasy się o tym mówi. Podobno zakończyły się same z siebie - powiedziała z niechęcią.

Najwyraźniej nie chciała psuć nastroju.

- A dlaczego myślisz, że ten morderca upatrzył sobie ciebie?

- Ponieważ wydawało mi się, że kilka razy widziałam, jak tutaj w nocy stoi jakiś mężczyzna - odpowiedziała, przerwała, pracę i spojrzała na mnie, jakby starała się zorientować, do czego zmierzam.

- Gdzie? - wypytywałem dalej, wyglądając przez okno.

- Sąsiad ma małą szopę na rupiecie tuż przy granicy mojej ziemi. Chował się za nią. - W głosie Eriki pojawił się strach.

- Dzisiaj nikogo tam nie ma - uspokoiłem ją. - Ale powinnaś chyba na parę dni wyjechać z miasta. Przynajmniej do zaćmienia słońca. Po nim przecież wtedy to się skończyło.

- Mogę jechać na parę dni do siostry. Mieszka z mężem w posiadłości ziemskiej

- zgodziła się z wahaniem.

- A zrobisz to?

Skinęła głową, na jej twarzy pojawiła się ulga. Przekonała sama siebie, że w ten sposób wszystko się rozwiąże.

Posiłek był wyśmienity, wino ze zbiorów sprzed dwóch lat również. Czuję, jak powoli uderza mi do głowy i cieszyłem się tym.

Erika sprzątnęła ze stołu i zniknęła w sieni, ja dołożyłem do pieca i otworzyłem jeszcze starszy rocznik. Kiedy wróciła, stwierdziłem, że zmyła makijaż, fałszywy uśmiech na jej wargach zniknął. Policzki miała czerwone od ciepła i alkoholu i uśmie-

chała się naprawdę. Przyglądaliśmy się sobie nad blatem stołu, lampy już zgasły, paliła się tylko jedna świeczka. Chciałem, żeby ta chwila trwała wiecznie.

- Ty mnie nie chcesz - stwierdziła i napiła się.

- Tego nigdy nie powiedziałem, ani nie dawałem do zrozumienia. Coś za coś, pamiętasz? - przypominałem. - Kolacja za towarzystwo i pilnowanie domu. Ni mniej, ni więcej. Jutro na kilka dni wyjedziesz i będzie spokój.

Oparła rękę w połowie szerokości stołu. Wziąłem ją w swoją dłoń i ostrożnie uniosłem. Wstała, nie spuszczałem z siebie oczu. Prowadziłem ją wkoło stołu, jednocześnie przyciągając do siebie. Posadziłem Erikę sobie na kolana, położyła mi ręce na ramionach. Wsunąłem jej ręce pod bluzkę i objąłem wokół pasa. Była miękka i ciepła. W półmroku patrzyła mi w oczy. Ostrożnie rozpiąłem biustonosz. Od czasu, kiedy robiłem to po raz ostatni, nic się nie zmieniło, dałem radę. Obiema rękami pogłaskała mnie po twarzy, słyszałem chrobot własnej brody. Piersi schowały się w moich dłoniach tak samo, jak wcześniej jej dłonie. Pocałowałem ją. Piękna, delikatna, miękka i żywa.

- Nie spiesz się - wyszeptała i zaczęła się kręcić na moich kolanach, jakby chciała zaprzeczyć własnym słowom.

- W żadnym wypadku - obiecałem i dotrzymałem obietnicy

\* \* \*

Rano wstaliśmy razem. Żadne z nas wiele nie mówiło. Tuż przed wyjściem zatrzymałem się niezdecydowanie i zastanawiałem, czy nie powinienem dać jej jakichś pieniędzy. Wczoraj nic nie zarobiła, jej dom był biedny i czasem kogoś tu przyprowadzała właśnie z powodu srebra.

- Wyjedziesz do swojej siostry? - spytałem, żeby przerwać milczenie.

- Tak... - zawahała się. - Ale nie chcę cię nigdy więcej widzieć, życie byłoby wtedy dla mnie o wiele cięższe.

- Dużo szczęścia - uśmiechnąłem się i zamknąłem za sobą drzwi.

Na chwilę zatrzymałem się przy szopie. Nawet deszcz nie zdołał zmyć plam ze śliny zmieszanej z tabaką. Musiał je tam zostawić mężczyzna, którego wczoraj w nocy dostrzegłem z okna.

\* \* \*

Planowałem wynająć jakiś tani pokój w pensjonacie czy oberży przeczytać książkę, a później rozpocząć poszukiwania statku, który zawiózłby mnie na Wyspę Dymną. I z powrotem, oczywiście. Szedłem po nabrzeżu, oglądałem statki i wypatrywałem miejsca, gdzie mógłbym wygodnie usiąść i poczytać. Na poszukiwania pokoju było dość czasu. Krahuński port był wprawdzie doskonale chroniony przed wiatrem i falami otwartego oceanu, ale różnica między przyływem a odpływem była duża, wynosiła około pięciu metrów i niektórym kapitanom bezpieczne kotwiczenie sprawiało problemy.

- Ten statek po prostu nie jest na sprzedaż. - Moją uwagę zwróciły gwałtownie wypowiedziane słowa.

W dzisiejszym świecie wszystko jest na sprzedaż. Zdrowie, szczęście, miłość, życie i śmierć. Albo przynajmniej niektórzy ludzie tak myślą. Zatrzymałem się i zacząłem przyglądać trzem kłócącym się mężczyznom.

Starzec, któremu bliżej było do siedemdziesiątki niż sześćdziesiątki, z twarzą, na której odcisnęły ślady wiatr i słońce, złościł się i gwałtownie gestykułował. Pomimo swego wieku energii miał aż nadto.

- Twój statek ma wartość sześciuset złotych, ja oferuję siedemset! - Prawdopo-

dobnie po raz kolejny powtórzył propozycję potężny mężczyzna o czerwonej twarzy, z gęstymi, czarnymi włosami. Ubrany trochę niedbale, ale każda pojedyncza sztuka jego ubioru była najlepszej jakości i musiała kosztować niezłą sumę.

- Potrzebujemy „Kochanki” żeby dostać się na Wyspę Dymną. W Krahunie nie ma żadnego innego statku, który poradziłby sobie z tym bez problemów! - wtrącił się do debaty najmłodszy z trójki. Młody mężczyzna, koło dwudziestu, dwudziestu pięciu lat, dobrze zbudowany, średniej postury. Stał lekko pochylony do przodu, jakby za chwilę chciał się rzucić na starca.

- Nie, nie i jeszcze raz nie! Nawet gdybyście dawali tysiąc. „Kochanka” jest moja i ja jej nie sprzedam! - Starzec ze zdenerwowaniem pokazywał na statek na kotwicy. Był piękny. Zbudowany tak, żeby osiągał znaczną prędkość, kadłub z krzywiznami przypominał opływowe ciało delfina i mimo że był to tylko mały żaglowiec, miał dwa maszty, oba wyższe niż wydawało się to możliwe.

- A gdyby panowie tylko wynajęli pański statek? Oczywiście, poniosą całą odpowiedzialność za jakiegokolwiek ryzyko... - wmieszałem się do debaty.

- A czy pan myśli, że pozwolę, żeby prowadził go ktoś inny? - wybuchnął właściciel.

- Jasne, że nie, pan byłby kapitanem. Przewiozłby nas pan tam i z powrotem - zapewniłem go.

- Tak by się dało. - Starzec momentalnie się uspokoił.

- Nas? - Młodzieniec popatrzył na mnie nieufnie.

- Kim pan jest? - spytał kosztownie ubrany mężczyzna.

- Nazywam się Koniasz - odpowiedziałem. - Dlaczego właściwie chcecie płynąć na Wyspę Dymną? Słyszałem, że większość ludzi raczej jej unika.

Pół godziny później wszyscy czterej siedzieliśmy w gabinecie kupca o czerwonej twarzy, pana Schipa Dejevu. Właściciel statku, Wiliam Bulson, bez dalszego ociągania się podpisał umowę, w której zobowiązał się przewieźć załogę złożoną z ludzi Dejevu na Wyspę Dymną. Chciał za to sto złotych. Zdziwiło mnie, że nad wyższą kwotą nikt się nie zastanawiał. Stopniowo jednak zaczynałem rozumieć, dlaczego. Wyspa wśród miejscowych cieszyła się jeszcze gorszą opinią niż sądziłem i nikt nie próbował się tam dostać.

- A dlaczego właściwie chcecie tam płynąć? - przypomniałem pytanie, na które wciąż nie uzyskałem odpowiedzi.

- Ponieważ sekta słonecznych zabijaków porwała moją córkę i chce złożyć ją w ofierze właśnie tam - odpowiedział mi Schip Dejevu.

- A skąd pan to wie? - wypytywałem dalej.

- Ja, Echiron Ucborg, to odkryłem! - Do pomieszczenia bez zaproszenia wszedł wysoki, zgarbiony starzec w czarnym kaftanie z kapturem.

Na szczęście nie miał go na głowie, ponieważ wyglądałby jak śmierć w ludzkiej postaci. Uświadomiłem sobie, że go znam - to on wczoraj przemawiał do tłumu zebranego przy zabitej kobiecie.

- A jak pan to odkrył?

- Zostawili na miejscu gawronie pióro, a włókna, których resztki znaleziono w oknie panny Dejevu, są identyczne jak włókna, jakie odkryłem wczoraj pod paznokciami zamordowanej!

- A skąd pan tyle wie o sekcie słonecznych zabijaków? - kontynuowałem.

- Ostatni raz zaatakowali dwadzieścia dwa lata temu podczas zaćmienia słońca.



Już wtedy pokrzyżowałem im plany. Ale tym razem ich dostanę! - prawie zapiszczał starzec.

Dejevu i Henrik Gasdon, młody kapitan jednego z niniejszych statków, z powodu mojego wypytywania przyglądali mi się trochę wrogo.

- A dlaczego mieliby porwać właśnie córkę tak bogatego i poważanego człowieka, jakim jest pan Dejevu? Który ma możliwość zorganizowania wyprawy ratunkowej?

- spytałem po raz ostatni.

- Ponieważ muszą złożyć w ofierze dorosłą kobietę, która jest dziewicą! W dzisiejszym zepsutym świecie dziewictwo jest pewne tylko u panien z najlepszych rodzin!

- skontrował Echiron Ucborg.

Stwierdzenie, że nasz świat jest jeszcze bardziej zepsuty niż myśli, wolałem przemilczeć, ponieważ zarówno Dejevu, jak i Gasdon oraz właściciel statku wyglądali na zakłopotanych. Chyba nie byli przyzwyczajeni do publicznych dyskusji o podobnych intymnych szczegółach. Dla mnie nie stanowiło to problemu. Już kilka razy kupowałem na targach niewolników, a tam cena dziewicy była trzykrotnie wyższa niż cena kobiety zdeflorowanej, mówiąc fachowo.

- Chcą ją wrzucić do krateru wulkanu dokładnie podczas zaćmienia słońca -

kontynuował Ucborg. - Musimy dostać się na wyspę jak najszybciej.

- Ilu ich jest? - wtrącił się po raz pierwszy do rozmowy Dejevu.

Starzec stracił pewność siebie.

- Tego dokładnie nie wiem. Myślę, że to tylko mała sekta, ponieważ przez śmierć kobiet chcą zyskać wieczną młodość i nieśmiertelność. Nie może być ich zbyt wielu, ludzie niechętnie dzielą się przywilejami.

- Nie sądzę, żeby udało się wam wynająć jakichś ludzi - powiedział William Bul-

son. - Wyspa cieszy się złą opinią, a od czasu, kiedy wysiadł na niej Orlando, niczyja stopa tam nie postąpiła.

- Ludzie, którzy popłyną na wyspę i uratują moją córkę, podzielą między siebie tysiąc pięćset złotych. Powiedzcie to każdemu, kogo będziecie wynajmować. - Dejevu złożył niezwykle szczodłą ofertę, zwracając się do Gasdona.

Ten wydał mi się nagle trochę zmieszany, lecz szybko się opamiętał.

- Tak, panie. - Prawie zasalutował.

- Kiedy wyruszamy? - spytał Bulson.

- Podczas porannego odpływu - zdecydował Dejevu. - Nie możemy pozwolić, żeby moja córka była w ich rękach choćby chwilę dłużej. Weźmie pan udział w akcji ratowniczej? - zwrócił się do mnie.

Moja broń nie umknęła jego uwadze, traktował mnie jak człowieka dobrego do takiej pracy.

- Tak, ta nagroda nie jest zła. - Skinąłem głową.

Czasem do człowieka uśmiecha się szczęście. Jeszcze przed godziną byłem gotowy zapłacić za transport na wyspę. A jeśli przez przypadek przebywała tam właśnie banda szaleńców... Miałem nadzieję, że będzie nas wystarczająco wielu, żeby rozprawić się z nimi raz na zawsze.

Gasdon odszedł szukać kolejnych ludzi, Bulson wrócił na statek, żeby go przygotować, a Ucborg, jak sam powiedział, poszedł zgromadzić swoich oddanych pomocników, ja skierowałem się do Orlanda. Od Bulsona, który go znał, dowiedziałem się, gdzie mieszka. W kieszeni miałem list polecający do burmistrza Krahunu. Chciałem zajrzeć do miejscowych archiwów, czy nie ma w nich jakichś pożytecznych notatek o naszych nieprzyjaciółach.

Orlando mieszkał w jednej z lepszych dzielnic. Zapukałem do drzwi, otworzyła matronowata pięćdziesięcioletnia kobieta w jasnoniebieskiej sukni z tak cienkiego materiału, że nie zakrywała za bardzo jej figury. Nie był to zbyt zachęcający widok.

- Chciałbym rozmawiać z panem Orlandem. To - zawahałem się - sprawa morska. Przydałaby się nam jego rada.

- Proszę wejść! - Uśmiechnęła się do mnie. - Niech pan zamknie za sobą - dodała pragmatycznie, ponieważ nie przecisnąłbym się obok niej na korytarzu. Kiedy szła, wyglądała, w swojej sukni niczym wielki lodowiec. W każdym jej geście było coś optymistycznego i prawie dziewczęcego.

- Orlando! Masz gościa! - zawołała i wskazała mi drzwi z lewej strony.

- Niech pan wejdzie, będzie na pana czekać. Za chwilę przyniosę coś dobrego - powiedziała.

Chyba kryło się to w intonacji albo w odcieniu głosu, ale byłem pewien, że poczęstunek dla swego męża i jego gościa przygotuje z chęcią.

Posłuchałem i wszedłem do dużego pokoju zastawionego niezwykle niskimi meblami. Stół miał nogi o długości zaledwie dwudziestu centymetrów, zamiast krzeseł na wypolerowanym parkiecie leżały poduszki, szafy były dziwacznie niskie.

Na podłodze siedział mężczyzna i pochylał się nad jakąś pracą. Przyczynę niezwykłego umeblowania pokoju zrozumiałem natychmiast. Orlando nie miał nóg, coś mu je ucięło wysoko nad kolanami.

- Przysłał mnie do pana Wiliama Bulson - powiedziałem zamiast powitania.

- Proszę usiąść - zachęcił mnie.

Usiadłem na ziemi przed nim. Zanim stracił nogi, musiał być wysokim człowie-

kiem. Wesoły niebieski lodowiec postawił przed nami tacę z butelką gorzałki, dwoma kieliszkami i talerzykiem pełnym plasterków wędzonego mięsa. Orlando pocałował lodowiec w policzek i pogładził po plecach.

- Dopiero kiedy to mi się stało - pokazał na swoje nogi - zrozumiałem, jakim jest dla mnie skarbem. Ciągle się jednak dziwię, że ze mną została - powiedział w zamysleniu, kiedy jego żona zostawiła nas samych.

Milczałem. Stolik, nad którym się pochylał, pełny był narzędzi jubilerskich, w miseczce leżało kilka surowych szmaragdów. Wiedziałem już, jak taki kaleka jak on zarabia na życie.

Na zewnątrz zaszczekał pies. Orlando zbladł, otworzył butelkę, nalał sobie pełny kieliszek i natychmiast go wychylił.

- Nienawidzę tych bestii - powiedział gwałtownie. - Już wcześniej się ich bałem, ale teraz do tego wszystkiego nienawidzę. Proszę wybaczyć - dodał i nalał nam obu.

Był to rum. Dobry mocny rum z trzciny cukrowej, który tak bardzo lubią marynarze, a zwłaszcza piraci.

- Chcę pana spytać o Wyspę Dymną. Jest pan jedyny który wrócił z wyprawy - przeszedłem do rzeczy

Orlando zbladł jeszcze bardziej i skinął głową.

- Tak myślałem. Żona mówi mi o wszystkim, co usłyszy w mieście, Zatem znów porwali jakąś dziewczynę - stwierdził i napił się ponownie.

- Wtedy też kogoś porwali? - zapytałem.

- Właściwie to nie wiem. Właśnie wróciłem statkiem z morza. Ówczesny przedstawiciel gwardii miejskiej Ramul Keel przyszedł do mnie z pytaniem, czy mu nie pomogę. Ktoś patroszył dziewczyny, a Keel myślał, że ma siedzibę właśnie na wyspie.

Nigdy za bardzo nie wierzyłem w przesady i to był błąd. Popłynęliśmy tam i do zatoki dotarliśmy bez problemu, chociaż było nerwowo. Tam jest silny prąd powrotny przyboju, w niektórych miejscach prawie przy powierzchni, co spycha statek. Towarzysze Keeia razem z kilkoma moimi ludźmi wyszli na ląd, ja czekałem na statku. Długo nikt nie wracał. Poszedłem ich szukać, ale te bestie zdążyły już dopaść wszystkich, a mnie pozbawiły nóg. - Jakie bestie? - chciałem wiedzieć. Na zewnątrz zaszczekał pies i Orlando zadrżał tak, że wylał połowę zawartości kieliszka.

- Psy. Olbrzymie, dwumetrowe psy. Miałem kuszę. Były dwa, jednego zabiłem, ale drugi... Wystarczyło, że raz ugryzł i już nie miałem nogi. A później drugi raz. Coś go potem przegoniło. Nie wykrwawiłem się, ponieważ leżałem w bagnie i to zasklepiło rany. O mało nie oszalałem z bólu. Jedyńm człowiekiem, który oprócz mnie wrócił, był właśnie Keel. Załadował mnie na statek i, mimo że nie był marynarzem, szczęśliwie dopłynęliśmy z powrotem. Więcej panu nie powiem. Nie wiem... i nie chcę tego wspominać.

- A Keel? Nie wie pan, gdzie mógłbym go znaleźć?

- Nie mam pojęcia. Przez rok próbowałem się upijać, ale wyciągnęła mnie z tego moja żona. Powiedziała, że jestem zręczny i zmusiła, żebym znalazł tę właśnie pracę. - Pokazał na małą szlifierkę. - O ile wiem, wyrzucili go, ponieważ nie miał żadnych podstaw do wyprawy na wyspę. Podobno wyssał to sobie z palca. Ale coś tam jest, choćby olbrzymie, złe psy.

Pożegnałem się i zostawiłem butelkę na jego pastwę.

- Muszę coś panu pokazać. - Zatrzymała mnie przy wyjściu żona Orlanda i zaprowadziła do pokoju ozdobionego obrazami. Na wszystkich widniało morze w najróżniejszych postaciach. O świcie, o zmroku, w czasie burzy. Malarz nie należał do

zbyttnio utalentowanych, ale starania uchwycenia chwili były widoczne na każdym płótnie.

- To maluje mój mąż - obwieściła dumnie. - Wspaniałe, prawda?

- Tak, pani, są wspaniałe. Są tak wspaniałe, że nie wiem nawet, czy zwyczajni ludzie byliby w stanie docenić ten urok - powiedziałem, uważając, żeby wyglądać całkowicie poważnie.

Od Orlanda skierowałem się do urzędu miejskiego, gdzie dzięki listowi Dejevu poszli mi na rękę i pozwolili zajrzeć do starych ksiąg i zapisów. Nie dowiedziałem się niczego nowego. Mordowanie kobiet zaczęło się około miesiąca przed zaćmieniem słońca, a ostatni przypadek miał miejsce dzień po nim. Według zapisów Keel nie miał ani jednego dowodu na to, że zabójca czy zabójcy ukrywają się na wyspie. Fakt, że podczas wyprawy zginęło piętnaście osób, dodatkowo go obciążył i musiał opuścić swój urząd. O olbrzymich psach nie znalazłem w zapisach nawet wzmianki. Właściwie nie dziwiłem się Orlandowi, uważaliby go za szaleńca. Ponadto w tym czasie chyba dwukrotnie był niepoczytalny.

Zatrzymałem się jeszcze u Dejevu, żeby go poinformować, czego się dowiedziałem, a ponadto usłyszałem, ilu właściwie ludzi udało się zwerbować Gasdonowi.

Dejevu mnie i sobie nalał po kieliszku wina, stanął przy oknie i w zamyśleniu wyglądał na zewnątrz.

- Pan w to wierzy? Mam na myśli te psy - rzucił.

- Nie, panie. Żadne historyjki nie mają znaczenia. Według mapy na wyspie jest tylko jedno miejsce kotwiczenia. To nam ułatwi pracę. Wyjdziemy na ląd, znajdziemy ślad, złapiemy tych hultai i uratujemy pana córkę. Za to zapłaci nam pan półtora tysiąca złotych - podsumowałem plan.

Miałem pewne wątpliwości, ale zostawiłem je dla siebie. Wszystko działa się zbyt szybko i chociaż nie mogłem dopatrzeć się żadnych niewłaściwości, wydawało mi się, że mechanizm kołowy wydarzeń źle działa. Albo gdzieś dostał się piasek, albo brały w tym udział jeszcze inne czynniki, których nie widziałem. Wino nie było złe, ale Dejevu prawdopodobnie kupił je za cenę, która ze sprzedającego czyniła złodzieja.

- Wypytałem kilku swoich przyjaciół w interesach i dostał pan jak najlepsze referencje. Co dziwne, również od tych, którzy nie mieli tego szczęścia i nie skorzystali z pana usług - zmienił temat.

Czekałem, co z tego wyniknie.

- Henrik Gasdon jest ambitnym młodym mężczyzną, lecz do tej pory dowodził tylko małymi statkami, łodziami raczej, i przewoził dla mnie niektóre ważne przesyłki. Nie jestem pewien, czy poradziłby sobie z tą akcją. Do tego potrzebny jest doświadczony i znający się na rzeczy człowiek.

Sądziłem, że chciał powiedzieć: twardy i bezwzględny Nie poprawiałem go.

- Przejmie pan dowództwo? Dostanie pan pięćdziesiąt złotych więcej.

- Tak, panie.

Przejąłbym dowództwo tak czy siak, ponieważ nie miałem ochoty ryzykować własnego życia z powodu szczeniackich błędów.

- Może mi pan dać podobiznę pańskiej córki? Chętnie bym się dowiedział, kogo dokładnie szukam. Jutro rano wypływamy - przypomniałem mu.

\* \* \*

Stałem obok Wiliama Bulsona, który swoją pomarszczoną ręką mocno trzymał ster i prowadził statek w morze. Henrik Gasdon się wykazał - wynajął pięć osób, dwóch kolejnych przyszło z Ucbergiem.

Najbardziej podobał mi się srebrnobrody, barczysty mężczyzna. Był ubrany w kurtkę podbitą żelaznymi łuskami, w pochwie przy pasie na ramieniu nosił jeździecki miecz. Brwi miał srebrne jak brodę, a oprócz swego imienia - nazywał się Kevin - nie powiedział ani słowa. Dwóch marynarzy, Jug i Jungwir, identycznych niczym dwie krople wody, wyglądało na takich, którzy zdołają poradzić sobie ze swoją częścią pracy. Ramez był olbrzymim facetem, wyższym niż ja i o wiele cięższym. Chodził jak zapaśnik, lekko przygarbiony nigdy nie podnosił stóp zbyt wysoko od ziemi. Coś mi w nim nie pasowało. Osobny rozdział stanowił Eloen, chudy nerwowy mężczyzna. Miał lepkie rączki i od pierwszego rzutu oka typowałem go na zarozumialca. Już teraz wiadać było, że się boi. Nie rozumiałem, co go zmusiło do wzięcia udziału w takim przedsięwzięciu. Ze swoimi lepкими rączkami z pewnością w tym czasie mógłby zdobyć nieźle pieniądze.

Wierni towarzysze Ucburga raczej przeszkadzali niż pomagali, najchętniej natchmiast wyrzuciłbym ich za burtę. Pierwszy był silnym wiejskim chłopem, który nie umiał zliczyć do pięciu. Chodził za Echironem niczym wierny pies i ciągle się ślinił. Co chwila wskazywał palcem swoją pierś i wykrzykiwał „Daniel”. Jego imię z całą pewnością mu się podobało i był z niego dumny. Drugi mężczyzna miał na imię Ben, był liżusem, który uważał Echirona za mistrza nad mistrzami i nieustannie na wszystkie możliwe i niemożliwe sposoby okazywał mu szacunek.

Zachowanie Henrika na morzu się zmieniło. Wiadomość, że przejmuję dowodzenie, przyjął ze źle skrywaną ulgą i o ile dobrze widziałem, ciągle przyglądał się spod oka Ucbergowi. Jego wcześniejsza wiara w nieprzyjaciela słonecznych zabijaków zniknęła.

„Kochanka” była naprawdę świetnym statkiem. Nawet przy delikatnej bryzie



wyciągaliśmy dziesięć, jedenaście węzłów. Wystarczyło rozejrzeć się po pokładzie albo pod nim i było widać, że imię żaglowca jest dokładnie takie, jakie być powinno. William Bulson naprawdę go kochał, wszystko wykonano starannie i idealnie. Po pięciu godzinach rejsu zaczęła przed nami wyrastać z wody Wyspa Dymna. Jak welonem okrywała ją szara mgła, w której wyraźnie rysował się stożek centralnego wulkanu. Stopniowo zagarniała dla siebie coraz większą część pola widzenia, aż w końcu rozczłonkowane wybrzeże zabierało prawie jedną trzecią horyzontu.

Zgadywałem, że dzieli nas od niego ponad dwadzieścia kilometrów.

- Jak daleko jesteśmy? - huknąłem do Bulsona.

- Naliczyłem jedenaście mil morskich - oświadczył i dalej pieścił ster.

Po chwili skręcił żaglowcem równoległe do wybrzeża i szukaliśmy zatoki z miejscem kotwiczenia. Powinna się znajdować po przeciwnej stronie lądu. Statkiem nagle zakołysało, dziób zapadł się w głębie, zaraz coś go wypchnęło w górę, miałem w ustach pełno wody. I znów. Wydostaliśmy się od zawietrznej i wystawiliśmy na pastwę fal, podnoszonych przez wiatr gdzieś na niekończących się odmętach wschodniego oceanu. Kiedy wreszcie znaleźliśmy dogodne miejsce do cumowania w niewielkiej zatoce, wszyscy mieliśmy fal powyżej uszu, a niektórzy już od dłuższej chwili karmili łabędzie.

W wąskim przesmyku woda wściekle uderzała o burty, ale ponieważ utrzymywaliśmy prędkość, przepłynęliśmy bez problemu. Już zrozumiałem, dlaczego Henrik upierał się właśnie przy „Kochance”. Kiedy byliśmy zmuszeni krążyć wokół wyspy wyglądało to jak zabawa z diabłem. Może chłopak nie był aż tak niedoświadczony, jak się wydawało Dejevu.

Zakotwiczyliśmy piętnaście metrów od kamienistej plaży. Dziewiczy las mie-

szany zaczynał się kawałek dalej. Ciszę przerywał jedynie szum drzew, bzyczenie owadów i od czasu do czasu świergotanie ptaków, szaleństwo spienionej wody zostało kilometr za nami. Popatrzyłem na mapę, wyspa wyglądała na niej jak elipsa o wymiarach dwa na cztery kilometry. To by znaczyło, że zatoka prowadziła daleko w głąb lądu. Coś mi się w tym jednak nie podobało.

- Wychodzimy na brzeg? - spytał cicho Henrik.

Spojrzałem na ląd. Olbrzymie topole przeplatały się z olchami, teren między drzewami wypełniała dżungla akacji, jarzębin i wyglądająca na kolczastą, nieprzystępna roślinność. Na prawo od nas do morza wpływał potok, prawie mała rzeczka.

- Au! - krzyknął Eloen. - Użądlił mnie szerszeń, od tego można nawet umrzeć!

Opędził się od czegoś w powietrzu, usłyszałem, jak ciało owada uderzyło o ścianę kajuty.

Miał rację, ale my przybyliśmy tutaj, żeby rozprawić się z czymś większym niż szerszenie. Przyjrzałem się, co naprawdę go ukłuło. Nie był to szerszeń, lecz osa, chociaż wiele szerszeni biła na głowę pod względem wielkości. Wrzuciłem, ją do wody i patrzyłem, jak bezskutecznie próbuje się wzbić nad powierzchnię.

- Opuśćcie łódkę na wodę, pierwszy popłynę ja, Kevin, Eloen, Ben, Daniel. Ty zajmiesz się drugą łodzią - rozkazałem Henrikowi. - Nie wychodźcie na brzeg, nikogo oprócz nas nie wpuszczajcie na pokład - przypomniałem Bulsonowi.

Odwróciłem się znów w stronę brzegu. Las milczał i diabli wiedzą dlaczego wydało mi się, że skrywa o wiele więcej niż przystało na uczciwą puszcę. Miałem nadzieję, że również odpływać będziemy z uśmiechem. Wszyscy ludzie nagle zamilkli.

- Do roboty! I szybko, musimy zapracować na złoto! - zachęciłem ich tylko po to, żeby przerwać ciszę.

Zanim wyszliśmy na brzeg, popołudnie zaczęło zamieniać się w wieczór. Szukanie śladów w ciemności było niepotrzebne i głupie, dlatego od razu na miejscu rozbiliśmy obóz. Przeszedłem kawałek brzegiem i starannie obejrzałem wszystkie miejsca dobre do cumowania, czy nie znajdę śladów po wylądowaniu kogoś innego. Zatoka wyglądała na tak samo nieskażoną ludzką obecnością jak tego dnia, kiedy powstał świat. To jednak nic nie znaczyło.

Towarzysze tymczasem rozpalili ogień. Nazbierali cały stos drewna i nie oszczędzali go - płomienie buchały na wysokość prawie dwóch metrów. W innej sytuacji bym im nawymyślał, ale tutaj byliśmy osłonięci od obcych spojrzeń ze wszystkich stron. A jeśli w okolicy przypadkiem ktoś czekał, musiał już zauważyć „Kochankę”. Na pierwszą kolację mieliśmy zapasy ze statku, więc chleba i mięsa było w bród, Henrik kupił nawet za pieniądze Dejevu parę butelek wina. Później każdy miał już się tylko żywić tym, co niósł na plecach.

- Żadnych śladów nie znalazłem - oznajmiłem przy dźwiękach trzaskającego drewna.

- Jutro będziemy mieć więcej szczęścia - nie pozwolił zburzyć swego optymizmu Echiron.

Miałem nadzieję, że ma rację.

- Dlaczego właściwie jesteś tutaj? - spytał Kevin.

Pytanie z ust właśnie tego milczącego żołnierza mnie zaskoczyło.

- Czy udział w tysiącu pięciuset złotych nie jest wystarczającym powodem? - odpowiedziałem pytaniem.

- Twój miecz ma wartość prawie nie do obliczenia, ponadto nie wyglądasz na kogoś, kto jest spragniony pieniędzy. A poza tym mógłbyś zarobić je łatwiej niż pod-

czas wycieczki na przeklętą wyspę.

Poruszał swoim metalowym kubkiem, jakby coś w nim mieszał, po chwili zaczął pić.

- To prawda. Byłem ciekaw, co tu można zobaczyć, i zaplanowałem, że tutaj zajrzę - przyznałem.

Wszyscy oprócz Echirona obrzucili mnie lekko zdziwionymi spojrzeniami.

- Wyspa nie cieszy się dobrą opinią, wielu ludzi już tu umarło - wymamrotał ci-cho starszy mężczyzna.

- Idę spać - powiedział powoli Kevin. - Pilnować zacznę dopiero jutro.

Zawinął się w koce i natychmiast usnął.

Rozdzieliłem warty, choć wiedziałem, że zbytnio się nie wyśpię, a każde szurnięcie będzie mnie budzić. Pierwszą wartę trzymał Echiron, po nim jeden po drugim bliźniacy, a całkiem na końcu, już za dnia, lizusowski pomocnik Ben.

Zanim położyłem się spać, poszedłem się wysikać i po drodze powąchałem kubek Kevina. Nie była to sama herbata, wyczułem również coś innego. Nie potrafiłem jednak zidentyfikować żadnej z przypraw.

Naprawdę usnąłem dopiero, kiedy zaczynały śpiewać pierwsze ptaki.

Ktoś tupnął, przebiegł koło mojej głowy trzasnęła gałąź I znów nastała cisza.

Otworzyłem oczy.

- Coś się dzieje?

Cisza.

- Straż, coś się dzieje? - warknąłem o wiele bardziej wściekły.

Znów nikt nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Wstałem z mieczem w ręce, Kevin kulił się za powalonym drzewem i przyglądał

lasowi za nami.

- Chłopca na posyłki Echirona tu nie ma - powiedział spokojnie.

Kilka kamieni odbijało się ciemną barwą na jednolitej powierzchni kamienistej plaży, na trawiastym pasie przed granicą lasu ktoś w biegu zrobił dziurę w darni i złamał dolne gałęzie wpółuschniętej topoli.

- Alarm! Wstawać! - Obudziłem śpiących i z mieczem w jednej, a nożem w drugiej ręce ostrożnie szukałem śladów. Nie musiałem szukać daleko. Ben, poranna warta, leżał na ziemi z kawałkiem gałęzi wbitym w oko. Nawet po szczegółowych oględzinach żadnych innych śladów w okolicy nie znalazłem.

- Napastnik mógł je zatrzeć - powiedział cicho Kevin.

Popatrzyłem na niego z powątpiewaniem. Z pewnością istniało paru ludzi, którzy w tropieniu śladów byli lepsi ode mnie, ale również zatarte ślady da się odnaleźć.

Zbyt dużo nie da się z nich wyczytać, lecz wiadomo, że tam są. Ponadto nieznajomy nie miał na to czasu. Ostrożnie zacząłem wyciągać drewniany patyk z oka Bena. Nie był zaostrzony i wbił się tak głęboko, że jego koniec zatrzymał się na wewnętrznej, tylnej części czaszki. Kevin rozejrzał się i pokazał świeżo złamaną suchą gałąź jednego z drzew. Wcześniej sterczała luźno w powietrzu mniej więcej na wysokości twarzy przeciętnego wzrostu mężczyzny.

- Złamał ją, zawołał Bena, on tutaj przybiegł, a później wsadził mu ją do oka - powiedziałem z powątpiewaniem.

- Albo od razu go zmusił, żeby sam na nią wpadł - przedstawił inny wariant Kevin.

Jego hipoteza była jeszcze straszniejsza i bardziej nieprawdopodobna niż moja.

Śniadanie zjedliśmy szybko i w ciszy, tylko Daniel ciągle się uśmiechał i ślinił.

- On się zawsze bał, a ja mu powiedziałem, że pewnego razu zatrwoży się na śmierć - uszczęśliwił nas swoją mądrością.

- Idziemy. - Podniosłem się od ogniska. - Tyralierą, będziemy szukać śladów.

Nie minęło nawet pięć minut, kiedy zawołał nas Jug. Na ziemi między łopiami leżał brudny kawałek materiału.

Henrik zbladł.

- To należało do Valerii, to znaczy panny Dejevu - poprawił się. - Miała taką suknię.

- Dobrze, że tu jesteśmy - skostatował Jungwir.

Nie mogliśmy się dalej wahać. Początkowo starałem się znaleźć w puszczy jakieś inne znaki obecności ludzi, którzy przeszli tędy przed nami, ale było to zbyt trudne. Stosunkowo łatwy do przejścia las wysokich buków i klonów zamieniał się w chaszczkę dzikiej tarniny, krzewów malin i dzikiej róży. Prawdopodobnie drogę, którą przebyli oni, bardzo szybko zgubiliśmy, lecz jeśli chcieli złożyć dziewczynę w ofierze wulkanowi, musieli iść w stronę wulkanu.

Zatrzymaliśmy się dopiero o zmroku i rozbiliśmy obóz. Niechętnie pozwoliłem rozpaść małe ognisko. Sam zostałem w ciemności, lecz miałem obawy, że mężczyźni nie dadzą sobie rady w ciemnościach nocy

- Widzieliście już coś podobnego? - przerwał przygnębiającą ciszę Jungwir.

Znalazł wielką modliszkę i szturchnął ją cienką gałązką. Drapieżnik zaatakował i jednym zaciśnięciem żuwaczek przegryzł drewno.

- Ale ona ma siłę! - westchnął w podziwie jego brat.

Bóg jeden wie, dlaczego przypomniałem sobie o dwumetrowych psach. Henrik wyglądał na zaniepokojonego, on również o nich wiedział.

- A dlaczego wy dwaj tu jesteście? - spytałem braci.

- Z powodu pieniędzy, po cóżby innego - odpowiedział Jug. - Mamy wspólną żonę. Smutno jej, że my dwaj ciągle jesteśmy na morzu, chce koleżankę. Tylko że jeśli będziemy mieć drugą, albo i trzecią żonę, urodzi się więcej dzieci, zatem, musimy mieć większy dom. Z rybołówstwa ciężko coś zaoszczędzić - tłumaczył.

- To jasne – przytaknąłem, zanim Ramez albo Henrik zdążyli palnąć coś głupiego. Wiele razy spotykałem już ludzi, którzy żyją zgodnie z innymi regułami, niż większość narodów na Kontynencie.

- Każdy z nas jest tu z powodu pieniędzy - mruknął Eloen. Jak na człowieka jego wzrostu, i postury miał zadziwiająco głęboki głos.

- Też chcesz się żenić? - roześmiał się Ramez.

- Nie, potrzebuję pieniędzy na leki - zaprotestował prawie z obrazą. - Cierpię na rzadką chorobę...

Przestałem słuchać jego trajkotania. Własne choroby były jego konikiem, tacy ludzie też istnieją.

Echiron nachylił się do ognia, przyłożył do płomieni cienką rurkę i kilka razy z niej pociągnął. Dym z palącego się drewna zmieszał się z zapachem tytoniu. Palenie było zwyczajem bardziej powszechnym na południu i typowym raczej dla wyższych warstw. Tutaj w większości tytoń żuto. Zobaczyłem, jak chowa metalowe pudełeczko z cygarami z powrotem do kieszeni. On jeden nie udawał nawet, że jest tu z powodu pieniędzy.

- A ty, Ramez? - Kevin zwrócił się do olbrzyma, znów okrężnym ruchem mieszając herbatę w swoim kubku.

- Udział, nie inaczej - zaśmiał się Ramez.

Miałem poczucie, że jego niezwykle imię już gdzieś słyszałem. Kiedyś był to z pewnością znany zapaśnik.

- Którą będę miał wartę? - spytał Kevin.

- Pierwszą - oznajmiłem mu.

Skinał głową, tylko powąchał herbatę i dalej kołysał ją w ręku. Byłem pewien, że dodaje do niej jakiegoś narkotyku, lecz nie miałem pojęcia, jakiego i po co.

- Miłego wieczoru! - rzucił, rozglądając się po ciemnym już lesie wokół nas.

Początkowo myślałem, że robi sobie żarty, ponieważ pozostali wyraźnie zmagali się z własnym strachem, ale on był poważny.

- Będę stróżował zaraz po tobie. Później Ramez i Henrik - wyznaczyłem kolejność.

Kevin obudził mnie jakoś po północy, w ręce wciąż kołysał swój metalowy kubek.

- Czego do tego dodajesz? - spytałem wprost.

- Przyglądałeś mi się wczoraj - powiedział spokojnie. - Zauważyłem, że coś ci się w mojej herbacie nie podoba i odstawiłem kubek dokładnie między dwa sęki - wyszczerzył się. - Nie mogłeś ich widzieć w ciemności.

- Tak - przyznałem.

- Jestem chory. Mam w głowie coś, co rośnie i zżera mnie od środka. W ciągu dnia da się wytrzymać, ale wieczorem męczę się z bólu i mam halucynacje. Ten narkotyk został wykonany specjalnie dla mnie, pomaga mi usnąć.

- Więc chcesz jeszcze použíwać życia. Zapach lasu, szum fal... - rzuciłem.

- I świerzbienie w koniuszkach palców, kiedy zaczyna się ostra gra, uczucie niebezpieczeństwa, zmysły wyostrzone do granic możliwości... - kontynuował.



Doskonale go rozumiałem.

- Dobranoc - pożegnałem się.

Napił się swego eliksiru i po chwili już spał.

Las szumiał, gwiazd nie było widać przez korony drzew, z ogniska została tylko rdzawa kupka powoli ciemniejącego popiołu. Ostrożnie, żeby nie złamać najmniejszej gałązki, zbliżałem się do Echirona. Zainteresowało mnie pudełeczko, w którym trzymał cygara. Takich rzeczy się pilnuje, po latach stają się częścią osobowości i można z nich coś wywnioskować. Właśnie dlatego ja nic podobnego nie miałem. A właściwie tak - swoje noże.

Ostrożnie, kawałek po kawałku wsuwałem rękę pod koc, wsłuchując się jednocześnie w rytm oddechu Ucburga. Był regularny i śmierdział od popsutych zębów.

Nawet gdyby przypadkiem się obudził, nie zobaczyłby w ciemności, kto obok niego stoi. Wreszcie miałem pudełeczko. Metal chłodził palce. Wyciągnąłem je. Przez chwilę nie mogłem się zdecydować, czy nie rozdmuchać ognia, ale później na gładkiej powierzchni wyczułem wyryty monogram. Nie były to litery EU, jak się spodziewałem, lecz RK. Właściwie nawet mnie to nie zdziwiło. Ramul Keel, były dowódca gwardii miejskiej i obecny na poły szalony Echiron Ucburg, to jedna i ta sama osoba. Nawet po dwudziestu latach pozostał opanowany żądzą dopadnięcia słonecznych zabijaków. Odłożyłem cygarnicę na miejsce i usiadłem. Rozmyślałem, czy to coś oznacza dla naszej wyprawy. Kiedy noc miała się już ku końcowi, obudziłem Rameza i sam położyłem się spać. W ciemności czułem się o wiele pewniej niż przy ognisku.

Noc przebiegała bez problemów, a mnie ulżyło. Prawie zacząłem się obawiać, że wyspa jest naprawdę zaczarowana.

Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, że charakter lasu się zmienił. Przybywało

sosen, topole utrzymywały się tylko wzdłuż potoków, a na skałach pojawiały się brzozy. Wczoraj w ciężkim terenie przeszliśmy dobrych dziesięć kilometrów. Odstawiłem kubek, a placek, który właśnie połykałem, stanął mi w gardle. Dziesięć kilometrów? Rozłożyłem mapę.

- Popatrzcie - zachęciłem pozostałych. - Na mapie wyspa ma długość czterech, najwyżej pięciu kilometrów.

Wczoraj przeszliśmy dziesięć. A kiedy byliśmy na statku w odległości mniej więcej dziesięciu kilometrów od brzegów, wyspa zajmowała jedną trzecią horyzontu. To oznacza, że ma długość co najmniej trzydziestu pięciu kilometrów, a prawdopodobnie jeszcze więcej! I to jest logiczne, ponieważ chroni krahuński port przed falami. Mała wysepka pośrodku ujścia wielkiej zatoki nigdy nie mogłaby tego zrobić! Czy ktoś z miejscowych może mi wytłumaczyć, jak mogło dojść do takiej pomyłki? Wszyscy tylko pokręcili głową.

- Źle się wzdłuż niej nawiguje, statki zazwyczaj trzymają się od wyspy z dala - powiedział w końcu Henrik.

- Dla nas to oznacza, że mamy dalej do wulkanu - podsumował Kevin.

- Tam ktoś jest! - krzyknął nagle Eloen. - Mężczyzna w kapturze, z kijem w ręce! - Głos mu się załamał.

Wszyscy odwróciliśmy się w kierunku, który pokazywał, ja z Kevinem schowaliśmy się przy drzewie, żeby nie być łatwym celem. Nikogo nie widziałem.

- Jest tam - syknął Jug do Jungwira. - Dogonimy go.

Na podstawie ich ruchów wywnioskowałem, gdzie widzą nieprzyjaciela i starałem się mu zamknąć drogę z przodu. Kevin poruszał się równolegle ze mną. W końcu wszyscy spotkaliśmy się przy świerku, którego pień około pół metra nad ziemią roz-

dzielał się na dwie części.

- Widziałem go!

- Ja też! - Bracia upierali się przy swoim.

Przeszukałem okolicę na kolanach, lecz nie znalazłem ani jednego śladu, nawet w powietrzu nie unosił się żaden podejrzany zapach.

Wróciliśmy do ogniska. Mężczyźni wyczekująco patrzyli na siebie, Eloen wyglądał na załamanego. Nie sądziłem, że zdołam im wyperswadować obecność nieznanego. Musiało to być złudzenie optyczne, które oszukało ich zmysły. Tam, gdzie nie ma śladów, po prostu nic być nie może.

- Miejcie broń w pogotowiu - poleciłem im. - Stali na tym świecie nie oprze się nic, ale to zupełnie nic.

Wierzyłem stali. Do tej pory nigdy mnie nie zawiodła.

Wyruszyliśmy w dalszą drogę, już nie tyralierą, lecz jeden za drugim. Po kilku minutach marszu pod drzewem, w dobrze widocznym miejscu, zobaczyłem kolejny strzęp znanego materiału. Właściwie była to niemal cała pobrudzona sukienka.

- Teraz musi już być prawie naga - ocenił Ramez.

Henrik zacisnął usta i wyglądał posepnie.

- Chyba idą tą samą drogą co my - powiedziałem.

- Chyba - powtórzył Kevin, patrząc jednocześnie na mnie.

Zastanawiał się nad tym samym, co ja. Było to możliwe, choć wielce nieprawdopodobne. Na wyspie, jak dotąd, oprócz paru wiewiórek i kilkunastu gryzoni, nie widzieliśmy żadnych większych zwierząt. Nie licząc przerośniętych os, modliszek i innych drapieżnych owadów. Dlatego nie zwracaliśmy uwagi na żadne wydeptane zwierzęce szlaki i szliśmy tak, jak nas oczy prowadziły. Ci przed nami musieli postę-

pować podobnie.

- Idziemy. - Wzruszyłem ramionami.

W gęstwinach niewygodnie się szło z mieczem w ręku, dlatego zamieniłem go na nóż. Ramez ze swoimi nożami myśliwskimi był w swoim żywiole i wydawało mi się, że prawie cieszy się z każdego krzewu, który stanie mu na drodze. Na przemian przedzieraliśmy się przez dżungłę i wygodnie przechodziliśmy pod wiekowymi drzewami sterczącymi w niebo jak prawdziwe wieże. Jak do tej pory, oprócz dwóch strzępów sukienki, nie widzieliśmy ani śladu ludzkiej obecności.

- Przerwa! - oznajmiłem krótko po południu.

- Musimy się spieszyć! Będą chcieli złożyć ją w ofierze podczas zaćmienia słońca - Henrik zrobił niezadowoloną minę.

- Zdamy, mamy jeszcze trzy dni - uspokajał go Kevin.

- Nieee! - Spokój zakłócił rozpaczliwy krzyk Eloena.

Natychmiast znaleźliśmy się za pagórkami, skąd dochodził krzyk. Leżał na ziemi ze ściągniętymi do połowy spodniami. Pewnie poszedł za potrzebą. Całe ciało miał pokryte czarnymi, żółtymi i niebieskimi wrzodami, na szyi wyskoczyły mu ciemne plamy.

- Nie zbliżajcie się do niego! - syknąłem. - Wygląda, jakby umierał na atak wszystkich chorób zakaźnych naraz!

Zatrzymałem się dwa kroki od ciała. Nawet ze swego miejsca widziałem wyraźny odcisk pary znoszonych butów, a na kępcie leśnego mchu głęboki ślad, jaki mógł zrobić kij, na którym ktoś się opierał.

Wprowadziłem swoje zwoje mózgowy na najwyższe obroty, ale nie przychodziło mi do głowy żadne rozumne wytłumaczenie.

- Idziemy dalej - powiedziałem tylko.

Odwrociłem się i mój wzrok padł na wyraźne odciski olbrzymich psich łap. Pies musiał stać między dwoma niskimi świerkami, a później się wycofał. Pod względem wielkości ślady przypominały niedźwiedzie łapy.

Oprócz mnie na szczęście nikt inny ich nie zauważył.

Podzieliliśmy teren wokół nas, każdy uważał na jeden wycinek. Poruszaliśmy się przyklejeni jeden drugiemu do pleców i przy każdym szeleście się odwracaliśmy.

Po dwóch godzinach miałem poczucie, że nawet jeśli nikt na nas nie napadnie, z nerwów pozabijamy się sami.

- Rozbijemy obóz tutaj. - Wybrałem pagórek porośnięty małymi sosenkami. -

Będziemy widzieć wszystko aż do tych wysokich drzew. Nazbieramy na noc mnóstwo drewna, i wszystko dokładnie oświetlimy. Przygotujemy zapas pochodni.

Moją decyzję wszyscy przyjęli z ulgą.

Prawie do samego wieczora, gromadziliśmy opał. Ciągnąłem na sznurze suche pnie bukowe, które mogły zapewnić wiele ciepła przez dłuższy czas, kiedy na zboczu nade mną rozległ się trzask łamanych drzew, skrzypienie korzeni i jęk ziemi. Ruszyłem w stronę, skąd dochodziły dźwięki. Bez względu na to, co to było, chciałem to zobaczyć. Doszedłem do przesieki, ale w okolicy nic nie było. Wszystkie przewrócone drzewa skierowane były w jedną stronę, środkowe wbite w ziemię, te z boków odrzucone aż do pierwszych drzew nienaruszonego lasu. Pnie zaczynały właśnie puszczać żywicę. Obszedłem wykrot w każdą stronę: dwadzieścia metrów szerokości, pół kilometra długości. Nic, co tłumaczyłoby, jak powstał.

Z ciarkami na plecach wróciłem do obozu, wszyscy na szczęście byli cali i żywi.

Zastanawiałem się, czy mam powiedzieć o swoim odkryciu, czy nie.

- Atak! - wrzasnął Ramez.

Właśnie wracał z drewnem na ognisko i nagle stanął twarzą w twarz z mężczyzną o dobre trzy głowy wyższym niż on.

Olbrzym wyciągnął do niego lewą rękę, Ramez zrzucił na niego z ramion pień drzewa, jakby była to gigantyczna kopia. Drzewo uderzyło w czaszkę, gigant się zachwiał. Opędził się od Rameza pięścią, chybił i zamiast w niego, trafił w klon rosnący obok. Pień zatrzeszczał i złamał się. Ruszyłem z wyciągniętym mieczem, Kevin pięć metrów przede mną. Olbrzym zaatakował prawym sierpowym, lecz Ramez wśliznął się pod jego masywne ramię i uderzył tasakiem w brzuch. Stał wyraźnie się odbiła. Napastnik wykonał cios, jakby walił młotem z góry, potem od razu z dołu, trzasnęły kości. Kevin był już w zasięgu, sieknął poziomo, szybko zmienił kierunek, robiąc obrót, znalazł się za plecami olbrzyma, i sieknął po raz drugi. Gigant zaczął wyraźnie krwawić, ale natychmiast odwrócił się w stronę nowego nieprzyjaciela. Ramez skoczył i uwiesił mu się od tyłu na szyi. Wreszcie i ja dobiegłem. Uderzyłem, stał rozcięta biceps, ale nawet nie spowolniła olbrzyma. Kevin uciekł przed świszczącą pięścią, lecz się potknął, stracił równowagę i upadł na ziemię. Rozpaczliwie dźgnąłem, miecz utknął w ramieniu i nawet nie przeszedł na wylot.

Ramez wiszący na olbrzymie wrzasnął, na skroniach nabrzmiały mu żyły, wygiął się w tył i jednym ruchem złamał gigantowi kark.

Olbrzym upadł w przód, a Ramez wciąż na nim leżał. Staraliśmy się mu pomóc, ale tylko kręcił głową. Szybko bladł, usta mu siniąły.

- Musiał mi coś złamać, to był straszny cios - chrypiał. - Chyba mam wewnętrzny krwotok. Pojawił się tu nagle, ale nie bałem się go. Wiedziałem... wiedziałem, że muszę go zabić gołymi rękami. I udało mi się to! - westchnął ze szczęścia. I umarł.

Olbrzym był prawdziwy, z krwi i kości, monstrum, które nie powinno istnieć.

Nie byłem pewien, czy go znajdziemy, kiedy wrócimy w to miejsce później. Zaczynało mi coś świtać.

Zebraliśmy się na pagórku i rozpaliliśmy ogień. Powoli się zmierzchało i wszyscy mieliśmy nadzieję, że światło i żar utrzymają straszliwych nieprzyjaciół w dostatecznej odległości.

- Orlando bał się psów - zacząłem wyliczać. - Wnioskując z tego, co mi powiedział, jeszcze zanim tu przybył. Okaleczyły go psy. Czego się bał twój sługa - zwróciłem się do Echirona - już się nie dowiemy, w każdym razie wystraszyło go to tak bardzo, że pobiegł w las i nadział się na złamaną gałąź. Eloen był hipochondrykiem, dopadł go starzec, którego pewnie sobie wyobrażał jako uosobienie wszystkich chorób na świecie. Ramez... - zawahałem się.

- Ramez był gladiatorem, dobrym gladiatorem - uzupełnił Kevin. - Kiedyś na arenie spotkał się z lepszym zapaśnikiem. Nazywał się Bysty Bron. Ramez był uzbrojony, ale Brou go stłukł gołymi pięściami. Od tego czasu nie wszedł na arenę, stracił serce do walki.

- I napadł na niego olbrzym, którego mógł zabić tylko gołymi rękami. Miecze pozostałych nie działały. A im bardziej wchodzimy w głąb lądu, tym zjawy, tworzone przez strach, są coraz bardziej trwałe i materialne. Te pierwsze były tylko przywidzeniami, później zaczęły zostawiać ślady, a teraz zobaczyliśmy nawet ciało. Przypuszczam, że po okolicy wciąż jeszcze krążą psy, które dwadzieścia lat temu wywołał strach Orlanda - kontynuowałem.

Najbardziej mnie przerażało, że nikt moim słowom nie zaprzeczył. Znaleźliśmy się w miejscu, gdzie reguły gry wyznaczały czary, nie siła naszych ramion i ostrza mie-

czy.

- Wielkie osy, pająki i modliszki mogą być zmaterializowanym odbiciem myśli ich ofiar. I dlatego pytam, panowie, czego się boicie wy? Musimy wiedzieć, na co się przygotować!

- Ja się nie boję niczego - odpowiedział spokojnie Kevin.

Wierzyłem mu.

- Ja też nie - obwieścił dostojnie Echiron, a przygłupi Daniel tylko gorliwie kiwał głową.

Ucbergowi za bardzo nie wierzyłem, choć podczas całej podróży ani razu nie stracił głowy.

- To, czego ja się boję, nie może wam zagrozić - powiedział niepytany Henrik.

Jemu również wierzyłem, ponieważ zaczynałem go poznawać.

Jug z Jungwirem popatrzyli na siebie z wesołymi minami.

- My się boimy anakond bagiennych, ale one tutaj nie żyją!

Przypomniałem sobie wykrot w lesie i mnie zmroziło. Nie było ważne, że istnienie takiego stwora było sprzeczne z prawami przyrody. One tutaj nie obowiązywały.

- Panowie, weźcie swoje rzeczy i wróćcie jak najszybciej na statek. Na wybrzeżu oddziaływanie tej tajemniczej mocy nie jest takie silne. Wasz udział w nagrodzie nie będzie zmniejszony, to wam gwarantuję - powiedziałem.

- Od razu? - spytał Jug.

- Idealnie by było, gdybyście przez całą drogę biegli. Im szybciej będziecie poza jej zasięgiem, tym lepiej.

Dziwne, ale nie protestowali i natychmiast wyruszyli w drogę. Dopiero później



poinformowałem pozostałych o przesiece, która z całą pewnością była śladem monstrualnej anakondy.

Co dziwne, spać poszliśmy w najlepszym nastroju od początku naszego pobytu na wyspie. Tylko jedno mnie przerażało: nikt nie spytał, czego właściwie boję się ja. Może myśleli, że niczego, lecz to nie była prawda.

Rano wiatr przywiał mgłę. Nie miała zapachu siarki ani innych związków, czego spodziewałem się po wyziewach z wulkanu. Ogień jeszcze się palił, wystarczyło dołożyć. Miałem nadzieję, że Jug z Jungwirem bez problemu dostali się na statek. Poszedłem się wysikać, a kiedy wróciłem, kawa w kociołku już bulgotała. Kevin jeszcze spał. Nalałem sobie, Daniel też już łąpczywie pił. Jak zawsze się oparzył. Może o tym nie pamiętał.

- Dobra kawa - śmiał się.

Echiron odstawił kubek i odszedł na bok, żeby ulżyć sobie po nocy.

- Nie pijcie tego! - wrzasnął nagle Henrik, który swoją kawę wypluł. Popatrzyłem tam, gdzie miał wbity wzrok. Na brzegu kociołka przyczepiło się jedno białe ziarnko.

- Zwymiotuj, szybko! - powiedziałem do Daniela.

Popatrzył na mnie niedomyślnie, dobroduszny wyraz twarzy zniknął, chłopak zgiął się wpół i zaczął ciężko oddychać. Umarł kilka minut później.

- Jak ten gnojek wróci... - Twarz Henrika była ucieleśnieniem zemsty

- Ueberg oczywiście już nie wróci. Pewnie obserwował nas z daleka i teraz idzie dalej do swego pierwotnego celu, do wulkanu. Ty mu nie wierzyłeś od chwili, kiedy spotkaliśmy się u Dejevu. Dlaczego? - spytałem, choć przeczuwałem, jaka będzie odpowiedź.

- Ja do tej pory nie wiedziałem, że Valeria, to znaczy panna Dejevu, została porwana, ponieważ jest dziewicą. Ona... - poczerwieniał.

- Ona już nie jest dziewicą. A ty jesteś jedynym, który oprócz niej to wie - dokończyłem za niego.

- Kevin, wstawaj, musimy złapać Ueberga i wyciągnąć z niego, gdzie ukrył tę dziewczynę. - Potrząsnąłem żołnierzem.

Był zimny jak lód. Musiał umrzeć już wczoraj, dopadła go jego choroba.

Nie było czasu na grzebanie martwych ani na niepotrzebną stratę czasu. Zaćmienie słońca się zbliżało, a nie wydawało mi się, żeby Echiron jakoś szczególnie cenił życie Valerii Dejevu. Co najwyżej swoje własne.

Szliśmy szybko, mgła gęstniała. Nie pachniała, nie śmierdziała. Nie wierzyłem już, że pochodzi z wulkanu, musiała mieć coś wspólnego z magią, jak prawie wszystko na tej wyspie. Nie bałem się, że zgubimy drogę, ponieważ wciąż szliśmy stromo pod górę. Ziemia stawała się bardziej kamienista, ubywało drzew i dużych krzewów. Mimo że na takiej wysokości spodziewałem się wiatru, panowała bezwietrzna pogoda.

- Jesteśmy już prawie na górze! - odwróciłem się do Henrika, kiedy zbocze złągodniało.

Nie było go, wchodząc, rozdzieliliśmy się. Albo było to czyimś zamiarem. Zakląłem i szedłem dalej. Góra zmieniła się nagle w zupełną równinę, tylko kawałek dalej w mglistym oparze ujrzałem jezioro. Zanim zacząłem bardziej szczegółowo wszystko sprawdzać, z mojej lewej strony pojawiła się sylwetka mężczyzny. Szedł szybko i energicznie, poruszał się jak ktoś, kto był stworzony do chodzenia. Wiedziałem, że ma na przedramionach futerały z nożami i że umie szybko ich użyć. Również jakby był do tego stworzony. Nie potrafiłbym mu się przeciwstawić. Wiedziałem to i dlatego swoją

własną broń zostawiłem, w futerałach.

- Witaj - przywitał się, kiedy definitywnie rozpoznałem swoją własną twarz.

Mój strach mnie odnalazł.

Staliśmy naprzeciw siebie, ręce zwiesiliśmy luźno wzdłuż ciała, jednocześnie w zasięgu wielu broni, których mogliśmy błyskawicznie użyć. Był to mężczyzna, którego tak jak inni się bałem.

- Wiesz, co to za jezioro? - spytałem.

- Tak - odpowiedział.

Mój głos brzmiał obco, niemelodyjnie, zgrzytliwie.

- To skoncentrowane źródło, masa jest tak przesycona brutalną siłą, że traci swój naturalny stan skupienia - tłumaczył.

- Jak to się dzieje, że mogę rozmawiać sam ze sobą? Ty przecież jesteś tylko moim odbiciem, nie możesz wiedzieć nic, czego nie wiem ja - powiedziałem i ruszyłem wzdłuż brzegu.

Szedł za mną.

- Może nie mam tylu oporów, co ty. To wszystko masz w swojej podświadomości, tylko nie chcesz tego do siebie dopuścić - stwierdził.

- Możliwe - burknąłem.. - A widma strachu są po to, żeby chronić źródło przed przypadkowymi gośćmi. I udaje się to już od Wielkiej Wojny.

- Albo jeszcze dłużej - uzupełnił.

Przed nami ujrzałem niewyraźny zarys zgarbionego Ueberga.

- Ja teraz muszę coś załatwić i nie pozwolę w tym przeszkodzić nawet sobie - powiedziałem groźnie.

Znów obaj mieliśmy ręce blisko broni. Nie dałbym rady. Odwróciłem się do

niego plecami i skierowałem się w stronę Echirona.

Pochylał się nad jeziorem i maczał w nim kamyk zawieszony na zwykłym rzemieniu.

- Gdzie jest Valeria Dejevu? - zwróciłem się do Ucburga, kiedy stałem tuż przy nim.

Spojrzał na mnie i zrobił minę, jakby cieszył się z tego, że mnie widzi.

- Udało mi się! To jest kryształ z czarem, tylko że nie było w nim już żadnej mocy. A ja ją teraz odnowię! - wyrzucał z siebie. - Będę nieśmiertelny i zdobędę umiejętność czarowania! Patrz!

Wziął kryształ w dłoń. Zmarszczki zaczęły mu się wygładzać, skóra napinać, kręgosłup pokręcony ze starości wyraźnie się wyprostował. Puścił kryształ i szczęśliwy jak dziecko znów zanurzył go w źródle.

- A jak zdobędziesz umiejętność panowania nad mocą? - spytałem.

- Tego jeszcze nie wiem. W książce nic o tym nie piszą, ale ja się dowiem. Znalazłem ją, kiedy dwadzieścia lat temu szukałem mordercy tych kobiet. Ślady wiodły do starej wieży, a ja znalazłem tam ten leczniczo-odmładzający kamień i dziennik. Było w nim napisane, jak i gdzie można znów kamień naładować magią. Na wyspę nikt nigdy nie chciał płynąć, wszyscy się bali. Udawałem, że mordercy ukrywają się właśnie tutaj i zorganizowałem wyprawę. Tylko że rzuciły się na nas bestie, potwory z koszmarnych snów i wszystkich pozabijały. Ukryłem się na wybrzeżu, później zaniósłem na statek okaleczonego kapitana. Bez niego nie mógłbym wrócić. Chociaż bredził, mówił mi, jak mam kierować statkiem. Potem pozbawili mnie posady, a ja zmieniłem imię, żebym mógł szukać dalej. Wieżę kupiłem, a podczas przebudowy znalazłem tę bransoletkę! Pokazał mi skórzany nadgarstnik wysadzony drobnymi czerwonymi kryształ-

kami. Były tak małe, że nie potrafiłem rozpoznać, jakie to kamienie, chyba rubiny.

Kryształ zanurzony w źródle zaczął świecić, blask był nie do zniesienia dla oczu.

- Pisali tam, że chroni tego, kto go nosi, przed widmami strachu. Całych pięć lat czekałem na możliwość dostania się na wyspę. Miała jeszcze gorszą opinię niż kiedyś, a ja nie miałem wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić łódź - kontynuował swoje przechwałki i obserwował oślepiająco świecący punkt tuż pod powierzchnią wody

- Lecz później uśmiechnęło się do mnie szczęście. Ktoś zaczął zabijać kobiety, tak jak wtedy! I znów zbliżało się zaćmienie słońca! Wykorzystałem to, rozpuściłem pogłoskę o sekcje słonecznych zabijaków i...

- ...porwał pan córkę Dejevu i udawał, że jest właśnie tu na wyspie. Powinno mi to przyjść do głowy dużo wcześniej. Te pozostawione ślady były zbyt rzucające się w oczy. Gdzie jest?

- W jaskini w Zatoce Gardłowej. Podczas wysokiego przyływu prawie całą za-  
leje woda. Tym razem przyływ będzie szczególnie silny z powodu zaćmienia słońca. Utopi się - odpowiedział spokojnie, jakby mówił o pieczeniu chleba. - Ale już dość się dowiedziałeś! - krzyknął, wyciągnął kryształ ze źródła i podniósł go przed siebie. -  
Zgiń! - wyrecytował.

Był jednym z tych tępaków, którzy myślą, że magia spełni wszystkie ich życzenia. Dowiedziałem się co nieco o skomplikowanym sposobie jej wykorzystywania. Jeśli kryształ przeznaczony był do leczenia, nie dało się z nim zrobić nic innego. Wyciągnąłem nóż, przeciąłem rzemyk, kryształ zapakowałem do woreczka i wsunąłem za pasek.

- Nie wolno ci! - krzyczał na mnie, lecz na nic innego się nie odważył.

Jego poczytalność zburzyła się niczym domek z kart. Kolejnym cięciem zdjąłem

mu jego ochronną bransoletę.

- Pamiętaj o wszystkich upiorach, które przebywają wokół - przypomniałem mu, odwróciłem się i zbiegłem na dół.

Henrika znalazłem kawałek niżej, na granicy, gdzie mgła zaczynała gęstnieć. W pośpiechu wszystko mu opowiedziałem.

- Nie jesteśmy w stanie zdążyć, wysoki przypyływ będzie jutro rano. - Zbladł.

- Ale możemy spróbować. Biegniemy!

Zacisnął zęby, skinął głową i ruszył naprzód.

Na statek dotarliśmy jeszcze przed zmrokiem, poranieni do krwi. Jugowi,

Jungwirowi i Bulsonowi powiedzieliśmy o Valerii w jaskini. Wszyscy zgodnie stwierdzili, że nie ma po co się spieszyć, że w rzeczywistości dziewczyna już jest martwa.

- Wypłyniemy, gdy tylko będziemy w stanie odróżnić ląd od powierzchni wody

- oznajmił Henrik.

- Płacą nam za uratowanie Yalerii Dejevu! Jak już wypłyniemy z zatoki, powiesimy na masztach wszystko, co znajdziemy bez względu na wiatr! - dokończył.

W nocy nie spał. Siedział na pokładzie i czekał na świt.

Wyruszyliśmy w momencie, który wyznaczył, na pełne morze dostaliśmy się

prawie bez problemów. Bulson był wyjątkowym sternikiem i z nami przy linach potrafił

zrobić z „Kochanką”, co chciał. Tylko że od stałego lądu dzieliło nas ponad sześć-

dziesiąt kilometrów, tego dystansu w tak krótkim czasie nie zdołałby pokonać żaden

statek na świecie. Niebo było pochmurne, wiał wiatr od morza i nieustannie przybie-

rał na sile. Bulson mimo to nie zmniejszył powierzchni żagli ani trochę, przecinaliśmy

fale niczym głodna orka. Wyciągaliśmy piętnaście, może szesnaście węzłów.

Do przypyłwu została godzina, było pochmurno, co sprawiało, że zrobiło się

ciemno jak o zmierzchu, choć zaćmienie słońca prawdopodobnie jeszcze się nie zaczęło. Wiatr wciąż się nasilał, statek coraz bardziej przechylał się na bok.

- Czego stoicie, ludzie! Balastować! Do lin, każda drobinka będzie dobra! - pokrzykiwał na nas Bulson.

Ster trzymał pewnie, oczy mu błyszczały

Henrik gryzł paznokcie. Wisieliśmy na nawietrznej stronie nad falami i pomagaliśmy statkowi w jego walce z wiatrem.

Z naszą cudowną szybkością przebyliśmy już dobrych trzydzieści pięć kilometrów. „Kochanka” wibrowała jak żywa istota, liny skrzypiały i pomagały masztom w spełnianiu ich zadania. Świat jeszcze bardziej pociemniał, woda przybrała czarny kolor. Valerii Dejevu, przywiązanej gdzieś w jaskini, zostało ostatnich kilkadziesiąt samotnionych minut życia. Zdążyć mógł już tylko ptak. Odwróciłem się i ujrzałem za nami groźnie wznoszącą się falę przyływową wspomaganą przez wiatr. Miała wysokość czterech, pięciu metrów i wciąż rosła.

- Popatrzcie! - Pokazałem potwora za naszymi plecami.

- Dno tutaj bardzo się podnosi! Przyływ i wiatr wpychają wodę do zatoki, porozbija się wiele statków, tak jak przed laty! Musimy dostać się jeszcze bliżej brzegu! - pokrzykiwał Bulson.

Dokonał niemożliwego i nabrał w żagle więcej wiatru, choćby miało nas to przewrócić. Świat poczerniał zupełnie, na horyzoncie, gdzie nie było chmur, pojawiły się gwiazdy. Zaćmienie dochodziło do punktu kulminacyjnego, fala nas dogoniła. Miała już wysokość ponad dziesięciu metrów i bardziej niż falę przyływową przypominała tsunami. Statek pochylił się dziobem w przód, kilka metrów za naszą rufą z ogłuszającym łoskotem złamał się spieniony grzebień. Bulson z brawurą czarodzieja utrzy-

mywał nas w przechyle. Za każdym razem, kiedy się wydawało, że fala nas przewyższy, nabierał wiatr w żagle i jednocześnie zmieniał kierunek, żebyśmy płynęli prosto w dół, a gdy już wydawało się, że zaryjemy dziobem w masę wody przed nami, udawało mu się zwolnić.

Fala nadal rosła i przyspieszała, wystraszone mewy za nami nie nadążały i zostawały gdzieś w tyle, przed nami pojawił się ląd, który przerażająco szybko rósł.

- Musimy przepłynąć przez gardło! - krzyknął Henrik.

Wiatr i woda biczowały nam policzki, wszyscy mieliśmy twarze pełne czerwonych krwiaków.

- Wiem! - Bulson zdołał przekrzyczeć morskie szaleństwo. Fala uniosła się jeszcze wyżej, a „Kochanka” balansowała na jej szczycie niczym namiętna kobieta.

Byliśmy jak szaleńcy, dobrowolnie zmierzający na śmierć w gardzieli, lecz nikt nie powiedział ani słowa protestu!

- Jak wąskie jest gardło? - wrzasnąłem Henrikowi do ucha.

- Około sześciu metrów! - odpowiedział.

Tyle właśnie wynosiła szerokość łodzi.

- Ale podniesie nas wyżej, gdzie skały są dalej od siebie!

Naprawdę pocieszenie! Zmierzaliśmy wprost na skalną ścianę, żadnego przesmyku nie widziałem. Trzymałem się jedną ręką, broń i linę do wspinania się w jaskini ściskałem w drugiej. Fala jeszcze się podniosła; w tym momencie rufa skręciła i wiedziałem, że Bulson stracił panowanie nad statkiem.

- Leć, dziewczyno! Leć! - krzyczał starszy mężczyzna, a my wznosiliśmy się na skrzydłach spienionej lawiny niczym gigantyczny ptak.

Podłoga pod nogami się roztrzaskała, deski śmignęły mi przed twarzą, spadli-



śmy na brzeg.

Chwiejnie wstałem, z pięknej „Kochanki” zostały tylko drewniane resztki.

- Idziemy! - Henrik przekrzyczał wycie wiatru i biegiem skierował się w stronę prawego brzegu zatoki. Tuż nad powierzchnią fał pojawiało się czasem wejście do zalanej jaskini. Woda musiała być teraz wiele metrów wyżej niż normalnie.

- Jug, zobacz co z pozostałymi! - przykazałem trzęsącemu się rybakowi i wyruszyłem za Henrikiem.

Linę przywiązaliśmy do dużego kamienia i rzuciliśmy się w fale. Jediną szansę Valerii Dejevu stanowiła kieszeń powietrzna, która mogła wytworzyć się w jamie i nie wpuścić wody do środka. Między dwoma atakami fal, prześliznęliśmy się do jaskini, gdzie było już spokojniej.

W półmroku ciężko nam było się rozeznać. Znalazłem się ponad lustrem wody i głęboko zaczerpnąłem powietrza. Jama była dość duża i morze na szczęście całej jej nie wypełniło. Tylko że żadnej przywiązanej kobiety tu nie było.

- Jest na dole! - krzyknął z rozpaczą Henrik, który wynurzył się obok mnie.

Znów zanurkowaliśmy. Ciemność, poruszająca się w górę i w dół woda, ostre odłamki skał. Valeria leżała trzy metry pod powierzchnią, przywiązana do kołków wbitych w skałę. Fale zerwały z niej sukienkę. Na szczęście Ueberg przywiązał ją tylko linami. Wystarczyły dwa ruchy noża i wyciągnęliśmy dziewczynę w górę. Mięśnie sztywniały mi z zimna, nie mogłem opanować szczykania zębów. Ostatkiem sił położyliśmy ją na płaskim kamieniu.

- Nie oddycha! - łkał Henrik.

- Ja sztuczne oddychanie, ty masaż serca. Wiesz, co to jest?

Skinął tylko głową.

A do tego wszystkiego jest zimna jak lód, przyszło mi do głowy, ale głośno tego nie powiedziałem. Zabraliśmy się do pracy.

Ciało panny Dejevu w półmroku błyszczało, pluskanie fal zagłuszało nasze chrapliwe oddechy.

- Dopóki się nie ocknie, dopóki się nie ocknie - powtarzał Henrik jak zaklęcie.

Czas płynął, a my kontynuowaliśmy bezskuteczne ożywanie. Wdech, wydech, cztery razy ucisnąć klatkę piersiową.

Woda zaczynała opadać. Nie miałem już żadnej nadziei, męczyłem się tylko po to, żeby wyczerpać wszystkie siły i walczyć z losem aż do końca. Henrik się załamał, dopadły go skurcze - mięśnie zeszywniały z zimna odmówiły posłuszeństwa.

Zakręciło mi się w głowie, straciłem równowagę i przewróciłem się na bok. Coś pod paskiem boleśnie wbiło mi się w brzuch. Staralem, się to usunąć i zamiast odłamka skały wymacałem, świecący kamień. Położyłem go Valerii w zagłębienie między piersiami. Henrik tego nie widział, leżał zwinięty w kłębek z zamkniętymi oczami.

Kamień stopniowo przygasał, aż zaczął wyglądać jak zwyczajny kryształ, później zaś nienaturalnie pociemniał, a w końcu rozpadł się w proch.

- Hej! Hej! - Potrząsnąłem Henrikiem. - Ona oddycha! Żyje, uratowaliśmy ją!

Rozplakał się jak mały chłopiec i nie można go było uciszyć. Woda opadała, niedługo potem mogłem wyjść na zewnątrz suchą nogą. Tych dwoje wciąż się tuliło, ogrzewając siebie nawzajem.

\* \* \*

Opierałem się o ścianę, przysłuchiwałem dźwiękom nocy i czekałem. To była moja trzecia samotna noc z rzędu. W pasie i w kieszeniach miałem czterysta dziesięć złotych, swoją działkę za uratowanie Valerii Dejevu powiększoną o premię dla dowód-

cy. Jug z Jungwirem oraz Henrik również nie wyszli na tym źle. Wiliam Bulson swego ostatniego rejsu nie przeżył, ale wierzyłem, że umarł szczęśliwy. Zbudował swoją „Kochankę” do pływania na skrzydłach huraganów i to się spełniło. Wyprzedzała nawet ptaki.

Po trzech dniach przestały mnie boleć wszystkie rany i prawie czułem się lepiej niż przed tą dziwną przygodą. W ciemności przede mną coś się poruszyło, w blasku światła padającego z jednego oświetlonego okna ujrzałem skradającą się postać. Mężczyzna zatrzymał się przy starej szopie, na chwilę oślepiło mnie odbicie światła na ostrzu noża. Wyszedłem z cienia. Zauważył mnie dopiero, kiedy stałem krok od niego. Spróbował zrobić słaby wypad. Złapałem jego rękę w nadgarstku, wykręciłem łokieć, nóż wypadł mu z ręki. Był to zniszczony wieloletnim używaniem nóż rzeźnicki z ostrzem nie szerszym niż kciuk. Ból sprawił, że mężczyzna uległ, ustawiłem go plecami do siebie i przyłożyłem ostrze do gardła.

- Dlaczego je zabijasz? - spytałem.

- Ja muszę, muszę, jestem zmuszony! - wykrztusił. - Są takie brudne!

- A dlaczego nie zabijałeś ich całe dwadzieścia lat? - Zadałem kolejne pytanie i trochę oczekiwałem, że będzie zaprzeczał.

- Puścisz mnie, jak ci to powiem?

- Puszczę - obiecałem.

- Wtedy się ożeniłem, a moja żona... masa obowiązków. Musiałem z nią spać, martwić się o interes, nie miałem potrzeby - jękał się.

Nożem w drugiej ręce, o którym nie miał najmniejszego pojęcia, dźgnąłem go w podbrzusze, przeciągnąłem ranę aż do mostka i puściłem. Położyłem go na ziemi jak worek mięsa, którym już teraz był. Na rękę czułem lepłą krew i wnętrzności.

Mimo że niczego nie słyszałem, rozejrzałem się. Ulicą zbliżał się do mnie mężczyzna, z którym nie dałem sobie rady, w ręce trzymał rzeźnicki nóż z ostrzem, cienkim jak brzytwa od długoletniego używania. Zbliżał się i był przygotowany do ataku. Zawsze był przygotowany do ataku.

Oddychałem głęboko, powietrze było chłodne i czyste. Takie lubię.

- Nie miałem pojęcia, że spotkam cię również tutaj - przywitałem go.

- Byłeś przy samym źródle i to całkiem długi czas. Później wszystko się zmienia

- odpowiedział.

- Przyszedłeś ukarać mnie za tę śmierć? - Pokazałem na stygnące ciało przy swoich nogach.

Skinął głową.

- Ale ty wiesz, że nie sprawia mi to żadnej radości, nie lubię zabijać - powiedziałem.

- Naprawdę? - Pozwolił, żeby pytanie zawisło w powietrzu.

Wzruszyłem ramionami i schowałem nóż do futerału.

- A dlaczego zabiłeś go w taki brzydki sposób? - spytał tym razem on.

- Bariery w podświadomości? - Zaśmiałem się, czując zimno na plecach. -

Chciałem, żeby wiedział, jak to jest umierać w bólach z rozprutym brzuchem - przyznałem. - Żeby wiedział, co czuły

- A co, jeśli i ty będziesz kiedyś po odwrotnej stronie noża?

Patrzyłem mu w oczy, odpłacał mi tym samym. On był mną.

- Przecież wiesz. Wyjdę z kartą, którą przygotował mi los - powiedzieliśmy obaj równocześnie.

- Ostra gra.

Na to nie dało się nic odpowiedzieć. Rozpłynął się w ciemności tak samo cicho,  
jak się z niej wynurzył.

Przebiegłem wzrokiem po świecącym oknie Eriki i w końcu zostawiłem swój  
nóż na ranie. Ona będzie wiedziała. Nadszedł czas, żeby znów udać się gdzieś dalej.

# KONIEC WILKA SAMOTNIKA

Siedziałem wygodnie rozparty na krześle, długie nogi wyciągnąłem daleko przed siebie, lecz goście w lokalu i kelnerzy sprawiali wrażenie, jakby wcale im to nie przeszkadzało. Wyglądało na to, że nie przeszkadza im nawet moje znoszone ubranie, mierz w obdartej pochwie oparty o krawędź stołu, żeby był pod ręką, i kusza po drugiej stronie. Również pod ręką. Doświadczenie uczy człowieka. Lewy but miałem inny niż prawy, a ostrogą niechcący zrobiłem kilka głębokich rys w lśniącej podłodze. Kelner dyskretnie kaszlnął, w odpowiedzi skinąłem tylko głową. Zrobił taką minę, jakby mój gest niewymownie go rozbawił i odszedł przygotować kolejne wino. Piłem sześćdziesięcioletnie cabernet Sauvignon, wyjątkowy zbiór ze wspaniałej winnicy. I barbarzyńsko kazałem go sobie zagrzać z goździkami i cynamonem. Musiałem dostarczyć krwi jak najwięcej ciepła, słońca i życia, ponieważ w kościach wciąż czułem wilgotny chłód Bagien Randskich, a kiedy siedziałem w innej pozycji niż z wyprostowanymi nogami, rana na tylnej stronie uda mocno paliła. Ta rana, tak jak wszystko inne, należała jednak już do przeszłości

Mimo że było stosunkowo chłodno, wybrałem stół w położonym na wzniesieniu ogródku przed restauracją i obserwowałem ruch na ulicy. Grinsk był jednym z kupieckich miast na północy Kontynentu, a swoją niezależność zawdzięczał głównie Pustyni Gutawskiej, posępnemu kawałkowi ziemi ciągnącemu się od wybrzeża do wybrzeża prawie przez cały ląd. Pierścień rozpalonych skał i od tysięcy lat wysuszanej, nieurodzajnej ziemi przynajmniej trochę utrzymywał w ryzach rozrastające się Cesarstwo Crambijskie.

Myśląc o imperium, wróciłem wspomnieniami do bagien i do miasta M, gdzie już po raz kolejny niechcący pokrzyżowałem plany najpotężniejszego człowieka świata

ta. I jak zawsze umarło przy tym zbyt wielu ludzi, głównie tych, którzy zupełnie niczemu nie zawinili. Wypiłem ostatni łyk już tylko lekko ciepłego wina. Nie miało sensu wracać do nieprzyjemnych wspomnień. Do przeszłości.

Po schodkach weszła dama wystrojona w świetnie leżącą suknię, gorset podkreślał szczupłą talię, krój pozwalał dostrzec zaokrąglone biodra i pobudzał fantazję do zgadywania, co znajduje się niżej. Główny kelner pospieszył jej na powitanie, ona tymczasem uważnym spojrzeniem obrzuciła salę. Była profesjonalistką, kurtyzana najwyższej klasy. Poświęciła mi ułamek sekundy więcej niż pozostałym, później się odwróciła. Nie dziwiłem się, moja twarz nigdy nie była najpiękniejsza, a po latach włóczęgi po świecie nie pozostało na niej wiele nieuszkodzonych miejsc. Przez ulicę przeszła blondynka w spodniach i dopasowanej koszuli z dekoltem. Podobny ubiór nie był na północy niczym wyjątkowym, kobiety miały takie same prawa jak mężczyźni - oczywiście, jeśli im na tym zależało. Powiodłem za nią wzrokiem. Kiedy przeszła obok, zauważyłem, jak spodnie opinają jej pośladki, efekt był wart zachwyty. Skierowała się do gospody „Szczęśliwy Marynarz”.

Dostałem kolejny porcelanowy kubek z gorącym i zachęcająco pachnącym napojem. Napiwszy się, błądziłem wzrokiem po ludziach przechadzających się przede mną. Kobiet - niskich, wysokich, szczupłych, pyzaty, ale w większości pięknych - było wśród nich całkiem sporo. Zacząłem wspominać te, które w życiu spotkałem i które w jakiś sposób wywarły na mnie wpływ. Najpierw brałem pod uwagę tylko te, z którymi spałem, lecz później sobie uświadomiłem, że nie jest to właściwe kryterium. Na przykład z dziewczyną, którą dla pieniędzy zgodziłem się sprowadzić do domu, nic mnie nie łączyło. Nazywała się Annemari Dask, była córką hrabiego i nie miała wtedy nawet piętnastu lat. Dopiero kiedy nasze drogi się rozeszły zdałem sobie sprawę, że

niewiele brakowało, żebym się w niej zakochał. Samotne lata w drodze sprawiają, że dzieją się z człowiekiem zadziwiające rzeczy, a wraz z wiekiem nawet największy włóczęga zaczyna czasem myśleć o kawałku ziemi, gdzie mógłby osiąść. Teraz najprawdopodobniej była już mężatką i wychowywała swemu szlacheckiemu mężowi potomków. Ale były również inne kobiety, o których wiedziałem, jak smakowały i wzdychały. Nie potrafiłem wybrać tej najważniejszej, siedziałem więc, piłem i wspominałem.

Blondynka ponownie pojawiła się na ulicy, rozglądając się nieznacznie. Na ramieniu miała plecak, opalona twarz i zmarszczki wokół oczu zdradzały że spędza sporo czasu na świeżym powietrzu. Wmieszała się w potok ludzi i przedzierała w kierunku kolejnej gospody. Kogoś szukała i najwyraźniej była przyzwyczajona do polegania na samej sobie.

Kurtyzana tymczasem usiadła w rogu sali, przy stole na podwyższeniu, skąd miała dobry widok i jednocześnie zapewnioną pewną prywatność. Promieniała wystawną elegancją i brakiem zainteresowania zwyczajnymi ludźmi wokół siebie.

- Nie szuka pan towarzystwa?

Piegowaty, tyczkowaty chłopak opierał się o ogrodzenie oddzielające ogródek od ulicy. Wyglądał, jakby stał tam przypadkiem, jakby o nic mu nie chodziło. Rozumiałem go, właścicielowi restauracji z pewnością by się nie spodobało, że ktoś proponuje jego gościom dziwki.

- Jakiego towarzystwa? - zadałem pytanie.

- Mam trzy siostry, najmłodsza jest o rok młodsza ode mnie, starsza zaś... - wy-

konał dłońmi ruch sugerujący bujne piersi. - Dla pana... - popatrzył na mnie i zawahał się: - Dla pana za siedem srebrnych - rzucił cenę.

Zgadywałem, że trzy srebrne to nadwyżka za mój niezbyt pociągający wygląd.



- Nie jestem zainteresowany, chłopcze - powiedziałem.

Chciał coś dodać, ale kelner już dostrzegł, że coś się dzieje i skierował się w naszą stronę. Młody stręczyciel zniknął, jakby nigdy nie istniał.

Kobiety nie kupowałem już od kilku lat. Zysk nie był wart inwestycji. W efekcie pod pewnym względem żyłem bardziej wstrzemięźliwie niż mnisi, ale się nie skarżyłem.

- Jeszcze jeden dzbanek - przypomniałem się kelnerowi.

Bez słowa skinął głową i znów miałem ulicę pełną ludzi tylko dla siebie. Świat nie jest zły, jeśli nie wymaga się od niego zbyt wiele i ma się dość pieniędzy, żeby można było sobie pozwolić na dobre wino.

Drogą przejechał powóz załadowany wielkimi beczkami, tuż przed nim przecisnęła się znajoma blondynka. Nie mogłem powiedzieć, że jest w niej coś wyjątkowego, że ma piękną twarz, wspaniałe włosy, piersi czy cokolwiek innego. Ogólnie, od końca niesfornych, kręconych włosów aż po kostki nóg w wysokich butach z cholewami, była piękna. Obserwowałem ją do momentu, kiedy zrozumiałem, że zmierza prosto do mnie.

- Znalazłam pana - oznajmiła, gdy zatrzymała się przed ogrodzeniem i nagle jednym skokiem lekko przedostała się na drugą stronę.

Zrobiła to jak ktoś, kto codziennie przeskakuje wysokie ogrodzenia z zaostrozonymi palikami.

- Mam panu coś dać i przekazać wiadomość - kontynuowała, sięgając do skórzanego woreczka przy pasku.

Na twarzy miała przy tym uśmiech człowieka, który właśnie dokończył ciężką pracę.

Nagle się zachmurzyła, zacisnęła wargi w wąską kreskę.

- Co to, do cholery... - Z niezadowoleniem trzymała w ręku pusty woreczek. -

Nie szkodzi. - Potrząsnęła głową.

W dziennym świetle jej włosy miały odcień metalicznego rudawego brązu.

- Najważniejsza jest wiadomość, tu był tylko...

Zamarła, woreczek wypadł jej z rąk, twarz straciła wyraz. W następnej sekundzie przewróciła się na stół, z jej pleców sterczał stalowy bełt wystrzelony z kuszy.

Strzelili do niej z dachu jednego ze stojących naprzeciw domów, zdołałem ujrzyć tylko nikły ruch. Ulica wokół stała się nagle pusta, obserwowałem czerwoną wilgotną plamę pożerającą jasny kolor materiału koszuli. Po chwili krew ściekała już na stół.

- Gwardia miejska zaraz tu będzie, panie! Oni ustalą, co się stało! - Kelner, dławiąc się, starał się mnie uspokoić.

Ja się nie dławiałem, milczałem. Widziałem już śmierć tyle razy i jak zwykle jej definitywność mnie zdziwiła. Był człowiek i już go nie ma. Ona ponadto chciała mi coś powiedzieć. Mogli ją zabić z powodu jakiegoś wydarzenia z przeszłości, lecz mogli ją zabić również z powodu tego, że chciała mi coś powiedzieć. Wahałem się. Opłacało mi się mieszać w cudze sprawy? Wszystko, w co się ostatnimi czasy wpakowałem, ociekało krwią, a śmierć zbierała, bogate żniwo.

Przyszedł oddział gwardii, zadali mi i pozostałym kilka pobieżnych pytań. Odpowiadałem jak każdy inny gość zszokowany przemocą, jaka miała miejsce w pobliżu.

Tymczasem trupa zawinęli i położyli na nosze.

- Nie była obywatelką miasta - powiedział na koniec oficer. - Zarabiała jako łowca i czasem coś dla nas robiła. Jeśli nikt nie da za nią nagrody, nie będziemy się

wysilać. Tacy jak ona mają mnóstwo nieprzyjaciół.

Jak na nekrolog nie było tego za wiele. Opłacało mi się?

- Wezmę jeszcze wino. - Wyrwałem kelnera z apatii.

- Ten stół jest zakrwawiony, proszę pana! - wyrzucił z siebie z przerażeniem.

- Tak, jest. To wino poproszę.

Opłacało mi się?

Przy kolejnym łyku grzanego, pachnącego i pieszczącego język wina z iskrą słońca i smakiem ziemi, wiedziałem, że odpowiedź brzmi „tak”. Jeśli zabili ją z powodu wiadomości, którą miała przekazać, umarła niepotrzebnie, Ludzie nie powinni umierać niepotrzebnie. To marnowanie życia.

Dopiłem, zapłaciłem, spakowałem swoje rzeczy i wyruszyłem do mniej zachęcającej części miasta. Płatni mordercy zazwyczaj nie przebywają w tych samych miejscach co śmietanka towarzyska. Nawet jeśli, to wyjątek potwierdza regułę.

\* \* \*

Gestem zamówiłem piwo i rozejrzałem się po zadymionej sali. Gospoda była wypełniona do granic możliwości, w powietrzu dało się wyczuć piwo, pot i wiele innych nieprzyjemnych zapachów, których nie potrafiłem rozpoznać. Oprócz kilku pańienek lekkich obyczajów przy stołach tłoczyli się sami mężczyźni, mali, duzi, starzy i młodzi, najróżniejszych ras i narodów. Jedno ich jednak łączyło. Nie zarabiali na życie uczciwą pracą i każdy z nich był uzbrojony. Podobnych miejsc widziałem już setki. W każdym większym mieście na Kontynencie istnieje co najmniej jedna podobna knajpa, gdzie spotykają się podejrzanе indywidua, przekazuje się informacje, zawiera transakcje. Nieźle trafiłem. Ktoś trochę mądrzejszy niż ci płatni zabójcy zawsze trzyma pieczę nad takim miejscem, a złoto wciskane we właściwe ręce sprawia, że urzęd-

nicy przymykają na to oko. Jeśli morderca nie opuścił miasta, było prawdopodobne, że znaję go tutaj albo w innym podobnym miejscu. Problemem było to, że nie miałem pojęcia, jak wygląda, on zaś mógł znać mnie. Chociaż nie wydawało mi się to prawdopodobne, ponieważ celem była blondynka, nie ja.

Dostałem w końcu swoje piwo. Zamoczyłem w nim usta, ale nie przesadzałem z picciem. Cuchnęło, jakby parę myszy zakończyło w nim swój żywot.

- Oferuję pracę - zwróciłem się do przysadzistego byczka z głową łąsą jak kolano. Poruszał się jak marynarz, a na grzbiecie lewej dłoni miał wytatuowany grot kopii.

Nie grałem w tę grę po raz pierwszy. Ostatnie trzy dni spędziłem na włóczeniu się po gospodarach. Odwiedzałem je po kolei, od tych lepszych, po te najgorsze. Najpierw wypytywałem o zabójstwo, które sam widziałem, a nawet oferowałem małą nagrodę za informacje albo złapanie sprawcy. Później, na niższym stopniu drabiny społecznej, zmieniłem taktykę i szukałem mężczyzn, którzy oferują usługi tym, dla których stal jest narzędziem pracy. Dostałem cynk o tym miejscu i kilka imion, w większości wymamrotanych tylko półgłosem.

- Dlaczego nie, o co chodzi? - powiedział byczek i popatrzył na mnie.

Jednocześnie oparł się o szynkwias i, nie zważając na nic, zrobił sobie miejsce.

Ktoś zaklął, ale kiedy zobaczył, kto się rozpycha, zamilkł.

- Muszę kogoś sprzątnąć - odpowiedziałem.

Jeszcze raz na mnie spojrzął.

- Wyglądasz na takiego, który sam sobie poradzi - skrzywił się i wlał w siebie zawartość kufła.

Był jeszcze twardszy niż myślałem. Miejscowego piwa nie mógł pić żaden mię-

czak.

- Owszem. - Skinąłem głową. - Ale muszę zostać tu jakiś czas, a chodzi mi o miejscowego. Urzędy mogłyby robić problemy.

- No, pewnie by robiły - zgodził się. - Będzie drożej.

Barman bez pytania postawił przed nim kolejny dzban. Zacząłem się zastanawiać, ile myszy potrzeba, żeby otruć człowieka. Możliwe jednak, że ludzie z wytatuowanym grotem kopii na dłoni są na podobne rzeczy odporni. Ja nie byłem.

- Forsę mam, ale się spieszę.

- Tu jest za dużo ludzi, omówimy to jutro. O tej samej porze na rogu Placu Michskiego, przy słupie - oznajmił.

- Zgoda. - Kiwnąłem głową i zamówiłem piwo dla siebie.

Nie wierzyłem w ani jedno jego słowo. Nie było żadnego powodu, żebyśmy nie mogli zawrzeć transakcji od razu na miejscu. Moja taktyka zadziałała.

Przed świtem stałem na Placu Michskim. Ranek był zimny, porywisty wiatr od czasu do czasu podrywał z bruku tumany kurzu i wprawiał w wirujący ruch spadające liście. Ulice były jeszcze puste, tylko po przeciwnej stronie zataczało się dwóch pijaków, którzy zdecydowali się powitać nowy dzień na solidnym rauszu. Z domu po lewej stronie wymknął się facecik z brzuszkiem. Przed chwilą musiał jeszcze leżeć w łóżku, ponieważ długie włosy, którymi starał się ukryć łysinę, zwisały mu po jednej stronie, a spod płaszcza wystawał skrawek niestarannie włożonej koszuli. Domyśliłem się, że nie leżał w swoim łóżku, a towarzystwa nie dotrzymywała mu prawowita małżonka. To był jego problem. Moim problemem byli płatni mordercy. Grubas skradał się wzdłuż ścian, a jego próby niewzbudzania niczyjzego zainteresowania sprawiały, że już z daleka rzucał się w oczy.

Rodzący się dzień przybierał na sile, wszystko zaczynało wyglądać wyraźniej, wynurzało się z ciemności i oprócz zarysów zyskiwało również strukturę wewnętrzną. Podobne światło powinno być również o tej porze, o której się umówiliśmy. Szukałem miejsca, skąd dobrze widać róg placu z latarnią. Każdy dach, okno w okolicy byłoby dobre. Budynek tuż za mną miał wielkie, pomalowane na biało wrota. Idealne tło do strzelania w półmroku. Żebym rysował się strzelcowi bezpośrednio na białym tle, musiałby stać gdzieś po drugiej stronie placu.

Świat dachów jest zupełnie inny niż świat tylko parę metrów niżej. Człowiek słyszy ruch uliczny, rozmowy przechodniów, czasem docierają do niego także prywatne dźwięki z pokojów na poddaszu. Jeśli nie chce spowodować nadmiernego hałasu, musi uważać, kiedy wspina się na górę, a także pilnować, żeby nikt ciekawski go nie zobaczył.

Ja na terytorium wałęsających się kotów i ptaków dostałem się z ulicy równoległej do placu. Wystarczyło tylko wdrapać się na gzyms okna, a później wskoczyć na belkę przytrzymującą wiązanie dachu i wystającą kawałek na zewnątrz. W następnej minucie leżałem już na pochyłym dachu z solidnego gontu.

Mniej więcej połowa budynków w Grinsku miała dachy z wysokimi kalenicami, druga - tylko delikatnie skośne. To ułatwiło mi pracę i po chwili ostrożnego przełazenia dostałem się na wytypowaną pozycję strzelniczą. Miejsce, gdzie jeszcze do niedawna stałem, nawet w mijającej szarówce miałem przed sobą jak na dłoni. Dla dobrego strzelca nic trudnego. Biała powierzchnia wrót jaśniejąca w tle, a wszystko przed nią rysujące się ostro.

O świcie się ochłodziło, ubranie zwilgotniało od rosy. Nęciło mnie, żeby udać się do którejś z jadłodajni i wrzucić coś gorącego do żołądka, ale nagle odezwał się

dzwon i jak na komendę wszędzie zaroilo się od ludzi. Z pewnością bez większych problemów zdołałbym zejść, lecz nie byłem pewien, czy udałoby mi się dostać z powrotem. Zostawiłem w spokoju mój protestujący żołądek, podłożyłem pod siebie zwinęty dwukrotnie płaszcz i czekałem.

Słońce sprawiało, że poranny chłód się zmniejszył i było całkiem przyjemnie.

Wiedziałem jednak, że w ciągu długiego dnia zrobi mi się gorąco, język z pragnienia będzie przysychał do podniebienia, a wieczorem będę trząsł się z zimna. Czekanie nigdy nie jest niczym przyjemnym, często jednak może zaoszczędzić sporo nieprzyjemności, a czasem nawet ocalić komuś życie. Wielokrotnie przekonałem się o tym na własnej skórze.

Przez jakiś czas zastanawiałem się, skąd wieczorem może się wynurzyć mój znajomy. Mógł nadejść tą samą drogą co ja, lub z którejkolwiek mansardy w okolicy.

Wystarczyło, żeby znał właściciela albo zaryzykował ciche włamanie. To pierwsze było jednak bardziej prawdopodobne. Przytuliłem się do kamiennego szczytu domu z wysoką ścianą, skąd miałem najlepszy widok. Wierzyłem, że jeśli wejdzie na górę gdzieś za mną, usłyszę go, zanim znajdzie się na mojej wysokości.

Co pewien czas regularnie rozciągałem mięśnie, ćwiczyłem stawy i starałem się nie usnąć. Upał był morderczy. Krótco po południu, kiedy ruch na ulicach trochę się zmniejszył, a plac opuścili kupcy i rolnicy sprzedający swoje towary, za ścianą za sobą usłyszałem wyraźne skrzypnięcie drzwi oraz stłumioną rozmowę. Zdziwiło mnie to, ściana wyglądała solidnie. Po chwili poszukiwań znalazłem pęknięcie ciągnące się po skosie w dół na długość dobrego metra. Nie rozumiałem słów, ale rozpoznawałem ową charakterystyczną uporczywość, później przerwał je damski chichot. Przesunąłem się kawałek w bok, żeby nie słuchać dźwięków towarzyszących każdej scenie miłosnej,

lecz mój słuch przyzwyczaił się już do ciszy, więc i tak wszystko słyszałem. Wróciłem we wspomnieniach do kobiet, które znałem. Ta, z powodu której dwadzieścia pięć lat temu uciekłem z domu, zmieniła się w niewyraźny cień, ale pozostałe pamiętałem doskonale, aż mnie samego to zdziwiło. Jedną dwa razy z rzędu mnie sprzedała, najpierw armii, później piratom. Jednocześnie jednak pomogła mi zapomnieć o dzikusce z dżungli, która była... Uśmiechnąłem się, myśląc o swoich problemach ze znalezieniem właściwego słowa i zamiast tego wyłamałem palce, zrobiłem kilka ruchów okrężnych głową i sprawdziłem broń, czy łatwo wychodzi z futerałów.

Za ścianą ktoś się zaśmiał, trzasnęły drzwi, tym razem o wiele głośniej. Niektórzy mają w południe sjęstę, inni zaś... Nie dokończyłem myśli.

Dzień chylił się ku końcowi, ludzie znów zapełnili ulice i plac, podążali za swoimi błahymi, w porównaniu z całym światem, celami i snami. Z ich własnego punktu widzenia były to jednak najważniejsze rzeczy. Zgadzałem się z tym.

Później nauczyłem się nie dopuszczać nikogo zbyt blisko siebie, żadnej kobiety, żadnego mężczyzny. Właściwie raz złamałem tę zasadę. Poświęciła swoje życie, żeby uratować moje. Kiepski interes. Czas jednak goi nawet te najgorsze rany i zostaje tylko blizna, poczucie pustki, pytania, co by było, gdyby... Wyciągnąłem z futerałów wszystkie noże do rzucania, sprawdziłem groty i ostrza. Z satysfakcją znalazłem na jednym ryse, którą można było nazwać wrębem, zabrałem się więc do ostrzenia. Słońce wciąż jeszcze stało wysoko nad horyzontem, zbyt wcześnie na to, żeby byczek czy ktoś inny się tu pojawił.

Skończyłem ostrzyć nóż i znów wróciłem do przeszłości. Może miały na to wpływ pozornie opustoszałe okoliczne dachy. O mało nie popełniłem ponownie tego błędu - dopuścić kogoś do siebie zbyt blisko. O mało nie zdarzyło mi się to z tą dziew-



częcą szlachcianką, którą trzy lata temu odprowadzałem do domu. Po wydarzeniach poprzednich miesięcy trzy lata wydawały mi się wiecznością.

Żółty krąg dotknął wreszcie krawędzi dachów na zachodzie. Przestałem wspominać i znów zacząłem ćwiczyć, tym razem dokładniej. Są różne rodzaje ćwiczeń, przy pewnych człowiek się porusza, skacze, przeciąga. Przy innych tylko powoli i dokładnie zmienia napięcie mięśni w różnych częściach ciała i zmusza w ten sposób krew, żeby krążyła coraz szybciej, powodując rozgrzanie, gotowość do ataku lub ucieczki.

Jeszcze porządnie się nie ściemniło, gdy jedno z mansardowych okien gdzieś z tyłu za mną zaskrzypiało. Siedziałem ze skrzyżowanymi nogami, plecami przy ścianie, lewą dłonią ścisnąłem nóż, prawą rękojeść miecza. Nie po raz pierwszy, ale tak jak zawsze musiałem się skoncentrować, żeby nie oddychać zbyt szybko i głośno, żeby opanować swoje serce. I być zimnym niczym bryła lodu, niczym kamień, którego przypadkowy obserwator nie zauważy. Zbliżali się z lewej strony, gdzie dom przechodził w poziomy daszek szopy. Słyszałem, jak deski skrzypią pod ich ciężarem, smród smoły w powietrzu się nasilił. Pochyliłem głowę do ziemi i obserwowałem punkt przed sobą. Nie chciałem, żeby zobaczyli moje białka czy jakikolwiek ruch. Ludzkie oczy mają niesamowitą moc przyciągania i niejednego już zwiadowcę ich błysk pozbawił życia. Przeszli dwa kroki ode mnie rozmawiali szeptem. Wyższego i chudsze nigdy przedtem nie widziałem. Na plecach miał zawieszoną kuszę z łuczyskiem wykonanym z masy rogowej i drewna. Mniejszym był byczek, u którego chciałem zamówić zabójstwo. Położyli się obok siebie w miejscu, które o świcie ja sam wybrałem.

- Mówię ci, brzydki, wychudzony, wysoki facet, na gębie same blizny, żelastwa ma tyle, ile wędrowny sprzedawca żelaza i wygląda, jakby umiał nimi wymachiwać. Nie wierzyłem ani jednemu jego słowu. Taki nie musi nikomu płacić, sam zlikwiduje

kogo chce. Poza tym już przedwczoraj poszła pogłoska, że ktoś dziwny interesuje się śmiercią tej dziewczyny.

Nie wiedziałem, czy opis byczka mam traktować jako komplement, czy nie.

- Ta dziewczyna akurat z nim rozmawiała, kiedy ją wykończyłem - poskarżył się kusznik.

Mężczyźni zamilkli. Na wschodzie pojawił się księżyc. Taki sam dla zwykłych ludzi przygotowujących się do spania, dla mnie i dla nich.

- No, chyba z tego powodu cię szuka - powiedział po chwili byczek. - Ale zaraz go wykończymy. Tamto miejsce - pokazał ręką przed siebie - jest jakby stworzone do strzelania do celu.

- Dobrze wybrałeś - zgodził się natychmiast chudzielec.

Upłynęło kilka minut. Zastanawiałem się, czy mam napaść na nich natychmiast, czy dopiero, kiedy się odwrócą. Ściemniało się coraz bardziej, powietrze się ochładzało, czuć było wilgoć i obaj łajdacy przede mną zmienili się w szare cienie.

- Mam przeczucie, że go przytemperujesz - burknął w końcu byczek. - Jest taki sprytny, na jakiego wygląda. Pewnie gdzieś tam czeka i chce ci się przyjrzeć. Ja bym tak zrobił.

- To możliwe - przytaknął chudzielec, w głosie miał o wiele więcej nerwowości.

- Będę musiał wrócić. Miałem tylko dopilnować, żeby ta babka z nikim nie rozmawiała. Czują, że ją śledzę, i miała się na baczności. Wydaje mi się, że chciała tego faceta wynająć jako ochroniarza. Żeby na nią uważał.

- To możliwe. Już jest ciemno i niczego nie zobaczymy - przytaknął jego kompan. Materiał zaszeleścił, kiedy machnął ręką.

- Chcesz papierosa? - Brzęknęło krzesiwo, hubka rozgorzała, a płomień wydo-

był z ciemnego tła zarysy ich głów. Obaj byli potargani, pojedyncze kosmyki włosów wyglądały jak pozwijane węże. - Nauczyłem się je palić zamiast fajki na południu.

Kiedyś przez jakiś czas tam pracowałem.

Tytoń pochłaniany przez ogień trzeszczał i w świeżym powietrzu pachniał intensywnie. Obaj powoli się podnieśli, wciąż jeszcze stali przodem do placu. Rękojeść noża w mojej dłoni, okręcona paskiem skóry z rekina, była sucha i przyjemnie szorstka w dotyku.

- Nie podobałoby mi się, gdyby w drodze powrotnej siedział mi na plecach. Nie żebym sobie z nim nie poradził, ale znasz to... - Chudzielec wzruszył ramionami. - Każdy lubi mieć za sobą czysto.

- Znam - odpowiedział byczek, w głosie nie miał nawet cienia uśmiechu. - Zaczyna się robić rześko, transakcję omówimy w gospodzie, co ty na to?

Wstrzymałem oddech. Zdecydowałem się zaryzykować i nie atakować. Sprawa była bardziej skomplikowana niż z początku sądziłem, a możliwość, że strzelec doprowadzi mnie do jej rozwiązania, była warta rozważenia. W walce dwóch na jednego musiałbym go zabić. Ponownie wbiłem wzrok w ziemię, całe ciało przygotowałem do zareagowania na pierwszą oznakę zdziwienia czy przestradchu z ich strony. Odwrócili się, widziałem jeszcze pomarańczowe odbicie blasku z ich papierosów. Żaden z nich mnie nie zauważył i przeszli obok tak samo jak dwie godziny wcześniej.

\* \* \*

Nie dowiedziałem się, ile byczek zaoferował za moje zabójstwo, ponieważ nie odważyłem się iść za nimi aż do knajpy. Obaj wiedzieli, jak wyglądam i prawdopodobnie by mnie zauważyli. Wystarczyło śledzić ich w drodze powrotnej. Założyłem, że miejscowy zabijaka pójdzie po pieniądze za robotę. Byłem nawet ciekawy, jak chu-

dzielec to zorganizował. Zazwyczaj część daje się z góry, część po. Tylko że on chciał wyjechać. Byczek spokojnie mógł zainkasować złoto bez specjalnego trudu. Może jednak nie leżało to w jego charakterze, wszystko zależało od tego, jaką cieszył się opinią. Śledzenie ich nie sprawiało mi żadnych trudności. Opadła lekka mgła, a grinskie ulice były delikatnie mówiąc, słabo oświetlone. Weszli razem do dobrze wyglądającego budynku. Dwa piętra, wnioskując z położenia wrót, należało do niego również podwórze. Chciałem poczekać, aż byczek odejdzie i chudzielec zostanie sam. Miałem nadzieję, że wystarczy go trochę nastraszyć, świadczyła o tym wyczuwalna nerwowość w jego głosie, kiedy mówił o mnie. Czekałem przyciśnięty plecami do ściany w niszy, która została po źle zamurowanych drzwiach. Mój żołądek już zrezygnował i milczał. Skrzypnęły drzwi, byczek przeszedł obok mnie tak blisko, że owionął mnie odór piwa i zadymionego pomieszczenia. Już miałem w ręku nóż, ale w ostatniej chwili się powstrzymałem. Wprawdzie chciał mnie zabić, ale poza tym mnie nie interesował. Jakikolwiek dźwięk mógł zaniepokoić chudzielca - a o niego mi chodziło.

Wytrzymałem jeszcze trochę. W oknach na piętrze na moment się zaświeciło, później prostokąty szyb znów pociemniały. Człowiek wyrwany ze snu zazwyczaj jest bardzo wystraszony nawet bez innych gróźb. Na bruku przede mną pojawiły się trzy koty, dwa z nich po chwili miauczenia i prychnania rzuciły się na siebie. Kocury, a nagrodą dla zwycięzcy była kotka. Właściwie zachowywały się jak ludzie. Nie czekałem na koniec pojedynku, schowałem miecz i zacząłem wspinać się na górę po ścianie domu. Na drugim piętrze jedno z okien było otwarte. Nawet gdyby nie było, wybicie go dla doświadczonego człowieka nie jest trudne. Uczciwi ludzie się dziwią, jak to możliwe, że ktoś wszedł do nich przez okno położone wysoko nad ziemią, złodzieje przeciwnie - zacierają ręce na myśl o głupocie swoich ofiar.

Nacisnąłem na ramę, zawiasy nawet nie skrzyknęły. Przeskoczyłem przez parapet i zostałem w kucki w bezruchu. Pokój nie był pusty, po latach doświadczeń miałem wycucie w tym względzie. Ale nie wyglądało, jakby ktoś w nim spał. Człowiek przez sen głęboko oddycha i co jakiś czas się porusza, albo zaskrzypi łóżko. Posuwałem się kawałek po kawałku, aż za moimi plecami znalazła się ściana. Później sięgnąłem do kieszeni po świeczkę, w lewej ręce trzymałem nóż. Zanim dokończyłem ruch, ktoś odsunął klosz złodziejskiej latarenki i pokój zalało żółtawe światło. Łóżko przy ścianie było puste, ale o zamknięte drzwi opierał się byczek, w ręce trzymał długi nóż i uśmiechał się szeroko.

- Czułem, że jesteś sprytny i przyszło mi do głowy, że już będziesz wiedział, gdzie Osman mieszka. Więc tak to sobie wymyśliłem.

W jego głosie słychać było pewność i zadowolenie jednocześnie.

- Osman już jest w drodze? - zrozumiałem.

- Tak. Może coś o tobie słyszał, ponieważ wyglądał, jakby się sfajdał ze strachu.

I zapłacił mi od razu całą stawkę.

- Nie chodzi mi o ciebie, chcę tylko jego - powiedziałem cicho. - Jeśli jednak będziesz mi stał na drodze... - Wzruszyłem ramionami.

Nóż w lewej ręce schowałem za przedramieniem, prawą wciąż miałem pustą, ale w pogotowiu. Pokręcił głową.

- Zawsze robię, co obiecałem, za to możesz dać sobie głowę uciąć.

W tym momencie rzuciłem nóż łukiem od spodu, jednak on instynktownie odtrącił go dłonią i skoczył w moją stronę. Przesunąłem się po skosie w przeciwnym kierunku niż on, jednocześnie złapałem jego rękę za nadgarstek, ułamek sekundy później drugą rękę za przedramię, wykręciłem mu palce w kierunku ziemi i sprawiłem, że

zrobił przewrót. Wpadł na ścianę, ale natychmiast był na nogach, swoją broń trzymał przed sobą. Zastopował go dopiero nóż w piersi - mojej drugiej próby już nie zatrzymał. Może w złym świetle nawet jej nie zauważył.

- To było, to było... - charczał, leżąc na plecach, rękojeść stercząca z jego piersi nawet w słabym świetle lampy rzucała wyraźny cień i drżała w rytm jego konwulsyjnego oddechu.

- Dokąd pojechał Osman? Którą bramą? Kto i dlaczego go opłacił? - sypnąłem serię pytań i obserwowałem twarz byczka.

W półmroku jego oblicze było białe jak alabaster, oczy mu błyszczały.

- Oszczędzisz mnie, kiedy ci powiem? - udało mu się wycharczyć.

- Tak - obiecałem.

- Odjechał Bramą Gaunską, zmierza przez płaskowyż do państwa hrabiego Vadviga. Ma się tam z kimś spotkać, ale nie powiedział, o co chodzi.

Ostatnie słowa rozplynęły się w ciężkim oddechu.

Ukląknęłam, odrzuciłam jego nóż kawałek dalej i sprawdziłam czy nie ma w zasięgu ręki żadnej innej broni. Później jednym ruchem rozciąłem mu koszulę i kurtkę oraz obnażyłem klatkę piersiową. Ostrze noża przeszło między żebrami, tylko parę centymetrów pod sercem i dotarło aż do płuca. Wielu ludzi już dawno byłoby martwych, byczek musiał mieć żelazne zdrowie. Na brzegach rany tworzyły się różowawe pęcherzyki uchodzącego powietrza.

Ostrożnie wyjąłem ostrze, natychmiast zaczął oddychać z jeszcze większą trudnością, a w jego oczach pojawiły się strach i śmierć. Jak najszybciej oczyściłem ranę, zasypałem ją pudrem ze swoich zapasów, a później starannie przyłożyłem poduszeczkę z gazy z kawałkiem woskowanego płócienka pośrodku, Na koniec całą klatkę pier-

siową starannie zabandażowałem.

Leżał bez ruchu i nie wyglądało, żeby śmierć się od niego oddaliła. Jednak również się nie zbliżyła.

- Nie wiem, czy przeżyjesz, to ciężka rana - powiedziałem, sprzątając swoje felczerskie wyposażenie.

- Przeżyję to, przeżyję - odpowiedział szeptem, lecz w jego głosie skrywały się nieustępliwość i siła. - Nie wierzyłem, że mnie opatrzysz.

Nie mogłem mu powiedzieć, że ja również robię to, co obiecuję, dlatego tylko wzruszyłem ramionami. Oczyszcziłem swój zakrwawiony nóż, pod łóżkiem znalazłem drugi i oba schowałem do futerałów.

- Dużo szczęścia - powiedziałem, kiedy byłem już w drzwiach.

\* \* \*

O świcie byłem już w drodze. Jabłkowity wierzgał z niezadowoleniem, ponieważ nie lubił wczesnego wstawania, chleb, który wyprosiłem u oberżystki, okazał się czerstwy, mięso zimne i twarde. Nie przeszkadzało mi to. Słońce wschodziło, byłem w drodze i miałem przed sobą cel. Skrytobójcę, który jest mi winien informację.

Nie polowałem, nigdzie zbytecznie się nie zatrzymywałem. W każdej wsi, przez którą przejeżdżałem, starałem się powiększyć swoje skromne zapasy. Ludzie potwierdzali, że przede mną tą samą drogą przejeżdżał wysoki mężczyzna na koniu. Chudy i brzydki. Nikt nie powiedział głośno, co naprawdę myślał: że nie był nawet w połowie tak brzydki i chudy jak ja.

W ostatniej osadzie przed płaskowyżem, zasiedlonym tylko gdzieniegdzie przez samodzielnych farmerów, kazał sobie podbić obluzowaną podkowę.

Miałem szczęście, teraz o wiele łatwiej było mi go śledzić.

Dalej nie było już drogi, jedynie ścieżki myśliwych, poganiaczy bydła i szlaki zwierząt. W dziczy nikt nie jeździ, gdzie oczy poniosą - i każdy choć trochę rozumny trzyma się wydeptanych traktów. Od czasu do czasu udawało mi się dostrzec charakterystyczny odcisk nowej podkowy, widziałem, gdzie nabierał wody, gdzie pozwalał się paść koniowi. Spieszył się, jak tylko mógł, ale ja byłem szybszy i krok po kroku się do niego zbliżałem. Jednocześnie coraz lepiej go poznawałem. Decydującym czynnikiem określającym jego zachowanie był strach i wypływająca z niego nerwowość. Nie zauważał najlepszych miejsc do rozbicia obozu i wybierał te gorsze, nie miał wycucia ziemi i czasem niepotrzebnie nakładał drogi.

Czwartego dnia po zmroku po raz pierwszy ujrzałem przed sobą w oddali ogień. Początkowo nie odważył się go rozniecać, ale mało kto zdoła długo wytrwać w dziczy bez ognia. Teraz już zamieszkane, a nawet tylko częściowo zasiedlone tereny zostały daleko za nami. Dzięki temu okoliczne pastwiska służyły stadom dzikiego bydła, nie nadawały się do uprawy. Bliżej wybrzeża gleba była o wiele lepsza. Tam tłoczyli się ludzie, tutaj biegały tylko konie, bydło i wilki.

Piątego dnia na horyzoncie pojawiły się góry, które szybko ogromniały. Chciałem, żeby chudzielec stał się jeszcze bardziej nerwowy i wieczorem po raz pierwszy rozpałem ogień. Oczywiście dopiero chwilę po tym, kiedy on rozpałił swój. Dobrze go oceniłem, światło w oddali przede mną natychmiast zgasło. W podgórskim terenie nie dało się już poruszać po ciemku i wiedziałem, że gdzieś tam leży, słucha odgłosów dzikiej przyrody i trzęsie się ze strachu i obaw. Było chłodno, w powietrzu unosił się zapach kwitnących traw, a owady wokół głośno brzęczały. Mimo że polowałem, polowałem na człowieka, i powinienem być spięty i czujny, czułem się odprężony, jakbym wyjechał na zwyczajną wyprawę w teren. Zaspokoić ciekawość, zaznajomić się z zie-



nią. Po raz ostatni czułem się taki rozluźniony, kiedy odprowadzałem Annemari Dask. Wtedy, co prawda, ścigali nas niebezpieczni łowcy ludzi, ale jej obecność, rozmowy i przytyki, którymi nieustannie wyprowadzała mnie z równowagi, zamieniły naszą ucieczkę w coś, o czym nigdy całkiem nie zapomniałem. A nie zapomniałem nawet długiej gonitwy, kiedy podążała za mną spora grupa dzikich zabójców i biegłem aż do całkowitego wyczerpania. Teraz sam byłem łowcą i też się spieszyłem. Jednocześnie wydawało mi się to grą, w której nie mogę przegrać. Usypiałem z przyjemnym poczuciem i zanim zatopiłem się w krainie Morfeusza, przyszło mi do głowy powiedzenie doświadczonych rzemieślników: W chwili kiedy myślisz, że wszystko idzie świetnie i nic nie może się stać, najwyższy czas odłożyć dłuto, siekierę ciesielską lub młot kowalski. Potwierdzone przez pokolenia doświadczenie w żaden sposób mnie nie zaniepokoiło. Księżyc nade mną świecił wspaniale.

Ze snu nie wyrwało mnie nic, co mogłoby być potwierdzeniem słów starych mistrzów. W drogę wyruszyłem, gdy tylko zrobiło się wystarczająco jasno.

Teren stopniowo stawał się coraz bardziej rozczłonkowany i nieprzewidywalny.

Często schodziłem z siodła, żeby oszczędzać konia i jednocześnie stanowić jak najmniej cel. Nie sądziłem, żeby chudzielec gdzieś się na mnie zaczął. Był zbyt wystraszony. Bał się tak bardzo, że mocz oddawał zaledwie kawałek od miejsca, gdzie spał.

Koło południa pokonałem pierwszą wyraźniejszą grań i rozpostarł się przede mną widok na kolejną, wyższą. Lasostep definitywnie został zastąpiony przez dziewiczy las pokrywający strome zbocza i głębokie kotliny. Żli ludzie twierdzili, że hrabia Vadvig zdołał utrzymać swoje państwo tylko dzięki całkowicie nieprzystępnym terenom i świetnemu położeniu grodu, w którym mieszkał. Może coś w tym było. Scho-

dząc, ujrzałem wioskę. Było to tylko parę domów otoczonych wąskim pasem pól i kilkoma porębami. W pozostałych miejscach rozciągało się zielone morze.

Szedłem dalej jeszcze chwilę po zmroku. Śladów już widzieć nie mogłem, ale wydawało się nieprawdopodobne, żeby Osman w ciemnościach ryzykował wyjście z doliny, którą szliśmy. Ognia nie rozpalałem, nie chciałem, żeby wiedział, jak blisko jestem. Usypiałem pod rozgwieżdżonym niebem, tak wspaniałym, że zapierało dech i cieszyłem się na kolejny dzień. Na poranek, na świt. I na rozwiązanie zagadki.

Obudziłem się wczesnym świtem, w szarówce ciężko byłoby rozróżnić psa od wilka. Trawa była mokra od rosy, a ja z zimna szczękałem zębami. Konia musiałem wyrwać ze snu. Spakowałem rzeczy i poprowadziłem go za uzdę. Po paru krokach przestało mi być zimno, podniosły, prawie beztroski humor ostatnich dni powrócił. W chwili kiedy słońce pojawiło się nad horyzontem, lecz nie miało jeszcze mocy, a przedmioty nie rzucały cienia, ujrzałem chudzielca. Rozbił obóz kilkadziesiąt metrów wyżej na zboczu i właśnie wstawał. Zostawiłem konia na miejscu i skulony brodziłem w wysokiej trawie. Zauważył mnie dopiero, kiedy byłem dwa kroki od niego. Sięgnął po kuszę i, schylając się, nadstawił mi brodę. Kopnąłem go, aż upadł na plecy

- Nie zabijaj mnie - krzyknął.

Złapałem go za włosy, przechyliłem głowę do tyłu i przyłożyłem ostrze noża do szyi. Było to dokładnie tak proste, jak sądziłem.

- Nie krzycz, albo zarżnę cię jak królika. Kim była? Kto zapłacił za jej śmierć?

Dla kogo pracujesz? Dlaczego uciekasz przede mną właśnie tutaj? Skąd mnie znasz? - rozpocząłem przesłuchanie od serii pytań.

Zazwyczaj to działa. Ofiara odpowiada na te pytania, które uważa za najmniej niebezpieczne, a później jak po sznurku można wyciągnąć pozostałe informacje.

- Pracuję dla Welhelma Krota - wyrzucił z siebie. - Jestem tylko człowiekiem do wynajęcia, nic nie wiem.

Strach trawił go na moich oczach tak, jak kołatki zżerają starą belkę.

- Co robi Welhelm Krot na terenach hrabiego Vadviga? - zadałem kolejne pytanie.

Szlachcice zazwyczaj z podobnymi ludźmi się nie zadawali. Oczywiście, jeśli nie chodziło o jakąś szczególnie brudną sprawę.

- Ma... mają jakiś wspólny interes - zdradził.

W tym momencie od strony lasu dotarły do mnie dźwięki, które nie powinny stamtąd dochodzić. Szelest trawy, trzask gałęzi, może nawet i wypowiedziane półgłosem słowo. Osman również je słyszał i na jego twarzy pojawiła się nadzieja.

- Co to jest? - spytałem.

Nóż na jego szyi trzymałem wciąż mocno, żeby przypadkiem niczego nie próbował.

- To moi ludzie, mieliśmy się spotkać niedaleko stąd! - prawie wykrzyknął z radości.

Ściana lasu nie była już szara, ale ciemnozielona, a w coraz mocniejszym świetle dnia rozpoznawałem brązowy, prawie rdzawy kolor poszczególnych gałęzi. Między pokręconą sosną a karłowatym świerkiem pojawiła się pierwsza postać. Potem druga i kolejna. Mężczyźni zbliżali się do mnie po bokach i zamykali niczym w kleszczach. Milczałem i czekałem. Nie było sensu uciekać, a ja nawet nie chciałem uciekać. W końcu naliczyłem ich trzydziestu. Twardzi ludzie z mieczami w rękach i nożami za pasem, trzech z nich miało łuki, ale jeszcze do mnie nie celowali. Słońce zaczynało grzać coraz mocniej. Po pierwszym promyku, który człowiek ujrzy, ranek nadchodzi

zadziwiająco szybko. Starzy rzemieślnicy mieli rację. Kiedy człowiek zacznie myśleć, że jest najlepszy w świecie, że wszystko mu się uda i nic się nie może stać, powinien się zatrzymać i wycofać. Ja tego nie zrobiłem.

- Puść go - powiedział mężczyzna w skórzanej kurtce podbitej metalem, W ręce trzymał krótki miecz z potężnym ostrzem, usta zakrywały źle obcięte wąsy

- Dopiero, kiedy mi powie, o co tutaj chodzi - odrzekłem.

- Zabijemy cię. - Przywódca zrobił krok w moim kierunku. Jego ludzie również.

Zabiliby mnie i tak. Znałem podobne typy. Zdałem sobie sprawę, że się nie boję i niczego nie żałuję. Kto ćwierć wieku chodzi po świecie z żelazem w ręce, od żelaza ginie. Było ich zbyt wielu, żebym się przez nich przedarł. Ale mogłem spróbować zabrać ze sobą jak najwięcej.

- Jaki wspólny interes mają Welhelm Krot i hrabia Vadvig? - zadałem Osmanowi kolejne pytanie.

- Ty myślisz, że jeszcze coś ci powiem? - odrzekł szyderczo.

- Jeśli mi nie odpowiesz, zabiję cię - przypomniałem mu.

Mężczyźni się zbliżali. Moja śmierć się zbliżała. Niebo pojaśniało, bez cienia chmur, ptaki śpiewały coraz głośniejsze, witając nowy dzień. Czego więcej mogłem sobie życzyć? Umrzeć w piękny poranek i zabrać ze sobą jak najwięcej swoich wrogów.

- Jest nas trzydziestu, nie masz szans - powiedział wąsacz.

Miał rację, optymistycznie szacowałem, że zabiję ośmiu. Wiedziałem, że w pierwszej kolejności muszę załatwić strzelca z prawej strony, który niewzruszony przygotowywał łuk.

- Trzydziestu jeden - oznajmił dumnie Osman. Przed laty udało mi się przeżyć spotkanie z dwunastoma szermierzami. Dzisiaj było ich zbyt wielu.

- Trzydziestu - powiedziałem wyraźnie, przeciągnąłem ostrze i puściłem bezwładne ciało.

Zagotowali się z wściekłości i rzucili na mnie, łucznik upadł z nożem w piersi.

Pierwszą falę zatrzymałem niskim machnięciem, skoczyłem na stojącego z boku, zepchnąłem go biodrem, zastawiając drogę jego kompanom, a później odwrotną stroną miecza sieknąłem mężczyznę po szyi. Udało mi się jeszcze odbić sztyłem cios w bok i rozpruć komuś brzuch.

- Z powrotem, ludzie! - wrzasnął dowódca i atakujący na jego komendę się wycofali.

Byli lepsi niż się spodziewałem, ich dyscyplina była godna oddziału wojska.

Między mną a dwoma łucznikami zrobiło się nagle pusto. Stali obok siebie w odległości około siedmiu metrów i obserwowali mnie przez założone strzały. Zdołałem jeszcze rzucić lewą ręką. W życiu nie udało mi się lepiej - łucznik po lewej krzyknął i upadł, ten po prawej tylko mocniej naciągnął cięciwę, ale nawet się nie poruszył. Na wąskiej twarzy miał ślady po ospie. Koniec...

Usłyszałem charakterystyczny świst, mężczyzna przewrócił się z grotem strzały sterczącym z piersi, z trawy za nim wynurzyło się kilka postaci i bezgłośnie ruszyło na moich nieprzyjaciół. Ja w przeciwieństwie do nich gardłowo krzyknąłem i z mieczem w obu rękach rzuciłem się w stronę przywódcy zabijaków. Nie był przygotowany na siłę mego uderzenia, przedarłem się przez jego krycie i kontynuowałem atak aż do garbusa z szablą. Nagle było po walce, stałem w rozkroku w wysokiej trawie i ciężko oddychałem, owady bzyczały chyba jeszcze głośniejsze niż przed chwilą. Wokół mnie, w miejscu, gdzie stoczyli swe pojedynki, czekało siedmiu mężczyzn. Wnioskując z porozrywanych mundurów uzupełnionych najróżniejszymi sztukami innej odzieży należeli

kiedyś do jednego oddziału. Musiało to być jednak dawno, przed wieloma kilometrami przebytymi w siodle i na piechotę oraz przed wieloma potyczkami. Nie znałem ich, lecz zaatakowanie wroga, którego siły były trzykrotnie większe, wymagało nie lada odwagi.

- Cieszę się, że pana widzę, Koniasz - rozległo się za moimi plecami. Powoli się odwróciłem i ujrzałem wysokiego, atletycznie zbudowanego mężczyznę. Gdyby twarzy nie oszpecała mu świeża szrama, byłby bardzo przystojny. W oczach, w zmarszczkach i w napiętych kącikach ust widoczne było zmęczenie, mimo to trzymał się dumnie i prosto. Ten dumny sposób bycia już kiedyś widziałem. Przez chwilę grzebałem w pamięci.

- Myślę, że cała przyjemność po mojej stronie. Tak jak podczas naszego ostatniego spotkania, kapitanie - odpowiedziałem po krótkiej przerwie.

Tak jak przed trzema laty życie uratował mi dowódca osobistej gwardii hrabiego Daska, kapitan Valer. Wtedy na terenie hrabstwa uciekałem przed varirskimi łowcami ludzi, a Annemari, córka hrabiego, której początkowo towarzyszyłem, a później zmusiłem do samodzielnej ucieczki, wysłała mi naprzeciw oddział armii.

- Czemu zawdzięczam swoje nieprawdopodobne szczęście?

Jeden z mężczyzn stojących w swobodnej pozycji zakrztusił się krwią i osunął na ziemię.

- Zajmę się swoimi ludźmi, później możemy porozmawiać - odpowiedział Valer, wydał kilka rozkazów i sam przyjrzał się nieprzyjaciołom.

Tych, którzy żyli, dobił.

Mnie nie musiał nic mówić. Wiedziałem, że do opatrywania będziemy potrzebować ognia i wody. Za chwilę już płonęła przede mną mała kupka kory brzoźowej i

sosnowych gałązek. Podczas pracy czułem na lewym policzku nieustanne szczypanie.

Dopiero później zdałem sobie sprawę, że moja twarz została upiększona nową raną ciągnącą się od dolnej szczęki aż po skroń. Pewnie nie byłem już tak szybki jak za młodu. Z drugiej strony, jedno draśnięcie mniej czy więcej... Zanurzyłem płótno we wrzącej wodzie i zająłem się mężczyzną, który najbardziej potrzebował pomocy. Miał głęboką szramę na klatce piersiowej, prawdopodobnie przecięte dwa żebra.

Szaleńcze starcie trwało zaledwie kilkadziesiąt sekund, ale zanim choć trochę doszliśmy do siebie, upłynęły co najmniej dwie godziny.

W końcu wszyscy siedzieliśmy lub leżeliśmy wokół niedużego ogniska rozpalonego pod wykrzywioną sosną. Kociołek, w którym gotowała się woda potrzebna do opatrzenia ran, ktoś wymył i teraz bulgotała w nim kawa. Zdałem sobie sprawę, że nie jadłem jeszcze śniadania. Wróciłem na miejsce walki i zabrałem martwym ich zapasy. Byli wyposażeni lepiej niż ja, a jedzenia już nie potrzebowali. Ranek zmienił się we wspaniałe przedpołudnie.

- Czemu zawdzięczam swoje nieprawdopodobne szczęście? - wróciłem do swego pytania.

- Napadnięto na siedzibę hrabiego Daska, gród jest zajęty, mój pan uwięziony, a jego córka porwana - odpowiedział Valer lodowatym głosem.

Rozumiałem go. Odpowiedzialność spadła na jego barki, a, jeśli dobrze pamiętałem, nigdy nie rzucił słów na wiatr.

Napił się kawy z kubka, który krążył między nami i na chwilę zamilkł. W jego słowach czuć było, jak wiele kosztuje go przyznanie się do tego, że zawiódł.

- Niecałe pół godziny po tym, gdy zaatakowali, byłem z resztką moich ludzi zamknięty w najgłębszym lochu naszego własnego zamku - dokończył i pokręcił głową,

jakby nie mógł w to uwierzyć. - Nie miałem pojęcia, że dziś jeszcze istnieją. Asasyni, cienie, władcy nocy, ninja... Mieli dziesiątki imion. Uważałem ich za upiory z legend. A już w ogóle nie wierzyłem, że prawdą jest to, co się mówi o ich umiejętnościach! - dodał z wściekłością.

Nadeszła moja kolej, napiłem się kawy i podałem kubek dalej.

- Trzysta lat temu istniało wiele klanów ninja i z tego, co wiem, niektóre z nich przed kilkudziesięciu laty zostały znów powołane do życia - powiedziałem cicho. - Istnienie tych zabójców jest tajemnicą starego imperium. Ich główna siła polega na momencie zaskoczenia i niezwykłym sposobie walki. Nikt nie wie, czego można się po nich spodziewać. Jeszcze niedawno byli wynajmowani przez najbogatszych szlachciców w imperium do najróżniejszych brudnych robót, ale ostatnimi czasy monopol na ich usługi ma tylko sam cesarz. Są świetnymi wojownikami, znają się na przyrządzaniu trucizn, leków, potrafią kontrolować swoje ciało aż do granic możliwości, znają się na ludzkiej psychice. Zostawili was przy życiu tylko dlatego, że chcieli jeszcze do czegoś wykorzystać.

Jeśli moja wiedza zdziwiła Valera, nie dał nic po sobie poznać.

- Czy cesarz jakoś się interesował hrabstwem? - spytałem.

- Tak - przytaknął Valer. - Po wojnie o miasto M uciekło do nas wielu ludzi, a hrabia powitał wszystkich z otwartymi ramionami. Mamy duże terytorium, mało mieszkańców, dzieci wciąż nie rodzi się wystarczająco dużo. Ponadto hrabia nie popiera polityki cesarza. Kilkakrotnie odwiedził go cesarski poseł, ostatnia wiadomość była już prawie otwartą groźbą. Ta napaść jest tylko logiczną kontynuacją - rozmyślał głośno.

Teraz zamilkłem ja. Byłem wmieszany w wydarzenia wokół miasta M i wyda-



wało mi się nierealne, że kostki domina mogły upaść aż tak daleko.

- Jak pan się wydostał z tej piwnicy? - spytałem, żeby podtrzymać rozmowę. -

Od ninja zazwyczaj nie udaje się uciec.

- Przygotowywali mnie do przesłuchania i powiesili skutego za ręce. Przez chwilę w piwnicy był tylko jeden z nich. Udusiłem go nogami - wytłumaczył sucho Valer.

- Naprawdę to był ninja?

- Nie wiem, jeśli ich mundur stanowi kombinezon z czerwonego jedwabiu, to tak.

Kubek zrobił kolejną rundę, do kociołka ktoś dorzucił świeżą garść kawy. Ogień w dzień nie ma tej magicznej siły przyciągania jak o zmroku i w nocy. My go jednak potrzebowaliśmy. Stał się naszym stałym punktem w świecie, który się obracał i zmieniał z zastraszającą szybkością.

- Nie rozumiem jednak, co może zyskać cesarz przez zajęcie hrabstwa Daska.

Nie wypowiedział mu wojny, a swoich roszczeń wobec ziemi nie obroni nawet przed własnymi wasalami. Będą wspierać prawowitych dziedziców - myślałem dalej.

- Hrabia ma jednego dziedzica - odpowiedział Valer. - Jej Wysokość Annemari.

Z tego, co wiem, najeźdźcy przekazali zamek Welhelmowi Krotowi. On ma za zadanie zorganizować ślub Jej Wysokości z synem hrabiego Vadviga. Sam hrabia jest już stary, a jego syn, delikatnie mówiąc, ograniczony.

- To znaczy, że słucha każdego, kto wkradnie się w jego łaski. Welhelm Krot to przedłużenie ręki cesarza. Małżeństwo Vadviga juniora z Annemari zapewni cesarzowi całkowitą kontrolę nad hrabstwem Daska - podsumowałem.

- Dokładnie tak - przytaknął Valer.

- A to wszystko z powodu uchodźców z M - napomknąłem.

- Tak, cesarz ich potrzebuje. Z ich powodu wypowiedział jedną wojnę i nie ma nic przeciwko dalszym. Ponadto mój pan już długo był mu solą w oku.

Dopiliśmy kawę w milczeniu przerywanym jedynie jękami rannego, który zapadł w gorączkowy sen.

- A jak pan się tutaj dostał? - zainteresował się Valer.

- Właściwie sprowadziło mnie tu spotkanie z pewną kobietą.

- Gdzie jest? - Kapitan wpadł mi w słowo, ale zaraz umilkł, jakby swą niecierpliwością do czegoś się przyznał i teraz tego żałował.

- Śledziłem jej mordercę. Zabił ją, zanim zdążyła mi cokolwiek powiedzieć. Pokazała tylko pusty woreczek.

Na krótką chwilę wzrok tego silnego mężczyzny uciekł w głąb czaszki, zmarszczki się pogłębiły, a ja zobaczyłem, jak będzie wyglądał za piętnaście, dwadzieścia lat, o ile dożyje tak sędziwego wieku.

- To była... - na moment zamilkł - dobra kobieta. To krótkie zdanie było niczym epitafium na nagrobku, który nigdy nie będzie istniał.

- Polowała, czasem pracowała dla nas jako kurier i wiele czasu spędzała z Jej Wysokością. Nie jestem pewien, ale myślę, że zbierała dla niej informacje właśnie o panu.

Teraz mówił już zwięźle, spokojnym tonem, bez śladu emocji.

- Informacje o mnie? - Uniosłem brwi ze zdziwienia.

- Tak, Jej Wysokość życzyła sobie być jak najlepiej poinformowana na pana temat. Elisabeth niewiele udało się zdobyć. Często się pan gubił, a później znów tajemniczo pojawiał. - Pozostawił moje pytanie bez odpowiedzi.

- Powinniśmy chyba sprawdzić, czy właściwie pan odgadł zamiary Welhelma

Krota - wolałem zmienić temat.

- A przede wszystkim obmyślić, jak uratować Jej Wysokość - przypominał.

\* \* \*

Nasz prowizoryczny obóz został zlikwidowany błyskawicznie. Ciężko rannego wraz z mężczyzną, który miał przestrzeloną nogę i poruszał się z trudnością, zostawiliśmy głęboko w lesie, w miejscu, gdzie ciężko byłoby ich znaleźć. My poszliśmy w stronę zamku hrabiego Vadviga. Za nami zostało trzydziestu martwych. Dla nich wszystkie drogi już się skończyły, stali się karmą dla innych w odwiecznym cyklu życia.

Przeszliśmy przez zalesioną grań, jeden za drugim, cisi i ostrożni. Valer wybrał dobrych ludzi, albo raczej starcie z ninja przeżyli tylko ci najlepsi. Nie miałem pojęcia, że z rękami w kajdanach można udusić specjalnie wyszkolonego zabójcę jedynie przy użyciu nóg.

- Trakt - powiedział mężczyzna idący na przedzie. Zatrzymaliśmy się jak na komendę i położyliśmy się.

Dnem doliny wiła się szeroka ścieżka, po której mogły jeździć nawet powozy.

Wnioskując z głębokich, świeżo odcisniętych kolein, musiało ostatnimi czasy przejechać ich niemało. Jakby na potwierdzenie naszych domysłów zza zakrętu rozległo się skrzypienie drewnianych osi, tętent kopyt, a od czasu do czasu słychać było pokrzykiwania woźnicy

- Poczekamy i popatrzymy - powiedział Valer stłumionym głosem.

Byli to dobrzy i doświadczeni ludzie, lecz jednak mnie denerwowali. Przyzwyczaiłem się polegać tylko na sobie, a ich obecność otępiła moje zmysły, tępiła ostrze, które pomagało przeżyć samotnikom. Po długim czekaniu w polu widzenia pojawili

się jeźdźcy: dwóch ciężkozbrojnych najemników, trzeci mężczyzna niósł sztandar cesarskiego mistrza ceremonii.

Spojrzałem na Valera. Słońce stało teraz wysoko i paliło nas w plecy, po skroni ściekał kapitanowi pot.

- Chyba ma pan rację, cesarz przywiązuje do planowanego związku wielką wagę. I chce, żeby nie było wątpliwości, że chodzi o czysto szlacheckie, zaaprobowane przez niego małżeństwo. Proporzec ma złote tło, to znaczy, że mistrz ceremonii wiezie księgę ziemską z nazwiskami wszystkich rodów szlacheckich - skomentowałem orszak pod nami.

- Ponoć ta księga sama rozpoznaje, kto jest szlachcicem, a kto nie - rzucił krótko obcięty mężczyzna leżący obok Valera.

Coraz więcej jeźdźców wynurzało się zza zakrętu, mistrzowi ceremonii towarzyszyło kilku innych szlachciców z orszakami. Zjeżdżali się goście, goście-świadkowie. A wnioskując z ich pozycji społecznej, organizator ślubu miał w ręku wszystkie atuty.

- Myślałem, że tych czarodziejskich ksiąg już od dawna się nie używa - powiedział człowiek z mojej lewej. Starszy od reszty, zaczynał mu się robić podwójny podbródek, ale po lesie poruszał się niczym duch.

- Używa się, ponieważ nie da się ich oszukać. Dzisiaj nie kryją już tego, tak jak kiedyś. Czasy się zmieniają - mruknąłem. - Wygląda na to, że naprawdę spieszą się ze ślubem.

- Będziemy się trzymać grani, ciągnie się wzdłuż drogi i doprowadzi nas aż do zamku. Pięknie tu i dziko - zdecydował Valer.

Podnieśliśmy się jak wyćwiczona sotnia i truchtem pobiegliśmy w wyznaczo-

nym kierunku.

\* \* \*

Siedziba Vadvigów była położona na szczycie stromej skały, którą z trzech stron opływała rzeka. Koryto miało szerokość zaledwie piętnastu metrów, ale rzeka pędziła przez głazy z prędkością galopującego konia, a niebieskawy odcień wody zapowiadał głębię i silny nurt. Nie ustrzegłem się przed wspomnieniem Aguiny, dużej rzeki tworzącej wschodnią granicę hrabstwa Daska. Wszystkie te wody niosły ze sobą zimno gór, gdzie się narodziły. Rzeka w połączeniu ze stromymi ścianami skał sprawiała, że mały zamek stawał się orlim gniazdem nie do zdobycia. Tylko na północnym zachodzie za murami siedziby Vadvigów rozpościerała się łąka ograniczona rosnącym lasem. Po kilkuset metrach równina kończyła się i zmieniała w stromiznę nie do pokonania. Jediną drogę na górę stanowiła kręta, wąska ścieżka.

- Woźnice się spocą - mruknął przysadzisty chłopak z dołeczkami w policzkach.

Zaledwie przekroczył dwudziestkę, w ustach przeżuwał źdźbło trawy i, nawet nie zdając sobie z tego sprawy, gładził kłosa dzikiej pszenicy, uśmiechając się przy tym.

Mógłbym się założyć, że pochodził z chłopskiej rodziny. Jego uśmiech był pełen zadowolenia, wręcz zmysłowy.

- Dziwię się, że nie obwarowali również i tej łąki, ale Vadvigowie nigdy nie byli zbyt przedsiębiorczy. - Głos Valera sprowadził mnie do rzeczywistości.

- Zanim spróbujemy czegokolwiek, musimy szczegółowo poznać okolicę - zauważyłem.

Gęsty, dziki las działał na naszą korzyść, ale to było wszystko. Jeśli gdzieś w roślinności skrywały się tereny nie do przebycia, gdzie człowieka mogły zatrzymać rozpadliny czy pionowe skały, dobrze byłoby wiedzieć to wcześniej.

Zza gęstwiny jodeł wynurzyła się młoda sarna. Wiatr wiał w naszym kierunku, ostrożnie się zbliżała, jednocześnie nieufnie obracając, głowę z boku na bok. Minęła nas w odległości kilku kroków. Oprócz mnie chyba nikt inny jej nie zauważył.

- Przejdę się obok zamku - powiedziałem cicho. - Jestem przyzwyczajony poruszać się tak, żeby nikt mnie nie widział.

- Pójdę z panem. - Valera moja wypowiedź nie zdziwiła. - Stavros, rozdzielcie się. Kiedy spotkamy się tutaj za dwie godziny, chcę wiedzieć wszystko o okolicy.

Stavros to był młodzieniec wyglądający na wieśniaka. Tylko kiwnął głową, odgryzł koniec źdźbła i rzucił na ziemię.

- Alend, weź braci i skontrolujcie północną stronę, ja biorę południową - rozkazał cicho swoim kompanom.

Trawa i krzewy ledwie zaszeleściły i w jednej chwili zostaliśmy z Valerem sami.

Było już po południu, ale słońce paliło teraz najbardziej. Miałem spierzchnięte wargi, zaschło mi w ustach. Martwi, którzy leżeli na stoku kilka kilometrów stąd, nie mieli takich problemów. Mimo to nie zamieniłbym się z nimi.

W ciągu godziny na kolanach i na brzuchu obleźliśmy z Valerem łąkę dokoła.

Przed murami obronnymi sterczeli cieśle i służący, wszyscy przygotowywali się do wielkiej uroczystości pod gołym niebem. Między miejscowych wmieszali się ludzie pracujący dla poszczególnych gości, czego wynikiem był chaos przypominający maskaradę. Mimo to wciąż jeden za drugim rozstawiane były namioty z barwami i znakami heraldycznymi kolejnych weselników.

- Jest ich tylu, że chyba nie mogą zmieścić się w zamku - Valer skomentował zamieszanie na łące.

- Spieszą się, chcą to mieć jak najszybciej z głowy. A patrząc na rody - pokaza-

łem proporce powiewające na murach - cesarz chce, żeby nikt w żadnym przypadku nie mógł przeszkodzić temu małżeństwu. Obawiam się, że ślub odbędzie się już jutro.

Valer nie odpowiedział. Zamiast tego obserwował scenę spojrzeniem jastrzębia, jastrzębia z ludzkim rozumem.

- Muszę przeszkodzić - wymamrotał do siebie po długim milczeniu.

Łąka stopniowo zaczynała przypominać miejsce przysłego święta. Dwa rzędy dębowych blatów ciągnęły się na długość dobrych trzydziestu metrów, między nimi przerwa na taką szerokość, żeby mógł między nimi przejechać dwukonny zaprzęg. Na krańcu biesiadnego stołu rzemieślnicy kończyli właśnie robić podium z siedziskami chronionymi przez płócienny dach. Przed bramą zamku wznosiła się podobna, chyba jeszcze wyższa budowla.

- Czoło stołu dla urzędnika udzielającego ślubu i młodej pary. - Valer pokazał w stronę bramy. - Z drugiej strony dla krewnych i najważniejszych gości.

Zgodziłem się z nim. Gdybym miał urządzać ślub i choć trochę obawiałbym się wizyty kogoś niepożądanego, usadziłbym młodą parę w jak najbardziej bezpiecznym miejscu. Najlepiej bezpośrednio w zamku, ale z powodu charakteru uroczystości było to niemożliwe.

- Jak właściwie chcę zmusić Annemari, żeby wyszła za młodego Vadviga?

Mistrz ceremonii przecież ją spyta, czy wychodzi za niego z własnej nieprzymuszonej woli - rzuciłem.

- Ma pan na myśli Jej Wysokość? - odparł Valer trochę chłodno.

- Tak, mam na myśli Annemari. Kupiłem ją kiedyś na targu za trzydzieści pięć złotych i zaprowadziłem do domu. Wędrowaliśmy razem w dziczy przez kilka miesięcy. Myślę, że mogę zwracać się do niej po imieniu - przypomniałem mu wydarzenia

sprzed trzech lat.

Valer poważnie się zamyślił, jakbym właśnie sprowokował go do filozoficznej zadumy.

- Tak, pan może - zgodził się w końcu. - Hrabia jest w niewoli i z pewnością jej zagrozą, że zabiją go, jeśli nie powie „tak”

- Taki sposób przekonywania w większości się sprawdza - stwierdziłem. - Zakładam, że ma pan plan?

Valer skinął głową, nie spuszczając przy tym wzroku z przedstawienia przed nami. Na szyi usiadł mi komar. Czulem ukłucie, ale dałem mu spokój. Było ich zbyt wiele, a jeśli raz człowiek zacznie się wiercić, nie potrafi przestać i w efekcie przeszkadza to tylko w koncentracji, bo pogryziony jest w obu przypadkach tak samo.

- Mam. Podczas uroczystości zabijemy pana młodego. Zyskamy trochę czasu i będziemy mogli przygotować się do uratowania Jej Wysokości - odpowiedział.

Spojrzałem na niego z ukosa. Wciąż uważnie obserwował ludzi przed nami, klasyfikował ich, oceniał, starał się odgadnąć, kto do kogo należy. W ostatnich dniach z pewnością niezbyt dużo spał, na koniu i pieszo pokonał odległość kilkuset kilometrów, mimo to wciąż był gotowy stawić czoła wrogom i dbał o swych ludzi najlepiej jak umiał. Podziwiałem go.

- Na lewą wieżę da się wejść, przerwy między kamieniami są dość spore. Jeśli dostaniemy się na górę, będziemy mieć stamtąd wspaniały widok i cel jak na dłoni - zaproponowałem.

Valer popatrzył na mnie ze zmarszczonymi brwiami.

- Na krużgankach wieży stoją zazwyczaj strażę, myślę że dwóch, ale raczej trzech ludzi - powiedział spokojnie.



- To prawda - zgodziłem się. Trzech zmęczonych strażników na warcie było problemem, lecz do rozwiązania. Kapitan to wiedział, ja to wiedziałem, tylko sprawdzaliśmy, czy myślimy tak samo.

\* \* \*

O zmroku wszyscy tłoczyliśmy się pod dębem, do którego ze wszystkich stron przylegały młode zarośla buku. Ochładzało się, a ja już chyba po raz tysięczny chciałem, żeby człowiek potrafił się zagrzać wspomnieniem południowego upału. Leżałem na plecach z płaszczem jak najbliżej ciała. Z prawej i lewej strony przytulali się do mnie inni ludzie. Doświadczeni żołnierze nie czekają, aż zaczną się trząść w nocnym chłodziu, lecz zaczynają się do siebie tulić od razu po zachodzie słońca. Stara prawda, której nie można przeczytać w wojskowych podręcznikach. Przez liście przebłyskiwały pierwsze gwiazdy. Deneb, Altair, Antares. Magiczne nazwy magicznych punktów na niebie.

- Kapitanie? - odezwał się ktoś w ciemności półgłosem.

- Tak, Vaskez?

- Jeśli dobrze rozumiem, pan razem z bliznowatą gębą sprawi, żeby Jej Wysockość jutro nie wyszła za mąż, a naszym zadaniem jest we właściwej chwili zwabić do siebie wszystkie siły Vadvigów i ich kumpli. Czy tak?

„Bliznowata gęba” to ja. W drużynie nie byłem zbyt popularny. Nie znałem ich imion, ale po głosie poznałem, że tak nieuprzejmie tytułował mnie człowiek o twarzy oszpeconej szeroką szramą od czoła przez lewe oko aż do brody. W konkursie na najbrzydszego człowieka na ziemi obydwaj byłibyśmy faworytami.

- Tak, dobrze zrozumiałeś - odpowiedział cicho Valer. Temperatura jeszcze bardziej spadła, czułem, jak wokół ust zamarza mi wydychane powietrze.

- Nie będziemy mieli zbyt wielkiej szansy na przeżycie z tymi wszystkimi ludźmi za plecami - Vaskez kontynuował swoje uwagi. - Dlaczego mielibyśmy to zrobić, dlaczego nie znikniemy, nie wyparujemy jak złodzieje o świcie?

Valer milczał, jakby zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Masz piękną, młodą żonę, Vaskez, dzieci pewnie też? - wmieszałem się do dyskusji.

- No, piękne, zdrowe dzieci - uściślił z ciekawością w głosie.

- A jak myślisz, co się stanie, kiedy Jej Wysokość wyjdzie za młodego Vadviga?

Zapadła taka cisza, że prawie słyszałem, jak na liściach osadzają się krople rosy

- Cesarz przyśle więcej swoich ludzi, a wszyscy ci, którzy kiedykolwiek mu się przeciwstawili, będą prześladowani. Twoja rodzina, podobnie jak rodziny twych kolegów, wszyscy będziecie prześladowani. Poza tym nie dotrzymasz słowa. Jesteś żołnierzem i obiecywałeś, że będziesz chronić wszystkich tych, którzy ci wierzą.

- To prawda - stwierdził, a jego głos wciąż brzmiał tak samo.

Od początku to wiedział, chciał tylko, żeby pozostali myśleli w ten sam sposób co on.

- Ale dlaczego pan tutaj jest? Nie znam pana, nie należy pan do nas. Dlaczego miałby pan ryzykować swoje życie? Będzie panu jeszcze trudniej niż nam - zadał mi pytanie.

Tym razem ja zamilkłem.

- Widocznie jestem głupcem - stwierdziłem wreszcie.

Lepszej odpowiedzi nie znalazłem. W chwili, kiedy wieczorny gwiazdozbiór zniknął już za horyzontem, a ja byłem pewien, że jestem ostatnim, który czuwa i rozkoszuje się wspaniałym pięknem nocy, ktoś głośno mlasnął.

- Jak pan poznał, że mam dzieci i żonę? Piękną żonę? - odezwał się w ciszy Valer.

- Oprócz Valera i ciebie wszyscy walczą ze strachem o własne życie. To najcenniejsze, co mają do stracenia. Ty, jeśli będziesz myślał, że to pomoże twojej rodzinie, jesteś w stanie sam napaść na zamek Vadviga.

- A to, że jest piękna?

- Tylko bardzo piękna kobieta może pokochać kogoś z tak szpetną gębą jak twoja. Każda inna by się bała, że po nocy spędzonej z tobą zamiast dzieci urodzą się jej małe, szkaradne demony! - odpowiedziałem.

Zaśmiał się cicho, nagle po niebie przeleciał meteor, za nim drugi, trzeci i kolejny, a ja zrozumiałem, że to już sen.

Spałem lekko, ale dobrze. Obudziłem się o świcie, kilka oddechów wcześniej niż Valer. Gęsta korona dębu ochroniła nas przed rosą, lecz w powietrzu unosiła się wilgoć i nawet w słabym świetle świtu rozpoznawałem szron na liściach wokół.

Przez chwilę nic się nie działo, jednak czułem, że mężczyźni budzą się jeden za drugim. Taki jest duch drużyny, duch grupy gdzie wszyscy zdani są na jednego i jeden na wszystkich.

- Idźcie na swoje miejsca i kierujcie się naszą umową i własnym zdaniem - powiedział sucho Valer, wstając.

Bolało mnie w krzyżu, miałem ochotę na gorącą, mocną kawę i chętnie zobaczyłbym trzaskający ogień. Drugim najstarszym w kolejności zaraz po mnie był Valer. Gdybym jednak trochę się postarał, również i on mógłby być moim synem. Porzuciłem tę myśl i ściągnąłem pasek o jedną dziurkę. Ostatnimi czasy zbyt dużo nie jadłem i już zaczynało być to widoczne.

- Na co czekamy? - powiedziałem i wszyscy ruszyli.

Pół godziny później stałem pod wieżą. Pierwszy punkt naszego samobójczego planu. Valer wchodził pierwszy. Przykleił się do ściany niczym prawdziwy pająk i ruszył ze zdumiewającą lekkością. Kontrolował każdy kawałek swego ciała nieprawdopodobnie pewnie. Zaczynałem już rozumieć, jak samymi nogami zdołał udusić ninja.

Tuż poniżej krużganka zawisł i gestem wskazał, że teraz moja kolej.

Wspinaczka nigdy nie należała do moich ulubionych zajęć, nie mówiąc już o wchodzeniu po kamiennej ścianie, gdzie co drugi kamień kruszy się pod palcami, a człowiekowi wciąż wpada do oczu kurz. O strażnikach chodzących nad naszymi głowami starałem się nie myśleć.

Każdy mężczyzna przynajmniej raz w życiu zdecyduje się na jakieś ryzykowne przedsięwzięcie. Kiedy dobrze oceni okoliczności, swoje możliwości i nie ma strasznie go pecha, może mu się udać, może przeżyć. Ja w życiu byłem wplątany w wiele różnych sytuacji, które co bardziej rozumny człowiek omijałby szerokim łukiem. Zwłaszcza w ciągu ostatnich dziesięciu lat wydawało mi się, że regularnie prowokuję los i jego towarzyszkę śmierć.

Szpara, w którą przed chwilą wsunąłem trzy palce, nagle się rozszerzyła, czułem jak coś, co stawiało opór pod opuszkami, się rozsypuje. Na szczęście cały czas spodziewałem się czegoś takiego, wróciłem więc do bezpiecznego chwytu prawej ręki.

Miałem ze sobą bardzo piękną, stalową kotwicę okręconą sznurem z łyka, żeby podczas zakleszczania się między kamieniami tylko cicho brzęknęła. Krużganek wieży był jednak zbyt mały i na pewno by ją zauważyli. Mięśnie przedramienia, które przytrzymywały większość mojego ciężaru, piekielnie już paliły, gdy wreszcie znalazłem

inne miejsce, za które mogłem się złapać i podciągnąć wyżej. Spojrzałem w dół. W półmroku rozpoznawałem tylko ruch wierzchołków drzew pod sobą. Mury obronne siedziby Vadviga nie były wysokie, zupełnie odwrotnie niż w większości innych zamków. Nieprzystępność zapewniały jej właśnie strome skały pod nią. Księżyc tuż przed pełnią właśnie zachodził, z drugiej strony korony drzew otaczało coraz mocniejsze światło wschodzącego słońca. Znów odwróciłem się do ściany. Moment później już się kulilem pod kamienną poręczą, za którą przechadzało się dwóch strażników. Przyszliśmy za wcześnie, musieliśmy czekać, aż nastąpi zmiana warty. Nie było sensu zabijać jednych, żeby zaraz spotkać się z innymi.

Ręce mnie bolały, ramiona stężały, bałem się, że w każdej chwili może mnie złapać skurcz w lewej łydce. Musiałem być gotowy do ataku, a nie obolały od wiszenia na ścianie. Liczyłem uderzenia serca i w nieskończoność sobie powtarzałem, że przy następnym na pewno przyjdzie zmiana warty. Ciężka kusza, zawieszona na pasie, nieźnośnie wrzynała się w plecy. Dopiero przy tysiąc pięćset dwudziestym trzecim uderzeniu serca usłyszałem człapiące kroki człowieka, którego przed momentem ktoś wyciągnął z ciepłego łóżka. Odchrząknął i splunął.

- Jesteśmy, Koris - oznajmił ostry, nieledwie wściekły głos. - Zmiana. Diabli nadali tę wartę. Będę tutaj tkwić aż do południa!

- Ale pomyśl o tych biedakach, którzy wieczorem nawet nie będą mogli się napić! - odpowiedział inny.

Kroki przybrały na sile, rozlegały się teraz tuż nade mną. Jeden z nich kulał.

Otrząsałem się i starałem przywrócić nędzne ciało do używalności.

- Racja, my przynajmniej sobie użyjemy. Gdy już będzie po ślubie tej dziewczynki, porządnie się napijemy.

Przyszło mi do głowy, że Annemari pewnie już dużo nie urosła. Chociaż w ogóle nie miałem pojęcia, jak może po tych trzech latach wyglądać.

Poprzednia warta wreszcie odeszła. Jeszcze przed chwilą panowała grobowa cisza, teraz ptaki śpiewały jak najęte. Świt, obietnica nowego dnia i wszystkiego, co się w nim zdarzy.

Włożyłem nóż między zęby i kawałek po kawałku wciągałem się w górę. Natychmiast w ustach miałem pełno śliny. Widziałem kiedyś obraz pirata, jak ze sztyltem w zębach wspina się na pokład. Wyglądał na tym obrazku bardzo groźnie, był w stanie nawet robić miny. Ja zamiast tego wciąż przełykałem ślinę.

Już ich widziałem. Stali obok siebie i patrzyli w dal w kierunku zamku. Z pewnością nie chcieli im się ciągle chodzić po schodach w górę i w dół i spacerować po murach z jednej wieży do drugiej. Wsparłem się na dłoniach, stopniowo napinałem mięśnie tułowia i niczym akrobata podnosiłem nogi, aż w końcu moje stopy znalazły się ponad murem obronnym. Ostrożnie wstałem, ale ciągle skulony niczym wyrośnięty pająk. Właśnie teraz potrzebowałem przysłowiowego szczęścia, żeby bez żadnego wyraźnego powodu się nie odwrócili. Zerwał się wiatr, wykorzystałem jego szum do zamaskowania własnego ruchu i ześliznąłem się na krużganek. Przemieściłem się w stronę ściany otaczającej wewnętrzną klatkę schodową na wieży. Tutaj cień był większy. Miałem nadzieję, że przynajmniej przez chwilę patrzyli na wschód i ich oczy będą oślepięte światłem. Kamień zatrzeszczał pod zelówką, kroki się zbliżały. Nie trzymałem już noża w ustach, ale w ręce z ostrzem skierowanym w górę. Strażnik przeszedł obok mnie z głową odwróconą w stronę lasu. Płynnie, ni szybko, ni wolno, aby nie ostrzegł go powiew poruszonego powietrza, wstałem, przycisnąłem się do niego i jednym ruchem poderżnąłem gardło. Jednocześnie zakryłem mu usta lewą ręką, żeby nie

wydał żadnego dźwięku. Ostrożnie położyłem trupa na ziemi. Palce prawej ręki miałem umazane we krwi, nos pełen jej odoru. Przeszedłem nad zwłokami i powoli przesuwalem się tuż przy wewnętrznej ścianie krużganka do miejsca, gdzie - jak sądziłem - stoi drugi żołnierz. Nawet gdyby Valerowi nie udało się dostać na górę, ciągle miałem szansę.

Zrobiłem jeszcze krok i ujrzałem bezwładne ciało na ziemi. Valer, wciąż jeszcze tylko sylwetka z szerokimi ramionami stojąca nad trupem, odwrócił się w moim kierunku.

- W porządku? - ni to zapytał, ni to stwierdził.

- Tak - odpowiedziałem i obszedłem krużganek dokoła.

\* \* \*

Świt zmienił się w poranek, niektórzy wciąż jeszcze cieszyli się dniem pełnym obietnic. Miałem nieprzyjemne poczucie, że ja do nich nie należę. Wolałem rozejrzeć się po okolicy.

Żołnierze mogli się do nas dostać na dwa sposoby: przez wewnętrzną, kręconą klatkę schodową, albo z każdej strony po murach obronnych. Wieża przewyższała mury o dobre trzy metry i w razie potrzeby mogła służyć obrońcom jako bezpieczne miejsce do stawiania oporu.

- Jest tak, jak chcieliśmy. Nie zostaje nam nic innego niż czekać - powiedział

Valer, podając mi płaszcz jednego z martwych. Założyłem go, na głowę wcisnąłem jego hełm. Śmierdział potem i myszami.

Wraz z nastaniem dnia czułem, że coraz lepiej nas widać i coraz łatwiej zranić.

Byliśmy dwaj, sami, tylko kilka kroków od masy nieprzyjaciół. I jeszcze chcieliśmy zwrócić na siebie uwagę. Linę z kotwicą, która była naszą nadzieją, starannie zwiną-

łem i położyłem obok. Mniej więcej dziesięć metrów od muru rosła niezwykle wysoka sosna, której najwyższa, mocna pozioma gałąź wyrastała koło trzech metrów pod nami. Z niej mieliśmy o wiele większą szansę zejść na ziemię bez doznania uszczerbku na zdrowiu, niż gdybyśmy spuszczali się po linie bezpośrednio po murach na oczach wszystkich. Planowaliśmy ześliznąć się na sosnę, później jak najszybciej zsunąć się wprost w gęstwinę lasu i zwiewać. Nasze szanse miały się zwiększyć dzięki atakowi ludzi Valera w odpowiednim momencie.

Nie mogłem się ustrzec przed zerkaniem co chwila na sosnę. Valera nic podobnego nie interesowało, wzrok wbił w miejsce, gdzie miał się odbyć ślub. Wołałem zacząć sprawdzać kuszę. Zupełnie niepotrzebnie - były właściciel świetnie dbał o swoje narzędzie, którym zarabiał na życie, mechanizm spustowy działał gładko, a twardość prostej cięciwy nie przestawała mnie zadziwiać. Wiedziałem, że strzelać będzie Valer. Poza tym strzał na odległość dwunastu metrów, jakie dzieliły nas od podium, na którym Annemari miała zostać poślubiona, był stosunkowo prosty. Przezorny człowiek jednak stara się nie tracić bez potrzeby ani jednego atutu, aby nie prowokować losu. - Nigdy bym nie pozwolił, żeby drzewa rosły tak blisko murów obronnych - powiedział kapitan półgłosem, kiedy przyłapał jedno z moich częstych spojrzeń na naszą zbawienną sosnę. - A to bym ściał jako pierwsze.

Nie odpowiedziałem. Zrobiło się już zupełnie jasno, gorączkowa krzątanina wskazywała na to, że przygotowania dochodzą do kulminacyjnego momentu. Przed zamkniętą zakratowaną bramą zatrzymała się grupa ludzi. Dwóch żołnierzy na warcie bez szemrania zaczęło kręcić kołowrotem, ciężka krata powoli się podnosiła. Czekający mężczyźni trzymali siekiery i inne narzędzia, wyglądali na cieśli. W końcu brama podniosła się wysoko, strażnicy zabezpieczyli kołowrót klinem. Gdyby groziło niebez-



pieczeństwo, wystarczyło go wybić i krata pod własnym ciężarem zjechałaby w dół.

Zostało jeszcze dużo czasu do zamknięcia bramy głównej, która przez długi czas mogła stawiać opór nawet podczas ataku dużym taranem.

Cieśle wymienili z żołnierzami jeszcze parę żartów i wyszli. Pierwszą ich czynnością była ścinka naszego drzewa. Musiałem się starać, żeby głośno się nie rozśmiać.

- Możemy się spuścić po linie od razu na dół, tam, gdzie zaczynają się mury obronne - rzucił sucho Valer.

Miał rację, ale wtedy będziemy świetnym celem dla każdego szybkiego łuczniaka. Zahaczyłem kotwicę i przygotowałem koniec liny do schodzenia.

Około dziewiątej zaczęli gromadzić się goście i wkrótce szpaler dla państwa młodych był gotowy. Chorążowie przynieśli sztandar cesarskiego mistrza ceremonii i podnieśli go na taką samą wysokość jak chorągwie rodu Vadviga i Daska. Naliczyłem w sumie dwanaście orszaków szlacheckich, byli to albo sojusznicy cesarza, albo ci, którzy nie mogli mu takiej służby odmówić. Wnioskując po nasilającym się szmerze, zbliżała się chwila pojawienia się narzeczonych.

- Co by się stało z Annemari, gdyby nam się nie udało i gdyby w końcu wydali ją za młodego Vadviga? - zapytałem.

Dziedziniec był pełen ludzi, kilku żołnierzy starało się zepchnąć tłum w bok, żeby zrobić miejsce dla gości weselnych.

- Vadvig ma dalekich krewnych, gdyby umarł, natychmiast znalazłoby się paru kandydatów do dziedziczenia - odpowiedział natychmiast Valer.

Pewnie również już o tym myślał.

- Myślę też, że cesarz nie chciałby, aby wynik jego intryg zależał od życia ogra-

niczonego Vadviga - dodał.

Valer miał rację. Cesarz miał tyle do stracenia, że był skłonny wywołać z tego powodu wojnę.

- Myślę, że do czasu, zanim Jej Wysokość nie będzie mieć dziecka, nie zrobi nic - kontynuował swoje rozważania. - A później się zdziwią, ponieważ Vadvig bardzo szybko umrze, a ona zostanie jedyną władczynią obu hrabstw. I jestem pewien, że będzie w stanie bronić swego.

W słowach kapitana można było wyczuć dumę. Mówił o Annemari jak o swojej córce. A był o dobrych piętnaście lat młodszy ode mnie, podczas gdy ja myślałem o niej kiedyś w zupełnie inny sposób.

- Zgadzam się - powiedziałem. - O ile ten, kto to wszystko zaplanował, nie jest mądrzejszy i bardziej bezwzględny niż się panu wydaje. Jeśli zorientuje się, jaka jest Annemari, zabije ją w momencie, kiedy będzie jasne, że z dzieckiem wszystko jest w porządku.

Twarz Valera zeszywniała, zamiast przystojnego mężczyzny zobaczyłem teraz bezlitosnego żołnierza broniącego interesów swego pracodawcy. Nie, poprawiłem się w myślach, broniącego interesów tych, których cenił i na swój sposób kochał.

- Kolejny powód, dla którego musi nam się udać - zakończył sucho.

- Już idą! - krzyknął ktoś na dole.

Najpierw wyszła straż honorowa, za nimi orszak szlachty, a następnie para, mężczyzna i kobieta. Ona w sukni z paru metrów kwadratowych materiału, z trenem, który niosło kilka drухen, on w czymś, co kolorem przypominało papugę zarażoną tyfusem plamistym.

- Niech się pan przygotuje - uprzedził mnie Valer, wskazując moją kuszę. - Nie

mogę strzelać, prawie na to oko nie widzę. - Dotknął blizny, kiedy zobaczył moją zdziwioną minę.

Dopiero teraz zauważyłem, że białko ma przekrwione, a źrenica ucieka na bok.

Rana musiała uszkodzić delikatne mięśnie oczu.

W milczeniu naciągnąłem kuszę. Na niewielką odległość mogłem na sobie polegać. Orkiestra zaczęła grać melodię, która bardziej nadawałaby się na pogrzeb kogoś, kogo człowiek za bardzo nie lubił i orszak ruszył. Kiedy czoło zastępu minęło podium przed bramą, zdałem sobie sprawę, że coś jest nie w porządku.

- Ten bałwan w ogóle nie dba o bezpieczeństwo! - wybuchnął Valer. - Chce, żeby pobrali się tam!

Pokazał drugie podium, mniej więcej pięćdziesiąt metrów od nas. Broń nagłe zaczęła palić mnie w rękach. Pośrodku drogi orszak się zatrzymał, a ludzie zaczęli wznosić okrzyki na cześć przyszłych nowożeńców. Pewnie miejscowa tradycja. Podczas przerwy na dalsze podium wspiął się cesarski mistrz ceremonii ze swoją, świtą, na bliższe stary ojciec Vadviga. Kto reprezentował hrabiego Daska, nie wiedziałem. Z pewnością oznajmili, że jest chory i wybrali zastępcę. Takich machinacji nie można było dowieść, zwłaszcza gdyby Dask później zmarł. Chorym czasem się to zdarza.

- Nie jest to znowu aż tak daleko - powiedział Valer, spojrzawszy na mnie.

Znów był zupełnie spokojny. Może on był elitarnym strzelcem, ja nie.

- Wie pan, jak to jest ze strzelaniem do celu - zauważyłem. - Wystarczy powiew wiatru i trafia się obok. Przy takiej odległości życie Jej Wysokości może być zagrożone.

Przyjrzał mi się badawczo. Zdałem sobie sprawę, że po raz pierwszy powiedziałem o Annemari tak oficjalnie.

- Jeśli się zorientują, że tu byliśmy, staną się ostrożniejsi i prawdopodobnie

zawiozą ją prosto do cesarskiego pałacu - stwierdził.

Orszak tymczasem dotarł do drewnianej budowli pokrytej złotorudym suknem, gdzie czekał już mistrz ceremonii. Straż honorowa przesunęła się w bok, robiąc przejście dla przyszłej młodej pary. Wiał delikatny wiatr z lewej, po niebie goniło się kilka chmur, ale słońce grzało i wciąż jeszcze stało przed najwyższym punktem swej drogi.

- Nie mogę strzelać. Nie skazałby jej pan przecież na śmierć. Sam pan mówił, że ją zabiją.

W głosie Valera po raz pierwszy dała się słyszeć rozpacz. Nie odpowiedziałem, zamiast tego napiąłem cięciwę do granicy mocy i założyłem bełt z dużymi skrzydełkami stabilizującymi. Uklękawszy, oparłem kuszę o poręcz. Vadvig i Annemari stali teraz tyłem do mnie przed otyłym mężczyzną w złotej szacie. Nagle zapadła cisza, nawet z dużej odległości dokładnie słyszeliśmy słowa mistrza ceremonii.

- Czy ty, Janeesie Vadvigu, bierzesz sobie za żonę obecną tutaj Annemari Dask i będziesz ją szanował na dobre i na złe oraz dbał, żeby jej honor nigdy nie został splamiony?

Suchotnicza sylwetka młodego hrabiego skakała mi przed oczami. Co chwila mierzyłem w złotą szatę udzielającego ślubu mężczyzny. W ręce trzymał księgę ziemską rodów szlacheckich. Kiedy narzeczeni powiedzą „tak”, położą na niej dłonie, a w mozaice złożonej z aktywnych rubinów, pochodzących jeszcze z czasów przed Wielkiej Wojny, pojawią się herby ich rodów. Mistrz ceremonii wypowie głośno Ich prawnomocne tytuły i małżeństwo będzie przypieczętowane.

Skoncentrowałem się na wycięciu celownika. Gdyby ten gnojek był przynajm-

niej gruby!

- Czy ty, Annemari Dask, bierzesz sobie...

Przestałem słyszeć, celownik się ustabilizował i nagle był niczym wyciosany z kamienia, drobny kontur młodego Vadviga stał się bardziej wyraźny, rozróżniałem prawie wyszywane złotem ornamenty. Celowałem w prawą, łopatkę, jak najdalej od Annemari, ale tak, żeby strzał go zabił. Cisza oczekiwania, nacisnąłem spust...

Głowa Vadviga się rozprysła, złota szata pokryła się nagle czerwonymi plamami, ktoś krzyknął.

- Nie, trupa nie mogę poślubić - rozległ się dźwięczny głos.

Rozpoznałem go, wciąż brzmiał tak samo. Raptem zaczęło krzyczeć wiele osób naraz, trzech uzbrojonych żołnierzy przewróciło się ze strzałami w piersiach, z lasu wynurzyło się kilku mężczyzn i zaatakowało.

- Brońcie dziewczyny! Jeśli coś jej się stanie, każę was wszystkich powiesić!

Ogromny, barczysty mężczyzna w czerni zaczął wydawać rozkazy. Nawet w zamieszaniu, jakie wybuchło, jego ludzie słuchali słów dowódcy.

- Uciekamy? - rzuciłem, chociaż wcale mi się nie chciało.

Byłem ciekawy, jak to się skończy. Z drugiej strony ciekawość to pierwszy stopień do piekła.

Valer skinął głową prawie niechętnie.

Zrzuciłem koniec liny z wieży i zjechałem w dół tak szybko, że poczułem gorąco nawet pod podeszwami butów. Valer był na dole chyba jeszcze szybciej niż przypiął się do liny. Uciekaliśmy do lasu, za plecami słyszałem wrzaski i szczęk broni. Wątpiłem, czy któryś z ludzi Valera przeżyje, zbyt długo kryli nam tyły.

- Zaprowadźcie ją na dziedziniec, a także starego hrabiego, mistrza ceremonii i

paru świadków! Gdy już tu zrobimy porządek, chcę mieć przygotowany drugi ślub! -

Przez wrzawę wyraźnie przebił się głos dowódcy.

Jak na komendę zsunęliśmy się razem z Valerem na ziemię, ukryliśmy w zaroślach i po krótkim, rozeznanu w sytuacji, głęboko pochyleni w przód biegliśmy z powrotem w stronę murów obronnych. Złożoną na cztery linę podrzuciłem w górę, Valer prawie wbiegł na mur i wciągnął sznur za sobą. Zrzuciłem z siebie płaszcz strażnika. Było mi w nim gorąco i cisnął mnie w ramionach.

- Chcą ją wydać za starego hrabiego! - wycedził Valer przez zęby. Prawie wcale się nie zadyszał. - Gnojki!

Spojrzałem w dół na dziedziniec. Grupa żołnierzy otaczała gromadkę cywilów, prowadząc ich przez bramę na dziedziniec.

- Na to im nie pozwolę!

Zdanie jeszcze nie przebrzmiało, a już z kuszą w ręce zniknął w wejściu na klatkę schodową. Ja za nim. Sam nie dałby rady, we dwóch mieliśmy przynajmniej jakąś szansę. Nie rozumiałem, co tu właściwie robię. Kapitan kochał Annemari, ja jej ani jej rodowi nie byłem nic dłużny. Wbiegliśmy na dziedziniec, Valer powalił na ziemię dwóch zdziwionych żołnierzy. Płaszcz strażnika dawał mu przewagę zaskoczenia i dzięki temu zabił kolejnego. Utorował nam tym drogę. Dwa skoki i stałem przy bramie.

- Co się tam, do diaska, dzieje!

Ogromny mężczyzna z czarnym, zakrzywionym mieczem w ręce zmierzał właśnie w stronę przejścia na zamek, za nim oddział żołnierzy i szlachciców w odświętanych ubraniach, wszyscy uzbrojeni.

- Zabiję cię! - wrzasnął, kiedy stwierdził, że stoję mu na drodze, twarz wykrzy-

wił w grymasie wściekłości i nienawiści.

Zanim zdążyli się poruszyć, trzymałem w ręce drewnianą pałkę i wybiłem klin blokujący koła mechanizmu ciągnącego. Ściana krat zjechała w dół, grad strzał za-trzymał się na stalowych prętach.

- Nie strzelajcie, tępaki! Tej dziewczynie nic nie może się stać! Musimy przedo-  
stać się przez mury. Pierwszy po drugiej stronie dostanie dziesięć złotych! - wrzasnął.

Miał szeroką zuchwę, byczy kark i pasującą do tego wielkością klatkę piersio-  
wą. Czarne ubranie nie było aksamitnym czy jedwabnym mundurem, lecz zwyczaj-  
nym, farbowanym, wełnianym płaszczem założonym na czarny, emaliowany kirys.

Nawet nie starał się wyglądać jak gość weselny. Przez chwilę się sobie przyglądaliśmy.

- Już gdzieś cię widziałem - warknął.

- Temu pierwszemu nic nie przyjdzie ze złota! Jego kieszki zawiążę sobie wokół  
pasa! - krzyknąłem, żeby wszyscy słyszeli.

Entuzjizm jego ludzi zdecydowanie osłabł. Odwróciłem się. Valer stał już przy  
Annemari, żołnierze, przez których się przebił, leżeli martwi, ranni albo tylko poroz-  
rzucani wokół. Otyły mistrz ceremonii przyciskał do piersi dużą, oprawioną w metal  
księgę. Rubiny pokrywające okładki wyglądały na razie jak każde inne kamienie szla-  
chetne, aktywowała je formuła. Annemari spojrzała na mnie. To była ona. Włosy dłuż-  
sze niż pamiętałem, to, co w jej twarzy zostało z dziewczęcego czaru, zostanie tam aż  
do śmierci, bez względu na wiek. Wargi podkreślone ciemną czerwienią wygięły się w  
uśmiechu.

- Cieszę się, że cię widzę, brzydalu.

- Co zrobimy? - pominąłem jej powitanie. - Zabijemy go? - pokazałem starego

Vadviga i spojrzałem na Valera.

Vadvig był kiedyś wysokim mężczyzną, ale starość sprawiła, że zmalał, trzęsące się ręce i rozbiegane spojrzenie wskazywały na zaawansowaną demencję starczą.

- Zabijemy?! - powiedział z nadzieją, a w oczach pojawił mu się przebłysk rozumu.

Położył dłoń na rękojeści swojego ozdobnego mieczyka.

- Głupcy, to wasz koniec - oznajmił spod zakratowanej bramy Czarny. Wokół niego kłębili się razem żołnierze i zaproszeni szlachcice. Gdyby przyszło im do głowy przynieść drągi i zacząć działać, już byliby w środku.

- Koniec - powtórzył raz jeszcze.

Zgodziłem się z nim, lecz nic nie mówiłem.

- Nawet jeśli zabijecie tego starca, mam wokół siebie mnóstwo szlachciców, dla których będzie honorem poślubienie tej małej dziwki i wyświadczenie przysługi cesarzowi.

Spojrzałem na Valera. W jednej ręce trzymał kuszę, w drugiej krótki miecz. Żaden z nas nie brał długiej broni do zabawy ze wspinaczką po murach. Miał jeszcze przyspieszony oddech, lewy rękaw płaszcza był rozcięty, świeża rana na twarzy nabiegła krwią, na skroni pulsowała niebieska żyła.

Podniósł kuszę i wycelował w mistrza ceremonii. Mężczyzna zaczął drzeć, podbródki drżały każdy w innym rytmie.

- Udziel im ślubu - rozkazał Valer, wskazując na Annemari i na mnie.

- Nie mogę, panie, nie mogę. - Pokręcił głową grubas i zrobił krok w tył.

- Albo ją zabiję - dodał Valer, przesunąwszy wycelowaną w Annemari kuszę.

Spust chodził lekko, zdenerwowałem się. Grubas przełknął ślinę. Przed chwilą wydawało się, że nie może być bardziej zdenerwowany, ale jemu się udało. Głęboko



wciągnąłem i wypuściłem powietrze. Dziś nie był mój najlepszy dzień. Sam w zamku pełnym nieprzyjaciół, wokół masa wrogów, a mój jedyny towarzysz oszalał. Słońce wciąż grzało mocno, na niebie przesuwały się chmury. Im było wszystko jedno, co się działo. Żołnierz z przebitym brzuchem, leżący w pokręconej pozie na bruku, jęknął i jeszcze bardziej się skulił. Kałuża krwi wokół niego rosła. Cisza się przedłużała.

- Tak czy owak umrze - powiedział Valer i uniósł kuszę, mierzył teraz w twarz Annemari. Ona, Bóg raczy wiedzieć dlaczego, uśmiechała się.

- Słuchaj! - gwałtownie powiedział Czarny, a mistrzowi ceremonii ulżyło. Ludzie coraz bardziej tłoczyli się przy bramie, żeby z malowniczego widowiska nic im nie umknęło.

Rzucałem nerwowe spojrzenia na wejście do głównego budynku. Kilka zręcznych osób z pewnością zostało w środku i prędzej czy później zorientują się, że coś jest nie w porządku i będą starali się temu przeciwdziałać.

Zorganizowanie świadków było kwestią kilku chwil. Kusza Valera miała bardzo dużą siłę przekonywania. Ja stałem i starałem się wymyślić, jak wydostać się z tych tarapatów. Nic nie przychodziło mi do głowy. Jak uciec z oblężonego zamku? Gdyby przynajmniej była noc, ale nie mogliśmy mieć nadziei, że utrzymamy się do momentu, aż zapadnie ciemność. Poza tym z Annemari by się nie udało. Popatrzyłem na nią i zdałem sobie sprawę, że jej bliskość mnie rozprasza, a uśmiech drażni. Wszyscy walczylśmy o życie, a ona miała minę, jakby w ogóle nie zdawała sobie z tego sprawy.

Tymczasem mistrz ceremonii odmówił pierwszą część swojej litanii i przystąpił do kolejnej:

- Czy ty Annemari Dask, pochodząca z rodu Dasków, bierzesz sobie za męża obecnego tutaj... - Zwrócił się do mnie ze znakiem zapytania w oczach.

- Koniasza - odpowiedział mu Valer. - Nazywa się Koniasz, to wystarczy.

- Koniasz Wstręciuch - uzupełniła Annemari i prawie przy tym zachichotała.

- Koniasza Wstręciucha, bierzesz sobie... - kontynuował mistrz ceremonii.

Pokręciłem głową. To nie miało sensu, właściwie może tylko dla Valera. Starał się pozbyć Annemari wartości dla cesarza, albo przynajmniej zyskać dla niej na czasie.

- Tak - odpowiedziała Annemari.

Tłum za bramą zahuczał. Wiedziałem, że będzie się o tym mówiło jeszcze długo, bez względu na to, jak cała awantura się skończy. Częściowo aktywowane rubiny zaczęły fosforyzować podczas wygłaszania małżeńskiej przysięgi. W pełnym świetle nie było tego jeszcze zbytnio widać.

Przypominałem sobie w myślach otoczenie zamku, mury obronne, teren, ale wciąż nie widziałem żadnej drogi na zewnątrz. Uciec z klatki, spod kosa śmierci. Zapadła cisza. Wszyscy nagle patrzyli na mnie.

- O coś cię pyta - powiedział Valer, prawie nie podnosząc głosu. Może mi się wydawało, ale kuszę skierował teraz w moją stronę.

Gnojek.

- Tak - odpowiedziałem.

Czarny się roześmiał.

- Głupcy! Małżeństwo między szlachcianką i człowiekiem nieszlacheckiego pochodzenia musi być uznane przez co najmniej trzy stare rody. Możecie być pewni, że nigdy wam się to nie uda! Do tego czasu dziewczyna jest tylko tymczasowo zamężna i nic z tym nie możecie zrobić!

Mistrz ceremonii odetchnął, było widać, że nie pamiętał o prawie zwyczajowo-

wym. Valer postarzał się nagle o dziesięć lat.

- To nie była jeszcze cała ceremonia - zwróciłem uwagę udzielającemu ślubu.

- Ma pan na myśli pocałunek? - zapytał niepewnie.

Pokręciłem głową, wskazując księgę rodów. Rubiny świeciły teraz wyraźnie. W jaki sposób działał czar, nikt oczywiście nie wiedział, mimo to szlachta przez całe stulecia własną krwią zapisywała do księgi swoich dziedziców. W czasach, kiedy wykorzystywanie magii karane było śmiercią, potajemnie, żeby nikt nie wiedział, dziś już prawie publicznie. Nawet ci, którzy się bali, powrócili do tego zwyczaju.

Mistrz ceremonii wzruszył ramionami, z trudem uklęknął przed Annemari i podał zamkniętą księgę, żeby jej dotknęła. Położyła dłoń na świecących kamieniach.

- Panno z krwi i rodu Dasków...

Na okładce uformował się herb Dasków, a mocna poświata pokazała wszystkim, że naprawdę jest pełnoprawną dziedziczką tytułu.

- ...potwierdź pocałunkiem związek z Koniaszem Wstręciuchem.

Mistrz ceremonii odwrócił się do mnie, żebym i ja mógł położyć dłoń na książce. Zrobiłem tak i zalała nas druga fala poświaty. Pełnomocnik cesarza wytrzeszczył oczy, kiedy zobaczył heraldyczne symbole stworzone przez rubiny.

Tłum zahuczał ze zdziwienia. Czarny wściekle wrzasnął.

- To niemożliwe - krzyczał bez przerwy

- ...z ich krwi i kości, niech pan potwierdzi pocałunkiem ten związek! - Mistrz ceremonii dokończył formułę.

Spojrzałem na Annemari, wciąż miała na twarzy przyglupi uśmiezek.

- Należy dopełnić wszystkich formalności - oznajmiłem i pocałowaliśmy się.

Ludzie, tłoczący się przy kracie, przyglądali się nam zachłannie, ktoś zaczął bić

brawo.

- Zabijcie go! Kto sprawi, że zostanie wdową, dostanie sto złotych! - Czarny w końcu doszedł do siebie.

Niecierpliwy chciwiec przepchnął grot strzały przez kraty i spuścił cięciwę. W tłoku nie mógł dokładnie wycelować, więc trafił w bok mistrza ceremonii. Strzała z niedużej odległości wbiła się w trzęsące ciało aż po pióra, otyły mężczyzna przypominał wieloryba nadzianego na harpun.

- Jeśli ktoś zadraśnie tę dziewczynę, wypatroszę go! - Czarny zareagował na złe trafienie.

- Szybko! Zamkniemy bramę, żeby nie mogli tutaj patrzeć! - krzyknął Valer i już biegł do przodu.

Nie rozumiałem, co ma na myśli, ale pomogłem. Ja, jak na razie, nie miałem żadnego planu. Później wycofaliśmy się w stronę klatki schodowej wieży strażniczej. Z budynków na razie nikt nie wyszedł.

- Twój płaszcz. Spróbuję ich przekonać, że jestem tobą i skieruję na siebie ich uwagę - powiedział, kiedy nie było nas już widać. - Wtedy wy wymkniecie się tyłem. Przede wszystkim nie daj się zabić, wszystko to - machnął ręką wokół, uwzględniając również martwe ciała na bruku - poszłoby na marne.

Miał rację, dopóki Annemari była moją żoną, cesarz nic z tym nie mógł zrobić.

Ale łatwiej powiedzieć, gorzej zrobić.

Podniosłem kuszę, którą Valer odłożył, kiedy się przebierał, i strzeliłem w udo zbyt gorliwego kucharza, spieszącego, żeby otworzyć bramę.

- Nie daj się zabić! - Valer powtórzył jeszcze raz i odwrócił się do Annemari. -

Wasza Wysokość, gratulacje z okazji ślubu!

Oficjalnie uklęknął, pocałował brzeg jej sukni i gwałtownie wbiegł po schodach na górę. W chwili, kiedy pojawił się na murach, rozległ się wrzask i zaświergotały strzały.

- Wariat - warknąłem.

- Właśnie udowodnił, że będzie mi służyć tak samo, jak mojemu ojcu. - Anne-mari, trochę zgorszona, wytłumaczyła jego zachowanie.

- Tak, już zapomniałem - powiedziałem i wykonałem ręką gest usprawiedliwienia. - Musimy się przygotować, zaraz wyruszamy również my.

- U siebie w pokoju mam przygotowane rzeczy do ucieczki, linę, ubrania.

Przez te lata zapomniałem, jaka jest praktyczna i sprytna.

- Idziemy! - rozkazałem, w tym momencie z zamku wypadło trzech żołnierzy.

Albo się ukryli i czekali na właściwą okazję, albo po prostu spali. Wyciągnąłem nóż z bandoletu i trafiłem najbliższego w pierś. Metalowe łuski skrzyknęły, kiedy ostrze przeszło na wylot. To ich trochę przyhamowało, natomiast ja przyspieszyłem. Prześliznąłem się pod zbyt zamaszystym uderzeniem z góry, zablokowałem ostrze tuż przy osłonie noża, dźgnąłem w podbrzusze i pociągnąłem w górę. Ostatni żołnierz stał niczym słup soli. Jego towarzysze mieli miecze tak jak on, ja tylko noże, a mimo to byli martwi. Rozumiałem go. Mało kto wie, jak bardzo niebezpieczny jest nóż w rękach tego, kto umie się z nim obchodzić i nie boi się. Nie boi się ruszyć do walki wręcz. Rozumiałem go, ale musiał umrzeć, ponieważ mnie widział.

Trzymałem broń przed sobą z ostrzem skierowanym ukośnie w górę, rękę ugiąłem w łokciu. Wycofywał się ze strachem w oczach. Później się zdecydował, zrobił wypad i dźgnął. Wykręciłem się bokiem, zablokowałem jego miecz i odtrąciłem w bok tułowia, drugim nożem ciąłem od spodu w przedramię atakującej ręki. Skręcił się z

bólu, kontynuowałem ruch i podciąłem szyję. Upadł w tył z pustymi oczami.

- Uwaga! - krzyknęła Annemari. Przed budynkiem stało dwóch łuczników, strzały założone, cięciwy naciągnięte. Świat zwolnił. Skąd się tutaj wzięli, przyszło mi do głowy, ale już leciałem w powietrzu. Pierwszy łucznik złamał się w pasie z beltem w brzuchu, drugi wypuścił strzałę. Coś mnie trafiło, z ledwością zakończyłem upadek przerzutem przez bark. Wstałem, poczułem ból w nodze, strzelec miał już założoną kolejną strzałę. Na chwilę spojrzał na Annemari, jakby nie mógł się zdecydować. Słusznie stwierdził, że Annemari nie naciągnie kuszy i po raz drugi nie strzeli. Ale ja już trzymałem swój najcięższy nóż do rzucania i robiłem zamach. Było zbyt daleko, dziesięć, może dwanaście metrów. Twarz przecięta cięciwą, otarła się o mnie brzechwa strzały, ja trafiłem go w ramię. Wystartowałem w jego stronę, w palcach trzymał już następną strzałę, skok, cięciwa w zaczepie, kolejny skok, napinanie łączyska, odbicie, ostrze strzały - czarny punkt na rozmazanej plamie twarzy. Kopnąłem go w twarz, raz, drugi, trzeci, upadł na bok. Stopę lewej nogi miałem przestrzeloną na wylot, on leżał na ziemi z sieczką zamiast oblicza. Kiedy oddychał, z ust wydobywały się wielkie różowe bąble. Doczołgałem się do niego i poderżnąłem mu gardło. Koniec z bąblami. Serce czułem aż w gardle, szaleńczy puls ogłuszał. Wdech, wydech, wdech. Musiałem jak najszybciej zebrać wszystkie siły.

Annemari zbliżała się do mnie przez podwórze, ostrożnie się rozglądając. Jej suknia zdążyła już porządnie się zniszczyć, straciła tren, dolny brzeg był czerwony i różowy od krwi, szary od poprzyklepianego kurzu.

Złamałem strzałę, wyciągnąłem ją z nogi i stwierdziłem, że mam jeszcze jedną w łydce, a do tego krwawi mi bok.

- Poduszka do igieł, zrobili ze mnie przeklętą poduszkę do igieł - warczałem,

kuśtykając do drzwi budynku. Bolało bardziej niż wydawało się możliwe, miałem mroczki przed oczami. Annemari szła krok za mną. W ręce trzymałem nóż, na wypadek, gdybyśmy jeszcze kogoś spotkali. Po drodze zaglądałem do pomieszczeń, które mijaliśmy, ale wszystkie były puste, każdy chciał obejrzeć ślub. Dotarliśmy aż do pokojów Annemari na wieży, lecz wiedziałem już, że z biegania po lesie nic nie wyjdzie. Zostawiałem za sobą wyraźny czerwony ślad. Z zewnątrz docierały dźwięki skrzypiącego metalu, starali się otworzyć bramę. Usiadłem na miękko obitym krześle. W lustrze przed sobą widziałem brzydką twarz złego człowieka, blade wargi zaciskałem z bólu i wyglądałem na bardzo zmęczonego.

- Uciekaj. To twoja jedyna szansa. Przebierz się za służkę, gdzieś się schowaj, a pod wieczór albo rano bierz nogi za pas. Wróc do domu, twoi ludzie ci pomogą - powiedziałem i rozciąłem sobie nogawkę. Łydka bardzo krwawiła, ale było to czyste przestrzelenie mięśnia. Gdy go zszyję, będzie jak nowy. No, prawie. Stopa wyglądała o wiele gorzej.

Annemari przyglądała mi się w swojej ślubnej, brudnej od krwi sukni, a oczy miała większe, niż wydawało się to możliwe.

- Do cholery, szykuj się! - wrzasnąłem na nią. - Przebierz się, weź rzeczy i gdzieś się schowaj.

Jakbym obudził ją z zaklęcia. Podniosła mój zakrwawiony nóż, skierowała ostrze w stronę dekoltu i jednym ruchem pociągnęła w dół. Materiał zaszeleścił i upadł przy jej nogach. Nie wiedziałem, co przecięła, ale nagle stała przede mną zupełnie naga. W następnej chwili pochylała się nad skrzynią i wyciągała z niej bluzkę i spódnicę. Motyle, które jakiś czas temu varirscy wojownicy wytatuowali na pośladku i pod łopatką Annemari, wciąż tam były ale jej figura już dawno przestała być chłopię-

ca. Ubrała się prawie tak samo szybko, jak rozebrała. Miała na sobie proste odzienie służki pani na zamku.

- Włosy - zwróciłem jej uwagę.

Starła się nałożyć czepek, ale włosy wciąż się spod niego wymykały więc po raz drugi chwyciła mój nóż i z rudawych splotów nie zostało nic. Zrobiło mi się przykro.

- Już idzie! Pchajcie! - wrzasnął ktoś na zewnątrz i prawie w tym samym momencie zachręściły zęby mechanizmu unoszącego kratę.

- Za tym parawanem są drzwi do pokoju służki, prawie nikt o nich nie wie - zwróciła mi uwagę i znikła na korytarzu.

Miała całkiem sporą szansę na to, że uda jej się uciec. Ja nie. Nawet gdybym gdzieś w końcu się schował, zdradziłyby mnie ślady krwi, jakie za sobą zostawiałem. Wziąłem się do roboty z łydką. Mogłem spróbować dostać się po linie na mury obronne, a później do lasu. Mogłem i wiedziałem, że tego spróbuję. Choćby dla zasady Wstałem i nie udało mi się powstrzymać jęku. Bolało jak diabli, a może nawet jeszcze bardziej. Drugi krok nie był łatwiejszy ale poruszałem się pewniej. Stopa natychmiast zaczęła krwawić. W bucie musiałem mieć basen krwi. Wyglądało na to, że nie zdołam uciec.

- Przeszukajcie tu wszystko! - zabrzmiał rozkaz na podwórzu.

Już tu byli. Po głosie rozpoznałem, że to nie Czarny, pewnie poleciał gdzieś za Valerem. Drzwi otwarły się na oścież, nagle w obu rękach trzymałem noże. Zamiast żołnierza ujrzałem Annemari. Była brudniejsza niż przed chwilą i wlokła ze sobą wiaderko pełne wody

- Schowaj się w pokoiku służki. Wytarłam po tobie, jeszcze muszę wyczyścić tutaj!



Nie wiedziałem, czy mam ją zwymyślać, czy podziękować. Miała uciec, a nie opiekować się mną! Posłuchałem i wsunąłem się w korytarz. Raczej korytarzyk. Był wąski i niski, ramionami dotykałem ścian i musiałem stać głęboko pochylony. Za moment znalazła się przy mnie.

- Zejdziemy kawałek niżej. Już prawie tu są - wyszeptała zdyszana.

Zszedłem kilka stromych schodków niżej.

- A służka? - chciałem wiedzieć.

- Wczoraj ją zwolniłam i poprosiłam o inną. Myślę, że jeszcze żadnej nie znaleźli, a teraz nie będą się tym martwić - odpowiedziała.

Przytulaliśmy się do siebie. Pachniała delikatnymi perfumami, w których rozpoznawałem fiołki i bez, ubranie, które założyła, musiało niedawno suszyć się na słońcu. Ja wokół siebie rozsiewałem zapach krwi, zapach śmierci. W ciasnym korytarzu stopniowo przebijał on wszystkie inne i czułem go również ja.

Ktoś pchnął drzwi do apartamentu Annemari, w korytarzyku powiało świeżym powietrzem. Jednocześnie weszli również do pokoju służki. Znaleźliśmy się w pułapce niczym królik w norze. Annemari jeszcze mocniej się do mnie przytuliła, jej oddech połaskotał mnie w szyję.

- Nie ma go! - powiedział ktoś, drzwi trzasnęły i przeciąg zniknął.

W ciągu następnej godziny oba pokoje odwiedzili jeszcze dwukrotnie i dwa razy przeszukali. W korytarzyk nie zajrzał nikt.

Już nie staliśmy, lecz siedzieliśmy na wąskich schodach, opierając się o siebie.

Po południu panujący wszędzie chaos trochę ustał. Odważyłem się wyjść na górę do apartamentu Annemari. O ile dobrze widziałem, drużyny szlacheckie, jedna po drugiej, przygotowywały się do odjazdu, z zamku wyjeżdżała właśnie grupa konnych.

Domyśliłem się, że to drużyna, która ma szukać uciekinierów, a także poinformować Czarnego o sytuacji na zamku. Niewielu ludzi zostało. Nie było po co. Młody hrabia był martwy, a stary nikogo nie interesował.

- Do wieży nikogo nie wpuszczać, pilnować. Kapitan na pewno będzie chciał przeszukać ją osobiście - mówił mężczyzna w kolczudze dwóm żołnierzom pilnującym drzwi.

Pewnie zastępca Czarnego.

- Wygraliśmy, będą pilnować, żeby nikt nam nie przeszkadzał - szepnęła Annemari za mną.

W głosie znów miała cień wesołości.

Wzdrygnąłem się. Nie słyszałem jej dobrze, spowodowała to utrata krwi. Huczało mi w uszach i kręciło się w głowie.

- Mamy spokój do czasu, aż wróci ten czarny gnojek. Jest mądry. Zostało wiele śladów, na podstawie których zorientuje się, co tutaj zaszło. A kiedy wróci, zależy od tego, jak długo Valer zdoła mu uciekać.

- Da radę dojść aż do domu. - Annemari nie traciła dobrego humoru.

Miałem nadzieję, że ma rację, już z naszego powodu.

- Muszę się napić - powiedziałem po chwili. Gdy człowiek traci wiele krwi, dobrze jest dużo pić.

- Wody czy wina? - spytała, łobuzowaty ton w jej głosie brzmiał jeszcze wyraźniej.

- I tego, i tego. Wody najpierw - poprosiłem.

Podana mi dzban z wodą, z sekretarzyka wyjęła butelki wina. W wosku, którym zalano korki, nie było żadnych pieczęci i nie miałem pojęcia, czego mogę się spodzie-

wać.

- Barbarzyńcy - skomentowałem to.

Annemari spojrzała na mnie pytająco.

- Nie oznaczają wina, a kobiety tutaj nie noszą bielizny - wytłumaczyłem i wolałem się napić, ponieważ moje spostrzeżenie nie zabrzmiało zbyt uprzejmie w tych okolicznościach.

Siedzieliśmy w ciszy, ja na łóżku z podwiniętymi nogami, Annemari w fotelu.

Był tak wielki, że prawie w nim ginęła. Po wypiciu dzbanka wody i pierwszej butelki wina, które nie okazało się takie złe, czułem się o wiele lepiej. Słońce powoli chyliło się ku zachodowi, na parapecie okna leniwie bzyczało kilka much. Martwi zostali już sprzątnięci.

- Przed świtem znikniemy. Weźmiemy konie ze stajni. Pojedziemy drogą, a jeśli przypadkiem ktoś nas zatrzyma, będziemy udawać, że należymy do orszaku któregoś z gości. Gdy się oddalimy, łukiem skierujemy się w stronę twojego domu. Nie możemy spotkać się z tym gnojkiem - przedstawiłem swój plan.

- A jeśli na noc zamkną bramę? - chciała wiedzieć Annemari.

- Nie powinni. Zakładam, że goście będą odjeżdżać przez całą noc aż do rana.

Nikt nie chce, żeby łączono go z tym, co się tutaj stało. Ale gdyby tak zrobili, zsuniemy się z murów i poczekamy kawałek dalej, a konie od kogoś pożyczymy.

- Podoba mi się słowo „pożyczymy” - zaśmiała się. - Należysz mi wina?

- Nie jestem zbyt uprzejmy, co? - Pokręciłem głową, naprawiając swój błąd.

Ochłodziło się jeszcze przed zachodem słońca, ale okno zostawiłem otwarte, żeby nikt przez przypadek nie zauważył zmiany. Zamek sprawiał teraz wrażenie na wpół opuszczonego, jak miejsce, gdzie diabeł mówi dobranoc. Prawdopodobnie był właśnie taką

dziurą, przynajmniej do czasu, kiedy cesarz nie włączył go w swoje plany.

- Elisabeth cię znalazła? - Annemari przerwała długie milczenie.

- Właściwie tak - przytaknąłem i opowiedziałem dziewczynie, jak wszystko się potoczyło.

- Przykro mi, że umarła z mojego powodu - szepnęła, podniosła się z fotela i podstawiała mi kielich do napełnienia.

Krew przesiąkała przez opatrunek stopy, ubrudziła powleczenie łóżka. Gdybyśmy znów mieli się schować, musiałbym je jakoś zakryć.

- Nie z twojego powodu. Ze swojego, robiła to, co chciała - powiedziałem bardziej zdecydowanie niż zamierzałem.

Wino zabulgotało w szyjce butelki. Annemari usiadła obok mnie i znów odpoczywaliśmy w milczeniu. Bliskość dziewczyny była przyjemna, ale przeszkadzała w myśleniu bardziej, niż mi się to podobało.

- Wiesz, co było w tym woreczku, który wyciągnęła?

Pokręciłem głową.

- Mały szmaragd wart trzydzieści pięć złotych. Dostałeś wtedy nagrodę od mego ojca za to, że mnie przyprowadziłeś do domu, a ja ci go ukradłam. Tyle zapłaciłeś za mnie na targu. Chciałam, żebyś po niego wrócił.

- To było dawno - stwierdziłem.

- Dawno - powtórzyła cicho.

W jej głosie słychać było łzy

Rozumiałem ją. „Dawno” oznaczało czasy, kiedy miała kochającego ojca, zapewnioną przyszłość, bezpieczeństwo i wygodę domu rodzinnego, Ale to było dawno.

Teraz ukrywała, się w obcym zamku, w pokoju z obcym facetem, jej ojciec był praw-

dopodobnie martwy i nie miała pojęcia, czy w ogóle uda się jej wrócić do domu.

- Poleganie na tych trzydziestu pięciu złotych to z twojej strony zbyt duże ryzyko - wolałem raczej wrócić do mniej poważnych wspomnień.

- Nie powiedziałałabym - jeszcze nieco smutno uśmiechnęła się i napiła wina. -

Wiesz, co ci wtedy powiedziałam?

Doskonale to pamiętałem.

- Że poczekaś na mnie trzy lata. Do swoich osiemnastych urodzin.

- Nie dotrzymałam słowa. Skończę je dopiero za dwa miesiące, a już jestem mężatką.

O mało nie zakrztusiłem się winem. Wzruszyłem ramionami, nagle nie umiałem rozpoznać jej wyrazu twarzy. Pewnie dlatego, że zaczynał zapadać zmrok. Na pewno. Przyszło mi do głowy, że nie powinna przesiadać się na kanapę. Annemari była piękna, ponadto już dawno zaszła mi niezłe za skórę, a ja już długo nie miałem żadnej kobiety. Przyspieszony puls również nie robił dobrze moim ranom.

Wstałem i sięgnąłem po butelkę z winem.

- Jeszcze kieliszek? - spytałem, a mój głos brzmiał chrapliwie.

- Dlaczego, nie - odpowiedziała i również wstała.

Zdecydowałem się zakończyć tę dziwną sytuację, zanim mnie przerośnie. Pożądałem jej, ale... Nie wiedziałem dokładnie, co kryje się za tym „ale”.

- Nigdy w życiu nie spałem z dziewicą - powiedziałem. - Moja pierwsza dziewczyna, z którą zawarłem znajomość, była dziewicą, lecz przespał się z nią mój ojciec. Później przerodziło się to w małe nieporozumienie i przez kilka lat starał się mnie zabić. Dziewice przynoszą mi pecha, unikam ich.

Miałem problemy z artykulacją, prawie nie można mnie było zrozumieć.

- Więc z dziewicą? - powiedziała przeciągle. - Tę szansę zaprzepaściłeś trzy lata temu, wstręciuchu.

- Kłamiesz - oskarżyłem ją.

- Przekonać się możesz tylko w jeden sposób - powiedziała, a w jej oczach tańczyły isierki.

Nagie przestało mi się wydawać, że panuje mrok, światła było dość.

Rozwiązała sznurek przy dekolcie i pozwoliła bluzce powoli zsunąć się z ramion, W oczach wciąż miała śmiech i... i pragnienie.

Gdzieś nad łokciami bluzka się zatrzymała. Ostrożnie, żeby nie podrapać Anemari swoimi zgrubiałymi dłońmi, pomogłem jej dokończyć to, co sama zaczęła.

Skórę miała aksamitną. Potem rozpiąłem jej spódnicę i pozwoliłem, aby spadła na ziemię. Miała majtki, czarne, jedwabne, pełne obietnic.

- Nie jestem barbarzyńcą - szepnęła mi do ucha ze zduszonym śmiechem, ugryzła mnie i rozpięła sprzączkę pierwszego rzemienia z bronią.

- Jak to zrobiłaś? W południe ich nie miałaś... - wymamrotałem i zostawiłem ją, żeby sama poradziła sobie z moimi nożami.

- Tego się nigdy nie dowiesz.

A później już nie rozmawialiśmy.

Jeszcze przed świtem opuściliśmy pokój i powoli schodziliśmy po stopniach.

Szliśmy bez światła, gdzieś palły się świece i to nam wystarczało. Wejścia do wieży, co dziwne, nikt nie pilnował. Pewnie nie traktowali rozkazów zastępcy aż tak poważnie. Powoli przesuwaliliśmy się korytarzami, wnioskując ze stanu niektórych pomieszczeń, doszło do rabunków. Czas Vadvigów definitywnie się skończył. Kiedy mijaliśmy drzwi do piwnicy obok zamkowej kuchni, dobiegało stamtąd głośne chra-

panie. Żołnierze z pewnością naruszyli zasoby zamkowego wina. Dla nas lepiej. Stłumiłem pokusę, żeby ich zamknąć, niepotrzebne ryzyko.

Wreszcie znaleźliśmy się w stajniach. Zajmowały znaczną część parteru lewego skrzydła. Na zardzewiałym haku wbitym w nośny słup wisiała lampa olejowa, której knot powoli się dopalał, w boksach stały ostatnie cztery konie. Muchy jeszcze spały, spokój przerywało tylko parskanie od czasu do czasu. Domyśliłem się, że niektórzy ludzie zdecydowali się nie łączyć przyszłości ze swoim dowódcą i dali nogę. Rozejrzałem się w poszukiwaniu siodeł, wydawało mi się, że widzę je na belce w jednym z opuszczonych kojców. Wszedłszy tam, natknąłem się na śpiącego człowieka w sianie. Nóż wśliznął mi się do ręki prawie bez mojej woli, mężczyzna się obudził i skoczył na równe nogi.

- Co się dzieje, panie?

Zobaczył ostrze w mojej ręce, zamilkł i zbladł.

To nie był dorosły mężczyzna, ale młody chłopak, trzynaście, czternaście lat.

Słyszałem, jak Annemari za mną boleśnie westchnęła.

- Milcz albo cię zabiję - powiedziałem cicho i myślałem poważnie.

Chłopak spojrzał na mnie, widziałem, jak jego mózg zaczął pracować na pełnych obrotach, chwilę później zobaczyłem po jego oczach, że mnie rozpoznał.

- Pan jest... - zamilkł, ponieważ zrozumiał, jaki zrobił błąd.

Nie mogłem go pozostawić przy życiu. Natychmiast naprowadziłby wszystkich na nasz ślad.

- Osiodłaj dwa konie, szybko, cicho i dobrze.

Annemari położyła mi rękę na ramieniu, wiedziałem co chce przez to powiedzieć.

Chłopak skinął głową, ale nie odważył się ruszyć.

- Trzy konie - poprawiłem się. - Szybko, cicho i dobrze. Ten trzeci dla ciebie.

Dama będzie potrzebować sługi.

Napięcie opadło, widziałem, jak nam wszystkim ulżyło. Nie musiałem go zabić.

- Brama jest zamknięta? - spytałem.

- Nie, goście odjeżdżają prawie całą noc, sierżant, który dowodził, uciekł - odpowiedział prędko i zabrał się do pracy.

Przygotowywał trzecie zwierzę, kiedy usłyszałem chrząknięcie, ktoś się do nas zbliżał korytarzem.

- Pracuj dalej, nic się nie dzieje - uspokoiłem go. - Ty się schowaj za róg, a gdyby próbował nas wydać, zastrzel go - przykazałem Annemari.

Wątpiłem, by to zrobiła, ale miałem nadzieję, że to wystraszy chłopaka. Wczoraj mógł widzieć, co Annemari potrafi zrobić z kuszą.

Sam stanąłem tyłem do drzwi i czekałem. Kroki się zbliżały koń odgonił się ogonem od muchy która wyprzedziła świt. Słabnący płomień lampy zadrżał, cienie zatańczyły chaotycznie. Przybysz zatrzymał się w drzwiach.

- Co się tutaj dzieje, do cholery? Człowiek nawet nie może się w spokoju wyśpać!

Poczułem odór zwiędzłego piwa. Konie pachniały lepiej.

Chłopak spojrzał na przybysza, o mnie nawet nie zahaczył wzrokiem.

- A panu co do tego?! - Włożył w swe słowa porządną dawkę pogardy

- Ty smar...

Mężczyzna natychmiast ruszył w stronę chłopca, lecz zdążył zrobić krok i po-



wiedzieć dwie sylaby. Przykleiłem się do niego, lewą ręką odwróciłem mu głowę i z nim zdążył zareagować, przejechałem ostrzem po tętnicy szyjnej. Strumień krwi bryznął na ścianę, konie z przestachu parsknęły. Znow palce ślizgały mi się we krwi, ale cieszyłem się, że nie starałem się dźgnąć gościa w nerki. Miał na sobie zbroję kółkową ze wzmocnioną tylną częścią.

- To było dobre - oceniłem, co zrobił chłopak.

Teraz trochę z przestachem przyglądał się ciału u moich stóp. Pewnie zdawał sobie sprawę, że niewiele brakowało, a skończyłby podobnie.

- Jak się nazywasz? - spytałem go.

- Harald, panie.

- Więc, Haraldzie, ten trzeci koń. Im szybciej wyjedziemy tym lepiej.

Skinął głową i wrócił do pracy. Annemari tymczasem wyszła z ukrycia, popatrzyła na mnie i nie wiadomo z jakiego powodu skinęła głową.

Wyprowadziliśmy konie ze stajni, wskoczyliśmy na siodła. Jechałem na przędzie z kuszą na kolanach i nożem w ręce. Końskie kopyta głośno stukały na bruku, wschód bladł, zaczynało świtać. Powietrze było zimne i wilgotne. Czekałem na krzyk, brzęk cięciwy. Nic takiego się jednak nie stało, przejechaliśmy przez bramę i zgubiliśmy się w rzednącej mgle rodzącego się dnia.

\* \* \*

Podróż do państwa hrabiego Daska przebiegła bez problemów, choć zajęła nam prawie miesiąc. Zacierałem za nami ślady najlepiej jak umiałem, raz przyłączyliśmy się do karawany kupieckiej, raz Annemari z Haraldem wjechali do miasta sami, ja towarzyszyłem im w pewnym oddaleniu, na wypadek, gdyby coś się stało.

Problem miałem tylko ja, nie wiedziałem, co mam począć z Annemari

Kochaliśmy się, w nocy się do mnie tuliła, a w dzień wykorzystywała każdą sposobność, żeby mnie dotknąć. Podobało mi się to, odpowiadało, dokładnie mówiąc czegoś takiego właśnie pragnąłem. Tylko nie było stosowne, żeby córka hrabiego, dziewczynka włości, kompromitowała się z takim włóczęgą jak ja. W dodatku niemal trzykrotnie od siebie starszym. Po kąpeli w rzece, kiedy stałem na straży, żeby nikt i nic jej nie zaskoczyło, a w końcu nas oboje zaskoczył dzik, szukający w pobliskim lasu żołądź, zdecydowałem się zostawić wszystko swojemu biegowi. Wiedziałem, że gdy dotrzemy do jej domu, sama zda sobie sprawę z sytuacji i coś z tym zrobi. Była mądra i pod wieloma względami bardziej praktyczna niż ja.

Harald traktował nas oczywiście niczym małżeństwo, a swoje obowiązki sługi wykonywał poważnie. Musiałem mu tego w końcu zakazać i pasować na współtowarzysza, ponieważ nie byłem przyzwyczajony, żeby ktoś zbierał mi drewno na ognisko, oglądał trawę, czy nie czyhają żadne niebezpieczeństwa, i zajmował się całą masą innych rzeczy, które towarzyszą codziennemu życiu w drodze.

Ostatniego dnia przed dotarciem do centralnego miasta w hrabstwie Daska, koń Annemari zranił się w nogę i zaczął kuleć. Dziewczyna nie chciała, żeby Harald szedł pieszo, więc przesiadła się do mnie.

Ponieważ w obawie przed ewentualnymi pułapkami unikaliśmy dróg, dotarliśmy na miejsce niezauważeni. Dopiero przed wejściem do wewnętrznej, obwarowanej części miasta, zatrzymała nas straż.

- Wasza Wysokość! - Oficer poznał Annemari i natychmiast posłał na zamek żołnierzy z wiadomością.

- Da pan radę zdobyć konia dla Jej Wysokości? - poprosiłem go.

- Nie ma potrzeby. - Powstrzymała mnie. - Jedziemy tak cały dzień i na ten ka-

walek już się nie oplaca. Nie będziemy pana ludzi - uśmiechnęła się do żołnierza - odrywać od pełnienia ważnych obowiązków.

- Nie godzi się, żeby hrabianka jechała w siodle z... - nie mogłem znaleźć właściwego słowa - ...z mężczyzną mego pokroju - powiedziałem w końcu.

- Jesteśmy małżeństwem - zwróciła mi uwagę.

Oficer zasalutował i pojechaliśmy dalej.

- Twojemu wierzchowcowi nic się nie stało? - Przyszło mi do głowy, kiedy posuwaliśmy się w stronę zamku ulicą, a wokół nas zbierał się tłum.

- Tak, umówiłam się z Haraldem. Potrafi sobie radzić z końmi - przyznała bez skrępowań, posyłając uśmiechy i pozdrowienia na wszystkie strony.

- Może jednak powinienem go po prostu zabić - odrzekłem półgłosem.

Zamiast odpowiedzi pocałowała mnie, owacje przybrały na sile.

Z Annemari wrócił ład. Ludzie zdawali sobie z tego sprawę, dlatego też tak ją witali.

Gdzieś na zamku rozległy się fanfary, sztandar hrabiego zatrzepotał na najwyższym słupie. W naszym kierunku szedł oddział żołnierzy z Valerem na czele. Odkąd znałem kapitana, nie widziałem na jego twarzy czegoś, co bardziej przypominałoby uśmiech.

- Pani, panie! - pozdrowił nas i zasalutował, jego ludzie utworzyli wokół nas szpaler.

- Pani ojciec nie żyje. W więzieniu zasłabł i nie wrócił do zdrowia. Umarł we śnie, podczas swojej ostatniej kolacji wyraził żal, że się pani nie doczeka. Oznajmiłem mu, że przybędzie pani w towarzystwie... - Valer zamilkł, ponieważ już znał moje pochodzenie. - W towarzystwie pana Koniasza - zdecydował się pozostawić to w tajem-

nicy

Annemari pochyliła głowę. Nie widziałem jej twarzy, tylko mocniej ją przytuli-  
łem. Jechaliśmy dalej i po chwili znów rozsyłała uśmiechy na wszystkie strony. Zanim  
dotarliśmy na zamek, minęły prawie dwie godziny. Pokoje były już przygotowane.

Chociaż tego nie chciałem, dostałem pokoje pana zamku. Stary hrabia nie mieszkał w  
nich od czasu, gdy umarła jego żona. Annemari miała swój buduar po przeciwnej  
stronie korytarza. Wyglądało na to, że nawet Valer traktuje nasz ślub zupełnie poważ-  
nie.

Usiadłem w fotelu w dużym gabinecie panującego na zamku i położyłem nogi  
na stole. Lewa stopa znów mnie bolała. Podczas drogi nie było czasu, żeby zupełnie się  
zagoiła.

Annemari odeszła do prywatnej części, żeby przeczytać list, jaki zostawił dla  
niej ojciec.

W dużym kominku płonął ogień. Zanim zdążyłem cokolwiek powiedzieć, poja-  
wił się służący ze stolikiem na kółkach, na którym stały dwa puchary i butelka wina.

Spróbowałem go.

- Jest tak samo świetne, jak to, które piłem u was trzy lata temu - powiedziałem  
ze zdziwieniem.

Służący się uklonił.

- Ma pan rację, kazał go dla pana przygotować jeszcze stary pan - powiedziaw-  
szy te słowa, wyszedł.

Siedziałem w zamyśleniu, z którego wyrwała mnie dopiero Annemari. Na jej  
twarzy błąkał się uśmiech.

Nie tylko na ustach, ale również w oczach. To była jedna z rzeczy która spra-

wiała, że wyglądała pięknie.

- Bałem się, że będziesz się smucić - powiedziałem cicho.

- Ten list... - Wzruszyła ramionami. - Nie mogłam się nie śmiać, kiedy go czytałam. Może kiedyś ci go pokażę.

Dask był naprawdę wyjątkowym człowiekiem, dla mnie wino, dla swej córki list, który ją rozweselił.

- Jestem dwadzieścia siedem lat starszy od ciebie - zacząłem ostrożnie.

- Umiem liczyć - upewniła mnie i przybrała pytający wyraz twarzy typu: ciekawe, co jeszcze wymyślisz.

- Mężczyzna powinien się przy boku żony zestarzeć, a nie zniedołężnieć - skróciłem swoje przemówienie.

- To żaden problem. Gdy tylko zniedołężniejesz, postaram się o fotel na kółkach i miłą opiekunkę, która będzie się tobą zajmować. W ogóle nie musisz się bać. A ja się rozejrzę za jakimś młodym kochankiem - oznajmiła.

- Przemyślałaś to - stwierdziłem, jakbym czegoś takiego się spodziewał.

- Oczywiście.

Naszą łaskawą wymianę poglądów przerwała służąca.

- Proszę pani, kąpiel już przygotowana!

O mało nie warknąłem. Nie byłem przyzwyczajony do ludzi wokół, którzy nieustannie się mną zajmowali.

- Może gorąca woda też by ci nie zaszkodziła? - szepnęła mi Annemari do ucha i lekko mnie ugryzła.

Służąca dyskretnie odwróciła wzrok.

- Co byś zrobiła, gdybym stracił to ucho? - zainteresowałem się.

- Masz dwa - odpowiedziała, wychodząc z gabinetu.

- A jeśli oba?

- Jest wiele innych interesujących części ciała! - dobiegło mnie już z korytarza.

Służąca, kobieta w wieku mniej więcej czterdziestu lat, poczerwieniała.

- Nie rozumiem, gdzie ta kłamczucha się tego nauczyła - powiedziałem celowo bardzo głośno.

- Będzie pan sobie także życzył kąpieli? - usłyszałem uprzejme pytanie.

- Tak - odpowiedziałem niechętnie.

\* \* \*

Po tygodniu znów zacząłem być w formie, wszystkie moje rany się zagoiły, tylko stopa potrzebowała jeszcze paru dni. Właśnie przeglądałem bibliotekę, kiedy przeszkodził mi Valer.

- Panie? - zaczął rozmowę w tradycyjny sposób.

- Tak? - odrzekłem.

Już się przekonałem, że właśnie w ten sposób najszybciej przejdziemy do rzeczy.

- Kiedy zorganizujemy uroczystość? - spytał.

- Jaką uroczystość? - Nie rozumiałem.

- Poślubił pan Jej Wysokość z uwzględnieniem wszelkich formalności, ale nasza szlachta i poddani oczekują uroczystości. Dla hrabstwa to znaczące wydarzenie. Mają do niej prawo.

- Z pewnością. - Skinąłem głową. - Zastanowię się nad tym i jutro to omówimy, w porządku?

- Tak, panie - odpowiedział, odwrócił się i chciał zniknąć w typowy dla siebie

sposób.

- Valer, tę kuszę miałeś we mnie wymierzoną przez przypadek? - zatrzymałem go pytaniem.

- Tylko ci się wydawało - odpowiedział natychmiast.

Nawet nie musiał pytać, o co chodzi, łajdak.

Dobrze wiedział, że mówię o ślubie z Annemari. Jeszcze raz wspomniałem naszą rozmowę. A także uroczystość. Najwyższy czas zniknąć, ja po prostu nie mogłem być hrabią.

\* \* \*

Mury obronne pokonałem tradycyjnie, używając kotwicy, liny i wspinając się po kamieniach. Zagłębiłem się w wąskie uliczki miasta. Było ciemno, noc jeszcze nie zdążyła sobie zdać sprawy że jej panowanie się kończy. Chłód przenikał przez ubranie, a z każdym krokiem było mi trudniej. Musiałem odejść. Może potrafiłbym znów być szlachcicem. To tak. Ale dla niej byłem za stary a starego psa nikt nie nauczy nowych sztuczek. Annemari miała przed sobą całe życie. Kolejny powód, dlaczego muszę zniknąć - znów pokrzyżowałem cesarzowi jego plany, a to oznaczało problemy dla każdego w moim otoczeniu. Dołożyłem jeszcze parę innych „dlaczego odejść” i trochę pomogło. Trochę.

Bez pośpiechu dotarłem na miejsce.

Wczoraj ukradkiem kupiłem kanoe i kazałem je umieścić pod mostem. Planowałem dotrzeć aż do Aguiny, górskiej rzeki płynącej wzdłuż granicy hrabstwa Daska od wschodu, następnie przebyć jeszcze kilkadziesiąt kilometrów i zaszyć się w dżungli. Nie miałem najmniejszej ochoty, żeby śledzili mnie zawzięci ludzie Valera na koniach. Po raz pierwszy zanurzyłem wiosło w wodzie. Nie wiedziałem, czy robię dobrze,

ale raz się zdecydowałem i nie pozostało nic innego niż kontynuować.

Kiedy już słońce grzało, dotarłem do progów skalnych, przez które musiałem przeciągnąć kanoe. Dobiłem do prawego brzegu w miejscu, skąd najłatwiej było obserwować, co się dzieje.

Pod drzewem siedziała Annemari ubrana w skórę. Miała na sobie ubranie, które uszyła podczas naszej wędrówki trzy lata temu. Przystrojona frędzlami i naszytymi muszelkami znów wyglądała jak księżniczka dżungli.

- Uciekasz - stwierdziła.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. To była prawda.

- Kazałaś mnie śledzić? - spytałem.

- Nie. Kazałam tylko sprawdzić, czy kupisz konia, łódź, czy pójdziesz pieszo.

- Skąd wiedziałaś, że ucieknę właśnie dziś? - zadałem kolejne pytanie.

Przechyliła głowę w bok, w oczach miała wyraz, od którego zrobiło mi się przykro.

- Jesteś delikatnym facetem, wstręciuchu, ale gdy ktoś się kocha tak jak ty wczoraj wieczorem, jasne jest, że myśli, iż to po raz ostatni.

Stałem i milczałem.

- Strasznie się bałam, że się mylę, że gdzieś się zgubisz, a ja już nigdy cię nie zobaczę. Kochasz mnie? - spytała tym razem ona.

- Tak - odpowiedziałem.

Dlatego tak ciężko było odejść. A Annemari jeszcze mi to utrudniała. Musiałem odejść. Dla niej.

- Więc pojedę z tobą - powiedziała spokojnie.

Przełknąłem ślinę.



- Nie możesz, masz obowiązki wobec swoich ludzi - prawie krzyknąłem.

Dopiero teraz zauważyłem, że ma spakowany mały plecak. Nie wiedziała, nie miała pojęcia, czym jest życie w drodze. Niewygody, niebezpieczeństwo, brodenie w największym bagnie i brudzie, jakie przynosi życie. Ze mną kiedyś skosztowała raczej lepszych rzeczy

- Mam. Ale mnie nikt nie pytał, czy chcę być hrabianką. Chcę być z tobą. Nie wierzę, że dostanę jeszcze drugą szansę.

Dostrzegłem poruszającą się gałąź w niedalekim gąszczu. Sięgnąłem do kanoe, wyciągnąłem kuszę i pokazałem Annemari, żeby schowała się za pień drzewa, pod którym siedziała. Posłuchała bez wahania.

- Hej, ty tam! Wyłaź, albo cię przebiję bełtem. Parę gałązek cię nie ocali! - wrzasnąłem w stronę podejrzanego miejsca.

Krzewy się poruszyły jeszcze raz i wyszedł z nich Valer. A ja myślałem, że odejdę niezauważony...

- A jak ty się tu znalazłeś? - zwymyślałem go wściekły.

- Śledziłem Jej Wysokość. Odpowiadam za jej bezpieczeństwo, nie mogę jej zostawić bez opieki - odpowiedział normalnym, lodowatym głosem.

- Chcę być z tobą - powtórzyła Annemari.

Patrzyłem raz na nią, raz na Valera, raz na kanoe. Mogłem wrócić, odjechać sam, odjechać z Annemari. Valer by mnie nie zatrzymywał, nie odważyłby się. Mogłem wrócić, odjechać sam, odjechać z Annemari. Mogłem...